



Magdalena Kordel

SEZON NA CUDA

Drodzy Czytelnicy!

Na wstępie chciałam wyjaśnić, że zwrot „zimowy konflikt pokoleń”, którego użyłam w tekście, wprowadziła do mojego słownika Pani Krystyna Siesicka. Chciałabym jej z całego serca podziękować za książki, które czytam do tej pory z ogromną przyjemnością. „Iście po męsku” mówiła Kornelia w „Wymarzonym domu Ani” Lucy Maud Montgomery, a Leontyna po prostu zapożyczyła sobie od niej ten tekst i używała z widocznym ukontentowaniem.

Książka, którą oddaję w Wasze ręce, traktuje w dużej części o Bożym Narodzeniu i pomimo że do świąt zostało jeszcze trochę czasu, chciałabym, korzystając z okazji, życzyć Wam, Drodzy Czytelnicy, ciepłych i pełnych miłości świąt Bożego Narodzenia i tego, by nigdy w Waszym życiu nie zabrakło cudów. I tych małych, i tych całkiem okazałych.

A na zakończenie wigilijny wiersz, który najlepiej oddaje to, co chciałam przekazać:

*W Wigilię śnieg się skrzy magicznie,
Migają lampki choinkowe,
Nadchodzi spokój i świąteczność
I słowa znane - chociaż nowe...
Oczy lśnią całkiem innym blaskiem,
Przy stole cisza pełna znaczeń
I łzy radości i wzruszenia,
Choć w taki wieczór się nie płacze.
Mikołaj się przemyka chyłkiem
(jak mogłeś myśleć, że go nie ma?),
W zaczarowany mroźny wieczór
Same składają się życzenia.
W opłatka płatkach przenoszone
W sercach zostają na rok cały,
Znajdują w smutnych dużych ludziach
Radosnych ludzi całkiem małych.
Znajdują dobry świat dziecinny,
Magię, nadzieję, dobroć, miłość,
To, o czym niby się pamięta,
A co się kiedyś gdzieś zgubiło.
Przy stole w blasku świec świątecznych
Wszystko się staje oczywiste.
I dużo łatwiej jest zapomnieć
Drobne przykrości, żale wszystkie.
Magiczny wieczór, dobry wieczór,
Przynosi nam od siebie w darze
Uczucie szczęścia i radości
I moc spełnienia własnych marzeń.*

Magdalena Kordel

Nie ma niczego smutniejszego niż grudzień, który wygląda jak listopad. Może dlatego, że sam listopad wystarcza, by człowieka przygnębić na amen. Dawniej grudnie bywały bardziej przyzwoite. Zaczynały się przymrozkami, szronem i niewielkimi opadami śniegu, który przykrywał przemielone z błotem liście i otulał świat wyciszającą warstwą. Leontyna przepadała za pierwszym śniegiem i ciszą, którą ze sobą przynosił. Dawniej, bo w ostatnich latach świat zwariował, a wraz z nim i pogoda straciła na przyzwoitości. Nie było można polegać na miesiącach ani na porach roku. Wszystko się mieszało i Leontynę, lubiącą porządek, wyprowadzało to z równowagi. Dzięki Bogu, że miała pracę, która nie była uzależniona od zwariowanej huśtawki pogodowej. Tak, tak, za nic nie zamieniłaby sklepu z antykami, starociami i rękodziełem na sad czy na pensjonat, chociaż kiedyś marzyło jej się i jedno, i drugie. Lecz w marzeniach sad wzbogacał się co roku w nowe odmiany czereśni i jabłek i przynosił wspaniałe plony, natomiast w rzeczywistości coraz trudniej było nie tylko uzyskać przyzwoitą cenę za owoce, ale też doprowadzić do zbiorów. Podobno zmieniał się klimat - przynajmniej tak twierdził jakiś mądrała w telewizji, który zdawał się zupełnie tym nie przejmować. Ba, wyglądał na wręcz zadowolonego. Widać nie musiał utrzymywać się z tego, co udałoby mu się mimo ocieplenia klimatu zebrać z własnej uprawy. Co do pensjonatu, to właśnie spotkała właścicielkę jednego, świeżo założonego, która stwierdziła, że jak tak dalej pójdzie, kapryśna grudniowa pogoda ją wykończy.

- Co też, pani Maju, pani opowiada, wprawdzie taka zgnilizna nie jest zdrowa, ale w końcu jest pani młodą, silną kobietą, byle deszcz i chlapa pani nie złamie! - powiedziała, otulając się szczelniej szalikiem. - Chyba że nadal będzie pani biegać bez nakrycia głowy, wtedy to i młodość nie pomoże. Właśnie, może pani mi przy okazji powie, o co chodzi z tymi czapkami i szalikami? Dlaczego młodzi ludzie bronią się przed nimi jak przed zarazą? Wprawdzie ja też podobno byłam kiedyś młoda i niby powinnam pamiętać takie szczegóły, ale to było tak dawno temu, że zastanawiam się, czy sobie tej młodości zwyczajnie nie wymyśliłam. - Ledwo widoczny figlarny uśmiech przemknął po jej twarzy.

- Niestety, w tym pani nie pomogę - odparła ze śmiechem właścicielka pensjonatu. - Trzeba by było zapytać moją córkę Marysię. Ona jest w tej właściwej fazie młodości.

- Właściwej fazie młodości? - Pani Leontyna zdziwiona uniosła siwe brwi. - A jest jakaś niewłaściwa?

- No, jest jeszcze ta faza, którą Magda Umer nazwała młodością stabilną. I my, pani Leontyno, się do niej właśnie zaliczamy. - Majka prychnęła śmiechem.

- Straszna z pani trzpiotka! Niby pani i ja razem? Przecież pani ledwo od ziemi odrosła! Ale o czym to mówiłyśmy? A, o czapkach! Niech się pani cieplej ubiera, pani Maju, wtedy nie trzeba się martwić pogodą!

- To nie takie proste. Gdyby tylko chodziło o strój - westchnęła właścicielka pensjonatu i z zatroskaniem pokręciła głową. - Myślałam, że w grudniu w Uroczysku będę miała komplet gości. Na święta i na narty. A tu nic a nic.

Przeglądałam prognozę długoterminową w internecie i nie zanosi się ani na śnieżną, ani na mroźną zimę. To jakaś złośliwość losu, przez którą pójdę z torbami!

- Może nie będzie aż tak źle - wyraziła nieśmiało przypuszczenie pani Leontyna. - A prognozie pogody nie ma co ufać! Tak samo jak horoskopom, moim zdaniem to czysta loteria. Co tam komu przyjdzie do głowy, to napisze. Miałam kiedyś znajomą, która redagowała rubrykę z horoskopami. Często wpadała do mnie tuż przed zamknięciem numeru i pytała: „Masz jakiegoś znajomego Raka? Bo ja nie i zupełnie nie wiem, czy w tym miesiącu ma się mu poszczęścić, czy wręcz przeciwnie”. I w zależności od naszej sympatii lub antypatii dostawał zapowiedź sukcesów albo widmo upadków i nieszczęść. Sama pani widzi, że nie ma sensu zawracać sobie głowy wróżbami i prognozami. Będzie dobrze, na pewno!

- Oby miała pani rację. A teraz lecę, bo zaraz zacznym zajęcia w szkole. Chwała i za to, bo z samego pensjonatu bym nie wyżyła. - Maja pomachała Leontynie na pożegnanie, po czym zniknęła za zakrętem krętej, pnącej się pod górę uliczki.

A za chwilę dopędziła staruszkę z powrotem.

- Pani Leontyno, jeżeli chodzi o czapki, szaliki i młodość, to chyba jest taki zimowy konflikt pokoleń, który był, jest i będzie - wysapała, odgarniając z twarzy kosmyki włosów.

- Ha, ma pani niewątpliwie rację, sezonowy konflikt pokoleń, bardzo trafna diagnoza. - Pani Leontyna pokiwała głową. - Niech pani po pracy wpadnie do mnie do sklepu. Mam tam taki jeden mały konflicik, który będzie pasował jak ulał.

- Przyjdę na pewno - obiecała sympatyczna właścicielka pensjonatu i już jej nie było.

Ot i młodość... - zadumała się pani Leontyna. I pomyśleć, w jej wieku byłam przekonana, że właśnie się starzeję.

Ciekawe, skąd człowiekowi przychodzą do głowy takie głupie myśli. Westchnęła, poprawiając zsuwającą się brązową rękawiczkę. Rozmowa z Majką utwierdziła ją w przekonaniu, że powinna uważać się za szczęściarę, bo jej sklep nie był uzależniony od warunków pogodowych. Sprzedawać wiekowe przedmioty mogła bez względu na to, czy klimat właśnie postanowił się oziębic, czy ocieplić. Mogła mieć pretensje tylko o reumatyzm, który przy takiej zgnilej pogodzie jej dokuczał, ale ostatecznie to, w porównaniu z zagrożeniem pójścia z torbami, było zaledwie niewartą wspomnienia niedogodnością. Tak czy inaczej, po południu zamierzała udać się na cmentarz i powiedzieć ojcu, że doprawdy wiedział, co czyni, gdy zamiast uprawiania sadu czy prowadzenia pensjonatu otworzył całkowicie klimatoodporny mały sklepik z antykami.

Po powrocie z cmentarza poczuła, że coś jej doskwiera. Zirytowana wyjrzała przez okno i zabębniła palcami o parapet.

- To wszystko przez ten grudzień - powiedziała do rudego kocura, który rozsiadł się przed nią na parapecie. - Mówię ci, Barnabo, odkąd zostaliśmy sami, grudzień mnie przygnębia! Ja wiem, ty masz to w nosie, jesteś zdrowym kocim egoistą i zupełnie się nie przejmujesz faktem, że spędzisz kolejne święta tyl-

ko i wyłącznie ze mną. Najważniejsze, że będzie ci towarzyszyła pełna miska. Tak, tak, Barnabo, nie masz co udawać i robić obrażonej miny. Ja i tak wiem, że dopiero brak jedzenia mógłby nieco zepsuć ci humor.

Westchnęła i zapatrzyła się w zapadający zmrok. Kto by pomyślał, że nadejdzie czas, że jej jedynym towarzystwem będzie rudy kocur. Oczywiście miała świadomość, że bycie samotną starszą panią ma sporo plusów. Chociażby to, że mogła sobie pozwolić na przyzwyczajenia i dziwactwa. Mogła być po prostu sobą, co, jak zauważyła, jest luksusem dostępnym nielicznym. Ale to było takie oczywiste, dopóki żyła jej siostra. Pewnego wiosennego poranka po długiej chorobie powiedziała po prostu, że na nią już czas, i na drugi dzień umarła, zostawiając Leontynę w zupełnej samotności i w smutku. Starsza pani długo nie mogła wybaczyć jej tego spokojnego: „Czas na mnie”. Była przekonana, że gdyby tylko Anna nie wypowiedziała tego głośno, żyłaby do dziś. Atak nie miała już z kim usiąść do śniadania i nikt nie irytował jej wiecznie dobrym humorem.

- Skoro zdecydowałaś się zabrać pierwsza, powinnaś założyć rodzinę - mruknęła Leontyna w kierunku stojącej na kredensie fotografii siostry. - Przynajmniej zostałyby mi jakieś siostrzenice i siostrzeńcy, a tak jestem w kropce. Samotne święta mnie wykończą!

Przypomniała sobie właścicielkę Uroczyska, która użyła tego samego sformułowania, tyle że co do pogody. I w głowie zaświtał jej pewien pomysł. Im dłużej o nim myślała, tym bardziej jej się podobał.

Następnego dnia czekała na Majkę przed szkołą. Porządnie zmarzła, bo nie wiedziała, o której właścicielka pensjonatu i nauczycielka w jednym zaczyna pracę, i postanowiła być na miejscu przed ósmą, a Majka pojawiła się dopiero po dziewiątej.

- Nareszcie pani jest! - ucieszyła się Leontyna na jej widok. Już miała zgrabiałe ręce i stopy. - Bałam się, że w ogóle pani dziś nie przyjdzie.

- Pani Leontyna? A co pani tu robi? Miałam dzisiaj zajrzeć do pani sklepu. Wczoraj przedłużyły mi się zajęcia i nie zdążyłam. Stało się coś?

- Nie, nic takiego. Po prostu wpadłam na pewien pomysł i muszę o tym z panią porozmawiać.

- Teraz? O, za chwilę zaczynają się lekcje, a ja jak zwykle jestem na ostatni moment. Nie wiem, jak to robię, ale z niczym nie mogę zdążyć. Spóźniam się, zasypiam, po prostu koszmar. Miewa tak pani?

- Owszem - skłamała gładko Leontyna, która zawsze wszędzie docierała przed czasem. - Nie będę pani teraz zawracała głowy, tym bardziej że nie jest to sprawa na pięć minut. Proszę przyjść do mnie do sklepu. O której pani kończy pracę?

- O piętnastej, ale niech chociaż krótko pani powie, o co chodzi, bo zjada mnie ciekawość. - Majka ze zniecierpliwieniem zatupała w miejscu.

- O pogodę, święta i pójście z torbami - wyjaśniła Leontyna, uśmiechając się zagadkowo.

Ruszyła do pracy. Dziś miała w planach nową aranżację wystawy. Będzie zimowa, ale przywodząca na myśl ciepło, jak ogień tłący się w kominku w mroźne wieczory. I trochę świąteczna, ale nie za bardzo. Tak żeby samotni, patrząc na nią, nie smutnieli. Taka w sam raz, akurat. Ale zanim się do tego zabiorę, muszę jeszcze raz spróbować dodzwonić się do Ewy, postanowiła Leontyna, chowając twarz w szeroki

brązowy szalik. Swoją drogą nie wiedziała, co ją opętało. Ta lawina pomysłów i postanowień, które wczoraj poczyniła, wprawiała ją w przerażenie, ale czuła, że teraz już nie może się wycofać.

Przynajmniej nie jestem bierna, myślała, pociągając nosem. I chyba złapałam katar. To dziwne, ale wcale się tym nie martwię. Wprost przeciwnie, czuję się jakby ciut młodsza. Zdziwiona pokręciła głową i z brązowej torby wyjęła duży mosiężny klucz, bo właśnie dotarła do swojego sklepu. Od razu po wejściu zadzwoniła do Ewy, ale podobnie jak wczoraj telefon pozostał głuchy. Cóż, może Ewa zmieniła numer. Nie byłoby w tym nic dziwnego, w końcu minęło tyle lat... Leontyna zdjęła płaszcz i przewiesiła go przez oparcie starego fotela uszaka. W takim razie będzie trzeba przejść do planu B, pomyślała. Ale do tego potrzebna jej była Majka, o ile oczywiście zgodzi się pomóc. A o tym mogła się przekonać dopiero po piętnastej, więc rozsądnie zajęła się aranżacją ciepłej zimowej wystawy z minimalnymi akcentami świątecznymi.

Gdy skończyła, do głowy przyszedł jej jeszcze jeden pomysł. Przykleiła do szyby kartkę, która natychmiast wzbudziła duże zainteresowanie przechodniów. Widniał na niej napis: „Duży wybór zimowych konfliktów pokoleń, w dobrej cenie. Zapraszamy!”. Nareszcie znalazła powód, by wystawić pracowicie dziergane przez cały rok komplety czapek i szalików. Jakoś do tej pory nie miała serca się z nimi rozstać, a poza tym obawiała się, że w sklepiku z meblami, serwetkami i starą porcelaną nie wzbudzą zainteresowania. Ku swojemu zdziwieniu do przyścia Majki sprzedała siedem kompletów szalików i czapek, a ósmy postanowiła sprezentować właścicielce Uroczyska. Po pierwsze, należał jej się za poddanie tak dobrego pomysłu, po drugie, istniała szansa, że Leontyna przestanie ją widywać z przeraźliwie gołą szyją, na której widok zawsze dostawała dreszczy i czuła ku swojemu zdziwieniu, że chętnie wdałaby się czynnie w każdy konflikt, niekoniecznie pokoleniowy, byleby tylko oszczędzono jej takich widoków. I miała szczerą nadzieję, że podstępny prezent rozwiąże ten problem raz na zawsze.

* * *

Gdy po zajęciach dotarłam do sklepu pani Leontyny, na dworze było już zupełnie ciemno i zerwał się silny wiatr pachnący przymrozkiem. Jego lodowate podmuchy bez trudu wnikały pod płaszcz i smagały mnie po twarzy. W pewnym momencie, gdy po raz kolejny zimny wiatr posmyrał mnie po plecach, zaczęłam się poważnie zastanawiać, czy przypadkiem nie transformuję się w sopel lodu. Czułam się fatalnie, i to nie tylko z powodu pogody. Cały dzisiejszy dzień był z tych, które można śmiało podciągnąć pod kategorię szkolnego koszmaru. Tuż po wejściu do szkoły dopadła mnie pani dyrektor, domagając się natychmiastowego dostarczenia pracy mojej klasy na doroczny konkurs szopek, co aktualnie było awykonalne, bo szopka pozostawała w fazie produkcji. Oczywiście nie trzeba być geniuszem, by się domyślić, że dyrektorka nie tylko nie była tym zachwycona, ale wręcz zagotowała się ze złości.

- Pani Maju, nie wiem, może pani umknęło, że dziś jest trzeci grudnia, a szóstego otwieramy wystawę, będzie lokalna prasa, goście, nawet burmistrz się zapowiedział. Nie może być tak, że zabraknie jednej pracy! Wszyscy poza panią dotrzymali terminu. To pani pierwsza zima w tej szkole i rozumiem, że nie

wszystko jest dla pani jasne, ale to jest nasza doroczna tradycja! Jeżeli szopka nie będzie gotowa, ta pierwsza zima może być dla pani ostatnią! - zagroziła, czerwieniejąc na twarzy.

- Rozumiem, że istnieje jakaś szopkowa klątwa dotycząca spóźnialskich? - zapytałam ze śmiertelną powagą.

- Pani zbyt lekceważąco traktuje ważne sprawy, w tym sprawę czasu - warknęła pani dyrektor, znacząco patrząc na zegarek. - Nie tylko z szopką się pani spóźnia. Jeśli dobrze widzę, pani klasa koczuje pod drzwiami sali, bo nie ma ich kto wpuścić!

- Trudno mi otwierać klasę i jednocześnie rozmawiać z panią - nie wytrzymałam, bo co mi będzie jęzda jedna zarzucać spóźnienie, skoro osobiście zajęła mi czas po dzwonku.

- W przyszłości proszę przychodzić trochę wcześniej. Praca nauczyciela wymaga elastyczności - bez namysłu odparowała dyrektorka i z niesmakiem popatrzyła na Filipa Krawca, który owinięty w różowo-biały szal przesyłał w naszym kierunku całusy. - I niech pani zrobi coś z tym przebierańcem! Co ma znaczyć takie spoufalanie?

- Nic szczególnego, po prostu w tym miesiącu postanowiliśmy z okazji nadchodzących świąt przekazywać sobie gesty przyjaźni i braterskiej miłości. Dziś przypada dzień buziaków - zełgałam gładko, obiecując sobie w duchu, że uduszę Filipka jego własnym szalem od razu po wejściu do klasy. - A szopka będzie dostarczona na czas, niech się pani nie martwi - dodałam, chcąc odwrócić jej uwagę od poczynań klasy, która oczywiście z miejsca podłapała pomysł Filipa i rechocząc, rozsyłała całusy na wszystkie strony, ze szczególnym uwzględnieniem osoby dyrektorki.

- Trzymam panią za słowo. A pamięta pani o jasełkach? Próby w toku? - zapytała z błyskiem w oczach jasno mówiącym, że mamy dziś dzień pod hasłem „Dobij swego pracownika”.

- Wszystko pod kontrolą, a teraz, jeżeli pani pozwoli, wpuszczę w końcu dzieciaki do klasy - stwierdziłam, widząc, że z sąsiedniej sali wyjrzała zaniepokojona hałasem Helenka, nauczycielka geografii, i widząc mnie w szponach dyrektorki, ze współczującą miną na powrót zniknęła w sali.

- „W końcu” to bardzo trafne określenie. - Dyrektorka jeszcze raz omiotła niechętnym wzrokiem rozbawioną młodzież i drobnym kroczkiem ruszyła w kierunku gabinetu. Z ulgą otworzyłam drzwi do klasy i w tym momencie rozdzwoniła się moja komórka. Dzieciaki dopiero zajmowały miejsca, więc odebrałam. Na nieszczęście. Gdybym tego nie zrobiła, jeszcze przez jakiś czas mogłabym cieszyć się względnym spokojem, a tak dowiedziałam się od uszczęśliwionej Marysi, że ukochany tatuś zabiera ją na całe święta na Słowację. Oczywiście ja o wyjazdowo-świętecznych planach Igora nie miałam bladego pojęcia i gdy o nich usłyszałam od Mańki, trafił mnie nagły szlag. Bo jak to tak, za moimi plecami decydować o świętach naszego dziecka?! Oczywiście moja córka była cała w skowronkach i świadomość, że będę musiała jej oznajmić, że taki wyjazd nie wchodzi w grę, wcale nie poprawiała mi humoru. Ja mu dam Słowację, niech no tylko zadzwoni dzwonek na przerwę! - obiecałam sobie w duchu i popatrzyłam na chichoczące dzieciaki. Początkowo miałam zamiar wygłosić im umoralniającą pogawędkę o niestosowności denerwowania bezpośrednich przełożonych swojej wychowawczyni, ale patrząc na ich rozbawione twarze, zrezygnowa-

łam z tego pomysłu. Szkoda było psuć im humor, niech przynajmniej oni mają dobry dzień, a w dodatku uczciwie przyznałam przed samą sobą, że w obecnym stanie ducha umoralnianie kogokolwiek przekracza moje możliwości. Jedyne, na co miałam ochotę, to mord ze szczególnym okrucieństwem na moim byłym mężu. W związku z tym pominęłam milczeniem całusny incydent i po pobieżnym sprawdzeniu listy zleciłam rozwiązywanie ćwiczeń, a sama w myślach zajęłam się układaniem mowy, którą miałam zamiar uraczyć Igora. Dopiero rozbawione spojrzenia moich uczniów i stłumione chichoty uświadomiły mi, że mamrocę pod nosem. Zadziwiające, że były facet, niby nieobecny w życiu, nadal może powodować, że człowiek czasami zachowuje się jak kretyn. Albo jak dziecięciniały staruszek mruczący do siebie niezrozumiałe inwektywy.

Oczywiście, gdy zadzwoniłam, Igor stwierdził, że zupełnie nie rozumie, o co mi chodzi. Zwykle tracił na inteligencji, gdy zachowywał się nie fair. Swoją drogą bardzo przydatna umiejętność, godna zapamiętania i wykorzystania w praktyce. Powiedział, że mi nigdy nie można dogodzić i rzucił słuchawką. Tak więc przygotowana mowa wzięła w łeb, a ja poczułam się jeszcze bardziej sfrustrowana. I biorąc to wszystko pod uwagę, trudno się dziwić, że ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, było odwiedzanie starszych pań w ich sklepach. Ale nie miałam serca wystawić pani Leontyny do wiatru. I naprawdę byłam ciekawa, co też wymyśliła. A gdy zobaczyłam wystawę jej sklepu, moja ciekawość gwałtownie wzrosła. Ktoś, kto na wielkiej kartce zachęca przechodniów do kupowania konfliktów pokoleń, po prostu musi mieć intrygujące pomysły. I łeb do interesów. Może powinnam ją zatrudnić do wypromowania Uroczyska? Znając życie, wyszłoby jej to z pewnością lepiej niż mnie, pomyślałam, naciskając kławkę i wchodząc do środka.

- Pani Leontyno, widzę, że sprzedaje pani konflikty pokoleń. Świetny pomysł, powinna pani pracować w reklamie - pochwaliłam ją na wstępie.

- To przecież pani wymyśliła. Jak się temu dobrze przyjrzeć, to można dojść do wniosku, że wręcz popełniłam plagiat. A swoją drogą, sprzedają się jak świeże bułeczki. No i właśnie mam tu dla pani jeden w ramach podziękowań. - Leontyna wyciągnęła z szuflady biurka kolorową paczuszkę, w której ani chybi spoczywał jakiś przedpotopowy kapelusz.

- Czy pani wie, do czego mnie namawia? - mruknęłam, obracając w rękach szeleszczący pakunek. - Normalna matka nastolatki nigdy w życiu z własnej woli nie przyjęłaby czegoś, co ma taką nazwę. Miała pani kiedyś dorastającą córkę? - zapytałam, czując, jak tłumiona do tej pory irytacja powraca z narastającą siłą.

- Niestety nie - przyznała z zakłopotaniem pani Leontyna.

- O, słowo „nietety” jest tu zupełnie nie na miejscu. Żeby nie drażnić tego tematu, podsumuję krótko: ludzie ludziom zgotowali ten los. I nie ma w tym ani odrobiny przesady. - Aż zatrząślam się ze złości na myśl, że przez tego kretyna, eksmęża, będę musiała stoczyć bój z Marysią. A i bez tego moja córka postanowiła przeżyć okres dorastania jak najbardziej intensywnie, doprowadzając mnie do szaleństwa i przedwczesnych siwych włosów, których wysypu spodziewałam się w każdej chwili.

- Ale pani przecież cały czas pracuje z młodzieżą... I nie lubi ich pani? - Starsza pani ze zgrozą uniosła brwi.

- Młodzież to ja lubię całym sercem. Gdyby było inaczej, musiałabym wybić pół szkoły, a potem skończyć ze sobą. Albo zwariować, zakładając optymistycznie, że to ostatnie już się nie stało. Ale wracając do tematu, być nauczycielem to zupełnie co innego, niż mieć własne dzieci. Nigdy nie przypuszczałam, że macierzyństwo jest takie upiorne. Człowiek, chciał nie chciał, w pewnych momentach musi być bezwzględnym tyranem. A nieszczęśnik po rozwodzie dostaje przy tym podwójnie po tyłku. - Sama nie wiedząc kiedy, wywaliłam, co leżało mi na wątrobie i widząc speszoną minę pani Leontyny, poczułam się trochę głupio.

- Nic z tego nie rozumiem. Konkretnie jaki człowiek dostaje po tyłku? - Staruszka, jak widać, nie lubiła być niedoinformowana.

- Konkretnie? Kobieta, bo zwykle ona zostaje z dzieckiem na dobre i na złe. Konkretnie ja! Czy pani wie, co wymyślił mój były mąż? - Spojrzałam na nią ponuro.

- Domyślałam się, że potężnie panią wkurzył - mruknęła Leontyna, popatrując na mnie spod oka i uśmiechając się szelmowsko.

- Tak przypuszczałam, że mam to wypisane na twarzy! Ale jak można zachować spokój, kiedy nagle dowiaduję się od córki, że jej wspaniały - a jakże - tatuś zabiera ją na święta na Słowację! Wyobraża to sobie pani?! A potem gdy dzwonię, by wyjaśnić sprawę, on wyjeżdża mi z tekstem, że jak zwykle myślę tylko o sobie i że nijak nie można się ze mną dogadać! Widzi pani, okazało się, że jestem potworną egoistką, bo nie zamierzam zrezygnować ze świąt z córką na korzyść jej tatusia i jego kochanki! Gdyby wynaleziono jakiś sposób zabicia człowieka przez telefon, Igor już leżałby martwy! Pani nawet sobie nie wyobraża, jak ten człowiek mnie denerwuje! - zakończyłam podniesionym głosem i kilka razy głęboko odechnęłam, zastanawiając się, co, u licha, mnie podkusiło, żeby opowiadać o swoich kłopotach obcej osobie.

- I co zamierza pani z tym zrobić? - Pani Leontyna wpatrywała się we mnie z istic naukową ciekawością.

Dopiero teraz przypomniałam sobie, że Leontyna jest starą panną. Nic dziwnego, że patrzyła na mnie jak na ufoludka. Moje problemy musiały wydawać się nie z tego świata osobie, która nigdy nie musiała borykać się z głupotą mężczyzn i piekłem dojrzewania dziecka płci żeńskiej. Dojrzewająca płeć męska na mój gust była mniej straszna. Głównie koncentrowała się na jedzeniu oraz rozrzucaniu brudnych i przepoconych fragmentów garderoby po domu. W porównaniu z kąsającą nastolatką taki męski troll niebezpiecznie zbliżał się do ideału.

- Oczywiście wcielę się w rolę nic nierozumiejącego potwora i w żadnym razie się na to nie zgodzę! Nie ma mowy, żebym puściła Mańkę na całe święta. Zresztą jak można mówić jej o takich planach, zanim się ustali to ze mną!

- No jak to jak? Przecież to iście po męsku, nie uważa pani? - Pani Leontyna puściła do mnie oko, wprawiając mnie w osłupienie. - A ponadto może wykombinował, że jeżeli powie najpierw córce, to pani szybciej się ugnie - dodała, kiwając siwą głową.

- No to się pomylił! - stwierdziłam ponuro, jednocześnie dochodząc do wniosku, że chyba zbyt pochopnie ją oceniłam. Ostatecznie staropanieństwo niekoniecznie musi oznaczać ignorancję. - Ale mniejsza o mojego byłego i kłopoty z wychowaniem. Już się wygadałam i zrobiło mi się lepiej. Teraz pani kolej, proszę mówić, o co chodzi.

- Ogólnie o święta. Nadal nie ma pani gości?

- Mam, ale to jeszcze gorzej, niżbym nie miała. - Westchnęłam. - Zgłosiły się trzy pojedyncze osoby i jedno małżeństwo. Gdyby nie było nikogo, mogłabym zrezygnować z całej imprezy, a teraz nie mam wyboru, muszę przygotować kolację wigilijną i śniadanie w pierwszy dzień świąt. Z całą pewnością na tym nie zarobię, pocieszam się jedynie tym, że Uroczysko im się spodoba i zechcą tu wrócić w ferie albo w wakacje, zresztą sama już nie wiem. Może po prostu się nie nadaję do prowadzenia własnego interesu - wypowiedziałam na głos dręczące mnie od dawna wątpliwości.

- Ach, to po prostu świetnie! - Pani Leontyna z zadowoleniem zatarła ręce, a ja zaniemówiłam. - Idealnie pasuje do mojego planu!

- To że jestem pensjonatowym nieudacznikiem? - upewniłam się, z niedowierzaniem patrząc na starszkę sadystycznie cieszącą się z mojego nieszczęścia.

- Ależ nie! Pani Maju, chodziło mi o to, że wiem, co zrobić, żeby pani do tego interesu nie dołożyła! Ale zanim cokolwiek powiem, musi mi pani obiecać, że będzie ze mną szczerą. Żadnych niedomówień i kurtuazji, dobrze?

- Dobra, wchodzę w to! Żadnej kurtuazji i półprawd - zgodziłam się zaintrygowana. - Ale niech mi pani mówi po imieniu. Będę czuła się mniej oficjalnie.

- No to Maju, zacznę od tego, że wczoraj dotarło do mnie, że to będą kolejne święta, które spędzę sama z kotem, i muszę przyznać, że to mnie potwornie przygnębiło. Święta nawet na takie zatwardziały stare panny jak ja ściągają tęsknotę za towarzystwem. Oczywiście proboszcz wspominał coś o możliwości urzędnika wigilii dla biednych i samotnych, ale samo założenie ma w sobie coś z jałmużny, nie sądzisz? - W odpowiedzi tylko kiwnęłam głową. - I pomyślałam, że nie tylko ja jestem w takiej sytuacji - ciągnęła pani Leontyna. - W Malowniczym mieszka sporo samotników. Większość starszych, ale jest i kilkoro młodych. Co byś powiedziała na to, żeby urządzić w twoim pensjonacie składkową wigilię? Można by było zebrać chętnych, zaproponować im zrobienie listy ulubionych świątecznych dań i wspólnie ustalić menu, a potem byśmy wszystko przygotowali wspólnymi siłami. Tak więc tym byś się nie musiała kłopotać, a przy okazji odpadłoby ci myślenie o przyjezdnych, którzy oczywiście spędziliby wigilię z nami. Co o tym myślisz?

Nie miałam pojęcia, co odpowiedzieć. Z jednej strony pomysł był świetny, z drugiej...

- Plan jest bardzo dobry, ale mogą być kłopoty z realizacją - powiedziałam ostrożnie. - Skąd pewność, że ktokolwiek będzie chciał przyjść? Może odbiorą to tak jak propozycję proboszcza...

- Kochana, nie znasz ludzi! - przerwała mi bezceremonialnie. - Jak będą mieli świadomość, że do czegoś dokładają pieniądze i są współorganizatorami, poczują się zupełnie inaczej, niż gdyby mieli pójść na coś, co w nazwie ma „dla samotnych i ubogich”. Nikt nie chce wystawiać na widok publiczny prywatnych smutków i porażek, ale tutaj sprawa będzie wyglądała inaczej. Gwarantuję, że jeszcze się zaczną szarogęścić i klócić - dodała, a mnie przed oczami stanęła banda staruszków okładających się laskami i rzucających sztucznymi szczękami. - Ale oczywiście ja bym nad tym wszystkim czuwała - dokończyła, jakby czytając mi w myślach.

Zebrałam się na odwagę i odchrząknęłam.

- No dobrze, prosiła pani o szczerość. Nawet jeżeli jest pani w stanie trzymać rękę na pulsie, zapobiec awanturom i zorganizować pracę, to jest jeszcze jedna ważna sprawa. Czas. Zostało go niewiele, mamy trzeci grudnia. Ja ze swojej strony muszę porozmawiać z domownikami, ale nie sądzę, żeby mieli coś przeciwko temu. - Staralam się, żeby mój głos brzmiał pewnie. W głębi serca wcale nie byłam przekonana, czy stado hałaśliwych i kłótliwych staruszków wprawi w zachwyt moich bliskich. - Dzisiaj siądę i przeliczę, ile miejsc mogę zaoferować i ile kasy trzeba zebrać od osoby, ale żeby to wszystko miało sens, ktoś musi zająć się resztą. Jest pani pewna, że się z tym wszystkim upora?

- Nie, w żadnym razie nie jestem pewna. - Pani Leontyna oparła policzek na pomarszczonej dłoni. - Ale jeżeli nie spróbuję, nigdy się nie dowiem. Poza tym mam do ciebie jeszcze jedną sprawę, lecz o niej może porozmawiamy przy herbacie?

Nie czekając na odpowiedź, wcisnęła przycisk elektrycznego czajnika, a ja pomyślałam, że kiedyś, jeżeli oczywiście szczęśliwie zostanę taką staruszką, to bardzo pragnęłabym mieć tyle werwy co ona. Ale za nic nie chciałabym być taka samotna, ani teraz, ani gdy będę stara i siwa. Z dwojga złego wolałam już męczyć się z upiornie dojrzewającą córką. Bez względu na to, czy ta wspólna wigilia wypali, czy nie, panią Leontynę muszę zaprosić, postanowiłam i poczułam się dziwnie uspokojona. Bo przecież w ten dzień nikt nie powinien być sam - zaszumiały mi w głowie często w tym okresie powtarzane słowa, które w tym momencie nabrały zupełnie innego znaczenia. Z dziwnym uczuciem ciepła w okolicy serca zerknęłam na panią Leontynę patrzącą na mnie z porozumiewawczym błyskiem w oku, w którym czał się ciepły uśmiech.

Gdy w końcu wyszłam ze sklepu, na dworze panowała już czarna noc. Oczywiście tak jak przypuszczałam, na odchodnym zostałam przyozdobiona dwuczęściowym konfliktem pokoleń, składającym się z długiego czekoladowego szala i kapelusza w tym samym odcieniu. Szczerze mówiąc, zamierzałam ściągnąć kapelusz, gdy tylko zniknę z pola widzenia szalonej staruszki opętanej kapeluszową manią, ale gdy wychodząc, zerknęłam w lustro, zdumiona stwierdziłam, że wyglądam w nim nadspodziewanie dobrze. W rękę nadal ścisnęłam kartkę, na której Leontyna napisała adres dawnej znajomej.

- Tam mieszkała, gdy ostatni raz się widziałyśmy - wyjaśniła, podając mi świstek papieru. - Strasznie się wtedy pokłóciłyśmy. To było bardzo dawno, nie wiem, czy jeszcze ją tam można zastać... - Zawiesiła głos i wbiła we mnie znaczące spojrzenie. I bez tego przygważdżającego wzroku rozumiałam, że Leontyna zastanawia się, czy jej przyjaciółka jeszcze żyje. - Gdybyś mogła to dla mnie sprawdzić i poprosić ją w moim imieniu o spotkanie albo telefon... Byłabym wdzięczna. Usiłowałam się do niej dodzwonić, ale bez skutku. A iść osobiście nie mam odwagi. Ewa... hmm, jak to powiedzieć... jest dosyć porywcza... Tutaj napiszę swój numer telefonu i adres, mimo że ona go dobrze zna. Mogłabyś to jej przekazać ode mnie?

- Ja? - zapytałam, grając na zwłokę i obróciłam kartkę w palcach. - A nie lepiej będzie, jak pani sama się z nią spotka? Chyba tak z miejsca się na panią nie rzuci z kłami i pazurami. - Zastanawiałam się, czy rzeczona Ewa nie jest przypadkiem niezrównoważona psychicznie. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało, bo niby czemu staruszka prosi kogoś obcego, zamiast zwyczajnie do niej pójść i załatwić sprawę?

- Rzucić się nie rzuci, ale wcale niekoniecznie będzie chciała ze mną rozmawiać. A jak raz mi zatrzasnie drzwi przed nosem, to nawet jeżeli później będzie żałowała, już się do mnie nie odezwie. Ewa zawsze miała duży, wybuchowy temperament. Nie sądzę, żeby z wiekiem jej się zmienił. Dlatego chciałybym dać jej czas na podjęcie decyzji - wyjaśniła spokojnie Leontyna.

- Skoro tak, to mogę jej przekazać wiadomość od pani - mruknęłam z wahaniem, zastanawiając się, w co też tym razem się pakuję. - Załatwię to jutro rano, bo dziś jest już za późno. Wolałabym, żeby było widno. - W końcu zdobyłam się na odrobinę asertywności. Ostatecznie skoro miałam iść do porywczej staruszki, lepiej zrobić to za dnia. Choroba wie, co też może jej przyjść do głowy, pomyślałam, oczami wyobraźni widząc siebie uciekającą przed babą uzbrojoną w tasak.

- Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować. - Leontyna głęboko westchnęła i odruchowo poprawiła zsuwający się z małego stolika kremowy obrus.

Uznałam, że najwyższy czas się pożegnać, zanim staruszce przypomną się inni znajomi, z którymi straciła kontakt. Przerażona taką perspektywą, w rekordowym tempie pozbierałam swoje rzeczy i obiecałam Leontynie, że jak tylko uda mi się coś załatwić, natychmiast dam jej znać.

Boże, a co będzie, gdy się okaże, że staruszka Ewa kopnęła w kalendarz, a ja kogoś, kto otworzy mi drzwi, bezceremonialnie zapytam o dawno zmarłą mamę czy babcię? - przemknęła mi przez głowę kosztowna myśl.

- Majka, jesteś idiotką - mruknęłam sama do siebie.

- Po pierwsze, nie uśmiercaj z miejsca nieznaną staruszkę, a po drugie, słowo się rzekło, kobyłka u płota.

I natychmiast przyspieszyłam kroku, bo kobyłka z powiedzenia skojarzyła mi się z krową Kasandrą, która prawdopodobnie niewydojona i głodna czekała na mój powrót z pracy. Poza tym musiałam jeszcze zakomunikować Marysi, że wyjazd na Słowację nie wchodzi w grę, porozmawiać z Jagodą o pomysły pani

Leontyny i w międzyczasie sprawdzić plik klasówek. Cóż, jedynym niewątpliwym plusem tak licznych zajęć było to, że na martwienie się potencjalnie martwą staruszką z całą pewnością zabraknie mi czasu.

Tak jak przypuszczałam, Marysia była wściekła i wcale tego nie ukrywała. Ciekawe, czy wszystkie nastolatki, broniąc swojego stanowiska, najpierw strasznie wrzeszczą, a potem wybiegają z domu, trzaskając drzwiami, czy też tylko mnie się trafił taki przeraźliwy egzemplarz? - zastanawiałam się, leżąc na kanapie i patrząc w sufit.

- No i jak, już po burzy? - Do pokoju zajrzała zaniepokojona przedłużającą się ciszą Jagoda.

- To była zaledwie rozgrzewka, właściwe tornado nadejdzie - jęknęłam. - Ale z tobą też mam do pogadania. - Ostatecznie rozmowa o wigilijnym planie Leontyny i tak mnie czekała. Nie było sensu jej odwlekać.

- Ze mną? Od razu mówię, że ja nigdzie nie zamierzam wyjeżdżać, grzecznie zostaję na całe święta w domu. I zupełnie z własnej woli upiekę pierniki i makowce dla nas i nieszczęśników, którzy chcą tu przyjechać. Powiadomiłaś ich już, że wigilia będzie bardzo kameralna? Bo mam wrażenie, że mogą spodziewać się czegoś innego.

- Widzisz, właśnie o tym chciałam pogadać. Kojarzysz staruszkę, właścicielkę sklepu ze starociami? No tę, która ma kolekcję dziwacznych kapeluszy... Pamiętasz, latem chodziła w takim z woalką - do dałam, widząc, że Jagoda nie bardzo wie, o kim mówię.

- A tak, i z przeciwsłoneczną koronkową parasolką - przypomniała sobie Jagoda. - To chyba już ostatni taki egzemplarz w Malowniczem.

- Masz na myśli parasolkę czy staruszkę?

- Komplet. Moim zdaniem niepowtarzalny. Ale o czymś zaczęłaś mówić?

- No właśnie, często ją widuję w drodze do szkoły. Czasami trochę rozmawiamy, ostatnio wspomniałam jej o braku świątecznych gości i pani Leontyna wpadła na pewien pomysł, który nawet mi się spodobał. - Zwięźle opowiedziałam o propozycji staruszki.

- A nie sądzisz, że na to jest za mało czasu? No i te tłumy obcych, które będą się przewalać przez Uroczysko, szykując, piekąc i wścibiając wszędzie nosy. Na pewno tego chcesz? - Jagoda zrobiła zniechęconą minę, która miała mi uświadomić, że z całą pewnością postradałam zmysły.

- Wiesz, zawsze jest to jakiś pomysł na minimalny zarobek, a poza tym... - Odchrząknęłam i znacząco popatrzyłam jej w oczy.

- No tak, mogłam się z miejsca domyślić. Popraw mnie, jeżeli się mylę. Nawet jak miałabyś dołożyć do tej imprezy, to za wszelką cenę będziesz chciała ją doprowadzić do skutku. Mam rację?

- Zrozum, ona powiedziała, że będzie spędzać kolejne święta jedynie w towarzystwie kota. Chciałabyś tak? - mimowolnie niżylałam głos.

- W żadnym razie. Kot nie wyglądałby wiarygodnie w stroju Świętego Mikołaja - sarknęła Jagoda. - Majka, my nie jesteśmy tu po to, żeby zbawiać świat! Uroczysko to nie instytucja charytatywna!

- Jasne, przecież co miesiąc się gimnastykuję, żeby starczyło na rachunki - mruknęłam. - Ale nie zrobimy tego za darmo. Stawka od osoby musi być taka, żeby nie tylko pokryła koszty, ma jeszcze coś zostać dla nas. Żeby wilk był syty...

- Ty mi tutaj nie rzucaj powiedzeniami, tylko mów konkretnie. Rozumiem, że bierzesz stawkę jak od każdego innego turysty?

- Jeżeli o to chodzi... Myślałam, żeby jednak trochę opuścić. Ostatecznie raczej nie zostaną na noc...

- No właśnie, raczej to, raczej tamto, na tym twoim „raczej” to my daleko nie zajedziemy - wytknęła mi Jagoda.

- Dobra, w takim razie ty ustalisz kwotę - stwierdziłam pojednawczo.

- Ja? Dlaczego ja? - Naburmuszyła się moja przyjaciółka, wydymając usta.

- Żeby mieć pewność, że na tym nie stracimy, zresztą ty masz lepszą głowę do cyfr i nie jesteś ciągle podenerwowana z powodu córki i pani dyrektor, które wyraźnie cię nie lubią.

- A tak precyzując z tym nielubieniem, to o którą ci bardziej chodzi?

- Aktualnie o obie. Przecież u Marysi przechlapałam sobie definitywnie tymi świętami. I dlatego, moja droga, kłopotliwą sprawę finansów zostawiam tobie.

- Czyli perfidnie zrucasz na mnie odpowiedzialność za ubogich, złaknionych towarzystwa starszusków, tak? O nie, moja droga, nie ma tak łatwo! Razem to ustalimy i razem będziemy się głowić, jak potem wyjść z długów, bo jestem absolutnie pewna, że zysk z tej imprezy to ułuda i mrzonka. Jak wyjdziemy na zero, będziemy się mogły uważać za szczęściary! Ale przecież nie mogę cię z tym zostawić samej. Zagryzłyby mnie wyrzuty sumienia! - stwierdziła, wywracając oczami.

- Wiesz, że jesteś kochana? Jutro powiem pani Leontynie, żeby brała się do dzieła. Upредиłam ją, że najpierw muszę porozmawiać z domownikami. Ale jest tak, jak myślałam, dałaś się przekonać... - Uśmiechnęłam się z ulgą, bo tak naprawdę wcale nie byłam tego pewna.

- Przecież nie jestem zupełnie bez serca. Chociaż lojalnie upredzam, że ja się trochę znam na ludziach, w końcu jestem lekarzem, mam z nimi do czynienia na co dzień i na własnej skórze się przekonałam, że starszuskowie to gatunek niezwykle męczący, wredny i przewrażliwiony na swoim punkcie. I zwykle cierpiący na hipochondrię. A jakby tego było mało, są gderliwi jak mało kto - zakończyła ponuro.

- A, to przynajmniej w tym ostatnim będziecie do siebie pasować - rzuciłam i błyskawicznie uchyliłam się przed lecącą poduszką. - Ponadto źle mnie zrozumiałaś, to nie będą sami starsi ludzie. Podobno w Malowniczem jest dużo samotnych osób, może przy okazji poznamy trochę więcej sąsiadów?

- Od kiedy cierpisz na brak towarzystwa? Jeżeli tak ci to doskwiera, przyjdź do mnie do gabinetu, wtedy pogadamy o chęci bliższego poznania sąsiadów!

- Ale to są ekstremalne warunki, oni przychodzą do ciebie z kaszlami, katarami i chorymi migdałkami. A tu przyjdą na święta. Zobaczysz, będzie zupełnie inaczej. Zresztą w ostateczności zawsze pozostaje nam nasze towarzystwo. Wiesz, że do weterynarza przyjeżdża mamusia? Tak się zastanawiałam, czyby ich nie zaprosić... Trochę się przyjaźnimy...

- Szczególnie z mamusią - przytaknęła Jagoda ze śmiertelną powagą. - No ale cóż, na twoim miejscu też bym chciała poznać przyszłą teściową - dodała, robiąc niewinną minę.

- Jaką teściową? Wyobraźnia cię ponosi! - sapnęłam zirytowana. - Chyba to logiczne, że nie mogę zaprosić Czarka bez mamy, tak?

- Nie, no oczywiście. W końcu przyjaźń zobowiązuje - przytaknęła Jagoda, siląc się na powagę. - Tak czy inaczej, szykuje nam się wielka wigilia. Swoją drogą to powinnam już przywyknąć, że z tobą nie można się nudzić. Kto jeszcze będzie, oczywiście nie licząc stada bliżej nieznanych znajomych staruszki Leontyny?

- Ja, ty, Marysia, weterynarz Czarus z mamusią, o ile będą chcieli przyjść, Łucja z Norbertem i absztyfikantem...

- A od kiedy Norbert ma absztyfikanta? - Jagoda nie wiedzieć czemu była w wyśmienitym humorze.

- Tu się nie ma co śmiać. Absztyfikant jest wprawdzie Łucji, ale to chyba coś poważnego, a jeżeli chodzi o Norberta, wciąż biega za Marysią. Zresztą odkąd moja córka ostentacyjnie nie zwraca na niego uwagi, biega dwa razy bardziej. Wnioskuje z tego, że preferencje ma standardowe i reakcje też. Typowy syndrom pogoni za króliczkiem - mruknęłam i wróciłam do wyliczania gości: - Moi rodzice, Waleria, twój pszczelarz...

- Pszczelarz raczej twój, w końcu zajmuje się twoją pasieką - uściśliła Jagoda, z nagłym zainteresowaniem przyglądając się szydełkowej poduszce.

- Aaa, tak to się teraz nazywa. - Pokiwałam głową, ostatkiem siły woli powstrzymując śmiech. - No cóż, mówiąc obrazowo, to nie wiem, czyją pasieką zajmuje się z większym oddaniem. - Udałam, że ciężko wzdycham.

- A ma rękę do tych wszystkich pszczołek i motylków, oj ma!

- Jesteś okropna, wiesz? I masz świńskie skojarzenia - wytknęła mi moja przyjaciółka, ściągając usta, by ukryć rozbawienie.

- O, wypraszam sobie! Nawet jeżeli, to nie świńskie, tylko owadzie! - W końcu nie wytrzymałam i rozchichotałam się na całego.

- No dobra, wariatko, reasumując: teraz pójdę po kartkę i pracowicie niczym pszczołki zrobimy listę gości, bo w życiu nie zliczymy tego wszystkiego w pamięci, co ty na to? - Jak widać, Jagoda postanowiła być przede wszystkim obowiązkowa.

- A co myślisz o wspomagaczu w postaci butelki wina? - zaproponowałam i nie czekając na odpowiedź, sięgnęłam na półkę, gdzie za książkami miałam ukryte kieliszki, czekające tam na tego typu okazje.

- Myślę, że jest niezbędny jako środek znieczulający. Złagodzi trochę świadomość tego, co będzie się tu działo przez najbliższe tygodnie. A tak à propos, Marysia wie o twoich planach?

- Nie, najpierw chciałam pogadać z tobą. Poza tym trudno rozmawiać z kimś, kogo nie ma. Gdy jej powiedziałam, że żadna Słowacja nie wchodzi w grę, moja córka niczym wcielenie zbuntowanego demona wybiegła z domu i jeszcze nie wróciła.

- I co, nie szalejesz z niepokoju, że coś głupiego przyjdzie jej do głowy? Czy ty przypadkiem nie jesteś chora? - Jagoda utkwiała we mnie zdziwione spojrzenie.

- Nie szaleję, od momentu gdy zadzwonił do mnie tata Filipa Krawca i powiedział, że moja córka jest u nich i wypłakuje żal do niesprawiedliwej matki, czyli do mnie, w oparciu ich sofy w salonie - wyjaśniłam, krzywiąc się na myśl o tym, co przeżywa Bogu ducha winny facet i sofa.

- Wiesz co, nie rozumiem dzisiejszej młodzieży. Ja na jej miejscu wolałabym wypłakiwać się w mankiet Filipkowi. Ostatecznie skoro już gnała taki kawał, powinna coś z tej rozpaczki mieć. Oparcie sofy oraz salon ma i bez wychodzenia z domu. - Jagoda wzruszyła ramionami.

- Ona też pewnie by wolała jakiś męski mankiet, ale Filipka nie zastała, a jego ojciec nie spełnia kryteriów, więc padło na sofę. Mam tylko nadzieję, że Maryśka nie pomalowała dzisiaj oczu którymś ze swoich mazideł, bo w innym wypadku będę musiała płacić za czyszczenie kanapy. Dobrze, że Filip już wraca, bo strasznie żal mi jego biednego ojca. Biedak stwierdził, że zupełnie nie wie, co się robi z płaczącymi nastolatkami.

- Oświeciłaś go? - Jagoda spojrzała na mnie z zainteresowaniem.

- A gdzie tam. W tej dziedzinie nie doznałam jeszcze objawienia, natomiast jesteś pierwszą osobą, której się do tego tak otwarcie przyznaję. W każdym razie pan Krawiec obiecał, że odwiezie Marysię do domu, jak tylko uda mu się ją trochę uspokoić. Naiwny facet, widać sądzi, że to jest możliwe. Nie powiedziałam mu, że histeria ma szansę przejść po świętach, gdy Mańka będzie widziała czarno na białym, że nigdzie nie jedzie - mruknęłam z rezygnacją. - Po co mam człowieka dodatkowo dołować.

- Czy to oznacza, że z całą pewnością zdążymy wypić wino i rozplanować świąteczny wieczór, zanim Marysia przemówi ludzkim głosem?

- Obawiam się, że w tym wypadku z istotą ludzką będziemy mieć do czynienia dopiero za parę lat. Nawet wigilijna noc cudów nie pomoże i prędzej uwierzę w bydlątka gadające ludzkim głosem niż w ucłowieczenie mojego dziecka. Jak to ktoś powiedział o nastolatce? Jest szansa, że za trzy, cztery lata, gdy wejdę do pokoju córki, zastanę w nim człowieka. To niestety bardzo adekwatne do mojej sytuacji. Na razie jednak skupiłabym się na tym, że prawdopodobnie Marysia wykończy nerwowo biednego faceta i do końca zbecześci jego kanapę. Dlatego zadzwoniłam do taty i poprosiłam, żeby ją stamtąd zabrał. Może przy okazji przemówi jej do rozumu. W końcu to dziadek, powinien mieć u niej jakiś autorytet.

- Na to bym zbyt nie liczyła. - Jagoda sceptycznie pokręciła głową. - Ale przynajmniej się pokłóć, a to im zwykle dobrze robi. Zauważyłam, że na twojego tatę awanturki z wnuczką działają niezwykle ożywczo, a Mania jest później tak zmęczona, że odpuszcza pozostałym. Tak więc, summa summarum, pomysł był dobry. No, skoro już rzuciłaś swojego ojca na żer, to my możemy brać się do roboty.

- Boże, co się z tobą porobiło? Pan Florian ma na ciebie fatalny wpływ. Po prostu istna pszczołka, od dziś w ważnych momentach będę ci znacząco bzykała - stwierdziłam, po czym skojarzyłam osobę pszczelarza z bzykaniem i dostałam ataku śmiechu.

- No tak, co niektórym wino dziś już nie będzie potrzebne. A wracając do bzykania, to głodnemu chleb na myśli. Chyba porozmawiam o tym z Czarkiem. - Jagoda westchnęła teatralnie.

- Ani mi się waż! - zaśmiałam się, wycierając mokre od łez oczy. - Zresztą Czarus nie ma nic wspólnego z pszczelarstwem, tak więc zapewne takie „bzzzzz” nic mu nie powie. Próżny trud, moja droga!

- Ty masz rację - przyznała Jagoda z diabelskim błyskiem w oku. - Ja w odpowiednich momentach będę do ciebie chrumkać. Bardziej adekwatnie do wiejskiego weterynarza, nie sądzisz? - zapytała, chichocząc.

- Sądzę. Sądzę, że wyszedł nam z tego niezły numer: świńskie bzykanie - wyjęczałam, ledwo żywa ze śmiechu.

I właśnie gdy całkowicie oddaliśmy się opętańczej wesołości i skręcane śmiechem wylądowałyśmy na dywanie, do pokoju weszła Marysia i widząc nas, z wyrazem osłupienia na twarzy skamieniała niczym żona Lota.

Oczywiście gdy dorosły człowiek - dodajmy: człowiek będący matką - raz na jakiś czas się zapomni, to akurat w tym momencie na bank pojawi się dziecko rzezonego człowieka. A gdy los jest nad wyraz złośliwy, poza dzieckiem zjawia się jeszcze owego człowieka rodzice i będą mogli w pełnej krasie obejrzeć sobie własną dorosłą latorośl w sytuacji, w której pod żadnym pozorem nie powinni jej nigdy zobaczyć. Rzecz jasna mówię tu o sobie, bo gdy w drzwiach pokoju pojawiła się Marysia, tuż za nią stanęli moi rodzice i ze zgrozą do woli przyglądali się, jak obie z Jagodą czerwone i potargane leżymy na dywanie. Pierwsza opanowała się moja mama i odsunawszy Manię z przejścia, weszła do środka. I co pierwsze zobaczyła? Kieliszki stojące na biurku.

- No tak, są pijane - orzekła z potępieniem w głosie.

- I jak tu się dziwić Marysi, skoro ma taki przykład.

- Czy ty chcesz powiedzieć, że Mańka coś piła? - zdenerwowałam się i natychmiast poderwałam z podłogi.

- A skąd ci coś takiego przyszło do głowy? - zdziwiła się mama. - Jeszcze tego brakowało! A co ty masz takie błyszczące oczy, co?

- Mamo, na litość boską, o co ci znowu chodzi? A w ogóle to gdzie dzień dobry, co słyhać i dlaczego włazicie do mojego pokoju bez pukania? - Rozsądnie doszłam do wniosku, że najlepszą obroną jest atak. W końcu sami wpajali mi zasady dobrego wychowania, to teraz mają!

- Hmm, pukaliśmy, córeczko, ale byliście trochę głośno i cóż... chcieliśmy sprawdzić, co się dzieje - wyjaśnił tata, uciekając wzrokiem w bok. Po jego minie poznawałam, że ma ogromną ochotę się roześmiać, ale przy mamie nie mógł sobie na to pozwolić. Przynajmniej do czasu gdy sytuacja się rozładuje.

- A co by było, gdybyście zastali mnie w sytuacji intymnej? - wypaliłam z grubej rury i wzięłam się pod boki.

- Matko Boska! Z Jagodą?! - przeraziła się mama.

- Zwariowałaś? Ogólnie pytam! - jęknęłam i złapałam się za głowę.

- No to nie pytaj, szczególnie przy dziecku - zdenerwowała się mama. - A w ogóle co to za zwyczaj w waszym wieku tarzać się po podłodze! Może jednak coś piłyście? - drażyła, przypatrując się dyskretnie kieliszkom.

- Niestety, nie zdążyliśmy - wmieszała się Jagoda, wstając z dywanu i przyglądając włosy. - Coś nas po prostu rozbawiło i tak jakoś wyszło. Ale śmiech to zdrowie, nie ma się czym przejmować - uspokajała i widząc, jak otwieram usta, dała mi bolesnego kuksańca.

- A co was tak rozbawiło? Może i ja się pośmieję? - zagał pojednawczo tata.

Zdębiałam i szukając ratunku, prosząco popatrzyłam na Jagodę, ale moja przyjaciółka, miał wyśnić coś na poczekaniu i ratować sytuację, postanowiła popełnić samobójstwo, dusząc się powstrzymanym śmiechem.

- Hmm, no, jak by to wyjaśnić... - wyjąkałam, grając na zwłokę, lecz nic mi to nie dało, bo w głowie miałam jedynie dominującą pustkę. - Cóż, omawialiśmy...

- Wpływ odgłosów zwierzęcych na życie prywatne i tak nam się pokojarzyło - wydusiła w końcu Jagoda, chichocząc.

- Tak, ale ogólnie miałyśmy rozmawiać o wigilii - rozsądnie zmieniałam temat, pilnując się, by broń Boże nie spojrzeć na Jagodę, bo się obawiałam, że skończy się to kolejnym atakiem śmiechu. - Mamy nową koncepcję, ale może porozmawiamy o tym przy herbacie w kuchni, co wy na to? Marysiu, a z tobą chciałam jeszcze zamienić słowo - dodałam, zatrzymując córkę na górze.

Zostałyśmy same.

- Chciałabym, żebyś wiedziała... - zaczęłam, ale Marysia nie pozwoliła mi dokończyć.

- Mamo, ja wszystko rozumiem - powiedziała, klepiąc mnie po ręce. - Nigdzie nie jadę, zostaję w domu i będę przy tobie, nie musisz się martwić. Tata Filipa mi wszystko wyjaśnił. Nie wiedziałam, że to już, ale ty się niczym nie przejmuj, wszystko będzie dobrze.

Zmartwiałam.

- Marysiu, co ty kombinujesz? I czego nie wiedziałaś? - podejrzliwie popatrzyłam na moje dziecko. Wielu rzeczy w życiu już doświadczyłam i to mnie nauczyło, że błyskawiczne przemiany nie są możliwe, zwykle coś się za nimi kryje.

- No, wszystko się zgadza - mruknęła Marysia do siebie.

- Naprawdę ten wyjazd to był głupi pomysł - zwróciła się do mnie z jakimś dziwnym uśmiechem. - Miałaś rację, tata zachował się nieodpowiedzialnie i bez serca. Zostaję, z nim spotkam się może przed sylwestrem, a nawet jak jeszcze nie wróci, to najwyżej przyjedzie do mnie w nowym roku - powiedziała uspokajająco jak do niepełnosprawnej umysłowo.

Zaniemówiłam na dobre. Wciąż w stanie lekkiego szoku zesłam na dół, gdzie mama parzyła herbatę i słuchała Jagody, która wtajemniczała ją pobieżnie w bożonarodzeniowy plan.

- Majka, a ta pani Leontyna to jakaś poważna osoba? - Mama popatrzyła na mnie znad parującego imbryka.

- Tak, wydaje się godna zaufania - odpowiedziałam nieuważnie.

Cały czas obserwowałam moją córkę, którą ani chybi ojciec Filipka albo zaczarował, albo podmienił, albo sama już nie wiem, co z nią uczynił, ale z całą pewnością to nie była ta sama Mania. I przez cały wieczór zastanawiałam się, jak to jest możliwe, że przez tyle lat mnie, matce, nie udało się odkryć sposobu na nastolatkę, który - jak widać było na załączonym obrazku - znalazł zupełnie niedoświadczony facet, i to w przeciągu godziny. W końcu doszłam do wniosku, że albo dysponował mocami nadprzyrodzonymi, albo ja jestem wyjątkowo niedorozwiniętą matką. Tak czy inaczej przy najbliższej okazji zmuszę ojca Filipa do wyjawienia mi prawdy, postanowiłam, pijąc herbatę. A poza tym poddam córkę bacznej obserwacji, bo jak wiadomo najwyższą formą zaufania jest kontrola, a kontrola nadmiernie słodkiej nastolatki jest po prostu koniecznością. I w niepisanym prawie matek jest to zasada niepodlegająca absolutnie żadnej dyskusji.

Następnego ranka jeszcze na dobre nie zdążyłam otworzyć oczu, gdy z dołu dobiegł mnie słodki głos Marysi, która nawoływała, że śniadanie jest już gotowe. Pewna, że się przesłyszałam, zesłam do kuchni, po której jednakowoż ze śpiewem na ustach krzątała się moja córka. Ze zdziwieniem usiadłam przy zastawionym stole i zaczęłam się zastanawiać, czy to, co właśnie działo się na moich oczach, to przypadkiem nie jakiś cud przedświąteczny. Do tej pory trzeba było Mańkę prawie że siłą wywlekać z łóżka, a tu zniemacka taka odmiana! I to po tym, jak stanowczo nie pozwoliłam jej na coś, na czym przecież jej zależało. Moja dawna Marysia za nic by tak łatwo tej Słowacji nie odpuściła! Biorąc to wszystko pod uwagę, należało wzmóc czujność.

- Kawka czy herbatka? - zapytała tymczasem ulepszona wersja mojej córki, wprawiając mnie w stan zupełnego oszołomienia. Zresztą nie mnie jedną, bo na twarzy Jagody, stojącej od jakiegoś czasu w drzwiach, pojawił się wyraz niedowierzania pomieszany z lekkim szokiem.

- Kawkę - wydukałam i zamaskowałam mało inteligentną minę ziewnięciem. - Co się stało, że wstałaś tak wcześnie? - postanowiłam ostrożnie wybadać grunt.

- Nic, a co się miało stać? - Marysia wzruszyła ramionami i z miną profesjonalnej kucharki postawiła przede mną kubek z kawą. - Ciociu, a tobie co zrobić do picia? - zwróciła się do tkwiącej wciąż w progu Jagody.

- To samo - mruknęła moja przyjaciółka, z wyraźnym trudem dochodząc do siebie i siadając przy stole. - Aaa, słuchaj, jeżeli cierpisz na bezsenność, to mam takie ziołowe tabletki...

- Boże, z wami można zwariować! Człowiek wstaje, śniadanie robi i co dostaje w zamian? Podejrzliwość i nic poza tym! - przerwała jej Marysia.

- Córeczko, jaka podejrzliwość? My tylko się martwimy i dlatego wołałyśmy się upewnić, że nic złego się nie dzieje - pospieszyłam z zapewnieniami, bo jakoś tak głupio mi się zrobiło.

- Obie się martwicie? - Marysia powiodła wzrokiem ode mnie do Jagody. - Razem?

- No tak, nie ma w tym chyba nic dziwnego - stwierdziła Jagoda, przypatrując się Marysi z uwagą. - W końcu jestem twoją ciotką od zawsze, no nie? - dodała, pokaszując.

- O kurczę, że też od razu się nie domyśliłam. - Moja córka ze zboląłą miną pokiwała głową. - Wy jesteście w podobnym wieku, tak? - zapytała mnie, podsuwając mi cukier i łyżeczkę.

- Nawet w tym samym. - Wzruszyłam ramionami, czując się coraz bardziej jak na przesłuchaniu. - A co to ma do rzeczy?

- Nic, tyle że mam dwa razy więcej roboty. - Mańka westchnęła ciężko i pomieszała mi łyżeczką w kawie. - Posłodzić ci, ciociu? - zwróciła się do osłupiałej Jagody.

- A nie, jeszcze sobie radzę - wymamrotała moja przyjaciółka. - Przynajmniej z kawą - dodała po chwili i odwracając się do mnie, bezgłośnie zapytała, o co biega. Niestety, wiedziałam tyle co ona, czyli nic.

- To ja może pójde nakarmić Kasandrę - poderwałam się od stołu, myśląc, że świeże powietrze trochę przejaśni mi w głowie

- Siadaj, mamó, Kasandra jest nakarmiona - odrzekła na to moja zupełnie nowa córka, a ja opadłam na miejsce jak przekłuty balon. - I zjedzcie porządne śniadanie, bez niego nigdzie nie pójdziecie - dodała władcym tonem.

Poczułam, że bezpowrotnie tracę apetyt. Działo się coś niepokojącego, a nie miałam pojęcia, co to może być. Jak wszystkim wiadomo, niepewność jest najgorsza. I tak, żując kanapkę, doszłam do wniosku, że muszę wydobyć z Mańki, o co chodzi, bo że o coś, nie miałam najmniejszych wątpliwości. Problem polegał tylko na tym, że nie miałam zielonego pojęcia, co w swoim nastoletnim mózgu wykombinowała moja córka. A nastolatki w pokrętnym kombinowaniu nie mają sobie równych. Jedynym wyjściem było podstępnie wydobyć z niej prawdę. I musiałam uczynić to jak najszybciej, żeby idealna wersja mojej córki zupełnie nas nie wykończyła. I tu zdałam sobie sprawę, że faktycznie rację miał mój eksmaż. Trudno mi było dogodzić. Rogata córka mi nie odpowiadała, na anielską też kręciłam nosem. Chyba najlepiej by ją było wypośrodkować. Tak czy inaczej zamierzałam wziąć Mańkę na spytki. I to czym prędzej, zanim zupełnie się zagubię w domysłach.

Zaraz po śniadaniu, korzystając z tego, że Marysia zamknęła się w łazience, dołąłam do kubka kawy i wymknęłam się na werandę. Głęboko odetchnęłam mroźnym powietrzem i od razu zrobiło mi się lepiej. Po chwili dołączyła do mnie Jagoda i obie zapatrzyłyśmy się na mgliste góry, które wyglądały jak otulone watą. Wokół panowała idealna cisza, przerywana jedynie naszymi oddechami. To był właśnie ten jeden z magicznych momentów dnia, kiedy czułam się zupełnie szczęśliwa. Piękno gór, zapach kawy, psy rozciągnięte pod nogami i obecność Jagody dawały mi poczucie, że jestem dokładnie tam, gdzie powinnam być. I właśnie gdy odprężona zamierzałam podzielić się swoimi odczuciami z przyjaciółką, na werandę niczym burza wypadła moja na wpół roznegliżowana córka.

- Aaaaa! - zakrzyknęła mało zrozumiale i obrzuciwszy nas spanikowanym spojrzeniem, wbiegła z powrotem do domu, skąd prawie natychmiast wróciła, ściskając w rękach posłania dla psów. No i zaczęła nas nimi pieczołowicie okrywać. Szczerze mówiąc, zaskoczona, w pierwszym momencie nawet nie zaprotestowałam, ale gdy w moje nozdrza uderzyła intensywna woń psich łap, natychmiast odzyskałam zdolność ruchu i wyszarpnęłam się z rąk oszalałej Marysi. Kątem oka zobaczyłam, że Jagoda z obrzydzeniem zrzuca z siebie posłanie Toski.

- Czyś ty oszalała?! - wysapałam, wyplątując się z psiego posłania. - Co to ma wszystko znaczyć? I dlaczego stoisz na zimnie w samych skarpetkach i podkoszulku? I czemu owijasz nas w te śmierdzące psami szmaty? - zasypałam ją pełnymi pretensjami pytaniami.

- Bo z wami zwariować można! - krzyknęła z rozpaczą w głosie moja córka. - Nie można was nawet na moment z oka spuścić, bo jesteście nieodpowiedzialne! Dlaczego wyszłyście na dwór bez kurtek?! W waszym wieku każde przeziębienie jest groźne!

- Matko boska, Majka, ja się jej zaczynam obawiać - chuchnęła mi prosto w ucho Jagoda. - Może ona się czegoś nałykała?

- Mańka, w jakim naszym wieku? Przecież, na litość boską, nie jesteśmy zgrzybiałymi staruszkami. A teraz zmykaj stąd, bo z nas trzech to ty masz największe szanse dorobić się zapalenia płuc! No już, ani słowa! - Stanowczo wepchnęłam ją do domu, po czym ciężko usiadłam na drewnianej ławie, zachodząc w głowę, co, do licha, porobiło się z moim dzieckiem.

- Słuchaj, Maja, pogadaj z nią tak od serca, bo inaczej powariujemy - odezwała się Jagoda. - Przy najmniej ja! Już wołałam, jak była wiecznie nadąsana i naburmuszona. Nie domyślasz się, co jej się stało?

- Nie mam pojęcia, ale jakoś nie mogę oprzeć się wrażeniu, że tata Filipa będzie coś na ten temat wiedzieć. W końcu ta jej idealność zaczęła się od wczorajszej wizyty u Krawców. Zresztą podobno Krawiec senior coś jej wytłumaczył. Mańka nie chce zdradzić szczegółów, ale wyraźnie musi to mieć związek z jej zachowaniem. Tak czy inaczej najpierw porozmawiam z Marysią, a jak to nic nie da - przyduszę tatę Filipa. Nie wiem, co ten człowiek jej zrobił, ale wygląda to na co najmniej pranie mózgu!

- Jeszcze wczoraj wydawało mi się, że nie ma nic gorszego niż zbuntowana nastolatka - mruknęła Jagoda, opierając się o poręcz werandy. - A teraz wiem, że się cholernie pomyliłam! Dużo gorsza jest nadopiekuńcza nastolatka opętana manią prześladowczą.

- Chyba prześladowczą, ale rzeczywiście masz rację. Taka przemiana w anioła nie powinna następować z dnia na dzień. To po prostu nie w porządku, tak bez uprzedzenia, normalny człowiek może nie nadążyć!

- Przemiana w anioła w ogóle nie powinna się wydarzyć. Anioły niech pozostaną w zaświatach, bo tam jest ich miejsce. Przesiedlanie gatunków na nienależące do nich terytoria nigdy nie przynosi niczego dobrego. I mieszanie gatunków też. Wystarczy spojrzeć na amerykańskie zabójcze pszczoły. Dwie zupełnie niewinne pszczołki i po połączeniu co wyszło? Mordercy wyszli - skwitowała ponuro Jagoda, kiwając z mocą głową.

- No, no, nie przesadzajmy, mam szczerą nadzieję, że Mańka się z nikim jeszcze nie krzyżuje. Zresztą tfu, co ja mówię! Krzyżuje? Co to w ogóle za określenie? - przywołałam sama siebie do porządku.

- Profesjonalne. - Jagoda wzdrygnęła się z zimna. - Chodźmy już do domu, bo jak jeszcze trochę tu postoiemy, rzeczywiście nas rozłoży i dopiero wtedy znajdziemy się w absolutnym władaniu Marysi, a nie chciałabym spędzić tygodnia przykryta kocami używanymi przez psy. Swoją drogą to chyba pora na psią przedświąteczną higienę, nie uważasz?

- Fakt, i wielkie pranie posłań. Śmierdzą niemiłosiernie. Cóż, przynajmniej taka korzyść z szaleństwa Mańki.

- No, dostałyśmy kawę i śniadanie...

- I krowa została obsłużona, po prostu same plusy - włączyłam się do wyliczania. - Jakby się tak zastanowić, to może jednak pogadać z nią dopiero po świętach? Wiesz, ile nas czeka roboty? A Marysia, wprawdzie nie mam pojęcia dlaczego, na razie jest pełna zapału... Zresztą w takiej zupełnej idealności ona długo nie wytrzyma, to niemożliwe i nienaturalne - dodałam, zamykając drzwi werandy.

- Może i masz rację, ale lojalnie ostrzegam, że przy najbliższej próbie ubezwłasnowolnienia użyję perswazji fizycznej! W przeciwieństwie do ciebie nie mam matczynych hormonów tolerancji i po prostu nie zdzierzę!

- Matczyne hormony tolerancji? Pierwsze słyszę. - Ze zdziwieniem uniosłam brwi.

- Bo też ja to wymyśliłam w tej chwili. Ale jestem przekonana, że coś takiego musi istnieć, by zapewnić ciągłość ludzkości. W innym wypadku większość nastolatków padałaby ofiarą mordu zdesperowanych i wykończonych rodziców. Muszę ci powiedzieć, że poważnie się zastanawiam, czy kiedykolwiek zdecyduję się na dziecko!

- Na twoim miejscu za długo bym się nie zastanawiała - mruknęłam. - Weź się do działania i zamiast gadać o tych wszystkich chrząszczykach i liszkach...

- Dobra już, dobra, nie kończ - przerwała mi Jagoda - i się pospiesz, bo jak zwykle spóźnisz się do pracy i dyrektorka, zasłaniając się szopkową klątwą, wyrzuci cię na zbity pysk.

- Nie wyrzuci, nie wyrzuci, bo mam dziś zajęcia po południu, a teraz idę do tej znajomej pani Leontyny. Chcę mieć to już z głowy. - Sięgnęłam po płaszcz. - A ty, kochana, przemyśl sobie to, co powiedziałam.

- A co powiedziałaś, bo jakoś sobie nie przypominam? - Jagoda udała, że cierpi na postępujący zanik pamięci.

- Powiem ci w skrócie: Bzy, bzy, bzy, jak to miło z pszczołkiem być - zanuciłam w natchnieniu i puściłam do niej oko.

Do Ewy, znajomej pani Leontyny, w rezultacie poszłam z Marysią, która się uparła, że będzie mi towarzyszyć. Jej obecność z jednej strony była mi wybitnie nie na rękę, bo nie do końca wiedziałam, czego mam się po wybuchowej staruszce spodziewać, ba, nie miałam nawet pewności, czy owa staruszka nie jest już denatką, z drugiej jednak strony towarzystwo Mani dodawało mi otuchy. Pochyłe pismo pani Leontyny

zaprowadziło nas do małej willi na obrzeżach Malowniczego. Gdy zagłębiałyśmy się w kręte i pochyłe uliczki, dotarło do mnie, że po raz pierwszy zawędrowałam w te rejony. A wydawało mi się, że Malownicze i okolice poznałam już bardzo dokładnie. I znów poczułam się urzeczona małomiasteczkową atmosferą, charakterystycznym górskim zapachem i wszechobecnym spokojem.

Willi, w której miała mieszkać pani Ewa, była otoczona wysokim kamiennym murem. Stojąc przed łukowatą, obudowaną wielkimi kamieniami furtką, z trudem zebrałam się na odwagę i z mieszanymi uczuciami nacisnęłam dzwonek, by już po chwili się przekonać, że niepotrzebnie się zadręczałam. Furtkę otworzyła mi drobna, żwawa staruszka w czapce uszatce nasuniętej głęboko na oczy i z gigantycznymi grabiami, którymi prawdopodobnie porządkowała podwórko, bo zobaczyłam wielkie sterty pokrytych szronem liści. No cóż, jeżeli gospodyni wpadnie w furję, to bez trudu nas tymi grabiskami zaciuka, pomyślałam ponuro i na wszelki wypadek stanęłam przed Marysią. Przezorny zawsze ubezpieczony, jak mawiają. Jednak moje obawy i tym razem okazały się bezpodstawne.

- Co też pani powie! - wykrzyknęła, gdy wyjaśniłam, po co przychodzę. - Zofia prosi o spotkanie! A już myślałam, że albo nie żyje, albo nadal siedzi w tej swojej skorupie, w której się zamknęła obrażona na cały świat.

- Pani mnie źle zrozumiała - przerwałam potok słów, jednocześnie myśląc, że albo nastąpiła pomyłka, albo staruszka mimo doskonałej formy fizycznej ma kłopoty z pamięcią. - Nie chodzi mi o Zofię, tylko Leontynę, taką miłą starszą panią, która mieszka...

- A co ty mi tu, dziecko, adresami chcesz rzucać! - zachnęła się pani Ewa, idąc drobnym i niebywale szybkim kroczkiem w kierunku domu. Chciał nie chciał, ruszyłyśmy za nią. Poza niezwykłą energią cechowała ją ogromna gadatliwość, bo usta nie zamykały jej się nawet na chwilę. - Jeszcze czego, żebym do Zośki mówiła Leontyna! Musiałabym całkowicie rozum postradać, co podobno w moim wieku jest dosyć powszechne, ale dzięki Bogu - a może diabłu, mniejsza z tym - mnie ominęło. Zośka to Leontyna, rozumiecie?

- Nie bardzo - przyznałam, lekko zbита z tropu, a Marysia tylko pokręciła głową.

- Ach, opowiem wam wszystko przy kawie... i herbacie - dodała, patrząc znacząco na Manię, dając jej do zrozumienia, że tak młody wiek i kawa w zupełności się wykluczają. - Co wy na to? I w ogóle przepraszam - nagle się zreflektowała - ja tak do pani na ty, ale to z przyzwyczajenia - wyjaśniła. - Moje wnuczki są w pani wieku. Mam nadzieję, że nie czuje się pani urażona.

- Ani trochę - uspokoiłam ją, z trudem kryjąc rozbawienie. - Wręcz przeciwnie, proszę, niech się pani do mnie zwraca po imieniu. Jestem Majka, a to moja córka Marysia.

- Pasują do was te imiona. - Pani Ewa otworzyła przed nami drzwi oszklonej werandy. - Nie ma nic gorszego niż niedobre do człowieka imię. Dlatego między innymi tak mnie złości to, co wyprawia Zośka. Czy naprawdę sądzisz, że ona jest bardziej Leontyna niż Zofią?

- Pani Leontyna, odkąd ją poznałam, była Leontyną, więc dla mnie dziwnie byłoby o niej mówić inaczej - wyjaśniłam dyplomatycznie, bo jakoś nie byłam w stanie tak z miejsca wyrobić sobie zdania na temat skomplikowanej historii zamiany imion.

- No tak, dano jej to imię, bo takie było życzenie pradziadka. Miał jakiś niewyjaśniony sentyment do tej nieszczęsnej Leontyny. Matka, której imię nie bardzo się podobało, dała jej na drugie Zofia, zabezpieczając córkę - jak mówiła - przed śmiesznością. Niedługo potem pradziadek zmarł i Leontyna poszła w zapomnienie. Nawet ojciec Zosi, który szanował bardzo pradziadka, nie zdobył się na to, by tak ją nazywać. I Leontyna była Zofią aż do 1944 roku. Oczywiście wiecie, że wtedy trwała wojna?

- Oczywiście, to wiedzą wszyscy - wyrwało się Marysi, która do tej pory w milczeniu, zafascynowana, rozglądała się po mieszkaniu starszej pani.

- A czort tam was młodych wie - sarknęła pani Ewa pod nosem, jednocześnie z wielką energią wyjmując filiżanki z kredensu. - Kawę piję zawsze w filiżankach - wyjaśniła, stawiając filigranowe cacko przede mną. - Nie uznaję ani szklanek, ani kubków. Kawa najlepiej smakuje w starej porcelanie. Moja mama parzyła najlepszą. Takiej już nikt dzisiaj nie podaje. Ja się od niej uczyłam, lecz czegoś mi w tej kawie brakuje, może matczynej ręki, kto wie? Ale zapewniam cię, że i ta nie jest najgorsza.

- No a co się stało z Zofią w czterdziestym czwartym? - wróciłam do tematu, bo ku własnemu zaskoczeniu historia staruszki naprawdę mnie zaintrygowała.

- Ach tak, zagadałam się i zupełnie zapomniałam, o czym mówiłyśmy. Otóż Zofia miała ukochanego. Nie było w tym wprawdzie nic nadzwyczajnego, bo narzeczonego albo adoratorów miały prawie wszystkie dziewczęta. Trzeba się było w kims kochać, uczucie było najlepszą motywacją do walki.

- A przypadkiem nie miłość do ojczyzny? - zagadnęła Marysia, udając, że nie widzi mojego zdziwionego spojrzenia.

- Aha! - Staruszka z tryumfalną miną wycelowała w nas sękatym palcem. - Każdy program na temat wojny o tym krzyczy. Ale to bzdura. Ojczyzna, rzecz jasna, była ważna, ale tworzyli ją normalni ludzie z krwi i kości, oni dla ludzkiej miłości chcieli żyć, a żeby mogło to normalnie wyglądać i mieć przyszłość, musieli walczyć. I tak Zofia kochała się w Stasiu, dorodnym blondynie o rozmarzonych oczach. Z wzajemnością się kochała, żeby wszystko było jasne. I jak to wtedy bywało, Staś działał w podziemiu. Któregoś dnia pojechał z innymi chłopcami na akcję, był kierowcą. Gdybyście mogły zobaczyć, jak on jeździł! Miał niewątpliwie talent, kto wie, może gdyby nie wojna, byłby protoplastą tego naszego rajdowca... No, jakże on tam się nazywa?

- Kubica? - Z trudem nadażalam za tokiem rozumowania pani Ewy. Staruszka miała niewątpliwy dar odbijania od tematu. Na dodatek robiła to w tak rekordowym tempie, że niezbędne było maksymalne skupienie, by nie wypaść z toku opowieści.

- O, właśnie. Ale kiedyś wszystko było jakby lepszej jakości ... Bez obrazy, lecz nie widziałam do tej pory nikogo, kto by dorównał chociażby Dymczy.

- Dymcza to był aktor? - zapytała Marysia, marszcząc brwi.

- No nie, świat schodzi na psy! - Pani Ewa załamała ręce. - Aktor? Dymsza to był talent, jedyny w swoim rodzaju, bożyszcze kobiet, po prostu ideał! Ale co ja będę wam mówiła. W każdym razie tamtego dnia miał wielkiego pecha...

- Dymsza? - usiłowałam poskładać w logiczną całość opowieść energicznej staruszczeni.

- A skąd Dymsza?! Staś, rzecz jasna. Nic nie wskazywało na tragiczne zakończenie, akcja przebiegła zgodnie z planem. Już po wszystkim chłopcy wsiadali do samochodów.

Staś wychylił się przez okno i dostał w głowę rykoszetem. Zginął na miejscu. Głupia, niepotrzebna śmierć i tyle. Koniec historii.

- Hmm... - mruknełam po chwili ciszy. - A jaki związek ma to z Leontyną, czyli Zofią?

- A rzeczywiście, dla mnie jest to tak oczywiste, że zapomniałam wyjaśnić. Zośka po śmierci Stasia strasznie cierpiała. Zamknęła się w sobie, a potem stwierdziła, że Zofia umarła wraz ze Stasiem. Została Leontyna. I tak się od tamtego czasu kazała nazywać.

- I to było powodem wieloletniego milczenia pomiędzy paniami? - Zaskoczona finałem nie zdołałam ugryźć się w język.

- A nie, to zupełnie inna historia - zasepiła się pani Ewa. - Zaraz, dlaczego ona się chce się ze mną zobaczyć? - Popatrzyła się na mnie nieufnie. - I czemu sama do mnie nie przyszła? Przecież wie, gdzie mnie szukać...

- Dzwoniła, ale numer, który miała, nie odpowiadał - wyjaśniłam i w duchu przeklełam własną gadatliwość i wścibstwo. Po co mi to było? Teraz, nie daj Boże, staruszka Ewa kierowana podejrzliwością wpadnie w furię i dopiero da nam popalić. Albo zdenerwuje się i zejdzie na atak serca - moja wyobraźnia szalała.

- To by się zgadzało, numer jest ten sam, ale od kilku dni jest jakaś awaria i telefon nie działa... - Z ulgą stwierdziłam, że staruszka nie zamieniła się ani w furiatkę, ani w denatkę. - No dobrze, odezwę się do niej, chociaż nadal nie rozumiem, dlaczego sama nie przyszła.

- Widocznie miała jakiś powód, ale o to najlepiej spytać ją samą - powiedziałam szybko i ze zdziwieniem zerknęłam na Marysię, która odeszła od stołu i bez najmniejszego skrępowania przyglądała się zawieszonym na ścianie zdjęciom. - Maniu, będziemy się zbierać. - Wymownie popatrzyłam na zegarek, który wskazywał nieprzyzwoicie późną godzinę. Na samą myśl, że mogłabym się spóźnić i znów narazić się pani dyrektor, czułam na plecach zimne dreszcze.

- Mamo, za chwilę - mrukneło moje dziecko. - Ależ ma pani ładne fotografie! I ramki też są takie... sama nie wiem... tak pięknie stare.

Szczęka mi opadła. Gdybym tego nie usłyszała na własne uszy, w życiu bym nie uwierzyła! Moja córka zachwycona starociami! A nie dalej niż kilka dni temu urządziła mi pogadankę na temat starych gratów zalegających w naszym domu. Pogadanka miała na celu skłonienie mnie (czytaj: zacofanej matki) do urządzenia pensjonatu w bezdusznym megalowoczesnym i minimalistycznym stylu.

- Cieszę się, że ci się podobają. - Pani Ewa uśmiechnęła się z zadowoleniem. - To prawdziwa historia mojej rodziny. Zresztą nie tylko zdjęcia. Wszystko tu ma sporo lat, łącznie ze mną. - Zaśmiała się ironicznie. - Czyli powtórzy pani Zofii, że się jakoś z nią skontaktuję?

- Oczywiście, przecież obiecałam. Pani Leontyna na pewno się ucieszy. - Znacząco pociągnęłam oporną Marysię za rękaw.

- Mamo, uspokój się! - nie wytrzymała moja córka i wyszarpnęła mi rękę. - Przecież sama potrafisz trafić do wyjścia, nie musisz mnie za sobą ciągnąć!

- Muszę, bo czas mnie goni! Za chwilę się spóźnię do pracy - wyjaśniłam, ale oczywiście Mania i tak zrobiła po swojemu. Zamiast wychodzić, zasypała staruszkę Ewę pytaniami na temat biurka, ramek, lampy, foteli i sama nie wiem czego jeszcze. Po dziesięciu minutach przestępowania z nogi na nogę i ćwiczenia cierpliwości nie wytrzymałam i stanowczo kazałam jej się zbierać.

- A czemu ty, dziecko, tak krzyczysz? - Staruszka Ewa z dezaprobatą uniosła brwi. - Powinnaś się cieszyć, że córka takie sensowne pytania zadaje! To teraz prawdziwa rzadkość!

- Tak, sama nie mogę wyjść ze zdziwienia, patrząc na ten świeżo odkryty rzadki okaz - mruknęłam pod nosem. - Marysiu, jeżeli natychmiast nie wyjdziemy, wyleją mnie z pracy i prezenty pod choinkę będzie ci musiał załatwiać Święty Mikołaj bez mojej najdrobniejszej pomocy. A że jesteś już za duża, żeby w niego wierzyć, sama sobie dopowiedz, co to oznacza. Nie mówiąc już o wikcie i opierunku w nowym roku.

- Ale naprawdę nie ma się co tak denerwować, przecież Marysia to prawie dorosła panienka, trafi do domu, ty biegnij do pracy, a my tu sobie pogawędzimy spokojnie. - Staruszka Ewa pałała chęcią podzielenia się historią swojej rodziny, a że mówić lubiła, zapowiadało się na opowieść bez końca.

- Właściwie czemu nie - złamałam się, bo wskazówki zegarka z zatrważającą szybkością posuwały się naprzód. - Tylko pamiętaj...

- Wiem, wiem, mam nie spóźnić się do szkoły i wrócić na obiad - przerwała mi Marysia zniecierpliwiona. - Będę na pewno i posprzątam na piętrze, żebyś ty już nie musiała tego robić. No idź już, przecież nie pierwszy raz będę sama wracała do domu.

- No to do widzenia.

Pod drzwiami uświadomiłam sobie, że zostawiam Manię z potencjalną furiatką. A co będzie, jak staruszka podstępnie zamieni się w opętaną wściekłością wiedźmę? Moja usługna wyobraźnia z miejsca podsunęła mi obraz Baby Jagi wrzucającej do pieca niewinne zbłąkane dzieciętki. Wprawdzie resztki rozsądku podpowiadały mi, że tym razem przesadziłam, ponadto, jak wynika z bajki, Jaś i Małgosia ze starcia z morderczą staruszką wyszli zwycięsko, ale jak wiadomo, życie z bajką niewiele ma wspólnego.

Rozdarta pomiędzy światem rzeczywistym i fikcyjnym zawróciłam na paluszkach i zajrzałam do pokoju potencjalnej czarownicy. Oczywiście jak można się było domyślić, nikt nikogo nie mordował ani nie tuczył pierniczkami. Staruszka Ewa i Marysia pochylały się nad albumem, oglądały zdjęcia. Z lekka zawstydzona zupełnie niedoroślą paranoją cichutko wymknęłam się na dwór.

Mimo usilnych starań nijak nie mogłam się opędzić od wizji wstrętnej Baby Jagi dręczącej zagubione rodzeństwo. I im dłużej o tym myślałam, tym bardziej coś mi w tej całej historii nie pasowało. W końcu pod bramą szkoły mnie olśniło. Dotarła do mnie cała skrywana treść paskudnej historii. Przecież Jaś i Małgosia zeżarli część obejścia Baby Jagi! Nic więc dziwnego, że staruszka się wściekła i chciała ich nastraszyć. A co zrobiło zwyrodniałe rodzeństwo? Nie dość, że z zimną krwią dokonało mordu, to jeszcze okradło biedną (być może cierpiącą na jakieś starcze schorzenie) babcię Jagunię i potem zupełnie bezkarnie żyło z jej emerytury wraz z ojcem, który nie dość, że nie potępił zbrodniczych skłonności dzieci, to jeszcze, biernie bo biernie, ale jednak, przyłączył się do zbrodni! A przynajmniej czerpał z niej korzyści finansowe. I ja tym wszystkim z własnej woli karmiłam niewinny umysł swojego dziecka! Wstrząśnięta, nie bacząc na późną porę, zamiast do pokoju nauczycielskiego zbiegłam do szatni i z komórki zadzwoniłam do Łucji. Mogłam oczywiście podzielić się swoimi spostrzeżeniami z Jagodą, ale znając życie, była już zajęta którymś ze swoich zasmarkanych pacjentów, zresztą stwierdziłaby, że powinnam iść się leczyć, a tyle to sama wiedziałam. Łucja przynajmniej miała dziecko, więc istniał cień szansy, że w większym stopniu zrozumie, o co mi chodzi. Niestety, moja wyrodna przyjaciółka nie odbierała, a ja po prostu czułam, że muszę z kimś porozmawiać, bo inaczej przez cały dzień będzie nękać mnie wizja córki schodzącej na złą drogę, planującej zbrodnię na kanwie krwawych historii podstępnie zwanych bajkami. Zdesperowana wybrałam więc numer weterynarza Czarusia, który odebrał po pierwszym sygnale.

- ...I widzisz, można dojść do wniosku, że sama dałam Marysi przyzwolenie na bestialstwo - jęknęłam na zakończenie opowieści, którą z braku czasu opowiedziałam dość skrótowo i bezładnie. - Jeszcze morały jej kazałam z tego wyciągać! I jak ona, nie daj Boże, mnie posłucha i wyciągnie, to mi aż w pięty pójdzie!

- Majka, czy ty się dobrze czujesz? Nic nie brałaś, nic nie piłaś? - Głos Czarka zawibrował autentycznym niepokojem.

- Niestety jestem w pracy, co z pić absolutnie się wyklucza. Szczerze mówiąc, przydałoby mi się coś mocniejszego! A wracając do tematu, to po prostu właśnie do mnie dotarło, co zrobiłam! Po tej wizycie u starszej pani do mnie dotarło, żeby wszystko było jasne!

- Hmm... Zreasumujmy. Chcesz mi powiedzieć, że dziś rano poszłyście z Marysią do jakiejś staruszki, obgryzłyście jej ogrodzenie, a potem chciałyście ją zamordować, naśladując Jasia i Małgosię... Teraz jesteś w szatni w szkole, twoja córka została z niedobitą staruszką, a ciebie nagle dopadły wyrzuty sumienia. I nadal twierdzisz, że nie jesteś ani trochę pijana?

- Matko Boska, nic nie rozumiesz! - zdenerwowałam się. - Chodzi o analogię. Byłyśmy u staruszki, nikt jej nie próbował mordować, tylko tak mi się adekwatnie pokojarzyło - rozsądnie darowałam sobie szczegóły - że bajki są bestialskie i dają złe wzorce, a ja z własnej woli czytałam je maleńkiej Marysi! Jestem kretynką! - złościłam się do telefonu, truchcikiem podążając w kierunku klasy, bo w przebłyску zdrowego rozsądku stwierdziłam, że stanowczo wolę być po prostu kretynką niż kretynką bezrobotną.

- Majka, muszę się z tobą zgodzić, rzeczywiście jesteś walnięta - mruknął Czarek z głębokim westchnieniem, utwierdzając mnie w przekonaniu, że faceci nijak nie nadają się do uspokojenia ledwo żywych ze strachu matek.

- A teraz się zastanów. Jak byłaś mała, mama czytała ci bajki? - Widocznie postanowił zmienić profesję i zabawił się w psychologa.

- Czytała, ale to wcale mnie nie usprawiedliwia! Nie powinno się powielać błędów rodziców i...

- Nie ma żadnego „i” - przerwał mi bezceremonialnie.

- Czy mimo tych strasznych historii usiłowałaś kiedyś zjeść czyjąś babcię? Nie? Tak myślałem. A może chciałaś kiedykolwiek skremować żywą staruszkę?

- Oszalałaś? Nawet nieżywej nie chciałabym osobiście kremować - prychnęłam, wchodząc do klasy i wieszając płaszcz na oparciu krzesła.

- No widzisz. Jak przypuszczam, nie miałaś też nigdy chęci uśmiercania pasierbic ani pomysłu na całowanie martwych książąt...

- No pewnie, że nie miałam. Ani chęci, ani pasierbic - sprecyzowałam dla jasności. - A jeżeli chodzi o całowanie martwych i śpiących, to raczej faceci lubują się w tych sprawach. Nam zostają żaby.

- Aaa, czyli zoofilia! - Czarek się roześmiał. - Ale wracajmy do tematu. Wniosek jest taki, że mimo tych bestialstw, jakimi raczyła cię w dzieciństwie matka, nie wyrosłaś na sadystkę. To dlaczego miałyby być inaczej z Maryską?

- Ha, czyli jednak jestem wariatką... - krytycznie dokonałam samooceny.

- Może trochę paranoiczką. Ale wiesz, jak to jest w przyjaźni. Lubię cię taką, jaka jesteś - mruknął weterynarz Czarus zmysłowym głosem, a ja pomyślałam, że nie dam się nabrać. Też oglądałam „Bridget Jones”. - I wiem, że oglądałaś „Bridget Jones”, ale to wcale nie zmienia faktu, że tak właśnie uważam - dodał natychmiast, jakby czytał w moich myślach. - I mówię o przyjaźni, bo ty za nic nie chcesz słyszeć o niczym innym. Ja bym chętnie zmienił to słowo na inne...

- Czarek... - zaczęłam ostrzegawczo, bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania.

- Nic nie mów. Pojadę po Marysię, tylko podaj mi adres. Odwiozę ją do szkoły. Będiesz miała pewność, że bezpiecznie dotarła i że wszystko jest w porządku, OK?

- Naprawdę mógłbyś? - zapytałam rozczulona.

- No pewnie. Dyktuj, zaraz ją zabiorę z chatki na kurzej nóżce i poczuję się jak wybawiciel dziewczyc i staruszek.

Serce mi stopniało. Wiedziona pierwszym impulsem chciałam dodać coś niebywale miłego i obiecującego. W ostatnim momencie ugryzłam się w język. Ostatecznie już dawno postanowiłam, że będę rozsądna, rozważna i nieromantyczna. Romantyzm jest zdecydowanie niezdrowy, najlepiej się go wystrzegać. Tyle że to jak z jedzeniem - co niezdrowe, zwykle jest najsmaczniejsze... A ja niestety nie odznaczałam się żelazną konsekwencją i zawsze kapitulowałam już na początku diety. Ale mogłam próbować i ćwiczyć silną wolę.

- Czarek, dziękuję - powiedziałam więc tylko i się rozłączyłam.

Moja trzymana w ryzach wyobraźnia podsunęła mi obraz weterynarza Czarusia w zbroi i na koniu. Ale, broń Boże, nie było w tym nic romantycznego! Koń był za chudy, a weterynarzowi też jakoś nie było do twarzy w hełmie z przyłbicą... Tak przynajmniej usiłowałam sobie wmówić, lecz chyba straciłam dar przekonywania, bo szło mi raczej opornie. Roztargnionym wzrokiem potoczyłam po klasie i głęboko westchnęłam.

- Zapisujemy temat lekcji - powiedziałam, siadając za biurkiem i ignorując zaciekawione spojrzenia. - „Jaś, Małgosia i banda zwyrodnialców. Współczesne przesłanie baśni” - podyktowałam i uśmiechnęłam się pod nosem, widząc totalne zdziwienie na twarzy „moich dzieci”, przekonanych, że pomyliłam ich klasę z przedszkolem. - Zanim przejdziemy do omawiania tematu, chciałabym zobaczyć szopkę - dodałam, nie przypuszczając nawet, co za moment mnie czeka.

Szopka na pierwszy rzut oka wyglądała niewinnie. Pod warunkiem że patrzyło się na nią z daleka. Jednak gdy przyjrzało się jej z bliska, niewinność zastępowała groza.

- Matko Boska, co to jest? - wydukałam, gdy po pierwszym szoku odzyskałam głos.

- Szopka współczesna - wyjaśnił usłużnie Michałek.

- Pani profesor mówiła, że może być dowolna interpretacja...

Fakt, mówiłam. Ale w najśmielszych wyobrażeniach nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam. Gdybym wiedziała, wolałabym zamilknąć na wieki. Szopka przedstawiała z lekka zapuszczone mieszkanie w bloku. Roilo się w nim od postaci, z których jedynie noworodek nie budził większych zastrzeżeń, chociaż jeśli się mu dokładniej przyjrzeć, dostrzegało się coś na kształt zapaćkanego plastra w okolicach pępka.

- Niech mi ktoś to natychmiast przekonująco wyjaśni - zażądałam, dostrzegając, że współczesnemu Józefowi z kącika ust wisi niedopalek.

- Może ja - odważnie zgłosił się Jureczek. - To jest współczesna wizja, która ma przemówić do każdego, rozumie pani?

- Jurek, do rzeczy, zacznij może od tych tutaj... - Palcem wskazałam trzy postacie w poplamionych kitlach, mając nadzieję, że źle odczytuję ich tożsamość.

- A, to trzech królowie, akuszerzy - beztrąsco wtrącił Filip, bezpowrotnie rozwiewając moje wątpliwości. - Jurek źle się zabrał do objaśniania. Trzeba zachować kolejność. Szopka jest współczesna i dlatego realia też muszą być dzisiejsze, stąd ciasne blokowe mieszkanie. Maria - tu wskazał na grubawą postać kobietą w koszuli nocnej - nie została przyjęta do szpitala, analogicznie do prototypu wyganianej zewsząd Marii, i dlatego musiała urodzić w domu. W dzisiejszych czasach chyba nikogo nie zdziwi, że szpitale są przepełnione? - Zawiesił głos i wbił we mnie pytające spojrzenie.

- Nie mam pojęcia, jak będzie z innymi, ale mnie, Krawiec, po takiej klasie jak wasza z całą pewnością już nic nie będzie w stanie zdziwić - powiedziałam słabo. - A dlaczego ta, hm, współczesna Maria, za przeproszeniem, ma minę opóźnionej umysłowo? - zapytałam z wciąż narastającym niepokojem.

- A jaki by pani miała wyraz twarzy, gdyby nie przyjęto pani do szpitala i musiałyby pani rodzić w domu? - z wyrzutem zapytał Michałek, a ja stwierdziłam w duchu, że zapewne nietęgą. Biorąc pod uwagę, że Manię rodziłam w świetnym szpitalu pod fachową opieką, a i tak czułam się fatalnie, to prawdopodobnie przy porodzie na dziko mogłabym wyglądać podobnie jak owa Maria.

- Ona zapewne cierpi na depresję poporodową, bidulka! - rozczuliła się nad losem współczesnej Matki Jezusa Justyna. - A pani tak bez współczucia, od razu opóźniona umysłowo - wytknęła mi, pociągając nosem.

- Albo nie doszła do siebie po tym niepokalnym poczęciu - zachichotała Karolina. - To dopiero musiało być przeżycie nie z tego świata, i to dosłownie rzecz biorąc - dodała przy akompaniamencie tłumionych śmiechów.

- No właśnie - zgodził się z kolegami Filip. - A wracając do szopki, to akuszerzy przyjechali do domu rodzącej, bo wszyscy lekarze...

- Krawiec, ja nie chcę wiedzieć, co robili w tym czasie lekarze - przerwałam mu stanowczo. - Powiedz mi natomiast, dlaczego Józef wygląda jak bezdomny żulik spod kiosku z piwem. I dlaczego kopci papierocha, co?! - zapytałam groźnie.

- Stres go dopadł... A jak mężczyzna się stresuje, to pali - wyrwał się Jureczek i natychmiast zamilkł pod moim potępieńczym wzrokiem.

- Może i pali, jak jest miagwą i mięczakiem. - Cierpliwość w końcu mi się wyczerpała i górę wzięło rozdrażnienie pomieszane z oburzeniem. - Ale nie wtedy, jak jest Ojcem Jezusa! Ba, tu wcale nie chodzi o Jezusa, tylko o przyzwoitość! Kto to widział palić przy dziecku! I co to znaczy: „Bo się stresuje”? A matka jak rodzi, to może jest zrelaksowana? A pali wtedy? No właśnie. Więc proszę mi tu nie usprawiedliwiać męskiej słabości stresem - zakończyłam i dopiero wtedy zobaczyłam wpatrzone we mnie zaskoczone twarze moich uczniów. Chyba się zagalopowałam, pomyślałam lekko skruszona.

- Ha, nie przypuszczałam, że pani profesor jest feministką - w końcu przerwał ciszę Krystian.

- Nie jestem feministką, tylko mam uczulenie na głupotę - wyjaśniłam z godnością. - Tak czy inaczej szopka wygląda... cóż, delikatnie mówiąc, kontrowersyjnie. Ale coś w sobie ma...

Rzeczywiście było w niej coś przyciągającego uwagę. Może realizm, może nietypowe ujęcie, w każdym razie trzeba się było nad nią zastanowić. A jeżeli coś skłania do myślenia, to już osiągnęło sukces. Tak sobie tłumaczyłam, marząc, że pani dyrektor będzie uważała podobnie.

- Ale jedno bezwzględnie musi zniknąć - stwierdziłam stanowczo i sięgnęłam do twarzy Józefa z zamiarem pozbawienia go obleśnego papierocha. Niestety, jak się okazało, Józef był śmiertelnym nałogowcem, bo w rękę została mi cała jego głowa. Widząc rozmiary zniszczenia, moja klasa zgodnie wydała westchnienie zgrozy, a ja z dowodem zbrodni w rękę zupełnie nie wiedziałam, co powiedzieć.

- No i potrzebny będzie ojciec zastępczy - odezwał się złowieszczym tonem Krawiec. - Dziecko, w szczególności Jezus, nie może wychowywać się w niepełnej rodzinie. A pani właśnie zdeletowała mu ojca. - Z potępieniem kiwał głową.

- Co to za wyrażenie „zdeletowała”? - Moje zdenerwowanie osiągnęło megalityczne rozmiary. - Chyba muszę wam przypomnieć, że jesteśmy na lekcji polskiego. A co do tego tu... - wymownie popatrzyłam na bezgłowy korpus - trzeba go naprawić. Ile to zajmie?

- Nie wiem, pewnie dwie, trzy lekcje wystarczą - mruknęła Ania, która była główną twórczynią postaci. - Jeżeli odda mi pani urwaną głowę - dodała po chwili zastanowienia. - Inaczej nie da rady tego zrobić dzisiaj.

- Ale usuniesz papierosa? - upewniłam się, podając jej dowód zbrodni.

- Postaram się, chociaż to już nie będzie ten sam Józef - westchnęła z żalem.

- I akurat to mnie cieszy - powiedziałam stanowczo. - A tak na marginesie, skąd pomysł na właśnie taką szopkę?

- To był jeden z wielu, które rozważaliśmy - rzekł Michałek numer dwa z wyraźną dumą. - Były różne propozycje. Na przykład Maria, Józef i Jezus na dworcu jako bezdomni kloszardzi. Albo taka szopka bożonarodzeniowa w stylu wielkanocnym, z pisanek, z kurczakami i barankami - wymieniał beztrosko, a ja zaczęłam dochodzić do wniosku, że wybór właśnie tej, która stała przede mną, nie był taki najgorszy. - A, no i Bartek proponował, żeby zrobić taką na maksa realistyczną przed sklepem monopolowym...

- Co takiego?! - wykrztusiłam z niedowierzaniem.

- Czyście poszaleli?

- Chodziło o to, żeby pokazać, że wartościowe dzieci rodzą się wszędzie - wyjaśnił Bartek, wysoki wysportowany brunet, w którym podkochiwała się większość dziewczyn.

- Ale pomysł nie przeszedł.

Poczułam ogromną ulgę. To by dopiero był skandal! Jednak na przyszłość nie mogę pozostawiać tak dużej swobody tym dzieciakom. Były po prostu nieprzewidywalne. Bożonarodzeniowa szopka w stylu wielkanocnym! Święta rodzina kloszardów albo wielbicieli tanich win! Myśląc o tym, czułam na plecach zimne dreszcze.

- No tak, widzę, że jesteście niezwykle kreatywni - stwierdziłam z lekkim przekąsem. - Ale obawiam się, że nie wszyscy muszą wykazać się taką wyobraźnią, dlatego zanim wystawimy wasze dzieło, proszę o krótki opis wyjaśniający, o co chodzi. Aniu, możesz tu zostać z szopką, a ja mam nadzieję, że jeszcze na tej przerwie nie spotkam pani dyrektor, bo i tak jesteśmy makabrycznie opóźnieni.

Najlepiej by było, gdybym nie spotkała pani dyrektor ani dziś, ani jutro, bo doskonale wiedziałam, że szopka mojej klasy, delikatnie mówiąc, nie przypadnie jej do gustu. I jasne jak słońce, że ktoś musi za to beknać. Niestety, tym kimś niechybnie będę ja i bynajmniej nie byłam tym zachwycona.

Na szczęście dla mnie i dla nerwów dyrektorki zrzędzeniem losu tego dnia nie widziałyśmy się w ogóle. Na przerwie w pokoju nauczycielskim ukryłam się za zasłoną. Helenka, która była wtajemniczona w szopkowe opóźnienie, poinformowała mnie, że nie muszę się chować, bo dyrektorka pojechała na wycieczkę z trzecią A i zapewne dziś się już nie pokaże.

- Jak to? Przecież z trzecią A miała pojechać Dorotka, ich wychowawczynie - wyszeptalam, niepewnie wystawiając głowę zza grubej kotary.

- No i pojechała, ale rodzic, który miał jechać jako dodatkowy opiekun, rozchorował się i dyrektorka go zastąpiła - wyjaśniła cierpliwie Helenka.

- To prawda. Majka, możesz już stamtąd wychynąć - zaśmiał się wuefista Michał. - A w ogóle to o co chodzi w tej historii? Co znowu narozrabiałaś?

- Jeszcze przed godziną powiedziałabym ci, że zupełnie nie, ale niestety króciutka godzina lekcyjna potrafi diametralnie zmienić zapatrywania nauczyciela. Do tej pory jedynie spóźniałam się z szopką. Teraz zobaczyłam ją na własne oczy i nie jestem pewna, czy ktokolwiek inny powinien ją oglądać - oznajmiłam ponuro, decydując się wreszcie opuścić swoją kryjówkę.

- No chyba przesadzasz, w końcu żyję na tym świecie od ładnych paru lat i nie zdarzyło mi się zobaczyć szokującej szopki. To sprzeczne z szopkową naturą - zbagatelizował moje lęki wuefista.

- Też tak uważałam. Aż do dzisiaj - mruknęłam, patrząc na niego z nieukrywaną zazdrością. Nigdy nie był wychowawcą klasy nawet w części podobnej do mojej.

- Zresztą co ja wam będę opowiadała. Chodźcie i sami zobaczcie - zaproponowałam w przypiływie straceńczej odwagi. Ostatecznie i tak ich to czekało, a istniała szansa, że gdy przeżyją pierwszy szok teraz, to poprą mnie, chociażby duchowo, przy pani dyrektor.

- Nie jestem w stanie uwierzyć, że w sprawie szopki dzieciaki mogą wymyślić coś niezwykłego. A mam dość bujną wyobraźnię i nie waham się jej używać. Z powodu tego spóźnienia cierpisz na szopkową paranoję - przekonywał mnie Michał, idąc za mną do ostatniej ławki, na której stało dzieło klasy. Ania, zamiast reperować zepsutego Józefa, gdzieś przepadła, więc byliśmy w klasie sami. Rozsądnie zachowałam milczenie aż do momentu, gdy popatrzyli na nowoczesną interpretację narodzin Jezusa.

- O Matko Boska! - tyle tylko zdołała powiedzieć Helenka, zanim zdziwienie odebrało jej mowę zupełnie. Wuefista natomiast milczał jak zakłęty.

- No i jak? Przesadzam? - zapytałam uprzejmie, zastanawiając się, co będzie, jak szopkę obejrzy konserwatywna dyrektorka. Albo burmistrz. Nie znałam go wprawdzie, ale jakoś sam tytuł burmistrza przywodził na myśl człowieka dość ponurego i ze śmiertelną powagą traktującego sprawy szopek i Świętej Rodziny.

- Ale wiesz, gwiazdę zrobili całkiem tradycyjną - zauważyła Helenka, która w całej szkole znana była z optymizmu i jak widać, postanowiła to potwierdzić. - O, i zwierzątka są... No może niezupełnie szopkowe, ale jednak - dodała słabo, patrząc na figurkę psa, kota i chomika. Ten ostatni wyglądał na gryzonia, który wiele już w swym życiu przeszedł i którego nic już nie zdziwi.

- Majka, a dlaczego ten gość jest bez głowy? - wuefista Michał w końcu odzyskał głos.

- To Józef. Zupełnie ją stracił dla Maryi, tak się zakochał - zadowcipkowałam, czując nagłą i zupełnie nieuzasadnioną poprawę humoru. - A naprawdę osobiście mu ją urwałam - przyznałam się po chwili i opowiedziałam całą szopkową historię ze szczegółami. - I tak Józef poszedł do poprawki, a ja dziękuję

niebiosom, że jednak ta wersja szopki doszła do skutku - zakończyłam przy wtórze wariackiego śmiechu moich kolegów. - Pomysł z monopolowym po prostu mnie zmroził - wyznałam, czując, że na samo wspomnienie takiej możliwości unoszą mi się włoski na karku.

- Jednak to nie załatwia dość osobliwego podejścia trzeciej B do pracy konkursowej. - Helenka w końcu przestała się śmiać i rzeczowo wróciła do głównego tematu. - Uściślając, moim zdaniem pomysł jest nawet ciekawy i z pewnością oryginalny, pokuszę się nawet o stwierdzenie, że co niektórym przypadnie do gustu, ale wykluczyłabym z tego grona naszą czcigodną i nieco skostniałą w poglądach dyrektorkę.

- Tyle to ja wiem. Chyba przestaliście się dziwić, że szukałam sobie schronienia za pluszową kotarą w pokoju nauczycielskim?

- Przestaliśmy, ale co do kryjówki, to niestety obawiam się, że słowami klasyka w końcu trzeba będzie powiedzieć: „Bar wzięty!”.

- Raczej kotar, od kotary - zaprotestowała Helenka. - Ale fakt faktem, nawet jeżeli będziemy cię kryli, dyrektorka w końcu cię znajdzie. Kotara to marna kryjówka na dłuższą metę. W dodatku jest paru Brutusów między nami.

- No to co? Mam sama wleźć w jej łapy? Zresztą macie rację, ale najpierw szopka musi być skończona. Nie chcę, żeby oglądała jedynie korpusik Józefa. I tak mi się dostanie, a mam wrażenie, że bezgłowy ojciec Jezusa przeważąłby szalę jej gniewu.

- Bezgłowy czy nie, niczego to nie zmienia - autorytatywnie stwierdził Michał. - I tak będzie wściekła. Majka, co tu dużo gadać, ty po prostu nie możesz wystawić tej szopki...

- Jak nie mogę, skoro muszę! - przerwałam mu z rozpaczą. - Dyrektorka jasno dała mi do zrozumienia, że jeżeli szopka się nie pojawi, wylecę ze szkoły. A że i tak mam u niej wiecznie tyły, wolałabym nie sprawdzać, czy mówiła poważnie.

- Chciałem tylko powiedzieć, że szopka nie może się pojawić przed konkursem. Musi stanąć na miejscu, jak już będzie za późno, żeby ją usunąć - dokończył spokojnie wuefista, z naukową wręcz dokładnością przyglądając się małemu Jezuskowi.

- Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz! Jak niby mam wytłumaczyć brak szopki?

- A kto mówi o szopce? Muszą wystąpić inne problemy. Najlepiej techniczne, kataklizm, zupełnie niezawiniony przez nikogo, sódma i gomora... - w trakcie mówienia zapalał się coraz bardziej, a my z Helenką popatrywałyśmy po sobie oszołomione. - Coś, co racjonalną dyrcię bezapelacyjnie przekona.

- Pomysł przedni, tylko mało konkretny - skomentowałam - i na mój gust niewykonalny.

- Straszny z ciebie niedowiarek, Majeczko. - Wuefista szelmowsko się uśmiechnął. - A gdyby tak nagle zabrakło stanowiska na twoją szopkę?

- Jak zabrakło, co zabrakło, skoro stanowisko jest jak malowane! Jedyne puste! - uświadomiłam ich, posępnie kiwając głową.

- Ty masz rację - zwróciła się do Michała Helenka, zupełnie mnie ignorując. - Totalny kataklizm, świetny pomysł!

- O czym wy, do choroby, mówicie? - spytałam zdezorientowana.

- No po prostu coś zmieciecie z powierzchni szkolnego holu miejsce na twoją szopkę. Zanim postawi się nowe stanowisko, to trochę potrwa - wyjaśnił mi łopatologicznie Michał.

- A co będzie tym czymś? - Nareszcie zaświtała mi nadzieja.

- Jakaś niezidentyfikowana siła. - Helenka machnęła lekceważąco ręką. - Na całe szczęście dyrektorki dziś nie ma, będzie można powiedzieć, że nikt nic nie widział i upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Po pierwsze, zlikwidować obiekt, po drugie, dać pani dyrektor satysfakcję, że gdy tylko jej nie ma, wszystko się wali.

- Przyznaję, zamysł rewelacyjny, ale co będzie, jeżeli ona zechce mimo wszystko szopkę obejrzeć? - zapytałam, marszcząc brwi.

- Powiesz, że któryś z uczniów zabrał ją do domu, by się nie zniszczyła, jak już się okazało, że nie ma jej gdzie postawić. - Michał wspiał się na wyżyny kłamliwego natchnienia. - No i przyniesiesz ją dopiero rano, jak już przyjdą pierwsi goście. Wtedy dyrektorka nie będzie miała możliwości manewru i jest szansa, że cała sprawa rozmyje się w zamieszaniu konkursowym.

- Obyście mieli rację, ale jeszcze jedno w tym wszystkim mnie niepokoi... - mruknęłam, wpatrując się w zamyśleniu w twarz współczesnej Marii. - Przecież nowe stanowisko prawdopodobnie będzie gotowe z miejsca...

- Nie, w żadnym razie - stanowczo zapewnił mnie Michał. - Będzie je robiła męska część personelu i na pewno zabraknie odpowiednich materiałów. Zdążymy dosłownie na ostatni moment - stwierdził proroczym tonem.

- No, to wszystko jasne - uznała Helenka. - Powinniśmy być wdzięczni temu choremu rodzicowi, że się dziś nie zjawił. To bardzo upraszcza sprawę.

- Dziewczyny, zaczynamy operację „niszczycielska korytarzowa siła”! - Michał wyraźnie dobrze się bawił. - Muszę ci, Majka, powiedzieć, że odkąd tu pracujesz, dużo więcej się dzieje. - Z zadowoleniem zatarł ręce.

- Nie wiem, czy powinnam się z tego cieszyć, czy wręcz odwrotnie. - Przykryłam nieszczęsną szopkę płachtą szarego materiału. - Ale z całą pewnością się cieszę, że mogę pracować w tak fajnym towarzystwie. Naprawdę nie wiem, jak wam dziękować...

- Daj spokój! - Michał machnął ręką. - Ostatecznie gramy w jednej drużynie. Zresztą ja zawsze chciałem poczuć się jak tajny agent, a tu sytuacja jest wprost idealna. Można by rzec, że spełniasz moje marzenia, dziewczyno. - Poklepał mnie po plecach.

- Poczekajcie, to co dokładnie teraz robimy? - dopytywała się zarumieniona z przejęcia Helenka.

- Wy na razie nic - władczo zarządził Michał, przybierając ton wodza. - Jak przyjdzie odpowiedni czas, macie tylko przekonująco się dziwić i gorszyć skutkami wandalizmu. Najlepiej głośno i z lamentem. Ja zajmę się resztą. Zrozumiano?

- Tak jest, zrozumiano! - odpowiedziałam ze śmiechem i zsalutowałam.

Gdy już zostałam sama, pomyślałam: Jak dobrze, że człowiek jest zwierzęciem stadnym. W innym wypadku nasze życie byłoby jakieś takie niepełne. A świadomość, że zwykle obok nas jest ktoś życzliwy, była niezwykle kojąca. Ta myśl przypominała mi o Leontynie, do której powinnam zająć po zajęciach, przekazać jej wiadomość od staruszczeni Ewy i ustalić konkrety w sprawie Uroczyskowej Wigilii. I to dało gwarancję, że sprawa szopki zostanie zepchnięta na dalszy plan. Przynajmniej do szóstego grudnia, gdy nic i nikt nie uchroni mnie przed stanięciem oko w oko z rozgniewaną dyrektorką. Ale cóż, w tym wypadku powiedzenie „co się odwlecze, to nie uciecze” było jak najbardziej na miejscu. Będę się martwiła, jak już będę miała konkretnie czym, postanowiłam i otworzyłam dziennik pierwszej C, która z całą pewnością nie miała tak wysokich pomysłów i nie przysparzała swojemu wychowawcy dodatkowych siwych włosów. I - co stwierdziłam z niemalą satysfakcją - nawet w części nie jest tak interesująca jak moja nieznośna trzecia B.

Kiedy w końcu dotarłam do domu, byłam wykończona i psychicznie, i fizycznie. Całe to szopkowe zamieszanie kosztowało mnie sporo nerwów, poza tym nie bardzo wiedziałam, jak wuefista Michał chce wprowadzić swój plan w życie, bo gdy wychodziłam ze szkoły, puste stanowisko czekające na moją szopkę jeszcze stało. W końcu machnęłam ręką i ze stwierdzeniem „co ma być, to będzie”, ruszyłam do sklepu pani Leontyny. W czasie moich zajęć rozpadał się śnieg, rzecz jak najbardziej normalna w grudniu dla zwykłego przechodnia i jak najbardziej nienormalna dla kierowców piaskarek i odśnieżarek. Co roku z pewnym zdziwieniem obserwowałam, że nawet jeżeli śnieg zaczynał padać w styczniu, nasi drogowcy byli tym niezmiennie zaskoczeni i nie zdążali na czas z odśnieżaniem. Ale cóż, kto by się mógł spodziewać, że zimą spadnie śnieg! - myślałam sarkastycznie, brnąc w topniejącej brei w kierunku sklepu Leontyny. Gdy udało mi się w końcu dotrzeć na miejsce, starsza pani nie chciała nawet słyszeć o moim szybkim wyjściu. Usadziła mnie przy stoliku z filiżanką herbaty i zażądała szczegółowej relacji najpierw z wizyty u staruszki Ewy, potem z ustaleń co do wigilii, a jeszcze potem, ku mojemu zaskoczeniu, zainteresowała ją sprawa szopki, o której tylko ogólnie wspomniałam.

- I mówisz, że możesz mieć z tego powodu problemy? - Zdziwiona zmarszczyła siwe brwi. - Przecież podobno w tych czasach każdy ma prawo do swojej wizji.

- Pani Leontyno, „podobno” jest tu słowem kluczem. - Westchnęłam. - Ale niech się pani nie przejmuje, jak będę miała trochę szczęścia, cała sprawa rozejdzie się po kościach. Mówiła pani, że coś dla mnie ma? - rozmyślnie zmieniłam temat.

- A tak, listę potencjalnych biesiadników. - Podała mi nazwiska odręcznie wypisane na papierze z pięknej starej papeterii.

Przeglądając je pobieżnie, bo w większości i tak mi nic nie mówiły, doszłam do wniosku, że ostatni raz taki piękny kaligraficzny charakter pisma widziałam u swojej babci. Teraz nikt już tak nie pisze, pomyślałam z dziwną tęsknotą. Niedługo ten dawny świat, który jeszcze czasami przeplata się z naszym, bezpowrotnie odejdzie i już nic nie zdoła go zastąpić. Nasze wnuki będą mogły o nim tylko poczytać, posłuchać, ale już go nie dotkną - uświadomiłam sobie z nagłym skurczem serca i bezsensownym buntem. Bo na

co niby się nie zgadzałam? Na przemijanie? Upływ czasu? Nikt niestety nie brał w tym względzie mojego zdania pod uwagę i to, nie wiedzieć czemu, irytowało mnie jeszcze bardziej. Z ostrożnością, która miała w sobie coś z czułości, włożyłam zapisaną kartkę do kalendarza, postanawiając, że nawet jak już te święta miną i odejdą w zapomnienie, to ją zachowam. Jako coś, co oprze się przemijaniu. I właśnie w ten sposób chociaż trochę przechytrzę czas, pomyślałam z satysfakcją. Zupełnie innym spojrzeniem obrzuciłam wnętrze sklepu. Patrząc na stare przedmioty zalegające przykurzone półki, uświadomiłam sobie, że nie ja pierwsza wpadłam na ten genialny plan. Staruszka siedząca przede mną właśnie to robiła przez większą część swojego życia. Ratowała dla potomnych fragmenty minionych lat.

- To kiedy masz tę nieszczęsną wystawę? - przywołała mnie do rzeczywistości pani Leontyna.

- Pojutrze, ale niech pani się nie przejmuję. Nic z tym już nie można zrobić, będzie, co ma być, i tyle.

- No i tu się dziecko mylisz. Ostatnio doszłam do wniosku, że nigdy nie można odpuszczać. Trochę się wprawdzie niepokoję tym nagłym porywem aktywności, bo w moim wieku właściwsze byłoby stetryczenie. - Leontyna roześmiała się z własnego dowcipu. - Mam tylko nadzieję, że to nie jest tak jak w poważnych chorobach, że przed śmiercią człowiek czuje się zwykle lepiej, bo muszę ci wyznać, że umierać jakoś nie mam zbytnej ochoty. Po prostu nie mam na to czasu, przynajmniej nie przed świętami. A tej wystawy nie można zostawić samej sobie.

- Pani Leontyno, to akurat prawda, że gdzie można, tam trzeba walczyć, ale są sprawy beznadziejne, w których nic się nie da zrobić, nie ma żadnego wyjścia i trzeba się zdać na los.

- Wyjście zawsze się znajdzie, a jak nie, to trzeba je wybić. Chociażby łodem.

Popatrywała na mnie spod oka, jakby chciała dać mi coś do zrozumienia. Niestety nic rozsądnego nie przychodziło mi do głowy, no może poza tym, że tym łodem to jedynie mogłabym zdzielić dyrektorkę po głowie, powodując dotkliwe obrażenia, w wyniku których znalazłaby się w szpitalu, co uniemożliwiłoby jej obejrzenie szopki mojej klasy. Chociaż takiego rozwiązania nie można było w żaden sposób podciągnąć pod rozsądne działanie.

- Dlaczego akurat łodem? - zapytałam, żeby podtrzymać rozmowę i wyrzucić z wyobraźni obraz siebie z pończochą na twarzy, zaczajonej pod gabinetem dyrektorki z czymś ciężkim w rękę. Obraz był niebezpiecznie realistyczny, a szczerze mówiąc, wolałabym zniecka nie odkryć w sobie morderczych skłonności.

- Nie wiem, tak mi jakoś mi się skojarzyło. - Leontyna wzruszyła szczupłymi ramionami. - A co do konkursu, to się nie przejmuj. Już ja się postaram o jakieś alternatywne wyjście.

- No cóż, niech pani myśli - zgodziłam się, bo chociaż nie wierzyłam, że cokolwiek może mi pomóc, pozytywne myślenie kogoś przyjaznego zaszkodzić w żadnym razie nie powinno. A jeżeli jeszcze miało sprawić radość staruszce, to co jej miałam bronić. Ostatecznie skoro ktoś może z całej tej sytuacji jakkolwiek skorzystać, niech korzysta, pomyślałam i głęboko westchnęłam. A ja pojutrze łyknę sporą

dawkę środków uspokajających i przeżyję dzień w miłym zamroczeniu, nieświadoma, co dzieje się dookoła. Może nawet uda mi się zupełnie zapomnieć na kilka godzin, że będę bohaterką szkolnego skandalu.

Tak, środki uspokajające to dobry pomysł. Jakieś najmocniejsze i w dużych ilościach... I może coś znieczulającego mózg... Tak, ten plan naprawdę zaczynał mi się podobać i przy dużej dozie tolerancji można go było podciągnąć pod znalezienie innego rozwiązania. Czyli nie dość, że nic bym nie wiedziała, to jeszcze uszczęśliwiłabym panią Leontynę zastosowaniem się do jej sugestii. Teraz tylko pozostawało mi zdobycie podstępem recepty na owe środki (bo przecież doskonale wiedziałam, że Jagoda z własnej woli mi nic takiego nie przepisze) i dowiedzenie się, jakie konsekwencje mi grożą za takie wyłudzenie i za przebywanie w stanie odurzenia na terenie szkoły. Oczywiście zdawałam sobie sprawę, że nic takiego nie uczynię, ale pomarzyć zawsze mogłam. I w związku z tym wyobraziłam sobie, jak byłoby cudownie, gdyby nigdy nikt nie wymyślił konkursu szopek, a jeszcze lepiej - gdyby nie było dyrektorki, żadnej, na całym świecie zero dyrektorek. Życie - przynajmniej to zawodowe - byłoby rajem! Rozmarzyłam się na całego, bo co miałam sobie żałować. Tylko jedna rzecz w tym wszystkim sprawiała mi duży dyskomfort - świadomość, że marzenia w końcu się kończą, a konfrontacja z rzeczywistością zwykle bywa bolesna.

Jeżeli myślałam, że po przyjściu do domu uda mi się z gorącą herbatą trafić do łóżka i wreszcie odpocząć, to jak zwykle się myliłam. Swoją drogą powinnam przywyknąć, że takich rozleniwiających planów nigdy nie mogę zrealizować. Widać nie dla mnie było wylegiwanie się w puchowych piernatach w środku dnia. Gdy dotarłam pod dom, czekał tam na mnie pszczelarz Florian, który oznajmił mi, że mamy gościa.

- To świetnie, panie Florianie! Wreszcie jakiś miłośnik górskiej zimy do nas zawitał - ucieszyłam się. - Może w końcu coś się ruszy.

- A nnnie taki gggosć. - Pan Florian wygodnie oparł się na łopacie do odgarniania śniegu. - Zznajoma przyjechała.

- Pana znajoma? - zapytałam zdziwiona, bo pszczelarz mieszkał z nami już od dość dawna i nikt nigdy go nie odwiedzał.

- Nie, nie moja - mruknął, a ja stwierdziłam, że czego jak czego, ale gadatliwości panu Florkowi nijak nie można zarzucić.

- Aha, a czyja? - Uzbroiłam się w cierpliwość, wiedząc z doświadczenia, że przynaglania na nic się nie zda. Pszczelarz był po prostu monosylabistą i czasami zastanawiałam się, jak Jagoda, która była przecież gadułą, wytrzymuje z nim na dłuższą metę.

- Wwwasza - odparł pan Miodek, wyraźnie wyczerpując tym temat.

- No tak. To wszystko jasne - mruknęłam pod nosem i rozsądnie ruszyłam osobiście sprawdzić, kto do nas zawitał.

Już w przedpokoju usłyszałam dochodzące z kuchni głosy, z których jeden z całą pewnością należał do Jagody, a drugi przypominał mi naszą warszawską znajomą Paulinę. I rzeczywiście okazało się, że to ona we własnej osobie.

- Wszelki duch Pana Boga chwali! A co ty tu robisz? - zdążyłam wykrzyknąć, a potem zatonęłam w spontanicznym mocnym uścisku. - Wariatko, udusisz mnie - wycharczałam w końcu ledwo żywa i zdziwiona tak wylewnym powitaniem, bo do tej pory nie pałałyśmy do siebie zbyt wylewną miłością.

- Nie uduszę, nie uduszę. W końcu nie po to tłukłam się tyle kilometrów, żeby cię pozbawiać życia. Przede wszystkim chcę się z wami nagadać, naplotkować i poczuć, jakbyśmy właśnie kończyły liceum. - Paulina wreszcie zdecydowała się skończyć powitalne ugniatanie mojej osoby.

- Zgadzam się na wszystko poza jednym: zabraniam przy mnie używać słowa „liceum”. Przynajmniej do szóstego grudnia udawajmy, że coś takiego nie istnieje, dobrze? - poprosiłam, odkładając na później wypytywanie jej o prawdziwy cel wizyty. Plotki z koleżankami raczej nie są tak pilną sprawą, żeby tłuc się przez pół Polski, szczególnie że nigdy się jakoś specjalnie nie przyjaźniłyśmy.

- A co, szopka nadal niegotowa? - zainteresowała się Jagoda, która błyskawicznie powiązała moje słowa z szopkowymi kłopotami.

- O, gotowa, i to jeszcze jak! Zaraz wam wszystko opowiem, tylko zróbcie mi gorącej herbaty.

Usadowiłam się za stołem i pokrótce wtajemniczyłam Paulinę w całą historię.

- No i co? Przecież w końcu przynieśli ją dzisiaj, to chyba nie ma sprawy - zawyrokowała Paulina i na pierwszy rzut oka było widać, że w życiu nie miała do czynienia z osobą pokroju pani dyrektor ani z twórczymi dzieciakami, które dziwnym zrzędzeniem losu stadnie wylądowały w jednej, mojej klasie. Jagoda, która wiedziała już nieco więcej, milczała przezornie.

- Też tak myślałam, dopóki nie obejrzałam tego dzieła. - W zadumie sięgnęłam po kubek z herbatą i ponuro siorbnęłam.

- Oho! Zapowiada się intrygująco. - Jagoda z zaciekawieniem przechyliła się w moją stronę. - Już nie mogę się doczekać szczegółów. No to co tym razem wymyśliła twoja genialna trzecia B? Słuchaj, Paulina, bo opowieści z cyklu

„Majka i jej szkolne przygody” nie bywają nudne - rzuciła jeszcze w kierunku naszej zaintrygowanej koleżanki.

No to im opowiedziałam, nie szczędząc żadnych szczegółów, i ze zdziwieniem stwierdziłam, że teraz, z dala od szkoły, cała ta historia ma zupełnie inny wymiar. Dużo bardziej komiczny. Gdy kończyłam, wszystkie trzy śmiałyśmy się serdecznie.

- To byłoby na tyle - stwierdziłam, wycierając mokre od śmiechu oczy. - Szkoda, że na samym konkursie nie będzie tak zabawnie, ale na to już nic nie poradzę. Chociaż pani Leontyna twierdzi, że nie powinnam się poddawać, tylko poszukać alternatywnego rozwiązania. Aha - przypomniałam sobie - tak à propos Leontyny, dała mi do wglądu listę gości. Oczywiście tylko wstępną, lecz trzeba ją przejrzeć i zastanowić się, jak się tu pomieścimy. Przepraszam, Paulina, ale to są sprawy niecierpiące zwłoki, a boję się, że potem zapomnę... Wiesz, pensjonatowa rzeczywistość.

- Nie krępujcie się zupełnie, bo ja też mam do was sprawę pensjonatową... - Paulina uciekła wzrokiem w bok, a my z Jagodą porozumiewawczo popatrzyłyśmy po sobie.

- No dobra, o co tak naprawdę chodzi? - Jagoda postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. - Tylko bez kręcenia proszę.

- A musi o coś chodzić? Nie mogłam tak po prostu przyjechać?

- Tak po prostu? Na ploteczki przez pół kraju? Znienacka? A co, my się wczoraj urodziłyśmy? Za długo się znamy, moja droga, więc nie ściemniaj - uświadomiłam ją, biorąc się pod boki.

- No dobra. Rozwiodłam się...

- O matko! - wyrwało mi się, a Jagoda ze zdziwienia zapomniała zamknąć usta. - Co to, plaga jakaś? Mnie Igor wystawił do wiatru, Jagodę Klaudiusz też potraktował odpowiednio, a teraz jeszcze ty dołączasz do naszego grona! Odbiło tym chłopom, czy co?! - zaskoczona zaczęłam gadać jak nakręcona i nawet, wiedzona solidarnością, na chwilę zapomniałam, że Paulina nie należy do moich ulubienic. - Co to w ogóle ma znaczyć?

Powoli nabierałam rozpędu, który chyba trochę Paulinę przeraził. Usiłując mi przerwać, zachłysnęła się herbatą. Razem z Jagodą rzuciłyśmy się ratować biedaczkę. Ja siedziałam bliżej, byłam szybsza i pierwsza grzmotnęłam ją z całej pary w plecy.

- Czyś ty oszalała?! - wrzasnęła Paulina, natychmiast odzyskując oddech. - Chcesz mi złamać kręgosłup?

- O, ale już nie kaszlesz. Widzisz, walnięcie w plery zawsze skutkuje. - Roześmiałam się. - A co do rozwodu...

- Mądrze zrobiłaś, przyjeżdżając tutaj - włączyła się Jagoda. - W takich momentach niedobrze być samemu.

- Dziewczyny, już pół roku minęło, ale jakoś nie było okazji... - wyjąkała z wyraźnym zakłopotaniem Paulina. A ja odniosłam nieodparte wrażenie, że nasza warszawska przyjaciółka wyraźnie coś ukrywa.

- No tak, o tym chętnie się nie mówi. - W przeciwieństwie do mnie, Jagoda chyba niczego nie podejrzewała. - Ciężko było?

- Trochę, tylko że to ja... no wiecie... - zająknęła się Paulina, robiąc się buraczkowa.

- Co wiemy? - zapytałam, patrząc na nią uważnie.

- Miałam romans - wyrzuciła z siebie z desperacją i głęboko westchnęła. - Nawet nie wiecie, jak mi trudno o tym mówić! Ale moje małżeństwo to była istna katorga! Darek prawie w ogóle nie bywał w domu, ciągle tylko pracował i pracował...

- Nic z tego nie rozumiem - wyznałam, opadając na krzesło. - Puściłaś faceta w trąbę, bo był pracowity?

- Majka, upraszczasz! - Paulina przybrała obronny ton, a Jagoda ostrzegawczo uszczypnęła mnie w nogę. - Jak byś się czuła w ciągle pustym domu, mając męża, którego tak naprawdę nie masz? Nigdy nie wiedziałam, gdzie jest, kiedy wróci. A ja miałam leżeć i pachnieć! Doskonale wiecie, że ja się do tego nie nadaję, nigdy się nie nadawałam! - krzyknęła, chowając twarz w dłoniach.

- No dobra, przepraszam - zreflektowałam się. - Nie powinnam z miejsca cię oceniać, tylko to tak dziwnie zabrzmiało ... No i gdzie ten twój ko... to znaczy wybranek? - w ostatniej chwili udało mi się ugryźć w język.

- Puścił mnie w trąbę. - Ku mojemu zdziwieniu Paulina nie tylko nie wydawała się wcale tym przejęta, ale rozbawiona parsknęła śmiechem. - Najwyraźniej w przyrodzie nic nie ginie i każdy rachunek zostanie wyrównany. Jak widzicie, już się otrząsnęłam.

- Widzimy - przytaknęła Jagoda, marszcząc brwi.

- I chcesz nam powiedzieć, że dlatego tu przyjechałaś? Żeby nam to wszystko wyznaczyć i zrzucić ciężar z serca?

- Niezupełnie, chociaż trochę się za wami stęskniłam - powiedziała Paulina z rozbijającym uśmiechem, dzięki któremu w szkole zawsze wszystko uchodziło jej na sucho. - Ale postanowiłam połączyć przyjemne z pożytecznym. I tak planowałam wyjazd w tę okolicę. Żał było nie skorzystać z możliwości spotkania, no i dania wam zarobić...

- Nam? A w jakim sensie? - zdziwiłam się.

- Muszę się gdzieś zatrzymać, to lepiej u was niż w jakimś obcym pensjonacie - wyjaśniła Paulina, rozsiadając się wygodnie. - I nie chcę słyszeć, że nie weźmiecie ode mnie kasy - dodała, widząc, że zamierzam protestować.

- W żaden sposób nie chcę się czuć intruzem, a zamierzam zostać przez minimum dwa tygodnie. Mam cykl spotkań - dorzuciła swobodnym tonem.

Natychmiast wzbudziła moją czujność. Zwrot „cykl spotkań” brzmiał nad wyraz profesjonalnie, a z tego, co wiedziałam, Paulina przez ostatnie dziesięć lat siedziała w domu i rzeczywiście swoją działalność ograniczała do pachnienia. Chyba że coś w międzyczasie mnie ominęło. W końcu o jej rozwodzie też dowiedziałam się z półrocznym opóźnieniem. Potencjalnie istniała możliwość, że znalazła gdzieś pracę albo założyła firmę.

- Jakich spotkań? - widać dręczona podobnymi wątpliwościami Jagoda postanowiła się poinformować.

- No jak to jakich, dziewczyny! Matrymonialnych, rzecz jasna!

Przez chwilę w kuchni panowała pełna zdziwienia cisza. Obie z Jagodą musiałyśmy przyswoić wiadomość.

- Ale dlaczego aż tutaj? - wydukałam wreszcie. - Zamierzasz przenieść się na Dolny Śląsk?

- Nie tam, od razu przenieść! Po prostu szukanie faceta to trudna sprawa i trzeba do tego podejść metodycznie. Nie będę się ograniczała do Warszawy, bo to strasznie zawęży pole poszukiwań. Dlatego postanowiłam zgromadzić ogłoszenia z różnych województw, rozdzielić je i umawiać się hurtowo. Najbliższe dwa tygodnie mam przeznaczone na facetów z tej okolicy. Na pewno wśród nich znajdą się tacy, którzy chętnie się stąd wyrwą. Same chyba przyznacie, że to dobry plan. Tak mało jest sensownych mężczyzn, zresztą co ja wam będę mówiła, pewnie same to zauważyłyście! Ale się nie martwcie. Jeszcze sko-

rzystacie przy mnie, mam świetny pomysł: będę umawiała się tutaj, na miejscu, to od razu we trzy będziemy delikwenta oceniać. Zawsze istnieje szansa, że którejś przypadnie do gustu. Co wy na to? Tylko, oczywiście, ja mam pierwszeństwo w wyborze. - Paulina z wielce zadowoloną miną wyraźnie czekała na jakieś wyrazy wdzięczności i uznania.

- Hmm... - mruknęłam, bo na tyle tylko pozwoliło mi zdziwienie. Jednocześnie w panice szukałam w miarę prawdopodobnej wymówki, która wykluczyłaby mnie z tego szalonego planu. Jagoda też nie wyglądała na szczęśliwą.

- No co, zatkało was! - Paula zatarła ręce.

- Fakt, „zatkało” to dobre określenie. - Akurat z tym mogłam się bez żadnych zastrzeżeń zgodzić. - Ale wiesz, ja nie bardzo mam na to czas... Zresztą...

- Zresztą takie spotkania w pensjonacie to nie jest dobry pomysł. - Jagoda w końcu doszła do siebie i przyszła mi w sukurs. - Ostatecznie tutaj przyjeżdżają goście, taki dom schadzek mógłby ich zniechęcić.

- Od razu dom schadzek! - Paulina się naburmuszyła. - Z wami to jak zwykle nie można poszaleć! Dwa chodzące rozsądki! Naprawdę nie brakuje wam facetów? - Z niedowierzaniem uniosła brwi.

Dotarło do mnie, że rzeczywiście nie odczuwam specjalnie braku męskiego towarzystwa. W końcu na co dzień miałam Czarka, często pojawiał się Sławuś, który mimo braku jakiegoś szczególnego zainteresowania z mojej strony był zadziwiająco wytrwały, mieszkał z nami pan Florian, który wprawdzie był zaanektowany przez Jagodę, ale przecież facet to facet. Nie, stanowczo nie występował u mnie syndrom wygłodniałej samicy.

- A wiesz, że jakoś nie zauważyłam szczególnego braku - powiedziałam zdecydowanie. - Mamy znajomych, przyjaciół. Jak coś trzeba przykręcić, odkręcić, przybić, to zawsze znajdzie się ktoś chętny...

- Nie chodzi o to! - Paulina ze zniecierpliwieniem pokręciła głową. - A co z innymi dziedzinami życia? Takimi, w których kombinerki, młotki i wiertarki mogą być tylko pikantnymi zabawkami?

- Daj spokój, przecież jesteśmy dorośli i wiemy, że seks jest uzupełnieniem uczucia, a nie istotą życia - stwierdziła Jagoda.

- Co to za archaiczne poglądy? Przecież wiadomo, że pierwsze, co działa na dwoje ludzi, to chemia, inaczej zwierzęcy pociąg! Dobry seks nie jest wprawdzie gwarancją dobrego związku, ale daje dużą nadzieję - wyłożyła nam z przekonaniem koleżanka. - U nas z Darkiem było średnio i jak to się skończyło?

- Czekaj, podobno chodziło o to, że go w kółko nie ma, że nigdy nie wiesz, gdzie go znaleźć, że ciągle pracuje, o seksie nie było ani słowa - wytknęłam jej.

- Oj tam, jedno nie wyklucza drugiego - zaperzyła się Paulina. - I co, wy tu tak w zupełnym celibacie żyjecie? - zapytała z niedowierzaniem.

- No nnnie w tttakim zzzupełnym. Rrradzimy sobie - rozległ się niespodziewanie głos pana Floriana, który rozbawiony stał na progu kuchni i spokojnie słuchał naszej rozmowy. Tuż za nim, śmiejąc się pod nosem, tkwił nie kto inny, tylko weterynarz Czarus.

- A więc to takie buty! - Paulina błyskawicznie z wojującej zwolenniczki seksualnego rozpasania zamieniła się w uwodzicielską nimfę. - Widzicie, panowie, nie wspomniały nawet słowem, że mają tak urocze towarzystwo! - Zatrzepotała rzęsami, a ja poczułam ogromny przyływ irytacji. Gdybym wiedziała, że to zupełnie niemożliwe, pomyślałabym, że jestem zwyczajnie zazdrosna.

- Co wy tu robicie? - zapytałam, usiłując zamaskować złość, która rosła wprost proporcjonalnie do machania cholernych rzęs Pauliny.

- Jjja tu mmieszkam i przyszedłem nna kkkolację - wyjaśnił wyczerpująco pan Miodek.

- A ja przywiozłem twoją córkę. Byliśmy razem na objeździe starych chałup. Marysia wróciła z niezłym łupem. - Weterynarz obronnie podniósł ręce do góry. - Ale widzę, że macie gościa. Będę uciekał...

- Gdzie się pan spieszy? - zagruchała Paulina, a ja poczułam że chyba jednak czytane w dzieciństwie bajki zasiały we mnie mordercze nasionko, które właśnie w tym momencie wykiełkowało z wielką mocą. - Niech panowie usiądą - zwróciła się również do pana Miodka - my już się nagadałyśmy, zresztą zostają tu przez jakiś czas... Dziewczynki na pewno nie mają nic przeciwko temu, prawda? - zagadnęła słodko, zakładając nogę na nogę.

- Dziewczynki nie mają nic przeciwko - warknęłam. I w tym momencie moją uwagę odwróciła Marysia, która wtoczyła się do kuchni obładowana najprzeróżniejszymi pakunkami, w większości poowijanymi w gazety. - Co ty tam masz? - zapytałam, czując dziwny niepokój.

- Dziedzictwo rodowe - odparła z niezwykle zadowoloną miną moja córka.

- Co takiego? - Jagoda z zainteresowaniem zerknęła do pierwszej z brzegu reklamówki.

- Różne stare rzeczy - wyjaśniła rozentuzjasmowana Mania. - W tym porcelanę, bardzo ładną, kupioną za bezcen.

- A skąd kupioną? - Przezornie usiadłam na najbliższym krześle, bo przez skórę czułam, że to, co zaraz usłyszę, może zwalić mnie z nóg.

- Od różnych ludzi. Wiesz, chodziłam po domach i mówiłam, że bardzo chcę skompletować serwis rodzinny i w ogóle mieć rodowe pamiątki, a pochodzę z rodziny niedbającej o tradycję i sama się muszę o to zatroszczyć - referowała Mania niefrasobliwie. - Grunt to dobra argumentacja - dodała, ostrożnie umieszczając reklamówki na stole.

- Maryśka, ja cię chyba zabiję! - jęknęłam, łapiąc się za głowę. - Jak ja się teraz ludziom na oczy pokażę! Moja córka łązi po domach i kompletuje zastawę rodową! Czarek, czy ja dobrze zrozumiałam, że brałeś udział w tej kompromitacji? - zwróciłam się do milczącego dotąd weterynarza.

- No cóż, można tak powiedzieć... - Czarus wyglądał na lekko skruszzonego. - Ale zanim cokolwiek powiesz, chciałbym z tobą porozmawiać na osobności - dodał, łapiąc mnie za łokieć i prawie siłą ściągając z krzesła.

- Jak mogłeś jej na coś takiego pozwolić?! - napadłam na niego, gdy tylko znaleźliśmy się w przedpokoju.

- Ja tylko starałem się zminimalizować szkody - powiedział spokojnie Czarek, ignorując moje zarzuty. - Kiedy zabrałem ją od tej staruszki, stwierdziła, że po lekcjach wybiera się na polowanie na antyki. Opętało ją po prostu i szczerze mówiąc, nie miałem pomysłu, jak ją od tego odwieść. Nawet nie bardzo wiem, czy to w ogóle było możliwe. W każdym razie wypytałem ją, o której kończy zajęcia, odwołałem pacjentów i pojechałem po nią pod szkołę...

- Po co? Było do mnie zadzwonić. Jej niepotrzebna była asysta, tylko nakaz, tfu, zakaz...

- Majka, przecież wiesz, że to by nic nie dało. Najwyżej zrobiłaby to za naszymi plecami - stwierdził Czarek, a ja niechętnie bo niechętnie, ale musiałam przyznać mu rację. - Dlatego pojechałem po nią i przekonałem, że nie wiadomo, co uda jej się zdobyć, więc może przyda jej się samochód, i wywozłem ją prawie sześćdziesiąt kilometrów od Malowniczego. Argumentowałem to tym, że tam znajdzie więcej starych chałup. Jest szansa, że w takiej odległości nikt jej nie skojarzy...

- Taaa, wychodzi na to, że w promieniu sześćdziesięciu kilometrów jestem bezpieczna. Ja jej dam rodowe dziedzictwo! Będzie w weekend sprzątała strych, tam jest dostatek i dziedzictwa, i staroci! Czarek, a jak jej jednak nie przejdzie? I ruszy na poszukiwanie w Malowniczem? Przecież jej nie upilnujemy! - Z rozpędu użyłam liczby mnogiej.

- Rozmawiałem już z nią. Nie musisz się denerwować. Umówiliśmy się, że co drugi weekend będziemy jeździć na bazyliki staroci. Ogromnie jej się ten pomysł spodobał. A swoją drogą ludzie bardzo jej współczuli. - Czarek, widząc moją minę, z trudem powstrzymał śmiech. - Sprzedawali te rzeczy za grosze. Niektórzy dorzucali nawet co nieco za darmo. Jedna starsza pani podarowała jej plik zdjęć, bo stwierdziła, że na nową drogę życia z korzeniami przyda jej się też porządna rodzina. - Tutaj nie zdzierzył i wesoło się zaśmiał. - Masz więc, moja droga, całkiem nowych przodków.

- Cha, cha, bardzo zabawne - mruknęłam. - A już tak na serio, dziękuję ci. Malownicze miałyby o czym opowiadać, gdybyś w porę Mańki nie powstrzymał.

- Proszę bardzo, polecam się na przyszłość. Rozumiem, że już wszystko wiesz i możemy wrócić do kuchni?

- A co ci tak spieszno? - rzuciłam kąśliwie, z niechęcią przypominając sobie o wdzięczącej się Paulince.

- Bo napiłbym się herbaty i na spokojnie obejrzał zdobycze Marysi. No i masz gościa, chyba dobrze by było, gdybyś tam wróciła... Ta wasza koleżanka przyjechała z Warszawy?

- Tak, zamierza tu polować na męża. Więc jeżeli jesteś zainteresowany...

- Ona zupełnie nie jest w moim typie. W ogóle ostatnio w moim typie jest tylko jedna kobieta. Aż się trochę tym martwię. Ale tu poluje na męża? Dziwne... Przecież Malownicze nie obfituje w kawalerów.

- Paulina wybrała dość nietypowy sposób. Jak zrozumiałam, umówiła się hurtowo z wszystkimi wolnymi i zainteresowanymi facetami z dalszej i bliższej okolicy. Znając ją, ty i pan Miodek też zostaliście już włączeni do grona potencjalnych zdobywczy.

- Cóż ja ci mogę na to odpowiedzieć... Chyba tyle, że w tym cały jest ambaras, żeby dwoje chciało naraz. Ale tak czy inaczej bardzo ją lubię.

- O, no proszę! Najpierw nie w moim typie, a teraz taka sympatia od pierwszego wejrzenia, nic tylko pogratulować - mruknęłam jadownicę i oczami wyobraźni ujrzałam termometr, na którym słupek pokazujący poziom mojej agresji gwałtownie skoczył ku górze i wybuchł.

- Bardzo ją lubię - potwierdził szeptem weterynarz, przybliżając usta do mojego ucha - bo nareszcie widzę, że jesteś zazdrosna. A to daje mi nadzieję, że jednak nie jestem ci tak całkiem obojętny - dokończył, patrząc mi czule w oczy, a potem odwrócił się i jak gdyby nigdy nic poszedł do kuchni, gdzie Jagoda zabiła wzrokiem Paulinę wypróbującą cały swój uwodzicielski repertuar na rozbawionym panu Miodku, nieświadoma niczego Marysia podziwiała świeżo nabyte rodowe dziedzictwo, a ignorowany przez wszystkich czajnik wypluwał kłęby pary, wydając z siebie charakterystyczne odgłosy przywodzące na myśl miłe rodzinne ciepło. Jakoś tak dziwnie rozczulona podeszłam do kuchenki, zagarniając po drodze wściekłą Jagodę.

- Czy ty widzisz to samo co ja? - wycodziła, usiłując równocześnie wyjmować z szafki kubki i nie tracić z oczu towarzystwa przy stole. Skutkowało to tym, że jej szyja wyginała się pod przedziwnymi kątami, grożącymi na mój gust skrzyśnięciem karku. - Ona po prostu bezczelnie go rwie!

- Jak to Paulina - odszepnęłam. - Tyle że to, co w liceum działało bez zarzutu, teraz jest... no cóż, żałosne. Nie wiem, co ty tam zobaczyłaś, bo ja widzę jedynie polującą ryczącą rozwódkę i facetów, którzy traktują ją z pobłażaniem, nie mylić z zainteresowaniem. Zresztą zobacz - dodałam, obserwując scenę przy stole kątem oka - teraz przerzuciła się na Czarka.

Rzeczywiście, nie mogąc zainteresować swoją osobą pana Floriana, Paulina postanowiła skoncentrować się na weterynarzu, ale ku mojemu zadowoleniu wyraźnie przegrywała ze zdobycami Marysi, którym Czarek poświęcił całą uwagę.

- A wiesz co, mam dla niej odpowiedniego kandydata - z udawaną powagą zwróciłam się do Jagody.

- Oświeć mnie kogo, to może uda mi się tu przywlec nieszczęśnika i rzucić go na pożarcie tej krwiożerczej harpii - mruknęła Jagoda. - I to szybko, bo w innym wypadku obleję larwę gorącą herbatą. Ostatecznie kubek może mi się zawsze chybnąć, szczególnie jak jestem zdenerwowana - zakończyła ponuro. Widać u niej ziarenko morderczych instynktów również się zmaterializowało.

- Daj spokój z rozlewaniem wrzątku, zamiast tego trzeba przygotować piąta. - Zachichotałam, chowając twarz za jej plecami. - Pamiętasz, Paula zarzucała swojemu mężowi, że nie mogła go nigdy zlokalizować, miała tylko leżeć i pachnieć, to myślę, że potrzebne jest jej zupełne przeciwieństwo Darka. I ja mam idealnego kandydata. Pana Miecia - dokończyłam, dusząc się od powstrzymanego śmiechu.

- Naszego pana Miecia? - upewniła się Jagoda i zawtórowała mi stłumionym chichotem.

- A co? Zły wybór? Obiecuj mu pięć złotych, przygna tu jak na skrzydłach. I popatrz, pan Micio nie pracuje, więc pracoholizm odpada, tkwi cały dzień w jednym miejscu, na posterunku przed monop-

lowym, więc trudno go nie zlokalizować, no i nie wygląda na kogoś, kto pozwoliłby swej połowicy tylko leżeć. Już nie mówiąc o pachnieniu, bo pan Miecio jest jego przeciwieństwem i należy wnioskować, że nie gustuje w perfumie. - Rozbawiłam się na dobre.

- Ale tak na serio... - Jagoda spoważniała i popatrzyła na towarzystwo przy stole. - Jak my z nią wytrzymamy przez dwa tygodnie? No i jednak niepokoi mnie to jej wdziękowanie się... - Tu moja przyjaciółka potężnie westchnęła.

Usiłowałam znaleźć sposób na uspokojenie jej, jednocześnie nie zdradzając tego, co stało się w przedpokoju. Bo słowa Czarka uświadomiły mi, że przecież ani on, ani pan Florek nie są dziećmi, nie polecą z miejsca na ładną buzię i zgrabne nogi. Już nieraz okazali się dojrzały i odpowiedzialni, zapewne stanowili niezwykły skarb w świecie, gdzie podobni mężczyźni zwykle już nie występowały w stanie wolnym. Zamierzałam jej to wszystko w miarę jasno wyłożyć, gdy niespodziewanie ubiegł mnie pan Florian.

- A ppani tto coś jjest w oczy? - zapytał Paulinę niby niewinnie. - Tttak dziwnie ppani mruga... Mmmoże trzeba pójść ddo okulisty?

- O tak, z kłopotami ze wzrokiem nie ma żartów - dołączył się Czarek. - A pani rzeczywiście oczy tak niepokojąco latają...

- La-ta-ja?! - wydukała oburzona Paulina.

- No i jakby były trochę wytrzeszczone - dodała niespodziewanie Marysia, która do tej pory wyglądała na zupełnie wyalienowaną i nieobecną duchowo. - Aha, i radziłabym włożyć spodnie. I zaopatrzyć się w walonki - dodało moje dziecko. - Jak śnieg jeszcze trochę popada, to w tych kozaczkach będzie pani zjeżdżała na czterech literach jak się patrzy!

- Walonki? Wyście pogłupieli! Czy ja wyglądam na kogoś, kto nosi walonki? Albo ma kłopoty z oczami? - wściekła się Paulina. - Dziewczyny, czemu nic nie mówicie?

- A co mamy mówić? - Jagoda niespodziewanie odzyskała wspaniały humor. - Rzeczywiście mrugasz i mrugasz, jakby ci coś było, a co do spodni i walonek, no cóż...

- Jesteś, kochana, w górach - dołączyłam się, przybierając ton z cyklu „ciocia dobra rada”. - Naprawdę w tych kozaczkach daleko nie zajdziesz, tfu, nie dojdiesz, bo jechać to będziesz z całą pewnością, tyle że nie na nogach. Buty turystyczne sobie kup i grube skarpety - poradziłam jej, stawiając na wolnym skrawku stołu kubki z gorącą herbatą.

- No wiecie! Przecież mówiłam wam, po co przyjechałam! Buty turystyczne, skarpety? Majka, nie załamuj mnie, nie każdy chce doprowadzić się do takiego stanu jak ty! Nic dziwnego, że wy nadal same tu siedzicie. - Tu, zdając sobie sprawę, że minęła się z rzeczywistością, skonsternowana zerknęła na obu panów. - Jak się jest samotną kobietą, trzeba o sobie dbać, nie bacząc na koszty - dodała z rozpędu.

- Paulina, gdybym cię nie znała, pomyślałabym, że przemawia przez ciebie desperacja - powiedziałam spokojnie.

- Poza tym trzeba odróżnić dbałość od głupoty - wtrąciła rozsądnie Marysia, a ja jak zwykle w takich momentach zdziwiłam się, że mam taką mądrą i lojalną córkę. - Żadne buty nie są warte połamanych nóg - stwierdziła sentencjonalnie, nawet nie podnosząc oczu znad pliku starych fotografii.

- Wiecie co? Straciłam ochotę na herbatę! Może mi ktoś pokazać mój pokój? - Paulina poderwała się od stołu z furią wypisaną na starannie umalowanej twarzy.

- Ja panią zaprowadzę. - Marysia wstała i położyła mi dłoń na ramieniu. - Mamo, do którego?

- Do trójki - zdecydowałam.

Patrzyłam na rozeźloną Paulinę ze współczuciem. Nie zazdrościłam jej ani trochę. Kobieta po prostu się jest, a nie na siłę udowadnia to sobie, wkładając najwyższe szpilki świata, pomyślałam. Sięgnęłam po odłożone przez Manię zdjęcia. Spoglądały z nich nieznanne twarze moich nowych przodków, którzy zapewne kiedyś też kochali, zdradzali i mieli zwykle, najnormalniejsze w świecie problemy.

- Nadal jesteś pewna, że te dwa tygodnie szybko miną? - przerwała ciszę Jagoda

- Jasne. Mamy tyle zajęć, zaraz zaczną się przygotowania do wigilii, stale będzie się tu ktoś kręcił, nie będzie czasu na szczególne zainteresowanie Pauliną, a ona kwitnie tylko wtedy, gdy jest w centrum uwagi.

- A mmmnie cały czas nurtuje jjjjedna sprawa - w zamyśleniu odezwał się pan Miodek. - Jak ona mmmoże chchchodźić na tttych obcasach? Jjja bym z całą pewnością nnnogi połamał.

- Fakt, wyglądała jak na szudłach - stwierdził Czarek, a ja pomyślałam, że jednak są na świecie mądrzy mężczyźni. - Ale trzeba przyznać, że nogi ma niezłe - dodał, natychmiast niwecząc moją świeżo nabytą wiarę.

Widać z Jagodą miałyśmy podobne myśli, bo popatrzyłyśmy na siebie wymownie. Jednak facet to facet, nic tego nie zmieni. Chyba jednak powinnam kupić sobie nowe kozaczki, pomyślałam. I może sweter. O ile oczywiście uda mi się uwolnić od szopkowej kłatwy i nie stracę pracy. Bo w innym wypadku o nowych ciuchach będę mogła jedynie pomarzyć. Albo uwierzyć na powrót w Świętego Mikołaja. Jak mawiają, wiara czyni cuda, więc może i materializuje szczodrych świętych. Tak czy inaczej miałam nadzieję, że nie będę musiała na własnej skórze przekonać się o prawdziwości tej tezy, bo obawiałam się, że aż tak wielkiej i przekonującej wiary nie uda mi się wypracować ani teraz, ani w ciągu kolejnych dwóch tygodni. Jednak stanowczo wolałam polegać na własnej pensji i koncie w banku niż na Świętym Mikołaju, który miał nadwagę, wyjadał ciasteczka spod choinki i co najważniejsze, nie istniał. Ktoś, kto nie istnieje, a pomimo to wyżera słodkości spod bożonarodzeniowego drzewka, jest podwójnie niebezpieczny, więc najrozsądniej było nie tracić pracy i mieć wszystko pod kontrolą. Łącznie z nowymi kozaczkami, sweterkami i choinkowymi prezentami.

Następnego dnia Jagoda przezornie poprosiła pana Floriana o pomoc w gabinecie.

- Zamek mi się zacina i w końcu kiedyś nie wejdę albo nie wyjdę - stwierdziła, poprawiając coś przy bucie. - Mógłbyś mi pomóc, Florku?

- Pppewnie, czemu nie mówiłaś wcześniej? - zdziwił się naiwnie pan Miodek. - Pppójdę się ubrać.

- No, moja droga, dużo będziesz musiała wymyślić tych usterek na dwa tygodnie - prychnęłam, gdy tylko pszczelarz zniknął mi z pola widzenia.

- Już ty się nie martw, mam niebywałą inwencję, zwłaszcza jak czuję się zagrożona. Przeworny zawsze ubezpieczony - stwierdziła z wyższością Jagoda. - Dopóki ona tu będzie, trzeba wzmóc czujność! A tak z innej beczki, Marysi już przeszła nadopiekuńczość?

- A skąd! Na całe szczęście dziś zwyczajnie zasnęła. Wprawdzie przed chwilą wpadła do kuchni w krzywo zapiętym szlafroku i półprzytomna, pytając, czy sobie dam radę, ale zapewniłam ją, że przez tyle lat ogarniałam jakoś poranne czynności, to może i teraz temu podołam. Szczerze mówiąc, sama wyglądała na kogoś, komu trzeba pomóc. Jak tylko się skończy ta kołomyja szopkowa, pogadam z nią i spróbuję dojść do sedna sprawy. Poza tym nasza Paulinka już wstała i była bardzo zdziwiona, że nie podajemy śniadania. Powiedziałam jej, że nie oferujemy wyżywienia. I pomyśleć, że w pierwszym momencie chciałam ją przemieszkać za darmo! Dobrze, że tak nalegała, przynajmniej finansowo coś zyskamy. Swoją drogą nie pamiętam, żeby dawniej była tak wkurzająca, widać ludzie się zmieniają. Ciekawe, czy ona myśli o nas tak samo.

- Ha, to całkiem prawdopodobne, miejmy nadzieję, że odwali te swoje randki w miarę szybko i pojedzie gnębić kogoś innego w innym miejscu.

- Wiesz, mnie nawet jej żal, chyba jest po prostu samotna...

- Majka, jesteś niereformowalna! Ja już to przerabiałam z Klaudiuszem i jak widzisz, współczucie dla miłych, młodziutkich i niewątpliwie samotnych paryżanek nie wyszło mi na dobre. Zapamiętaj moje słowa i trzymaj weterynarza z daleka od Uroczyska. A teraz uciekam, bo pacjenci czekają. Podrzucić cię do rynku?

- Podrzucić - zgodziłam się, patrząc na padający za oknem śnieg. - Chyba się złamię i na wiosnę zrobię prawo jazdy. Szczególnie w zimie odczuwam dużą chęć kierowania ciepłym, suchym samochodem.

- I ta chęć szczególnie opuszcza cię wraz z wiosną. Osobiście nie wierzę, że kiedykolwiek zobaczę cię za kierownicą. Chodź, marudo, zawiozę cię pod samą szkołę. Nie wiesz, gdzie podziewa się pszczelarz? A mówią, że kobiety się długo szykują!

Jak się okazało, ociągający się pszczelarz od dobrych pięciu minut siedział już za kierownicą samochodu i spokojnie na nas czekał. I tak po raz pierwszy od niepamiętnych czasów byłam w szkole sporo przed zajęciami. W pierwszym momencie miałam zamiar sprawdzić, jak się miewa moje szopkowe stanowisko, ale potem pomyślałam, że będzie wyglądało dość podejrzanie, gdy mnie ktoś tam zobaczy. I tak, skręcana ciekawością i niepokojem, dzielnie ominęłam hol z szopkami, nawet nie zerkając w ich kierunku. Poszłam prosto do pokoju nauczycielskiego, gdzie ku swojemu zdziwieniu zastałam Helenkę.

- A co ty tu robisz tak wcześnie? - zapytałam, z automatu zniżając głos do szeptu.

- Raczej ja powinnam cię o to zapytać. Przecież to ty się zwykle spóźniasz - wytknęła mi, skądinąd słusznie, Helenka.

- A bo mnie dzisiaj podwieźli. Nie wiesz, jak tam nasz plan? - zapytałam prawie że bezgłośnie, z obawą zerkając na zamknięte drzwi.

- Nie widziałaś? - odszepnęła Helenka, robiąc wielkie oczy. - Ja specjalnie przyszedłam tak wcześnie, żeby zerknąć.

- I co?

- Ruiny i zgliszcza - mruknęła. - No i co z tą kawą? - ryknęła zniecierpliwiona, a ja z wrażenia prawie spadłam z krzesła.

- Co tak wrzeszczysz? - zapytałam zniesmaczona. - Przecież...

- Przecież to oczywiste, że pan Karol też na pewno się napije - przerwała mi z uśmiechem przyklejonym do ust. - Prawda?

- A bardzo dziękuję, pani Helenko - odezwał się za moimi plecami pan Karol, który był nauczycielem fizyki i jednocześnie jednym z Brutusów wśród naszego nauczycielskiego grona. - Bardzo pani miła.

- To ja zrobię - zaoferowałam się, dochodząc do wniosku, że będzie lepiej, jak się czymś zajmę.

I tak poranek upływał sobie spokojnie, ja parzyłam kawę, a pokój zapełniał się powoli nauczycielami. W końcu pojawił się również wuefista Michał i z miejsca zaczął do mnie i Helenki robić znaczące miny.

- A co pan tak się dziwnie marszczy? - zainteresował się wszędobylski Karol, przyglądając się Michałowi nieufnie.

- Strasznie mnie bolą zęby. - Wuefista wykonał na jego użytek kilka potwornych grymasów.

- O, to dentysta się kłania. Szczerze współczuję, nienawidzę wizyt u dentysty - dodał fizyk i uśmiechnął się, pokazując z lekka poźółkłe przednie uzębienie.

- Ja też! - zareagował z lekkim opóźnieniem wuefista Michał, bo w międzyczasie usiłował coś mi przekazać, używając jedynie ruchu warg. Niestety nic z tego nie wyszło poza tym, że dostałam wytrzeszczu od wpatrywania się w jego usta.

- A pani, pani Maju, co się tak na biednego człowieka gapi? - Karol widać postanowił wystąpić w roli obrońcy uciśnionych. - Może to i interesująco wygląda, ale trochę kultury, koleżanko, trochę kultury - zbeształ mnie, a Michał, patrząc na moją zdumioną minę, o mało co się nie udusił od powstrzymanego śmiechu.

- No to ja pójdę do swojego kantorku przy szatniach - poinformował nas wuefista. - Do kantorku - powtórzył z naciskiem i zniknął za drzwiami.

Po chwili razem z Helenką wymknęłyśmy się na korytarz i pognałyśmy pod salę gimnastyczną.

- Nareszcie - ucieszył się Michał na nasz widok. - Już myślałam, że nie dotrzecie. Jak wam się podoba efekt?

- Rzeczywiście robi wrażenie - mruknęła ze śmiechem Helenka.

- A ja, niestety, nie widziałam - przyznałam z żalem.

- Nie chciałam się tam kręcić, żeby nie ściągać na siebie podejrzeń.

- Może i słusznie. Dobra, pamiętajcie, żeby przy dyrektorze przekonująco labidzić. Majka, ty się możesz nawet trochę wkurzyć, to będzie naturalniej wyglądało. A teraz, moje drogie, rozchodzimy się i czekamy.

- Moment! Skoro wczoraj stanowisko jeszcze było, to czemu kazałam zanieść szopkę do domu? Przecież nie mogłam wiedzieć, że ktoś je zniszczy. - Z przerażeniem odkryłam nieściskość w naszym cudownym planie.

- Nic się nie martw, wszystko załatwione, to również. Nie ma czasu na wyjaśnienia. - Michał machnął na nas ręką, jakby odpędzał się od natrętnych much. - No, idźcie już, żeby nie spóźnić się na lekcję. Nie należy własnoręcznie wkładać wrogowi miecza do ręki.

Z tymi słowami brzmiącymi w uszach ruszyłam do klasy, skąd prawie natychmiast zostałam wywołana przez zdenerwowaną panią dyrektor, która łapiąc się za głowę, poprowadziła mnie do miejsca, gdzie jeszcze wczoraj stało podium na moją szopkę, a dziś leżała żalosna kupka połamanych desek. Poza tym wokół zgromadziło się kilku pracowników szkoły, pośród których już z daleka rozpoznałam potężną postać Alicji Łagody. Nawet nie wiem, kiedy i jak tuż za mną zmaterializowała się Helenka i krzepiąco uścisnęła mi rękę. Niestety, zbliżając się do miejsca zbrodni, czułam, jak panika bierze nade mną górę, i patrząc na połamane deski, zamiast pomstować na chuliganów, milczałam, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

- O Matko Boska! Co za bestialstwo! - Helenka nie miała problemów z wypowiedzeniem swojej kwestii. Jak na mój gust nawet trochę przeholowała.

- I co pani na to powie? - zwróciła się do mnie dyrektorka.

Ja, nadal czując rosnącą w gardle ogromną gulę, tylko pokręciłam głową, wymyślając sobie w duchu od najgorszych, przekonana, że zawałam cały misterny plan.

- I nie dziwię się wcale się pani, pani Maju, nie dziwię. Mnie też w pierwszym momencie głos odjęło, jak zobaczyłam, do czego zdolni są nasi uczniowie. To się zdarzyło po raz pierwszy w historii naszej szkoły. Wystarczy, że tylko na moment opuszczę gabinet, a już myk i myszy harczą! Nie muszę chyba nikomu mówić, że trzeba zrobić wszystko, by wykryć i ukarać sprawców! - Dyrektorka zapalała się coraz bardziej. - A pani niech się nie martwi. Oczywiście odbudujemy stanowisko, a szopkę... No właśnie, gdzie jest szopka?

Zmiękły mi nogi. Zachciałaś konspiracji, to masz! - pomyślałam w panice, usiłując coś wymyślić. Niestety, w głowie miałam żenującą pustkę. I gdy myślałam, że oto pogrążyłam się zupełnie, wybawienie nadeszło z całkiem nieoczekiwanego kierunku.

- Szopkę kazałam Ani odnieść do domu - odezwała się spokojnie Alicja Łagoda. - Widziałam, co się tutaj nawywijało, to po co miał być jeszcze kłopot z makietą?

- Aaa... To może i dobrze. - Dyrektorka zdjęła wreszcie ze mnie świdrujące spojrzenie, a ja poczułam, że gula z gardła znika i wraca mi mowa.

- I co teraz będzie? - zapytałam zdenerwowana. Dzięki Bogu, przynajmniej tego nie musiałam udawać. Nerwy całkiem autentycznie miałam napięte do ostateczności. Zresztą pytanie też było dobre. Głęboko mnie zastanawiało, co będzie dalej.

- No jak to co? - wtrącił się wuefista Michał i ku mojemu przerażeniu puścił do mnie oko. - Postawimy nowe. Najwyżej szopkę pokażesz dopiero jutro...

- Jak to jutro? - Zaniepokojona pani dyrektor zmarszczyła brwi. - Przecież jutro jest konkurs...

- Oczywiście jeszcze przed konkursem, ale, pani dyrektor, nie sądzę, żeby udało się to zrobić na dzisiaj... Przecież mamy zajęcia, trzeba jeszcze kupić materiały, bo te, co były, to już wyszły. Zresztą nie wiem, jak ty uważasz, Robert? - Michał zwrócił się do swojego kolegi, wuefisty numer dwa.

- Niestety, możesz mieć rację. - Robert rozłożył ręce. Dyrektorka głośno przełknęła ślinę.

- Trudno - powiedziała i zacisnęła usta. - Mam tylko nadzieję, że winni zostaną ukarani - dodała z ciężkim westchnieniem.

- Z całą pewnością - zapewnił ją obłudnie Michał, który na mój gust powinien się przekwalifikować i zostać aktorem. - Złapiemy drani! - dorzucił jeszcze z przekonaniem.

Szepnęłam do Helenki, że za te kłamstwa usmażymy się w piekle na skwarki.

- Nawet jeżeli, będziemy skwierczeć w dobrym towarzystwie - odszepnęła mi optymistka Helenka i widząc na sobie wzrok pani dyrektor, natychmiast zrobiła zasepioną minę.

Po raz kolejny podziękowałam mojej dobrej gwiazdzie za bliskich mi ludzi. Za przyjaciół i za rodzinę, za tych, którzy już byli koło mnie, i tych, którzy się dopiero pojawiają. Podziękowałam nawet za dyrektorkę, bo dzięki takim ludziom jak ona okazywało się, że mamy przyjaciół. Rzeczywiście Helenka miała rację, grunt to dobre towarzystwo, pomyślałam i po raz pierwszy na myśl o jutrzejszym dniu nie poczułam panicznego przerażenia. Ostatecznie to tylko szopka, powiedziałam sobie. I nie będę z tym sama. I miałam nadzieję, że takiego nastawienia starczy mi aż do jutrzejszego popołudnia, kiedy to, co najgorsze, będę miała już za sobą. Ba, skrycie marzyłam, by została go choć odrobinka na wieczór i mała krzynka na resztę życia.

Następnego dnia dotarłam do szkoły na ostatni moment, tak jak to wcześniej było ustalone. Pani dyrektor zdenerwowana czekała na mnie przy drzwiach wejściowych.

- Nareszcie pani jest! Pierwsi goście już przyszli, burmistrz właśnie przyjechał, a pani szopki nie ma! Przecież miała pani dotrzeć tu wcześniej!

- Tak, wiem, zaraz wszystkiego dopilnuję - zapewniłam ją i pobiegłam do szatni, gdzie w kantorku czekała Alicja Łagoda z szopką.

- Powodzenia, moje dziecko. - Wręczyła mi wielki zakryty pakunek. - A swoją drogą to ja już powiedziałam tej twojej klasie do słuchu. Nie to, żebym miała coś przeciwko nowemu podejściu, ale mogliby czasami pomyśleć o konsekwencjach, jakie ty poniesiesz. Chyba co nieco do nich dotarło, szkoda tylko, że nie wcześniej - westchnęła, a ja poczułam wdzięczność, że nie użyła zwrotu „za późno”, który zapewne byłby bardziej adekwatny.

- Pani Alicjo, to tylko dzieciaki. I ogólnie rzecz biorąc, nic złego nie zrobiły. Wręcz trzeba je pochwalić za oryginalność. Wprawdzie praca jest trochę szokująca, ale pionierzy nigdy nie mieli łatwo...

- Jacy tam pionierzy! Powyglupiać im się zachciało i zagrać dyrektorce na nosie. Trzeba nazywać rzeczy po imieniu. W każdym razie już usłyszeli ode mnie całą prawdę! I należało im się. Ale biegnij już, dziecko, miejmy to za sobą. Ja też zaraz przyjdę. W końcu nie może mnie ominąć chwila, gdy dyrektorka pięknie ze złości. - Z ogromnej piersi Alicji wydobyło się coś na kształt ironicznego chichotu.

Nie ma to jak podtrzymanie na duchu, stwierdziłam ponuro, targając szopkę na górę, gdzie natychmiast została mi odebrana przez Michała i pieczołowicie umieszczona na nowiutkim podium. Ledwo stanęła, natychmiast wzbudziła zainteresowanie burmistrza, za którym krok w krok podążała dyrektorka. No cóż, za jednym zamachem będę miała z głowy honorowego gościa i bezpośrednią przełożoną, stwierdziłam i ze straceńczą odwagą stanęłam tuż przy dziele mojej klasy.

- A to jest właśnie wychowawczyni trzeciej B, Maja Woroniewska - z nerwowym uśmiechem przedstawiła mnie dyrektorka.

Gdy wymieniałam z burmistrzem powitalny uścisk dłoni, ona zerknęła na moją szopkę i natychmiast jej twarz przybrała kamienny wyraz. Biały kamienny wyraz, mówiąc precyzyjnie.

- Bardzo mi miło - powiedziałam słabo do burmistrza, z niepokojem obserwując, jak twarz pani dyrektor z białej przechodzi co chwila w inną barwę.

- Pani szopka bardzo wyróżnia się wśród innych - rzekł burmistrz, jakbym sama o tym nie wiedziała. - Bardzo interesujący pomysł - dodał i zagłębił się w opis wyjaśniający zawile znaczenie postaci, z czego natychmiast skorzystała dyrektorka.

- Co to ma znaczyć? - wycodziła kątem ust, jednocześnie usiłując powlec mnie za łokieć poza zasięg szopkowych gości, ale ja stanowczo nie dałam się ruszyć z miejsca. W tłumie byłam względnie bezpieczna. Dyrektorka, nie mogąc pokonać mojego oporu, postanowiła mimo wszystko wyjaśnić sytuację, a przynajmniej dać gościom do zrozumienia, że ona osobiście nie ma z szopką trzeciej B nic wspólnego. - Pani Maju, co to jest? - zapytała wobec tego głośno, z groźbą w głosie. - Panie burmistrzu, przejdźmy dalej, zaraz wykluczemy tę pracę z konkursu, to jakaś pomyłka - zwróciła się z paniką do dostojnego gościa, który właśnie serdecznie się śmiał, oglądając z uwagą trzech królów akuszerów.

- Dlaczego? - zapytał, ze zdziwieniem unosząc brwi. - To doskonała odmiana - dodał, uśmiechając się do mnie szelmowsko. - Gratuluję i szopki, i odwagi. - Jeszcze raz ścisnął mi rękę.

W tej samej chwili na korytarzu pojawiło się stadko starszych pań, na których przedzie kroczyła elegancko ubrana Leontyna. Na ich widok dyrektorka zbladła, poczerwieniała i znowu zbladła, a ja przestałam z tego cokolwiek rozumieć.

- No po prostu sodoma i gomora - zaszepotała pani dyrektor, machinalnie chwytając burmistrza za rękaw idealnie odprasowanego garnituru i mnąc go nerwowo. - Tylko tego mi brakowało!

- Ale czego? - dopytywał się burmistrz, usiłując bezskutecznie wyswobodzić rękaw z jej żelaznego uścisku. Widać było na pierwszy rzut oka, że nie przywykł do tak brutalnego traktowania swej burmistrzowskiej garderoby.

- Przecież to tylko miłe mieszkanki naszego miasta...

- Miłe, miłe! - sarknęła dyrektorka. - Może i miłe, lecz ciekawe, co sobie o nas pomyśli proboszcz, jak mu o wszystkim opowiedzą... A widzicie tego pana, który idzie za nimi? Nie mam pojęcia, skąd tu się wziął, jest z kuratorium - ciągnęła spanikowana, usiłując własnym ciałem zasłonić sobą swoją szopkę. Efekt jednak osiągnęła odwrotny od zamierzonego, bo miotając się jak oszalała, przyciągała uwagę wszystkich obecnych. - Ja tego tak nie zostawię, pani Maju! Żarty się skończyły! - rzuciła jeszcze w swoją stronę i przywołując na twarz uśmiech, odwróciła się ku nadchodzącej pani Leontynie i jej świcie.

Nie zdążyła nic powiedzieć, bo staruszki obiegiły swoją szopkę, zupełnie nie zwracając uwagi ani na dyrektorkę, ani na burmistrza.

- To ta? - upewniła się jedna z nich scenicznym szeptem, zwracając się do pani Leontyny i, otrzymawszy potwierdzenie, nałożyła na nos okulary.

- Co za rozmach! - powiedziała inna siwiutka staruszka, przepychając się do przodu i bezceremonialnie odsuwając dyrektorkę na bok.

- I wyobraźnia - dodała kolejna, rumiana i okrągła.

- Po prostu niesamowita! - zakrzyknęła z entuzjazmem.

Dotarło do mnie. Pani Leontyna zrobiła to, o czym mówiła: nie poddała się i przysłała mi z odsieczą. Ale jeżeli myślałam, że to wszystko, na co stać moją znajomą, grubo się myliłam. Otóż stojąc i z zakłopotaniem przyjmując nawet gratulacji dla siebie i klasy, zupełnie zapomniałam o członku kuratorium, który nagle zmaterializował się przede mną i z dużym skupieniem obejrzał szopkę, interesując się szczególnie przechodzonym chomikiem i gapowatą Marią. Pani dyrektor, która chciał nie chciał musiała zająć się innymi gośćmi, widząc jego zainteresowanie, podążyła w naszym kierunku szybkim truchcikiem, nie omieszkawszy przy okazji posłać mi morderczego spojrzenia. I o ile do tej pory miałam jeszcze nikłą nadzieję, że cała sprawa rozejdzie się po kościach, teraz dotarło do mnie, że właśnie otrzymałam wypowiedzenie. Chwilowo tylko wzrokowe, ale byłam pewna, że jutro dostanę jego bardziej materialną formę.

- Hm, hm - mrucał zagadkowo pan z kuratorium.

Stwierdziłam, że zaraz nie wytrzymam i zacznę krzyczeć. Ewentualnie zemdleję. W tym samym momencie tuż koło mnie pojawiła się pani Leontyna.

- No i co? Widzę, że twoja szopka wzbudza spore zainteresowanie - szepnęła z jakimś dziwnym uśmiechem. - Mówiłam ci, że nie można się poddawać. Wszystkie moje znajome staną za tobą murem.

- Dziękuję! - odszepnęłam. - Naprawdę pani dziękuję.

Cały czas z niepokojem obserwowałam faceta z kuratorium. Zafascynowany poruszył kółkiem, w którym zamknięty był szopkowy chomik. Kółko się przekreśliło, ukazując łyse podbrzusze gryzonia. Zrobiło mi się słabo.

- Yyy... - jęknęłam zrozpaczona, bo w stanie, w jakim się znajdowałam, na nic innego nie mogłam się zdobyć.

- A co ty tak zbladłaś? - zaniepokoiła się Leontyna i poklepała mnie po ręce. - Władek, podaj pani szklanek wody - zwróciła się wprost do faceta z kuratorium.

- A nie, nie trzeba - z trudem wydobyłam głos. - Niech pan sobie nie przeszkadza...

- Jeszcze się nie poznaliście? - Leontyna zdziwiła się teatralnie. - Władku, to jest pani Maja, o której ci opowiadałam, a to, Maju, jest Władeczek, czyli Władysław Łom, syn mojej serdecznej przyjaciółki.

Ze zdziwienia otworzyłam usta.

- Pani znajomy? - powtórzyłam tępo.

- No tak. Jak ci mówiłam, nie ma sytuacji bez wyjścia, a nawet jeżeli... - tu przerwała i znacząco pokiwała głową.

- Pani Leontyno, pani jest niesamowita - mruknęłam tylko, bo w tym momencie dotarła do nas dyrektorka.

- Właśnie przyjechała pani Lilka, przedstawicielka prasy - powiedziała w przestrzeń, ignorując stojącą koło mnie staruszkę. - Na razie zajęła się pracami z przodu, niech pani to wykorzysta i natychmiast usunie to szkaradztwo. Może unikniemy całkowitej kompromitacji...

- A o czym pani mówi? - zainteresowała się uprzejmie Leontyna. - Bo jeżeli o tej szopce, stanowczo nie zgadzamy się na jej usunięcie. To wbrew regulaminowi. Zawsze mieszkańcy Malowniczego mogli decydować, które szopki wygrywają, i nie można tego zmieniać, to niedemokratyczne.

Jakby ktoś machnął czarodziejską różdżką - pojawiły się wszystkie staruszki, do tej pory rozpierschnięte po całym korytarzu, i obstały zbitą z tropu dyrektorkę.

- Proszę zrozumieć... - Moja przełożona pod naporem znajomych Leontyny lekko się cofnęła. - To może być źle postrzegane. Niech pan wytłumaczy tym paniom, jak to wygląda - skapitulowała w końcu i zwróciła się po pomoc do pana Łoma.

- Ależ tu nie ma czego tłumaczyć. - Pan Władysław obrzucił dyrektorkę wzrokiem pełnym potępienia. - Szczerze mówiąc, dziwię się pani. Jak można chcieć usuwać czyjąś pracę tylko dlatego, że jest inna? Niemożliwe, żeby osoba zajmująca pani stanowisko miała takie podejście, na pewno zdenerwowanie tak na panią wpływa...

- No cóż, rzeczywiście nerwy... - Pani dyrektor roześmiała się histerycznie.

Spostrzegłam za jej plecami kilku moich uczniów przepychających się w moją stronę.

- A co wy tu robicie? - zaszeptałam, gdy stanęli obok mnie.

- Zapewniamy wsparcie - odszepnął Krystian.

- To nie w porządku, żeby pani z tym została sama i zbierała za nas cięgi - dodał Filip.

Zobaczyłam, jak Alicja Łagoda z aprobatą kiwa głową. A więc pogadanka dała rezultaty, pomyślałam. Uśmiechnęłam się i do niej, i do wszystkich staruszek, i do pana z kuratorium, przy którego pomocy Leontyna wybiła dodatkowe wyjście, i do całego szkolnego świata, nie wyłączając nawet dyrektorki, która

wzięta z zaskoczenia, chyba automatycznie ten uśmiech mi oddała. A może ona nie jest wcale zła, tylko fatalnie zestresowana? - wpadła mi do głowy myśl z cyklu science fiction. Tak czy inaczej rezultat był taki, że pani Lilka strzeliła nam zdjęcia właśnie w tym momencie, gdy zgodnie się do siebie uśmiechałyśmy i wyglądałyśmy na niezwykle szczęśliwe. I takie miało nas zobaczyć całe Malownicze, a przynajmniej ta część, która czytała „Tygodnik Malowniczy”, czyli przeważająca większość.

Po konkursie, gdy już goście się rozeszli i została tylko Leontyna ze staruszką Ewą - którą, jak się okazało, wciągnięto w szopkowy spiszek poprzedniego dnia wieczorem - pani dyrektor z niezwykle umęczoną miną poprosiła mnie do swojego gabinetu.

A jednak! - pomyślałam, przepraszając obie panie i idąc na miejsce kaźni. Nie ma łatwo, i tak oberwę.

Tuż pod gabinetem dopadli mnie Filip z Anią i Krystianem.

- Idziemy z panią - stwierdziła Ania. - Ostatecznie...

- Ostatecznie ja to załatwię - przerwałam jej stanowczo. - Doceniam, że chcecie wziąć odpowiedzialność na siebie, i podziwiam odwagę, ale to naprawdę nie jest dobry pomysł. Filip, zapomniałeś, że twój widok rozjusza panią dyrektor lepiej niż byka czerwona płachta? Uciekajcie stąd lepiej, no już! - po-nagliłam ich, a sama, biorąc głęboki oddech, zapukałam i weszłam do gabinetu.

Dyrektorka siedziała w fotelu, podpierając głowę na rękę, ale gdy tylko stanęłam w drzwiach, natychmiast się wyprostowała.

- Proszę, niech pani siada - powiedziała i ku mojemu zdziwieniu zamiast na mnie z miejsca napaść i zarzucić groźbami, tylko na mnie patrzyła, aż zaniepokojona tym nietypowym zachowaniem zaczęłam się wiercić na krześle.

- Pani dyrektor...

- Niech pani powie - przerwała mi, nachylając się nad stołem - jak to możliwe, że cokolwiek pani zrobi, uchodzi pani na sucho? Ba, jeszcze wszyscy panią chwalą! Jak pani to robi?

- Nijak. - Nie wiedząc, co mam odpowiedzieć, zdecydowałam się na szczerość. - Biorę życie takim, jakie jest... Chociaż mogę panią pocieszyć, szopka w pierwszym momencie mnie też zwała z nóg. - Rozsądnie darowałam sobie szczegółowy opis Józefa. - Ale w końcu to nie moja wizja, może młodzież widzi to w ten sposób...

- Zadziwiające, że tylko pani młodzież tak to widzi. Inne klasy pozostały przy bardziej tradycyjnej formie. - Dyrektorka powróciła do swego dawnego wcielenia. - Nie wiem, co mam z tym wszystkim zrobić... Najchętniej bym usunęła - tu popatrzyła na mnie znacząco, wyraźnie dając mi do zrozumienia, że ja też znajduję się na liście rzeczy do usunięcia. - Ale nie mogę. Po raz kolejny pani fanaberie, nie wiedzieć czemu, przypadły wszystkim do gustu... Właściwie to chciałam tylko jedno pani przekazać... Szczęście, jak wszystko inne, kiedyś się kończy. A wtedy zostanie pani sama ze swoją tolerancją. Ciekawe, co wtedy pani zrobi? - zapytała, wbijając we mnie twarde spojrzenie.

- Ma pani rację. - Z namysłem kiwnęłam głową. - Fart rzeczywiście może się skończyć. Natomiast zawsze zostają ludzie, a od nich głównie zależy nasze poczucie szczęścia albo nieszczęścia. I dlatego mam nadzieję, że nigdy nie zostanę sama.

- Jak zwykle chciałaby pani mieć ostatnie słowo, ale nie tym razem! Nie usunę pracy trzeciej B, bo niestety jest już za późno, zdjęcia w gazecie, goście... Mam inny pomysł. Pani Maju, tym razem pani nie wygra!

- Nie wiem, o co pani chodzi. Nie jestem dobra w zgadywaniu...

- No cóż, będzie musiała pozostać pani w niepewności. - Uśmiechnęła się z wyższością. - To wszystko, co od pani chciałam. Do widzenia! - rzuciła z satysfakcją.

Zachodziłam w głowę, o co tym razem jej chodzi. Coś niewątpliwie wymyśliła, ale za chorobę nie wiedziałam co. Cóż, chyba najrozsądniej będzie doprowadzić moją trzecią B do matury i zrezygnować z tej pracy, pomyślałam z lekkim żalem. Na całe szczęście była dopiero połowa roku szkolnego, istniała więc nadzieja, że Uroczysko wraz z wiosną zacznie w końcu porządnie funkcjonować. Bez tego mogłam zapomnieć o rezygnacji z może nie ciepłej, ale przynajmniej regularnie płatnej nauczycielskiej posadki. Tak czy inaczej w tym momencie nie pozostawało mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. Z góry było wiadomo, że dyrektorka nic więcej nie powie, a ja nie mogę zostawić klasy tuż przed maturą. I w związku z tym najrozsądniej było po prostu zająć się swoimi sprawami.

„Róbcie swoje” - zanuciłam więc sobie ku pokrzepieniu serc, a następnie bez większych ceregieli dałam się zaprosić staruszkom na herbatę do Piątego Koła, małego baru w centrum miasteczka. W końcu całe popołudnie miałam wolne, bo dzień konkursu szopkowego był wolny od zajęć i mogłam go spokojnie wykorzystać na omówienie szczegółów naszej wspólnej wigilii. Do świąt pozostało koszmarnie niewiele czasu i nadeszła pora na ustalenie konkretnych.

Ku mojemu zaskoczeniu okazało się, że starsze panie są mistrzyniami organizacji. Chciały wiedzieć jedynie, czy wszyscy z listy się pomieszczą, bo resztę miały już ustaloną. Oczywiście ja, jako wcielenie dezorganizacji, nie miałam o tym zielonego pojęcia. Wczoraj nie zdołałyśmy z Jagodą niczego ustalić i teraz miałam ogromny dylemat. W końcu optymistycznie założywszy, że lista pani Leontyny była przygotowana mocno na wyrost i zapewne połowa ludzi się nie zjawi, zapewniłam obie panie, że pomieścimy wszystkich.

- To świetnie - ucieszyła się Ewa. - Bo ja już wczoraj zgodziłam się nadzorować przygotowania... Kiedyś byłam intendentką we wrocławskim hotelu, więc powinnam dać sobie radę. Teraz najważniejsze jest dotarcie do ludzi i jak najszybsze zwołanie spotkania organizacyjnego.

Nie mogłam dociec, jakim sposobem w jeden wieczór obie panie zdążyły załatwić sprawy przeszłości, które niewątpliwie były skomplikowane, i dodatkowo dogadać się w sprawach wigilijno-organizacyjnych.

- Trzeba ustalić, kiedy moglibyśmy się spotkać - wtrąciła pani Leontyna, z gracją nabierając na łyżeczkę krem z napoleonki, którą polecił nam właściciel Piątego Koła jako specjalność zakładu. - Dobrze by

było, Majeczko, takie zebranie urządzić u ciebie, bo trzeba będzie sporo miejsca, a przy okazji zobaczylibyśmy, jak to wszystko wygląda.

- Niech panie to sobie spokojnie ustalą i dadzą mi znać. Ja postaram się dostosować - stwierdziłam niefrasobliwie, zajądając się napoleonką, która rzeczywiście zasługiwała na miano specjalności. Rozpływała się w ustach.

- A co do zbiórki pieniędzy...

- A właśnie - weszła mi w słowo Leontyna. - Dobrze, że mi o tym przypomniałaś. Wczoraj zasięgnęłam języka i wiem, ile kosztuje wyjazd na święta. Ale znam tu ludzi i wiem, że nie każdego będzie stać na wyłożenie takiej kwoty. Pozwolisz mi to załatwić po swojemu? Mogę ci obiecać, że z całą pewnością na tym nie stracisz.

- Jak po swojemu? Wydawało mi się, że kwoty, o których pani mówiłam, nie są zbyt wygórowane - zasepiłam się, bo wiedziałam, że niżej już nie możemy zejść. Jagoda sarknęła, że za nic nie wyjdziemy na swoje, i miała rację.

- Nie chodzi o to, kochana. Gdy proponowałam ci organizowanie wigilii, miało to przynieść obojętną korzyść. Tymczasem ty podałaś tak niską sumę, że za nic nie mogłoby ci się to opłacać - wyjaśniła Leontyna, grożąc mi palcem.

- Dlatego na własną rękę poszukałam wiadomości i wiem, że podałaś mi zaniżoną kwotę. Szczerze mówiąc, chciałabym z tego skorzystać, ale tylko w stosunku do tych, którzy rzeczywiście mają kłopoty finansowe, a dla reszty ja ustalę odpowiednią sumę, może tak być?

- Pani Leontyno, po raz pierwszy ktoś ze mną negocjuje w odwrotną stronę - mruknęłam, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Podobno zawsze jest ten pierwszy raz - skwitowała naszą dyskusję lekko znudzona Ewa. - Zamiast gadać po próżnicy, zacznijmy działać, dziewczynki - dodała, a ja mało co nie zachłysnęłam się kawą. „Dziewczynki”?!

Z trudem łapiąc oddech, zerknęłam na panią Leontynę, której mina świadczyła, że podobnie jak ja jest w ciężkim szoku. A biorąc pod uwagę różnicę wieku, przypuszczam, że jej szok był o wiele większego kalibru. - Ja na przykład od razu mogę powiedzieć, że zrobię śledzie - ciągnęła nieświadoma naszej konsternacji staruszka Ewa. - Śledzie robię po prostu rewelacyjne. Tylko jeszcze nie wiem jakie... Może po żydowsku? Jak myślicie?

- A to już jak sobie panie winszują - stwierdziłam. - Skoro jesteśmy przy potrawach, to Jagoda upiecze makowce i pierniki, Alicja Łagoda obiecała zająć się sernikami...

- Alicja też będzie na naszej wigilii? - zdziwiła się Leontyna, z lubością popijając migdałową kawę.

- Nie, ale zadeklarowała się z chęcią upieczenia, a szczerze mówiąc, serniki pani Alicji to prawdziwe cuda, żal byłoby nie skorzystać - wyjaśniłam. - A jak robi się te śledzie po żydowsku? - zwróciłam się do pani Ewy, która wyglądała na lekko urażoną brakiem zainteresowania jej propozycją.

- Kochana, nie jadłaś nigdy takich śledzików? No to nie wiesz, ile straciłaś! U nas na wigilii obowiązkowo mama robiła i śledzie w cebulce, i w buraczkach, i po żydowsku... ale kiedy to było! Moje wnuczki teraz zamawiają gotowe potrawy. Twierdzą, że tak jest lepiej... - Staruszka nagle posmutniała.

- Na całe szczęście to będzie wigilia prawdziwej starej daty - przerwała jej Leontyna. - I nie będzie żadnych kupnych potraw, wszystko jak trzeba. Ale właśnie, jak ty, Ewo, to załatwisz z rodziną? O tym nie rozmawialiśmy. Przecież nie możesz poświęcić rodzinnych świąt dla naszej wygody!

- I nie zamierzam, ale u nas kolacja wigilijna zwykle jest bardzo wcześnie. A wy nie zaczniecie przed siódmą. Da się to pogodzić, tyle że ktoś będzie musiał przypilnować kuchni. Ale to chyba nie będzie problem przy tylu ludziach...

- Na pewno damy radę - uspokoiłam ją. - I z całą stanowczością zamawiam wszystkie rodzaje śledzi, chociaż na spróbowanie!

- Zrobię ci, dziecko, nawet marynowane. - Ewa wyraźnie się ucieszyła. - A co słyhać u Marysi? Bardzo miłe dziecko, ma mnie odwiedzić. Powiedz jej, że znalazłam dla niej trochę starych fotografii, jeśli się nie rozmyśliła, rzecz jasna.

- Mogę panią zapewnić, że się nie rozmyśliła. - Przed oczami stanął mi pokój córki zasłany w całości jej świeżo nabytym rodowym dziedzictwem. - Wręcz przeciwnie. Mam wrażenie, że historia w pani wydaniu ją zafascynowała, a to spore osiągnięcie. Na pewno Mania panią odwiedzi i proszę za nic nie sprzedawać jej swoich pamiątek, bo będzie usiłowała coś wyłudzić. Lojalnie uprzedzam, że ją opętało!

- Ależ ja sama jej dam różne szpargały, w końcu pełno się tego u mnie przewraca. Trzeba też ją posłać do Zośki, do sklepu...

- Do Zośki? A, znaczy do pani Leontyny... - Przez moment zagubiłam się w pokrętnym świecie staruszek. - Broń Boże, ta jej nowa pasja mnie w końcu zrujnuje.

- Nie przesadzaj, w końcu dla znajomych mogę zastosować jakieś upusty. Zresztą jako samotna stara panna mogę pozwolić sobie nawet na małe prezenciki, nikomu nie szkodząc. - Leontyna nawet słowem nie zająknęła się na temat swoich imion. - Reasumując: Ewa organizuje pracę kuchni i robi śledziki, ciasta też są już rozdzielone, teraz trzeba zwołać spotkanie i omówić resztę prac. No, wszystko jasne, możemy działać.

- Czekam w takim razie na ustalenie daty spotkania, a teraz już uciekam. Może w końcu, korzystając z wolnego popołudnia, uda mi się zrobić coś pożytecznego w domu - stwierdziłam, wstając. - Bardzo paniom dziękuję za szopkową akcję. Pani Leontyno, rzeczywiście Łom jest niebywale skuteczny, miała pani rację.

- Grunt to się nie poddawać. - Pani Leontyna pokiwała głową. - Czyli się zdzwonimy?

- Jasne. - Pomachałam obu paniom na pożegnanie.

Zanim opuściłam Piąte Koło, kupiłam dwanaście napoleonek i dopiero gdy wyszłam, zastanowiłam się, na jakie licho mi tyle ciastek. Cóż, w końcu specjalność zakładu powinna się przekładać na specjalne ilości, pomyślałam i rozpoczęłam mozolne brnięcie po zaśnieżonych drogach w kierunku domu. W poło-

wie drogi stwierdziłam, że właściwie liczba ciastek jest jak najbardziej adekwatna do kalorii, które właśnie spalam, i do okazji uczczenia zakończenia szopkowego epizodu. Dzięki delegacji staruszek i osobie Władeczka Łoma nie wyleciałam z pracy. I z całą pewnością ten doniosły fakt wymagał ufetowania go jakimś szaleństwem, chociażby obżarstwem napoleonkowym. To właśnie zamierzałam uczynić: objeść się do nieprzytomności, bo jak wiadomo, słodczyce poprawiają samopoczucie i po nich dobrze czują się endorfiny, które na tym ponurym świecie zagrożone są wymarciem. I w trosce o nie powinno się czasami nafaszerować słodczymi aż po brzegi. Szczerze mówiąc, obawiałam się, że po odkryciu napoleonkowej specjalności moje endorfiny będą w kwitnącej formie, właściciel Piątego Koła zyska nowego stałego klienta, a sprzedawczynie w sklepach ubraniowych Malowniczego będą musiały zamówić spodnie w dużo większych rozmiarach. I tak wszyscy na tym zyskają, moja waga również, myślałam, pociągając nosem. Cała nadzieja w tym, że śnieg jeszcze długo będzie padał i codziennie będę musiała przekopywać w nim drogę do domu. To zapewni mi ruch i utrzyma moją wagę w ryzach, jednocześnie pozwalając delektować się niebiańskim smakiem napoleonek. A że ruch to zdrowie i podobno też pomaga hormonom szczęścia, opady śniegu zaczęły cieszyć się moim pełnym poparciem. W końcu właśnie odkryłam sposób, jak zjeść i mieć ciasteczko równocześnie. A biorąc pod uwagę, że rozważania dotyczyły głównie napoleonek, ciasteczkowa konkluzja była jak najbardziej na miejscu.

Gdy dotarłam do domu, okazało się, że chyba jakaś nadprzyrodzona siła czuwała nade mną, gdy kupiłam ciastka hurtowo. Ledwo weszłam do domu, z kuchni wypadła zarumieniona Marysia i zaciągnęła mnie w kąt za wieszakiem.

- Dobrze, że jesteś! - wyszeptła gorączkowo. - Mamy gościa...

- Znowu? - jęknęłam, mając w pamięci wczorajszy przyjazd Pauliny. - Kto tym razem?

- Ksiądz - zakomunikowało moje dziecko, robiąc wielkie oczy. - Czeka na ciebie...

- Na mnie? A co to, już po kolędzie chodzi?

- Mamo, po kolędzie przed kolędą? - Marysia popatrzyła na mnie jak na niepełnosprawną umysłowo.

- Fakt, trochę pomieszałam terminy - przyznałam, wpychając jej w rękę paczkę z napoleonkami. - No więc o co chodzi z tym księdzem?

- Nie mam pojęcia. To proboszcz, siedzi u nas w salonie z ciotką i piją razem piwo...

- No nie, jeszcze tego brakowało! Ani chybi twoja ciotka zdemoralizuje nam najprawdziwszego proboszcza. Co ją opętało, żeby poić księdza alkoholem?

- Mamo, nie przesadzaj, zresztą nie poi specjalnie, tylko sama piła, to nie wypadało nie poczęstować...

- Nie wypadało, co nie wypadało! - zdenerwowałam się. - Gdyby wszedł nieletni, też by go częstowała, bo wypada?

- No nie, ale ksiądz nie może być nieletni - rozsądnie zauważyła moja córka, zaglądając do środka paczki. - O, kupiłaś ciastka! Chyba cię coś nawiedziło. Przynajmniej będzie co postawić na stół, bo w domu poza piwem nie mamy nic jadalnego.

- Jeżeli już, to nie nawiedziło, tylko natchnęło - sprostowałam machinalnie. - Jak to? Nie mamy nic do jedzenia? - zapytałam zdziwiona. - Przecież wczoraj robiłyśmy zakupy...

- Paulinka wyzarała wszystko. Swoją drogą to dziwne, że piwo oszczędziła. Może uznała, że będzie miała nieświeży oddech na tych swoich randkach...

- Dobra, potem zajmę się Paulinką i jej niepohamowanym apetytem, a teraz idę na odsiecz, zanim całe Malownicze zacznie huczeć, że samego proboszcza wodzimy na pokuszenie. A ty wyłóż ciacha i przynieś na stół - zakomenderowałam. Poprawiając włosy, weszłam do salonu, gdzie lekko spięta Jagoda dolewała właśnie do wielkiego kufla czeskie piwo.

- O, dzień dobry, pani Maju, czy też, jak powinienem był rzec, niech będzie pochwalony - przywitał mnie ksiądz wesoło. - Już myślałem, że się pani nie doczekam. Ale że nie byłem umówiony, uzbroiłem się w cierpliwość. No i zostałem nagrodzony.

- W końcu cierpliwość jest cnotą - zaćwierkała Jagoda i po tonie poznałam, że wizyta księdza była dla niej nie lada wyzwaniem.

- Prawda, a skoro tak sobie cytujemy, to można jeszcze powiedzieć: „Proście, a będzie wam dane” - rzekł ksiądz i w tym samym momencie, jak za sprawą czarodziejskiej różdżki, pojawiła się Marysia z talerzem pełnym napoleonek. - No i widzicie panie, jak tu nie wierzyć w moc słowa Bożego? - dorzucił, zacierając ręce.

- A może napilibyśmy się kawy do tych napoleonek? - zaproponowałam, siadając na wolnym fotelu.

- Majka, już proponowałam - powiedziała Jagoda z naciskiem i patrząc na mnie, zrobiła dziwną minę, która miała mi chyba przekazać, że nie powinnam poruszać tego tematu, a ja za chorobę nie wiedziałam dlaczego. Czyżby było jakieś dziwne prawo zabraniające duchownym spożywania kawy? Albo może nasz proboszcz złożył śluby i obiecał, że jego jedynym napitkiem będzie piwo? Ha, w takim wypadku to i ja bym chętnie poślubowała... Tak czy inaczej temat kawy jako tabu wydał mi się nieco dziwny, tak samo jak bądź co bądź dość nietypowa wizyta, więc, nie bacząc na minę Jagody, postanowiłam dociec, o co w tym chodzi. Uznałam, że sprawa kawy jako mniej drażliwa może pójść na pierwszy ogień.

- Ale może ktoś zmienił zdanie, bo ja bym się chętnie napiła.

- Ja też chętnie bym się napił - zawtórował mi proboszcz, wprawiając mnie w lekką konsternację. Spodziewałam się raczej odmowy, bo skoro najpierw nie chciał...

Jagoda doszła do wniosku, że nie ma co owijać w bawełnę.

- Kawy nie ma.

- Jak to nie ma? Nie dalej niż wczoraj wsypywałam całą paczkę do puszek...

- Mamo, przecież mówiłam ci, że z rzeczy jadalnych jest tylko piwo - przypomniało moje dziecko, opychając się napoleonką w sposób sugerujący, że na co dzień morzone jest głodem.

- Zresztą puszki też nie ma - dodała Jagoda. - Paulinka się nią zaopiekowała.

- Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że w ciągu jednego poranka zużyta pół kilo kawy łącznie z puszką? - zapytałam, ignorując chwilowo księdza, który wyraźnie ubawiony przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Chcemy ci powiedzieć, że puszka zniknęła, a co się dalej z nią stało, nie mamy bladego pojęcia - stwierdziła Jagoda. - Zaginęła w akcji. To samo stało się z całą zawartością lodówki, a że poza Paulinką nikogo nie było w domu, podejrzenie pada na nią. Chyba że zwierzaki urządziły imprezę i zamiast alkoholem raczyły się kawą.

- A sprawdzałyście w jej pokoju? - Czułam przypływ nagłej irytacji.

- Nie wiedziałam, czy można... Ostatecznie to naruszenie prywatności. - Jagoda popiła napoleonkę piwem.

- Mam w nosie jej prywatność. Ona nie miała jakoś skrupułów, naruszając zawartość szafek i lodówki! - Wściekłam się na całego. - Gościnność gościnnością, ale jakieś granice powinny obowiązywać! Idziemy zrobić komisijną rewizję!

- Sama przed momentem powiedziałaś coś bardzo mądrego: granice. I dlatego powinniśmy poczekać, aż wróci - hamowała mnie Jagoda. - Teraz zajmijmy się naszym gościem, a Marysia niech skoczy po kawę do Walerii.

- Może i racja - z niechęcią przyznałam jej słuszność. - Maniu, pobiegnij i zaproś panią Walerię na wieczór. Mam do niej sprawę - dodałam, mściwie myśląc, że jutro zrobię Paulince niespodziankę. Jeżeli nasza urocza złodziejka myśli, że po raz drugi popełni ten sam błąd i zostawię Uroczysko bez opieki, to się myli. Waleria już wszystkiego dopilnuje, łącznie z moją zagrożoną lodówką. - Cóż, na kawę musimy poczekać - zwróciłam się do księdza, płynnie wracając do roli miłej gospodyni. - Wspominał coś proboszcz, że czekał specjalnie na mnie? - zagadnęłam, mając nadzieję, że może w końcu wyjaśni się cel jego wizyty.

- A tak, bo doszły mnie słuchy... - tu proboszcz sięgnął po pełny kufel i zakołysał bursztynowym płynem - ...że ukradła pani moją wigilię.

- Że co zrobiłam? - Z wrażenia prawie straciłam oddech.

Ksiądz usiłował utrzymać powagę, ale widać przekraczało to jego możliwości i wybuchnął serdecznym śmiechem.

- Pani Maju, widok pani miny był wprost bezcenny - wysapał, nie mogąc opanować wesołości. - Mogłaby pani pozować do obrazu „Święte oburzenie” bez specjalnego ustawiania i retuszu!

- Bardzo śmieszne - mruknęłam, pociągając nosem. - A co do wigilii...

- Co do wigilii, to tak na serio przyszedłem się z paniami porozumieć. - Ksiądz nagle spoważniał. - O tej planowanej w Uroczysku powiedziały mi wczoraj Leontyna i Ewa. Swoją drogą dokonała pani cudu. Już nie wierzyliśmy, że jest możliwe, by obie się dogadały, a tu wystarczyło, żeby pani wkroczyła do akcji i cała przeszłość poszła w zapomnienie...

- No proszę, a myślałam, że księża nie plotkują - palnęłam, zanim zdołałam się powstrzymać. - Ale tak naprawdę to żadna moja zasługa. Zrobiłam tylko to, o co prosiła mnie pani Leontyna. A wracając do tematu świąt... - zawiesiłam głos w oczekiwaniu.

- Ach tak. Co pani na to, żebyśmy połączyli siły?

- Czyli?

- Zorganizowali to wspólnie... Mam przeznaczone na to fundusze, ale ludzie mi się wykruszą... Będą woleli imprezę w pani pensjonacie, zresztą wcale im się nie dziwię, na ich miejscu też bym wybrał Uroczysko. Oczywiście mógłbym użyć autorytetu proboszcza, lecz nie jestem zwolennikiem takich metod. Nie lubię przymusu i rozumiem, że pani propozycja bardziej przypomina rodzinno-przyjacielskie święta, a wiadomo, że Boże Narodzenie właśnie takie ma być. Ale wiem też, że nie wszyscy do pani przyjdą... - tu proboszcz spojrzał mi w oczy - ...z różnych względów - dokończył dyplomatycznie.

Wiedziałam, o co chodzi - część ludzi będzie wołała być lojalna wobec parafii. Ostatecznie Malownicze to małe miasteczko, w którym proboszcz nadal jest nie tylko szefem kościoła, ale często przyjacielem i wyrocznią.

- Rozumiem, co mi ksiądz chce przekazać. Niedobrze by było, żeby ci, którzy zdecydowali się na wigilię w kościele, zostali skazani na samotność z powodu kontrwigilii - wyłożyłam, żeby nie miał wątpliwości, że naprawdę zrozumiałam.

- Dokładnie tak. - Proboszcz spojrzał na mnie z uznaniem. - Poza tym byłoby szkoda, żeby środki na to przeznaczone przepadły. Dlatego, jeżeli pani się zgodzi, chętnie bym się dołączył... Na przykład wziąłbym na siebie rolę Mikołaja... Jakieś drobiazgi pod choinką by się przecież przydały.

- Nie widzę przeciwwskazań. Jagoda, a co ty o tym myślisz? - zapytałam przyjaciółki, która do tej pory tylko słuchała.

- Pomysł jest dobry, trzeba się tylko zastanowić, jak się pomieścimy - odpowiedziała jak zwykle praktycznie Jagoda i w tej chwili do pokoju weszła Marysia z świeżo zaparzoną kawą.

- I tu może być kłopot - westchnęłam - bo nawet jeżeli usuniemy stąd wszystkie meble, powierzchnia jest ograniczona.

- Na ten jeden wieczór można zagospodarować również hol - rzuciła od niechcienia moja córka. - Drzwi się zdemontuje i będzie dobrze...

- A to mi nie przyszło do głowy. - Jagoda popatrzyła na nią z uznaniem. - Masz łeb, dziewczyno!

- No mówiłam wam, że ze mną nie zginiecie - skwitowała pochwałą Marysia. - Pani Waleria obiecała zajrzeć do nas po dziewiątej. Wcześniej nie może, bo ma pacjentkę. I nie wie, czy nie będzie potrzebować twojej pomocy, ciociu - zwróciła się do Jagody. - Bo to podobno jedna z tych, którym przydałoby się dodatkowe badanie, a z wiadomych względów sama nie pójdzie do lekarza.

- Pani pomaga Walerii? - zainteresował się ksiądz, a ja zaczęłam się zastanawiać, jaki stosunek ma Kościół do znachorek i zamawiaczek. Wprawdzie Waleria chodziła na msze i bywała czasami na plebanii, ale nigdy nie pytałam jej o tego typu szczegóły.

- Czasami - powiedziała oględnie Jagoda, która ostatnio non stop leczyła kogoś z polecenia Walerii.
- Nieraz potrzebne są zwyczajne leki i diagnoza lekarza. Wtedy ja służę swoją osobą.

- To dobrze, Waleria jest dobrą duszą tego miejsca. - Proboszcz nagle spoważniał. - Aż strach pomysleć, co będzie, gdy jej zabraknie...

- Na razie nam to nie grozi. Nie zdziwiłabym się, gdyby Waleria przeżyła nas wszystkich - stwierdziła wyraźnie uspokojona Jagoda. Widać ona też nie bardzo wiedziała, jakie poglądy wyznaje proboszcz w temacie zielarsko-szeptucharskim. - Waleria to wręcz chodzący dynamit - dodała ze śmiechem.

- To prawda, czasami zazdrozczę jej energii. - Proboszcz zgodnie pokiwał głową. - Cieszę się, że teraz ma takie miłe sąsiedztwo. Gdy umarła pani ciotka, Waleria czuła się tutaj trochę samotna. - Popatrzył z zamyśleniem w okno. - Ale wracając do świąt, od dzisiaj działamy razem? - zapytał po chwili.

- Tak, możemy przyjąć hasło „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. - Roześmiała się. - Nawet może proboszcz pierwszy wybrać, którym muszkietierem chce być.

- Portosem, wybieram i zaklepuję. No to, moje drogie panie, chyba powinniśmy wznieść toast za wspólne święta!

- Za Uroczyskową Wigilię! - Podniosłam kufel, cały czas zastanawiając się, czemu czuję jakiś dziwny dyskomfort. Coś mi w tej sytuacji wyraźnie nie pasowało. W końcu, gdy łyknęłam piwa, nagle mnie olśniło. Chodziło o napitek! Wprawdzie nigdy nie przyjmowałam u siebie proboszcza, ale gdziekolwiek o tym czytałam, czy widziałam podobną sytuację w filmie, do proboszcza przypisana była nalewka.

- Może napijemy się naleweczki? - zaproponowałam, bo przypominałam sobie, że w barku mam takową domowej roboty mojego taty.

- A chętnie - ochoczo zgodził się proboszcz.

Poszłam do kuchni po kieliszki, gratulując sobie, że barek trzymałam zamknięty. W innym wypadku nie wiadomo, czy luba Paulinka nie uszczupliłaby moich zapasów alkoholowych. Zanim wróciłam z kieliszkami do salonu, w kuchni dopadła mnie Jagoda.

- Gdybym wiedziała, że tak zniecka odwiedzi nas ksiądz, za nic bym dzisiaj nie wróciła tak wcześniej do domu - szepnęła mi do ucha. - Nawet nie wiesz, jak się zestresowałam! A jeszcze jak zobaczyłam, że nie mam go czym poczęstować, to zupełnie wpadłam w popłoch i zaczęłam go poić piwem!

- No fakt, połaś go z całym przekonaniem, ale też nie widziałam, żeby za bardzo się wzbraniał - odszepnęłam.

- No a teraz, idąc cały czas tym tropem, przerzucimy się na nalewkę, chociaż nie wiem, czy Malownicze nie weźmie nas na języki...

- Weźmie tak czy inaczej - zawyrokowała Jagoda. - Ostatecznie dotąd nie przyjmowałaś żadnego księdza na podwieczorku, a tu od razu proboszcz... Malownicze, moja droga, nie będzie gadać, tylko wręcz huczeć. Swoją drogą zyskałyśmy niezły prestiż... Proboszcz w naszych skromnych progach, no, no!

- Masz rację, a skoro i tak nas nie ominą plotki, to przynajmniej na nie zapracujmy - mruknęłam, oglądając kieliszki pod światło. - Nalewka mojego taty naprawdę jest grzechu warta.

- Więc chodźmy, pogrześmy z księdzem! - Moja przyjaciółka prychnęła śmiechem. - Tego jeszcze nie praktykowałam.

- I dobrze, bo jak sama doskonale wiesz, nowe doświadczenia są w życiu niezbędne - stwierdziłam stanowczo i ruszyłam do salonu, by w pełni zasłużyć sobie na to, o czym jutro będzie rozprawiało całe Malownicze i okolica.

Po wyjściu proboszcza, który po przełamaniu pierwszych lodów (w czym wybitnie pomogła nalewka) okazał się niesamowicie miłym towarzystwem i dodatkowo podbił serce Mani, bo zachwyił się paterą zakupioną podczas wyprawy z Czarkiem, usiadłam w kuchni i zapowiedziałam, że nie zamierzam się stamtąd ruszyć, dopóki nie zjawi się koszmarna Paulinka. A że się pojawi, było wielce prawdopodobne. Patrząc na pustki panujące w lodówce, można było założyć, że możliwości ma spore i wróci wygłodniała. Chyba że randkowała w restauracji, ale tak czy inaczej z całą pewnością będzie chciała napić się czegoś ciepłego i podzielić się z kimś wrażeniami. A do tego niezbędna jej była ofiara, którą będzie musiała zdybać na wspólnym terytorium. Tak więc, chcąc ją spotkać, najlepiej było pozostać na dole w ogólnie dostępnej kuchni.

Jak wcześniej cierpliwość proboszcza, tak teraz moja została nagrodzona - w przedpokoju trzasnęły drzwi i Paulinka wpadła jak burza. Sina z zimna, trzęsąca się w króciutkiej spódniczce i chwiejąc się na wysokich obcasach długich, eleganckich, ale z całą pewnością niezbyt ciepłych kozaków.

- Boże, Majka, jak mogłaś się na taki wypizdów wyprowadzić! - zakrzyknęła, otwierając z rozmachem drzwi lodówki i ze zdziwieniem lustrując jej puste wnętrze. - O, widzę, że nie zrobiliście zakupów! I co będziemy jedli? - zatroszczyła się, wyraźnie zmartwiona.

- Cóż, to co kupisz - stwierdziłam, biorąc głęboki oddech. Szczerze nie znosiłam sytuacji, w których ewidentnie musiałam być niemila, ale czasami po prostu nie widziałam innego rozwiązania.

- No daj spokój, chyba się nie złościsz, że się poczęstowałam waszym jedzeniem! - Paulina wyduła kształtne usta.

- Ty się nie poczęstowałaś, tylko wyżarłaś dokładnie wszystko - sprecyzowałam. - Postawiłaś mnie w bardzo niekomfortowej sytuacji. Pomijam już, że domownicy byli głodni, ale przecież mogłam mieć gości i co wtedy?

- Same mówiliście, że nie prowadzicie wyżywienia - wytknęła mi nadąsana Paulinka.

- No właśnie - wpadłam jej w słowo. - Nie prowadzimy wyżywienia, czyli nasza lodówka jest tylko nasza. Nie gości, do których i ty się zaliczasz. Poza tym co zrobiłaś z kawą? - zapytałam, nie wiedząc czemu czując się podle. Ale niestety miałam świadomość, że moje samopoczucie jest w tej chwili najmniej istotne. Wiedziałam, że jeżeli nie załatwię tego raz a porządnie, będę miała do wyboru albo utrzymywać Paulinkę do końca jej pobytu, co mogło doprowadzić mnie do bankructwa, albo obwiązać lodówkę łańcuchem i zamknąć na kłódkę. Żadne z tych rozwiązań nie przypadło mi do gustu, więc najrozsądniej było brutalnie dziewczynie uświadomić, że przywłaszczenie sobie mojego państwa nie wchodzi w rachubę.

- Nie sądziłam, że jesteś takim skąpiradłem! Zaraz ci oddam twoją kawę, zresztą straszna plujka, co ty pijesz? - zapytała, ostentacyjnie przewracając oczami.

- A to już tylko i wyłącznie moja sprawa - stwierdziłam oschle. - Co ci w ogóle przyszło do głowy, żeby ją zabierać z kuchni do pokoju?

- Ach, bo miałam gościa. - Paulinka zarumieniła się rozkosznie. - I kawa mi była potrzebna na górze...

Trafił mnie szlag. Jak Malownicze się dowie, że w Uroczysku jest dom schadzek, ani chybi jedno-myślnie mnie wyklnie i rzeczywiście skończy się niczym u Reymonta - na wywiezieniu mnie na wozie z gnojem i wrzuceniu do jakiejś przepaści. I Grześ - mój warszawski szef - będzie tryumfował, że wyszło na jego. Mówienie tego wszystkiego opętanej chłopami Paulince nie miało najmniejszego sensu. Musiałam coś wymyślić, i to szybko! Ale po kolei, napomniałam się w duchu. Najpierw muszę zakończyć krucjatę lodówkową.

- Paulina, słuchaj uważnie, bo ta rozmowa nie sprawia mi przyjemności i nie chcę być zmuszona do powtórek.

- Sama się zdziwiłam, że mogę mówić tak ostro. - Nie ma takiej opcji, żebyś korzystała z naszych zapasów. Nie mogę ani nie chcę cię utrzymywać. Teraz zniesiesz kawę, włożysz spodnie, pojedziesz z moim tatą do sklepu i odkupisz to, co wzięłaś. Na piętrze jest lodówka przeznaczona dla gości i tam możesz trzymać swoje jedzenie. Na jednej półce - dodałam na wszelki wypadek, bo przyszło mi do głowy, że w każdym momencie może ktoś dojechać i, nie daj Boże, znów będę musiała toczyć jakieś lodówkowe boje.

- Chyba oszalałaś, jeżeli myślisz, że będziesz mi mówić, w co mam się ubierać. - Paulinka znów poczerwieniała, tym razem ze złości.

- Nie zamierzam - stwierdziłam spokojnie. - Tyle że jak ci pęcherz siądzie, twoje plany wezmą w łeb, to po pierwsze. Po drugie, to jest małe miasteczko i ludzie liczą się z opinią. Wezmą cię za jakąś ladcnicę i będziesz miała - dodałam, chociaż znając Paulinę, nie sądziłam, żeby to drugie przejęło ją dreszczem.

- Co mnie obchodzą ludzie! - sarknęła zgodnie z moimi oczekiwaniami.

- A powinni - odezwała się nagle od drzwi Marysia. - Wie pani, co tutaj się dzieje? Sceny masakryczne. Ostatnio z miasta przyjechała taka dziewczyna, dekolt, pani Paulino, taki - tu moja córka pokazała ten dekolt, który gdyby miał wyglądać zgodnie z jej opisem, sięgałby rzeczonyj dziewczynie do pępka. - Spódniczka trochę dłuższa niż pani, ale niewiele. Jak ją baby w rynku przydybały, ledwo z tego wyszła!

- No co ty? - Paulince oczy prawie wyszły z orbit. - Ledwo wyszła?

- Zdarły z niej to ubranie. - Mania rozwinęła skrzydła fantazji. - Wyobraża sobie pani? Zima, śnieg, a ona golusienka...

- Go-lu-sień-ka? - wyskandowała ledwo żywa z emocji Paulinka.

- Prawie, majtki jej zostawiły, bo biustonosza tak jak pani nie nosiła. - Mania złowróźnie pokiwała głową, a ja poczułam, że za chwilę zejdę. I z powstrzymywanego śmiechu, i z podziwu dla Marysinej fantazji. - A potem okładały ją witkami, bo tutaj taki przesąd jest, że witką wierzbową najlepiej się diabła ze skóry wypędza, i tak z miasta ją wyгнаły...

- Golusieńką? - powtórzyła Paulina; jakby zawiesiła się na tym słowie i niczego poza nim nie umiała ogarnąć.

- A nie. - Mania lekceważąco machnęła ręką. - Najpierw ją ubrały w... - tu moja córka straciła wene i się zająknęła - no, w to... w giezło - dokończyła z rozpędu, a ja jak najszybciej wpakowałam głowę za drzwi lodówki, udając, że uważnie badam jej pustą zawartość. Tylko utrata z oczu zszokowanej twarzy Pauliny dawała nadzieję, że jakoś uda mi się opanować śmiech.

- Matko Boska, i co dalej?! - zapytała Paulina.

- A co ma być - usłyszałam lekko stłumiony przez lodówkę głos Marysi. - Słuch po tej dziewczynie zaginął...

- Zaginął... Coś mi tu nie pasuje... - zwątpiła Paulinka.

- W końcu sama widziałam na rynku dziewczyny ubrane w mini i nikt na nie nie zwracał uwagi...

- No tak, ale one są tutejsze - odparowała Marysia.

- Poza tym mini mini nierówna. Ale co ja tam będę panią przekonywać. Lojalnie ostrzegłam, a co pani robi, to już nie moja sprawa. - Mania zajrzała do mnie do lodówki i puściła oko. - O, chyba przyjechał dziadek. Jak macie jechać do sklepu, radziłabym się pospieszyć, bo zamkną - dodała.

- Zanim pojedziesz, przynieś kawę - przypomniałam, decydując się w końcu wynurzyć z lodówkowej otchłani.

- Dobrze, już dobrze. Ale ty, Majka, się zmieniłaś... Daj spokój... Nigdy nie wyprowadzę się na takie zadupie - powiedziała Paulinka, patrząc na mnie z niesmakiem.

- Toż to jakiś cholerny średniowieczny zaścianek! Gdzie ja przyjechałam!

- Może to przemyśl, bo właśnie szukasz sobie takiego zaściankowego faceta - uświadomiłam jej, śmiejąc się pod nosem. - I rzeczywiście się pospiesz, bo jak to w zaścianku, sklepy zamykają tu najpóźniej o osiemnastej - dodałam niewinnie i w odpowiedzi otrzymałam spojrzenie, które, gdyby tylko miało taką moc, powaliłoby mnie bez życia na kuchenną podłogę.

Szczerze mówiąc, byłam zadowolona ze swojego małego zwycięstwa. Paulinka już bez słowa udała się do swojego pokoju, skąd wróciła z kawą i - ku mojej uciesze - w spodniach. Widać opowieść Marysi poruszyła jej wyobraźnię i nawet jeżeli nie do końca w nią uwierzyła, postanowiła najwyraźniej działać w myśl zasady „Przezorny zawsze ubezpieczony”. A ja, patrząc, jak odjeżdża z moim tatą, z nadzieją pomyślałam, że inni moi goście będą bardziej normalni. Dopiero teraz zaczęło do mnie docierać, że prowadzenie pensjonatu może być wyzwaniem nie tylko finansowym. No ale cóż, życie, jak to życie, jest pełne niespodzianek i zapewne jeszcze nieraz spotkam się z typami Paulinkopodobnymi. Nie pozostawało mi nic innego, jak wziąć to na klatę i po prostu się uodpornić, mając w pamięci starą prawdę, że co nas nie złamie,

to nas wzmocni, a skoro takie osobowości są na świecie, do czegoś najwidoczniej są potrzebne. I najlepiej się zbytnio nad tym nie zastanawiać, stwierdziłam w duchu. Ostatecznie im mniej wiesz, tym krócej cię będą przesłuchiwać.

Kolejny dzień rozpoczął się spokojnie. Nie zasnęłam i nawet względnie wypoczęłam. Trochę się wprawdzie martwiłam o to, co będzie dalej, bo wprawdzie Uroczysko pod opieką Walerii było całkowicie bezpieczne, lecz w szkole musiałam radzić sobie sama. Przynajmniej w bezpośrednich kontaktach z dyrektorką, a perspektywa takiego spotkania w cztery oczy z deka mnie przerażała. Ku mojej uldze nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło. Ba, nawet było jakby nudnawo i szczerze mówiąc... niezwykle mi się to podobało. Wrażeń ostatnimi czasy miałam pod dostatkiem i monotonia wydawała mi się jak najbardziej pożądana. Po południu w wysprzątanej na błysk kuchni czekała na mnie Waleria z ciepłą szarlotką i kawą. Zapach ciasta wypełniał cały dom. Od razu poczułam się błogo i bezpiecznie.

- Pani Walerio, jest pani szarlotkową czarodziejką - westchnęłam, z lubością opychając się ciastem.
- Jak tak dalej pójdzie, przestanę się ruszać. Wczoraj napoleonki, dzisiaj szarlotka. Już nie mogę się dopiąć w spodniach. Mentalnie rzecz jasna, bo na namacalne efekty muszę jeszcze moment poczekać. A jak pani poradziła sobie z moim upiornym gościem?

- Właśnie, Majeczko, nie wiem, czy jej nie przepłoszyłam na amen - wyznała Waleria ze skruchą.

- Niech się pani nie przejmuje, chociaż można by było to zaliczyć do cudów, bo Paulinka jest niesamowicie skuteczna w udawaniu, że nie rozumie aluzji.

- Toteż ja jej dzisiaj wyłożyłam wszystko prosto z mostu. Przy jej gachu wykladałam. Dlatego nie wiem, czy w rezultacie to zdierży.

- O, czyli jednak kogoś przywlokła? Tego właśnie się bałam. - Palcem zebrałam okruszki z talerzyka. - Ta szarlotka to po prostu poezja, pani Walerio! Ale niech pani opowiada. Bardzo była zaskoczona, jak panią zobaczyła?

- „Bardzo” to mało powiedziane. Zresztą nie dziwię się jej, bo zanim się zorientowała, że tu jestem, wysłuchałam ciekawej opowieści, którą uraczyła swojego gościa. - Waleria jakoś tak dziwnie na mnie popatrzyła i zawiesiła głos.

Jej ton sugerował, że powinnam wzmóc czujność.

- Jakiej opowieści? - zapytałam, odsuwając talerzyk.

- Że to jej własny pensjonat, że właśnie się tu przeniosła i czuje się dosyć samotna, ale w końcu jako kobieta energiczna i samodzielna postanowiła wziąć życie za bary, otworzyć własny biznes i znaleźć szczęście osobiste - wyrzuciła z siebie Waleria jednym tchem.

- Ale jak to... Wypisz wymaluj moja historia, tyle że ja to raczej z życiem się za bary biorę. Hmm... Co za świństwo! Przywłaszczyła sobie moje życie! - Wreszcie w pełni dotarło to do mnie.

- No właśnie, ale nie na długo! Bo potem tego pana, z którym, jak przypuszczam, chciała szczęścia osobistego szukać, przyprowadziła do kuchni, a tam czekałam na nią ja. No i miło, sympatycznie zapytałam, gdzie się leczy i u kogo, czy od dawna cierpi na zaburzenia osobowości... Pocieszyłam ją też, że jesz-

cze nie wszystko stracone i że niekiedy udaje się to nawet całkowicie wyleczyć. Szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy w którymś momencie nie rzuci się na mnie z pazurami, tak była wściekła. Natomiast jej niedoszłe szczęście zacukało się i po chwili, przepraszając, gnąc się w ukłonach, czym prędzej opuściło Uroczysko, a twoja warszawska znajoma, kipiąc ze złości, gdzieś wybiegła i więcej się nie pokazała. - Waleria ciężko westchnęła. - I co z tym teraz zrobisz? - zapytała po chwili milczenia.

- Nie mam pojęcia! - wyznałam, czując napływającą wściekłość. - Najchętniej użyłabym wierzbowej witki, żeby kłamstwa jej obrzydzić definitywnie... Ale nie mam żadnej na podorędziu, więc niestety zostaje mi tylko perswazja słowna i ewentualnie wymówienie jej pokoju. Chyba tak będę musiała zrobić, bo to, co ona wyczynia... No nie wiem, po prostu brak mi słów. - W ramach uspokojenia nerwów sięgnęłam po dodatkowy kawał ciasta.

- W każdym razie wpadnij do mnie wieczorem i powiedz, jak się sprawy mają. - Waleria podniosła się od stołu. - W żadnym razie nie można jej zostawić w Uroczysku samej i jeżeli panna kłamczuszka nie wyjedzie, trzeba ją mieć na oku. Rzecz jasna, w takim wypadku jutro przyjdę...

- Dziękuję, pani Walerio... A jak wczorajsza wizyta? Jagoda się przydała?

- Przydała się... Swoją drogą to cały czas nie mogę przestać myśleć o tej kobiecie... Namówiłam ją na wizytę, ale tak naprawdę serce ma złamane, martwe. I co tu zastosować, jakie zioła, leki, żeby martwe serce rozruszać? Mówi się, że człowiek jest w stanie wszystko znieść, tyle że różni mędracy nie zastanawiają się nad tym, co się dzieje, jak on to już zniesie... - Waleria posepnie zapatrzyła się w okno.

- A co jej się stało? Można jakoś pomóc?

- Niby można, bo ona bez środków do życia została, z dwójką malutkich dzieci. Ale to skomplikowana historia. Nie wiadomo, jak ugryźć... Zresztą szkoda gadać.

- Właśnie nie szkoda, bo może uda jej się pracę załatwić albo co, tylko musiałyby mi pani coś więcej o niej powiedzieć. Co by chciała robić, jakie ma wykształcenie...

- To zupełnie nieważne, bo ona nie nadaje się do pracy. Trudno jej wyjść do ludzi. Ma depresję. Wczoraj Jagoda usiłowała namówić ją na wizytę u psychologa... z miernym skutkiem.

- A co jej się tak strasznie w życiu namieszało? O ile, oczywiście, to nie tajemnica.

- Żadna, wszyscy o tym wiedzą. Kaśka dorastała w domu, gdzie ojciec pił, bił, matka nauczona doświadczeniem i kijem zgadzała się na wszystko. W końcu co miała się nie zgadzać, mąż to w końcu mąż, swoje prawa ma. - Waleria skrzywiła się i wzruszyła ramionami. - Bolesny banał. Ale Kaśka chciała więcej. Mądra była. Na studia poszła, stypendium dostała, za mąż potem wyszła z miłości. Z miłości też jej mąż pojechał do pracy na platformę wiertniczą. Dom chcieli postawić. I zginął. Pracował na czarno, bez ubezpieczenia. Kaśka została z dwójką dzieci. Zdziczała po tym wypadku, zamknęła się w sobie. I nie ma jej kto pomóc. Matka czasami jej po kryjomu jakąś zupę przyniesie, ale nie za często, bo sama nie ma, no i męża się boi.

A z Kaśką jest coraz gorzej... Nic tylko siedzi na cmentarzu, dzieci z nią, coraz mniej mówi, prawie nie je, bo nie ma co, a nawet nie ma ochoty. Zapadła się w sobie, powoli umiera od środka. Żyje tylko dla

dzieciaków, ale obawiam się, że to na długo nie wystarczy. Czasami uda mi się ją do siebie ściągnąć, czymś podleczyć, coś dać dla dzieci, ale jakie to ma znaczenie...

- Pani Walerio, na pewno ma. Każda droga, nawet najdłuższa, zaczyna się od pierwszego kroku... Pani robi ten krok, w końcu życie składa się z wielu małych osobnych chwil i im więcej będzie tych dobrych, tym lepsze życie. Trzeba dawać, dawać i dawać, nawet gdy nam się wydaje, że niewiele zmieniamy, bo jeżeli każdy tak zrobi, to nagle się okaże, że naprawdę można świat ulepszyć - powiedziałam z przekonaniem, bo nagle zobaczyłam w oczach Walerii straszne zmęczenie i zwątpienie. - A w jakim wieku są jej dzieci? - zapytałam, obiecując sobie w duchu, że już nigdy nie będę narzekać na swój los.

- Dziewczynka pięcioletnia i chłopczyk chyba trzyletni...

- I gdzie oni mieszkają?

- Gdziekolwiek. Czasami śpią na stacji. Pani Lena, kasjerka, jak ich widzi, wynosi na ławki śpiwory i włącza im piecyk... Czasami ksiądz zostawia im otwarty kościół...

- Ale dlaczego nikt im nie pomoże w bardziej konkretny sposób?

- Bo Kaśka nie daje sobie pomóc. Sytuacja patowa.

- No dobra, gdzie można ją znaleźć? Na cmentarzu, tak? Gdzie jest grób jej męża?

- Majka, co ty znowu, dzieciaku, kombinujesz? Myślisz, że taka mądra jesteś? Proboszcz próbował, burmistrz z nią rozmawiał, ja też usiłowałam coś wskórać. Nie posłuchała ludzi stąd, dlaczego miałaby posłuchać ciebie?

- Nie wiem, może dlatego, że nie jestem stąd i nie zaproponuję jej domu samotnej matki z dala od grobu męża? - zapytałam, patrząc na Walerię trochę wyzywająco. - Niech mnie pani poprawi, jeżeli się mylę, nikt nie zaproponował jej niczego innego, prawda?

- Prawda. - Waleria jakby zawstydzona spuściła oczy. - Ale ona naprawdę nie jest zainteresowana pracą. Mówię ci, dzika jest! A ty co jej chcesz zaoferować?

- Nad tym muszę jeszcze pomyśleć. Na razie niech mi pani narysuje na kartce, gdzie mam jej szukać na cmentarzu. A potem się zobaczy, co będzie...

Staruszka pokręciła głową.

- Majka, świat nie zawsze jest dobry. Nie damy rady go zbawić... Przecież sama masz problemy...

- Moje problemy to pikuś, pani Walerio. A świat nigdy nie jest dobry. Dobrzy bywają ludzie - odpowiedziałam ze ściśniętym sercem. - Gdy tu przyjechałam, to właśnie ludzie, w tym pani, pomogli mi wyjść na prostą.

- Ale ty chciałaś, nie kasałaś ręki, jak się ją do ciebie wyciągało. Nie zrozum mnie źle, ja tylko ostrzegam, że niekoniecznie każdy chce docenić chęć pomocy. Ja już do tego przywykłam, ale pamiętam, jak na początku to bolało...

- Proszę się o mnie nie bać. Nie zamierzam nic robić na siłę. Nawet nie wiem, czy w ogóle coś zamierzam - skłamałam, bo wiedziałam doskonale, że w tej chwili nieznajoma Kaśka nie da mi spać po nocach i będę musiała chociaż spróbować jej pomóc. Ale po cóż było niepokoić Walerię?

- Dobrze, tylko pamiętaj, dziecko, że żeby coś osiągnąć, chcieć muszą obie strony. - Staruszka podniosła na mnie zmęczone oczy znad kartki, na której szkicowała plan cmentarza. - A wracając do naszych spraw, nie zapomnij dać mi znać, co robimy z jutrem. Wprawdzie nie sądzę, żeby po dzisiejszym poranku panna kłamczuszka chciała tu kogoś przyprowadzać, ale na wszelki wypadek nie zostawiałabym jej samopas.

- Dam znać i dziękuję. Teraz na nią poczekam i sądzę, że nasza rozmowa skończy się jej wyjazdem. Ale nie przypuszczam, żeby to miało nastąpić jeszcze dzisiaj, bo zapewne późno już będzie... I wielce prawdopodobne, że będę potrzebowała jutro pani pomocy. - Na samą myśl o kolejnej rozmowie z Paulinką z piersi wyrwało mi się ciężkie westchnienie. Ale cóż, trzeba to trzeba, pomyślałam, zamykając za Walerią drzwi i wracając do kuchni, gdzie na stole leżała kartka z naszkicowanymi alejkami cmentarza. Przy jednej Waleria narysowała pogrubiony krzyżyk. Patrząc na niego, poczułam, jak po plecach przelatują mi nieprzyjemne dreszcze. I kto by pomyślał, że taka zwykła kartka z byle jak nakreślonym krzyżykiem może być początkiem zmiany czyjegoś losu... W zamyśleniu wygładziłam nieistniejącą fałdkę na obrusie. I jak to jest, że to samo miejsce, które mi zaoferowało nowe życie, dla innych jest końcem wszystkiego? Malownicze powoli odkrywało przede mną mroczne tajemnice, które posiadają chyba wszystkie, nawet najmniejsze miejscowości na ziemi. Tyle że aby je poznać, trzeba stać się ich integralną częścią. Czyli chyba wrosłam w Malownicze na dobre. I zaczęłam być częścią skomplikowanego ludzkiego mechanizmu, z którego składają się wszystkie wsie i miasta na całym świecie.

Gdy wieczorem ktoś gwałtownie zaczął dobijać się do drzwi, byłam pewna, że to Paulinka nie wzięła klucza i teraz czyni taki nieprzyzwoity raban.

- No i czemu się tak dobijasz! - sarknęłam w ciemność za drzwiami, bo zapomniałam zapalić światła w holu i zupełnie nic nie widziałam.

- Bo wściekły jestem jak sto diabłów - odparł mi ponuro męski głos.

Zaskoczona, po omacku usiłowałam wymacać przycisk światła i gdy w końcu je włączyłam, moim oczom ukazała się zakapturzona męska postać z kilkuniedniowym zarostem. Dopiero po chwili rozpoznałam w niej zwykle wychuchanego i eleganckiego byłego męża Paulinki.

- O rany, Darek! Wejdz proszę! - W końcu udało mi się jako tako opamiętać i otworzyłam szerzej drzwi. - Przepraszam, ale myślałam, że to... - urwałam, bo co powiedzieć? Mówić, że Paulinka tu jest, czy nie mówić? Oto jest pytanie. No cóż, jak spyta, to powiem, postanowiłam w duchu. Ostatecznie nikomu nie obiecywałam dochowania tajemnicy w tej sprawie. Ale dopóki sam nie poruszy tego tematu, pierwsza nie będę z niczym wyskakiwać. - No wchodź, wchodź. Jak już mówiłam, spodziewałam się kogoś innego - dodałam już bardziej zdecydowanie. - A tak ogólnie to trochę jestem zaskoczona...

- Tak, wiem, nie wyglądam rewelacyjnie. - Darek nerwowo przejechał ręką po zarosniętym podbródku. - Ale od kilku dni ciągle jestem w drodze...

- O, a gdzie masz samochód? Nie słyszałam, żeby podjeżdżał - zapytałam, biorąc od niego kurtkę.

- Zakopał się na dole w miasteczku - mruknął z ciężkim westchnieniem. - Skreśliłem w jakąś uliczkę, która okazała się wąska i zaśnieżona. Nie mogłem wyjechać... Ludzie powiedzieli, żebym go tam do jutra zostawił, podobno nic tamtędy nie jeździ, chyba że jakiś obcy nieborak, który nie wie, czym to grozi. I to by się zgadzało. Obcy nieborak, czyli ja, właśnie się tam wpakował - dodał, a ja zauważyłam, że ma oczy przekrwione ze zmęczenia. - Dobrze, że dopiero tutaj tak to się skończyło. Przynajmniej dojechałem do celu. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyłem, gdy właśnie ty mi otworzyłaś drzwi...

- Ja też się cieszę - zadeklarowałam uprzejmie. - Ale było to do przewidzenia. W końcu jestem tu gospodynią.

- Wiem, lecz z mojego punktu widzenia nie było to takie oczywiste. Twój pensjonat nazywa się Uroczysko, prawda?

- Prawda - potwierdziłam, prowadząc go do kuchni i z miejsca ładując mu na talerz porcję szarlotki.
- Ale co to ma do rzeczy?

- A to, że gdybyś wpisała w przeglądarkę internetową taką nazwę, wyskoczyłoby ci kilka pensjonatów, które tak się zwą - powiedział tonem sugerującym, że teraz powinnam wszystko już rozumieć. Niestety, moja inteligencja chyba szwankowała, bo nie rozumiałam zupełnie nic.

- No i...? Chcesz mi przez to powiedzieć, że nie jestem oryginalna?

- Broń Boże! Tyle że jeżdżę od jednego Uroczyska do drugiego. Byłem już na Mazurach i Kaszubach, teraz wylądowałem tutaj.

- Po co to robisz? - Patrzyłam na niego z osłupieniem. - I chyba stamtąd bliżej ci było nad morze?

- Na całe szczęście przypomniałem sobie, że ty coś z górami miałaś wspólnego. Inaczej bym jeszcze z miesiąc błądził. A tak stosunkowo szybko się udało.

- Nadal nie rozumiem, po co to wszystko.

- A po to, kochana, że szukałem twojego Uroczyska, bo wiem, że przyjechała do ciebie Paulina. Tylko tyle udało mi się wyciągnąć od jej przyjaciółki. Albo więcej nie wiedziała, albo nie chciała powiedzieć. - Darek ponuro łypnął oczami.

- Wiesz, wcale jej się nie dziwię. W końcu jesteście po rozwodzie...

- Po jakim rozwodzie? Majka, ja tę babę po prostu zabiję! - Na potwierdzenie swych morderczych zamiarów Darek rąbnął pięścią w stół, co wybitnie się nie spodobało Biskoptowi. Głuche warczenie, jakie dobiegło spod stołu, zaalarmowało cały pozostały zwierzyniec, który zbiegł się natychmiast do kuchni i groźnie obstał znieruchomiałego z przerażenia Darka. - Majka, mogłabyś zabrać ode mnie te psy? Szczególnie tego, który trzyma wyszczerzony pysk przy moich kolanach? - zapytał kątem ust, bojąc się nawet mrugnąć.

- Mogłabym. Biskopt, Toska, Melba! Leżeć! - nakazałam władczo, gratulując sobie w duchu, że jednak posłuchałam rad weterynarza Czarusia i oddałam moją menażerię na szkolenie. Teraz wystarczyło wydać rozkaz i, niechętnie bo niechętnie, go wykonywały.

- Co to za sfera? - Darek z wyraźnym trudem dochodził do siebie. - Cywilizowani ludzie zatrudniają agencje ochrony, a psy hodują tylko dla ozdoby...

- Ja nie jestem cywilizowana - przerwałam mu, pieszczotliwie drapiąc Biszkopta za uchem. - Mimo to wiem, że jak się czegoś konkretnego szuka, zamiast jeździć po omacku po połowie kraju, lepiej zadzwonić. Skoro już wpisałeś nazwę, to nie mogłeś poszperać trochę na stronach? Zwykle wypisany jest właściciel i numer telefonu. Oszczędziłbyś kupę czasu. Poza tym czegoś nie rozumiem. Paulinka z całą stanowczością twierdziła, że jesteście po rozwodzie, że znudziło jej się leżenie i pachnienie... - W ostatnim momencie darowałam sobie wspomnienie o jej rzekomym romansie, bo dotarło do mnie, że luba Paulinka jest przecież panną kłamczuszką. I jako przedstawicielka kłamliwej strony mocy niekoniecznie musiała powiedzieć mi prawdę. Ostatecznie rano twierdziła, że pensjonat jest jej własnością... Po czymś takim mogłam założyć, że wszystko, co wypłynęło z jej ust, mijają się z prawdą. - Poza tym ona tu tylko co przyjechała, a ty mówiłeś, że szukasz jej od kilku dni... Wszystko to się kupy nie trzyma!

- Bo się z domu wyprowadziła wcześniej, nie mam pojęcia, gdzie wtedy mieszkała ani kiedy dokładnie wyjechała! A że jej się znudziło, to fakt! Znudziło jej się! - Darek zerwał się z krzesła i długimi krokami przemierzał kuchnię, bacznie obserwowany przez trzy pary psich oczu. - A może wspomniała ci, że w ramach odnudzenia sprezentowałam jej zakład kosmetyczny? Jednak doszła do wniosku, że to nie to i zaprzęgnęła mieć sklep, ale w żadnym razie nie spożywczy, tylko bardziej intelektualny.

- Intelektualny sklep? A istnieje coś takiego? - zważyłam.

- To ona tak to ujęła. I co zrobiłem? W zakładzie kosmetycznym zatrudniłem szefową i otworzyłem księgarnię. Tylko to mi przychodziło do głowy w zakresie intelektualnego sklepu. Ale to też nie zaspokoilo jej żądy wrażeń. Wspominała ci, że się leczy, bo ma maniakalne skłonności do werbalnego modyfikowania rzeczywistości? Wierzy w to, co wymyśli. Ale o tym pewnie nie wiesz. Nie ma żadnego rozwodu, Majka! W głowie jej się przewracało i wymyśliła sobie, że rozpocznie nowe życie! A wiesz dlaczego? Nie wiesz, prawda?

- No nie wiem - przytaknęłam skwapliwie, bo Darek wyglądał na osobnika w szczytowej formie frustracji i wolałam go nie drażnić.

- Bo się, kurna, nie zgodziłem na kawiarnię! Mam już dość! Niech no ona tylko się pojawi!

- Dobra, wyjaśniajcie to sobie do woli. - Patrzyłam na Darka ze współczuciem. Oj, nie zazdrościłam mu, nie zazdrościłam! - Ale wybacź, będziesz musiał się powstrzymać, aż znajdziecie się u niej w pokoju. Żadnych awantur na dole, na schodach, przed drzwiami! Zamykacie się i wtedy wyjaśniajcie sobie wszystko, w jakiej formie wam się podoba, zgoda?

- Majka, co ja mam zrobić? - Darek w końcu przestał miotać się po kuchni, padł na krzesło i zapatrzył się we mnie zrozpaczonego wzrokiem. - Co ja mam zrobić? - powtórzył zupełnie bezradnie, a ja nagle pojęłam, że mam przed sobą zdesperowanego, zakochanego człowieka. Ale co mogłam mu poradzić? Tak naprawdę nawet dobrze go nie znałam. Ani jego, ani Pauliny.

- Musisz z nią porozmawiać, namówić ją na powrót i kontynuację leczenia. Tak mi się wydaje. Gdzieś się pogubiliście... - Pomyślałam, że Paulinka, taka narwana i irytująca, ma cholerne szczęście. A może tak trzeba? Może trzeba być kapryśną i niezadowoloną lalą? Może oni takie lubią? No, jeżeli tak, to jestem skazana na samotność, stwierdziłam samokrytycznie. Na lalę się nie nadawałam w żadnym razie.

- A co ona ci powiedziała? Po co przyjechała? - drażył Darek.

- To samo co tobie. Żeby ułożyć sobie życie - bąknęłam, odwracając wzrok.

Pod żadnym pozorem nie zamierzałam informować biednego faceta o cyklu randkowym jego żony. Usprawiedliwiłam się tym, że po pierwsze, to nie moja sprawa, po drugie, skoro Paulinka się leczy, to być może jest niepoczytalna i nie wie, co robi. W każdym razie wolałam, żeby wyjaśniali to sobie sami. Co ja się miałam wpychać przed orkiestrę? Trzeba było lubej Paulince dać szansę na rehabilitację. Tak czy inaczej, mimo że współczułam Darkowi z całego serca, cieszyłam się, że już nie muszę z Paulinką o niczym rozmawiać, wymawiać jej pokój ani tego, że kłamie jak najęta, dodatkowo przywłaszczając sobie moją własną historię. Biedak nieświadomie zdjął mi spory ciężar z pleców. W ramach wdzięczności posiedziałam z nim do momentu, gdy zjawiła się Paulinka, i szczerze mówiąc, dla widoku jej osłupiałej miny warto byłoby siedzieć w kuchni nawet całą noc. Darek widać wziął sobie do serca, co mówiłam, bo nie powiedział ani słowa, tylko zagarnął nieco oporną Paulinkę i stanowczo powiódł ją na górę. O tym, że dotarli do pokoju, świadczyło tylko mocne trzaśnięcie drzwiami. Nareszcie zapanowała błoga cisza.

A to się Jagoda zdziwi, jak opowiem jej te wszystkie rewelacje, pomyślałam, parząc sobie herbatę. I ucieszy. Wczoraj wieczorem stwierdziła, że musi w gabinecie coś szybko rozwalić, żeby dać Florkowi jakieś wiarygodne zajęcie. Niestety, zamek naprawił błyskawicznie. Chyba spore znaczenie miało to, że o ile dobrze wiedziałam, zamek był zupełnie sprawny. A tak obejdzie się bez przymusowej demolki (Jagoda) i bez nieprzyjemnej rozmowy (ja). Same korzyści z tej bezgranicznej miłości Dariusza.

A teraz w świętym spokoju napiję się herbatki i poczytam jakieś romansidło dla relaksu, postanowiłam, napawając się błogim spokojem. Z tym postanowieniem pomaszerowałam do salonu i zapadłam się w przytulny fotel z książką. Jej bohaterka mimo przeżyć, które każdą realną kobietę by wykończyły, była nadal piękna i łamała serca. Porywana, trzymana w lochach, rodziła dzieci gdzieś tam na słomie - i nic. Jak piękna była, tak i została! Nawet w łachmanach. Ba - te wszystkie przeżycia według optymistycznej autorki tylko dodawały jej niespotykanego uroku i wigoru. Czytając, można było umrzeć ze zmartwienia, że nie da rady tak zniecałkować się fikcyjną bohaterką romansu. I w końcu, gdy po raz któryś z rzędu piękna i urocza przechodziła nietypowe zabiegi upiększające (gwałcenie, poniżanie i takie tam), mój zapał do relaksowania się umarł i usnęłam nad książką, co nie zdarzyło mi się od lat. Korzyść z tego była taka, że dla mnie - realnej kobiety z krwi i kości - regenerująca drzemka okazała się tym, czym dla bohaterki romansidła więzienie i mord. Tym samym książka spełniła swe zadanie, bo może pośrednio, ale dzięki niej wypoczęłam. Sama z własnej woli nie zdecydowałabym się na spanie w środku dnia, a tak - proszę! Chyba nie pozostawało mi nic innego, jak napisać dziękczynnego mejla do autorki. Ale pozostanę przy tym jednym tomie dziejów niezniszczalnej piękności, bo biorąc pod uwagę, że w sumie było ich trzynaście - takiej ku-

racji upiększającej mogłabym nie przeżyć. W końcu we wszystkim trzeba zachować umiar, w spaniu nadkliwymi powieściami również.

Jak się okazało, przyjazd Darka wyszedł nam na dobre. Z samego rana razem z Pauliną wyjechali, zostawiając na blacie w kuchni kopertę z należnością i kartkę z przeprosinami. Wszyscy w Uroczysku odetchnęli z ulgą. W szkole Alicja Łagoda zawołała mnie do swojego kantorka i pokazała artykuł w „Tygodniku Malowniczym”, w którym zachwalano moją szopkę i otwartość umysłu dyrektorki. I muszę powiedzieć, że paradoksalnie to drugie ucieszyło mnie bardziej. Istniała szansa, że polechtana tak dyrektorka da się trochę ułagodzić. Bo wprawdzie po ostatniej rozmowie nie wracała do tematu konkursu, ale obchodziła mnie bez słowa z wyniosłą i zaciętą miną, co nie było zbyt przyjemne. Poza tym, chcąc mnie ukarać, odebrała mi nadzór nad przygotowaniem szkolnych jasełek, co, szczerze mówiąc, jedynie mnie ucieszyło. Ale gdybym miała wybór, wołałabym, żeby nasze stosunki wróciły do normy, czyli obopólnego zawieszania broni. Tak czy inaczej dzień podobnie jak poprzedni zaczął się dobrze i wszystkie znaki na niebie i na ziemi wskazywały, że nic nie zburzy jego spokoju. Po powrocie do domu w kuchni natknęłam się na Marysię apatycznie wyjadającą okruszki szarlotki.

- Córko, zrobisz mi herbaty? - zagadnęłam, zdejmując botki, w których radośnie chlupotała woda z rozpuszczonego śniegu. - Ależ mi przemokły nogi, śniegu jest chyba po kolana... - Poza mokrymi stopami okazało się, że spodnie też mam przemoczone. Nic dziwnego, że szło mi się raczej opornie.

- Nie chyba, tylko na pewno - przerwała mi Marysia. - Jak tak dalej pójdzie, nie będziemy mogli dostać się do domu... albo z niego wyjść - dodała ponuro. - Widzisz, co się dzieje na dworze? Śnieg nie pada, tylko wali z nieba, a narzekałaś, że zimy nie ma, to i turystów nie będzie.

- No, narzekałam - zgodziłam się, popatrując na nią z troską. - Teraz zima przyszła, a turystów jak nie było, tak nie ma. Maniu, a co tobie, dziecko, jest?

- Nic, mam depresję młodzieńczą - wyjaśniła mi córka. - I lęki separacyjne na myśl o studiach - wyznała nagle, wzdychając ciężko.

- Kochana, lęki separacyjne to mają przedszkolaki, a ty jesteś duża dzielna dziewczyna i sobie poradzisz. Zresztą do studiów zostało ponad dwa lata, masz zamiar spędzić je, martwiąc się tym tematem?

- Ogólnie nie, ale dzisiaj tak mnie jakoś to życie przygniotło. - Marysia przemówiła tonem stuletniej staruszki.

- A co tam u Filipka? - zapytała niby od niechcenia.

- To raczej nie jest pytanie do mnie, chyba że interesują cię jego postępy w polskim. Dlaczego myślisz o Filipie Krawcu tak cię dołuje? - zapytałam, przysuwając zziębnięte stopy do grzejnika.

- Od razu dołuje! Po prostu ostatnio się do mnie nie odzywa. - Marysia zmarkotniała jeszcze bardziej. - Obraził się, a ja nie zamierzam pierwsza go przeproszać!

- Nieraz nie trzeba od razu przeproszać, tylko wyjść z ręką. Szczególnie jeżeli obecna sytuacja sprawia ci przykrość. A chyba sprawia, co?

- Malutką. - Marysia zrobiła wystudiowaną obojętną minę. - Chyba wybiorę się do pani Ewy. Aha, mam, dzwoniła do ciebie pani Leontyna. Prosiła, żebyś się odezwała, chodzi o jakieś spotkanie czy coś... Zrobić jakieś zakupy? Skoro już i tak idę...

- Maniu, nie idziesz. Przepraszam cię, ale o czymś na śmierć zapomniałam! - Zerwałam się od stołu i wciągnęłam na nogi suche skarpety. Dopiero teraz przypomniałam sobie o bezdomnej Kaśce i serce mi się ścisnęło. Ja tu narzekam z powodu przemoczonych butów, a tam dziewczyna zamarza.

- Ale o co chodzi? - zagrymasiła Marysia flegmatycznie. - Może ja mogłabym to załatwić... Nie chce mi się siedzieć samej w domu. Nudzi mi się i...

- Manieczku kochany, nie marudź, bo czuję się, jakbyś nagle znalazła się w okolicy wieku wczesnoszkolnego. Wtedy nudzenie się było na porządku dziennym. Podaj mi lepiej kartkę, która leży na stole. Opowiem ci wszystko, jak wrócę...

- Przynajmniej powiedz, gdzie idziesz. - Moje dziecko osiągnęło szczyt upierdliwości.

- Na cmentarz - poinformowałam ją, zapinając kurtkę i naciągając na głowę grubą czapę. - Wrócę najszybciej, jak się da.

- Mamo, trochę się niepokoję. Czemu tak nagle na cmentarz? Chcę iść z tobą.

- Przecież wiesz, że Uroczysko nie może zostawać całkiem samo. A jak ktoś w tym czasie przyjdzie wynająć pokój? Ciotka Jagoda wróci dopiero za godzinę, nie ma wyjścia, musisz podyżurować.

- No to może warto kogoś zatrudnić! - zezłościło się w końcu moje dziecko. - To niesprawiedliwe! Jestem ubezwłasnowolniona!

- Właśnie idę kogoś załatwić. - Marysia niechcący pomogła mi rozwiązać problem, bo jakoś nie mogłam wymyślić, co mam Kaśce zaproponować.

- Na cmentarzu? - Mania zrobiła wielkie oczy. - Teraz to ja dopiero się zaczynam martwić! To jakaś perwersja, recepcjonista zombi ci się zamarzył, czy co?

- Cóрко, im szybciej pójde, tym szybciej wrócę, gdyby ktoś czegoś ode mnie chciał, powiedz, że będę za jakieś dwie, dwie i pół godziny - zduśiłam biadolenie w zarodku i pomaszero wałam z powrotem w kierunku miasteczka, zastanawiając się, czy ja rzeczywiście nie powinnam urodzić się w czasach, kiedy biedne dzieci leczono, wkładając je do pieca. Wtedy mój pęd do ulepszania losów ludzkości nie dość, że nikogo by nie dziwił, to jeszcze byłby jak najbardziej na miejscu. A tak nawet nie mogłam powiedzieć, że jestem człowiekiem wyprzedzającym swoją epokę, bo ewidentnie się cofałam. Ale doszłam do optymistycznego wniosku, że lepiej być cofniętą epokowo naiwniaczką niż wstrętną babą bez serca. O dalszych konsekwencjach bycia babą z sercem wolałam nie myśleć, bo było wiadomo, że kto ma je miękkie, ten musi zamiennie dysponować twardym tyłkiem, a jakoś nigdy nie chciałam być podobna do Jagienki, która ponoć zamiast dziadka do orzechów używała szlachetnej dolnej części ciała.

- Cóż, najwyżej się utwardzę - mruknęłam pod nosem i biorąc głęboki oddech, zagłębiłam się w białą otchłań cmentarza.

Przy grobie Piotra Gałczyńskiego nikogo nie zastałam. Widać Kaśka była wcześniej - świadczyła o tym wydeptana w śniegu ścieżka wokół grobu. Przez moment stałam bez ruchu, pozwalając śniegowi zamieniać mnie w białą kupkę. Nie wiedziałam, co zrobić. Nie miałam przygotowanego planu awaryjnego, nie wiedzieć czemu założyłam, że z całą pewnością ją tu zastanę. Na widok odcisniętego w śniegu śladu małego bucika poczułam, że wszystko mi się w środku ściska. I już wiedziałam, że o ile twardego tyłka nigdy się nie dorobię, to z nadmiarem miękkiej tkanki na sercu zawsze będę miała problem. Kurczę, gdzie ja mam tej dziewczyny szukać? Czekać tutaj, aż się zjawi, nie było sensu. Przecież mogła przyjść dopiero jutro albo za kilka dni. Nawet nie wiedziałam, jak poszukiwana Kaśka wygląda... poza tym, że ma przy sobie dwójkę małych dzieci. To co, miałam biegać po omacku po Malowniczem i zaczepiać kobiety z dziećmi? Przypomniałam sobie, jak Waleria mówiła, że czasami Kaśka bywa na stacji. Postanowiłam tam pójść i porozmawiać z bileterką Lenką. Może ona będzie wiedziała coś bardziej konkretnego.

W dworcowej poczekalni poza znajomym żulikiem, panem Mietkiem, nie było nikogo. W okienku siedziała pani Lena i czytała grubą księgę, która pochłonęła ją do tego stopnia, że kilka razy musiałam pukać w szybę, żeby zwróciła na mnie uwagę.

- Dzień dobry, pani Lenko - przywitałam się, zdejmując czapę i strząsając z kurtki śnieg. - Co pani tak czyta?

- Krwawy romans. - Kasjerka się zaśmiała. - Banalny, ale wciąż niesamowicie. Dokąd bilecik pani sobie życzy, pani Maju?

- Dzisiaj przychodzę w zupełnie innej sprawie. - Nachyliłam się do okienka. - Szukam kogoś. Wczoraj pani Waleria opowiedziała mi historię Kaśki. Mówiła, że ta dziewczyna czasami tu bywa.

- Rzeczywiście od czasu do czasu przychodzi, ale przez ostatnich parę dni jej nie widziałam... Nawet zastanawiałam się, co się z nią dzieje, bo przecież taka zima się zrobiła... Ale co się dziwić, teraz zapewne rzadziej będzie się pokazywać, bo podobno chcą jej odebrać dzieci. - Lenka pokręciła z troską głową. - Boję się myśleć, co wtedy się z nią stanie. A po co jej pani szuka?

- Mam do niej sprawę. - Powoli przetrawiałam zasłyszane przed chwilą informacje. - Może uda mi się jej pomóc. Pani Leno, jakby się pokazała, niech pani do mnie zadzwoni - poprosiłam, wręczając jej wizytówkę. - Tylko niech jej pani nic nie mówi, żeby się nie wystraszyła!

- Dobrze, ale co pani chce zrobić? Bo z Kaśką to jest ciężki orzech do zgryzienia...

- Coś mi wspominała Waleria. Chcę jej zaproponować pracę, na uczciwych warunkach.

- Zadzwonię, oczywiście, że zadzwonię. Ale na mój gust to nic nie da. - Pani Lena sięgnęła po wizytówkę i wsunęła ją do grubego tomiszca. - Ona już jest stracona dla świata.

- Może dlatego, że wszyscy tak przywykli o niej myśleć. Może ona nie jest stracona, może potrzeba jej było czasu na rozprawienie się z żalem i właśnie teraz jest już gotowa, tylko nie wie, jak się do tego zabrać? - zapytałam w nagłym przeblasku zrozumienia.

- No nie wiem... - Kasjerka z powątpiewaniem pokręciła głową. - Ale niech pani próbuje, może się uda. - Posłała mi zachęcający uśmiech zza szyby i na tym zakończyłyśmy rozmowę, bo pojawiło się starsze

małżeństwo. Ustąpiłam im miejsca przy kasie. Odchodząc, usłyszałam jeszcze, jak Lenka mówi do starszego pana, że na ich miejscu przełożyłaby podróż, bo śnieg sparaliżował połączenia i wszystkie pociągi są poopóźniane.

Wychodząc, zahaczyłam wzrokiem o pana Miecia, który ulokowany wygodnie na poczekalnianej ławce oddawał się popołudniowej drzemce. Nagle coś przyszło mi do głowy. Zawróciłam i pokonując pewną niechęć, usiadłam koło wydzielającego przetrawione opary alkoholowe żulika, który widać sen miał bardzo czujny, bo natychmiast otworzył mętne oczka.

- Witam, panie Mieciu - zagaiłam uprzejmie, starając się jak najrzadziej wciągać powietrze. - Mam sprawę - dodałam, zakrywając nos szalikiem.

- Ja dla szefowej wszystko. - Miecio na potwierdzenie swych słów przycisnął rękę do serca - Niech szefowa wali prosto z mostu - wybełkotał i radośnie czknał.

- Gdzie mogę znaleźć Kaśkę Gałczyńską?

- A po co szefowej ta wiedza, a? - zapytał i podejrzliwie łypnął przekrwionymi oczkami.

- Mam dla niej trochę rzeczy dla dzieci - wymyśliłam na poczekaniu. - Ale nie mogę jej spotkać. Na cmentarzu jej nie zastałam, tutaj też jej nie ma od kilku dni...

- Pewnie, że nie ma, ale ja wiem, gdzie jest. - Miecio dumnie wyprężył chudą pierś - Da szefowa dyszkę na wino?

- A co, ostatnio podróżowało? - zakpiłam.

- Nie, ale łeb do interesów trza mieć, dziwi się szefowa?

- Ani trochę. No to gdzie mogę znaleźć Kasię? - powtórzyłam pytanie, wyciągając z portfela dziesięć złotych.

- W starej chałupie, pod lasem. Taka ruina po starym Czyraku. - Pan Miecio skwapliwie zabrał banknot i chuchnął na niego. - To na szczęście - wyjaśnił i chwiejnym krokiem podążył do wyjścia.

Jak się domyślałam, jego celem był sklep monopolowy. Odprowadzając go wzrokiem, zastanawiałam się, co mam teraz zrobić. Ruina po starym Czyraku nie mówiła mi absolutnie nic. Teraz potrzebny był ktoś tutejszy, komu bym mogła zaufać. Po krótkim namyśle wyciągnęłam komórkę i zadzwoniłam do weterynarza.

- Majka, jak to nic pilnego, zadzwonię później. Świnia mi tu zdycha na rękach...

- Dobra, nic się nie dzieje, ratuj zwierzaka - przerwałam jego wyjaśnienia i się rozłączyłam.

Na następny ogień poszedł Sławuś, który był w jakiejś delegacji, potem Jagoda, która nie wyszła jeszcze z gabinetu, bo Malownicze przeżywało oblężenie najróżniejszych wirusów i w związku z tym przyjmowała po godzinach, a poza tym nawet gdyby była wolna, nie przypuszczam, żeby mogła mi pomóc. Ostatecznie mieszkała tu tyle czasu, ile ja. Zadzwoniłam do niej chyba z przyzwyczajenia. Pan Florian natomiast w ogóle był nieuchwytny, co nie zdziwiło mnie zupełnie, bo mówił, że na dziś zaplanował załatwianie spraw urzędowych. I tu repertuar zaufanych mi się skończył. Mogłam wprawdzie zadzwonić do taty, ale obawiałam się, że nie zniosę gadania i czarnowidztwa, którym zapewne by mnie z czystej tro-

ski uraczył. Poza tym nie przypuszczałam, żeby ruina Czyraka była tacie znana. Do głowy przychodził mi jeszcze ksiądz proboszcz, ale nie wiedziałam, jaki będzie miał stosunek do ukrywającej się przed władzami kobiety. Obowiązywała go wprawdzie tajemnica spowiedzi, lecz z drugiej strony to wszystko spowiedzią nie było i wolałam nie ryzykować. W końcu zdecydowałam się na działanie pośrednie i w związku z tym, że właśnie stałam przed domem Filipa Krawca, po prostu zadzwoniłam do drzwi.

- Dzień dobry, Maja Woroniecka, wychowawczyni Filipa - przedstawiłam się jego ojcu, który otworzył mi drzwi. Wprawdzie teoretycznie znaliśmy się z zebrań i z widzenia, ale cóż mi szkodziło się mu przypomnieć.

- Witam, witam. Pani jest również mamą Marysi, prawda? - zapytał, popatrując na mnie dziwnie, jakby z obawą. Kiedy indziej zapewne zwróciłabym na to baczniejszą uwagę, ale teraz mi się spieszyło i nie miałam czasu na zastanawianie się nad charakterem męskich spojrzeń.

- Tak, jestem mamą Marysi. Zastałam może Filipa? - zapytałam nerwowo, zaglądając mu przez ramię do wnętrza domu.

- Tak, proszę wejść. Filip coś narozrabiał? - zainteresował się w sposób zupełnie uzasadniony Krawiec senior.

- Nie bardziej niż zwykle. Przyszłam w sprawie prywatnej - wypaliłam i dopiero potem dotarło do mnie, że musiało to zabrzmieć co najmniej dwuznacznie, ale nie było już czasu na wyjaśnienia, bo Filipek we własnej osobie pojawił się w przedpokoju.

- O, pani profesor! - Wyrażnie się zdziwił. - A co pani tu robi?

- Może zaprosz wychowawczynię do salonu. - Krawiec senior otrząsnął się ze zdumienia i począł czynić honory gospodarza.

- Nie, ja tylko na momencik. Filip, znasz tutejszą okolicę, prawda?

- Pewnie, w końcu tutaj się wychowywałem. - Mój uczeń patrzył na mnie z coraz większym zdziwieniem.

- Teraz o coś cię zapytam, a ty obiecasz mi dyskrecję, dobrze? - zapytałam, stawiając wszystko na jedną kartę. Wolałam nie rozgłaszać, gdzie znajduje się Kaśka, bo w żaden sposób nie chciałam przyczynić się do zabrania jej dzieci. Filip, mimo że jeszcze dzieciak, wydawał mi się godny zaufania.

- Dobrze, ale niewiele z tego rozumiem...

- I niech tak zostanie - ucięłam ewentualne dociekania w zarodku. - Wiesz, gdzie jest stara chałupa Czyraka?

- Jasna sprawa, to każdy wie... prawie każdy - poprawił się.

- Dobra, jak tam się dostanę?

- Na piechotę się pani tam wybiera?

- A co, nie dam rady? - popatrzyłam na Krawca seniora jako na kogoś bardziej obiektywnego.

- Obawiam się, że w tym śniegu się nie uda - dyplomatycznie odpowiedział ojciec Filipa. - Ale nie widzę powodu, dla którego miałaby pani tam iść pieszo, tym bardziej że na dworze jest już ciemno. Filip, przynieś mi kluczyki od auta, proszę.

- Ale ja nie mogę... To taka delikatna sprawa, nie chciałabym pana w to wciągać - tłumaczyłam mętnie.

- Rozumiem, przecież o nic nie pytam. Tylko panią tam zawiozę, mogę się nawet zatrzymać trochę dalej i poczekać, aż pani załatwi, co ma do załatwienia. Bo o ile dobrze zrozumiałem, zależy pani na czasie?

- Zależy - przytaknęłam, zastanawiając się, czy powinnam poinformować Krawca seniora, że wplątuje go w niezbyt fajną sytuację. - Ale wchodzę sama. - Zdecydowałam, że jednak lepiej będzie pozostawić ojca Filipka w nieświadomości. W razie czego będzie mógł powiedzieć zgodnie z prawdą, że o niczym nie ma pojęcia.

- Dobrze. - Krawiec senior uśmiechnął się pod nosem. - Jak sobie pani życzy.

Idąc za nim do samochodu, myślałam, że tak naprawdę gdybym tylko mogła rzeczywiście czegoś sobie życzyć, to życzyłabym sobie i innym, żeby na świecie nie było takich Kasięk i ojców Kaśkopodobnych. I żeby kochający mężowie nie musieli wyjeżdżać za granicę za chlebem. I żeby ludzie przypominali sobie, co to znaczy być człowiekiem na co dzień, a nie tylko w Wigilię. I w ogóle poczułam ogromny bunt. I stwierdziłam, że ostatnio odczuwam go dość często. Ha, może się starzeję, pomyślałam, zapinając pasy. I przeżywam negację świata, a precyzyjniej mówiąc - jego fragmentów. Ale teraz nie było się co zastanawiać nad całą ludzkością, bo tam, w bliżej nieznannej ruinie po Czyraku, marzła samotna, wystraszona kobieta z dwójką małych dzieci. I nawet jeżeli świat tego nie zauważy, ja chciałam jej pomóc, bo żywiłam naiwną wiarę, że to, co dobrego uczynię, kiedyś do mnie dobrem wróci. I chociaż w takich momentach Jagoda twierdziła złowróźnie, że należy pamiętać, że żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary, ja wolałam wierzyć, że dobro dobrem skutkuje. Widocznie mój typ tak miał i tyle.

Skoro od dzieciństwa wszystkie bezdomne psy, koty, nielatające gołębie i inne stworzenia uparcie zносиłam do domu, trudno było się spodziewać, że przejdę obojętnie koło ludzkiego nieszczęścia.

W tym momencie przed oczami stanął mi ojciec, który pewnego mroźnego wieczoru ukradkiem wprowadził do domu wielkiego biszkoptowego kundla, na którego widok mama zamarła.

- Kochanie, przecież nie mogłem zostawić go na mrozie - stwierdził tata krótko i uciekł do łazienki, gdzie i tak mama go dopadła i zarzuciła pytaniami, jak on to sobie wyobraża, taki wielki pies z naszymi kotami, przecież nie wiadomo czy on nieagresywny, dziecko (czyli mnie) jeszcze nie daj Boże pogryzie, a Warga (nasz jamnik) nie znosi innych osobników swojego gatunku. Potem zdenerwowana wróciła do kuchni, gdzie cała nasza nieletnia rodzina (trzy koty, jamniczka i ja) spokojnie leżała na biszkoptowym kundlu, który rozwalony na boku spał jak zabity. Ten widok zamknął mamie usta na dobre i zapewnił Miśkowi długie lata w naszej rodzinie.

Właśnie to wspomnienie mnie olśniło. Empatia jest dziedziczna, nieobojętność wynosi się z domu! Mania już jest nią naznaczona, stąd zresztą w naszej oborze znalazła się Kasandra... I pomyślałam: Dzięki Ci, Panie Boże, za to, że mam takich rodziców i córkę oraz trochę serca... I że tym ostatnim umiem się dzielić z innymi.

Do chaty Czyraka było rzeczywiście bardzo daleko i zupełnie nieprzejezdnie. Na mój gust rzecz jasna, bo senior Krawiec i jego wóz poradzi sobie ze śniegiem i lodem bez problemu.

- Łańcuchy i napęd na cztery kota to gwarancja sukcesu - wyjaśnił mi tata Filipa, a mnie nie pozostało nic innego, jak uwierzyć mu na słowo. - Sama by pani tu nie doszła.

Przytaknęłam, chociaż pomyślałam, że gdybym była zmuszona, tobym dotarła i tu, i o wiele dalej. Ale jakie to miało znaczenie, skoro dzięki tacie Filipka zajęchałam na miejsce w ułamku tego czasu, który musiałbym poświęcić na dojście i znalezienie tej chaty, na wpeł rozwalonego drewniaka majaczącego na tle ciemnego, złowieszczo wyglądającego lasu.

- Może ja jednak z panią tam pójde? - zatroskał się tata Filipa. - W końcu nie wiadomo, co tam się dzieje... A ciemno dookoła, choć oko wykol. Nawet śnieg tu niewiele pomaga.

- Nie ma mowy, panie... - zająknęłam się, bo nagle dotarło do mnie, że nie wiem, jak Krawiec senior ma na imię. Wiedziałam, ale na śmierć zapomniałam. W głowie kołatało mi się tylko, że jakoś tak dziwnie.

- Jeremi - miłosiernie zakończył moje męki Krawiec.

- Mama jest miłośniczką trylogii i w tym wypadku nie bałbym się słowa „niestety”. - Roześmiał się. - Strasznie się ze mnie koledzy obśmiewali, aż do liceum, kiedy to z małego chuchra zmieniłem się w mięśniaka. I proszę sobie wyobrazić, że wraz z przyrostem moich mięśni im się nagle zmieniło poczucie humoru.

- Czyli perswazją fizyczną zmusił ich pan do miłości do Sienkiewicza?

- A tam, od razu zmusił! Sami pokochali! Zapobiegawczo. Na pewno nie chce pani, żebyśmy tam poszli wspólnie?

- Na pewno. Ale ma pan rację, trochę tam strasznie. Gdyby mógł pan wyjść z samochodu i tak na wszelki wypadek poczekać na zewnątrz... - Z lekką obawą zerkałam na ciemną chatę.

- Pewnie, i niech pani już przestanie z tym panem. Jeremi - wyciągnął do mnie rękę z latarką. - I niech pani to weźmie, przynajmniej coś będzie widać!

- W takim razie obopólnie przestańmy paniać i panować. Majka jestem. I dziękuję za latarkę.

Pomaszerowałam w otchłanie Czyrakowego domostwa. Im byłam bliżej, tym więcej przypominałam sobie strasznych scen z horrorów, które kiedyś oglądałam, a które mój usłużny mózg przechowywał w najdalszych zakamarkach i teraz właśnie je wydobywał na... No właśnie, na co? Bo na pewno nie na światło dzienne. Dotarłam do ruin, odszukałam coś, co przy odrobinie dobrej woli można było uznać za wejście, wzięłam głęboki oddech i zamiatając światłem latarki pod nogami, weszłam do środka.

- Pani Kasiu, jest tam pani?! - zawołałam, stojąc niepewnie tuż za progiem.

Żałowałam, że jednak nie skorzystałam z propozycji Jeremiego. Towarzystwo niewątpliwie by mi się przydało. Na moje wołanie nie odpowiedział nikt, ale w ciemności usłyszałam jakiś ruch i spanikowana skierowałam w tym kierunku jasny krąg światła, który wydobył z mroku skuloną w kącie postać.

- Pani Kasiu, to pani? - zapytałam, na wszelki wypadek robiąc krok do tyłu.

- A pani to kto? - przemówiła nagle postać, unosząc twarz. Zza jej pleców wyrzała przestraszona dziecięca buzia, rozwiewając moje wszelkie wątpliwości. - Jeżeli przyszła pani po dzieci, będzie pani musiała zabrać je siłą. - Po chacie rozniósł się ochrypy głos. Kaśka ewidentnie miała chore gardło.

- Nie, nie mam... takich zamiarów - w ostatnim momencie zrezygnowałam ze słowa „złych”. Ostatecznie ci, którym nakazano odebranie jej dzieci, w żadnym razie nie mieli nic złego na myśli. - Szukałam pani, bo... cóż, mam dla pani propozycję. Zanim pani coś powie, proszę mnie posłuchać - nie dopuściłam jej do głosu. - Wiem o pani sytuacji od Walerii. Wiem, że chcą pani odebrać dzieci i że nie ma pani dokąd pójść. Właściwie to źle zaczęłam. Jestem Majka, właścicielka pensjonatu Uroczysko, tego domu obok gospodarstwa Walerii. Chcę zaproponować pani pracę... z zamieszkaniem - dodałam, chociaż wiedziałam, że Jagoda wespół w zespół z mamą i tatą mnie wyklną.

- A nie wie pani, że ja jestem dzika i nieprzystosowana? - Głos Kaśki niespodziewanie zabrzmiał trochę ironicznie, a trochę prześmiewczo. - I że zapewne mam nie całkiem w porządku z głową? Nie boi się pani?

- Jakoś tak nie bardzo - wyznałam, usiłując dostrzec jej twarz, jednocześnie nie świecąc jej w oczy latarką. - Na razie pani by u nas zamieszkała z wyżywieniem. Pensję mogę zapewnić raczej minimalną, ale praca nie jest ciężka. Trochę popilnowałaby pani recepcji, trochę pomogła w kuchni, bo będziemy organizować święta w pensjonacie.

- A dzieci? - wychrypiała Kaśka.

- Co ma być z dziećmi? - zdziwiłam się.

- Mam dzieci, przecież pani wie.

- Wiem, będą mieszkały z panią, chyba to logiczne. Chwilowo będziecie musieli pomieścić się w jednym pokoju, ale ten, o którym myślę, jest dość duży.

- Co z tego pani będzie miała? - zapytała Kaśka nieufnie.

- Pracownika - odpowiedziałam, wyrzucając sobie w duchu, że nie przyniosłam niczego do jedzenia dla maluchów. Teraz widziałam już obie główki wyglądające zza pleców matki. - I tak bym musiała kogoś zatrudnić, a w tym wypadku mogę pani pomóc. Zresztą dla mnie to jest też korzystne, bo nie muszę od razu płacić pełnej pensji. Uroczysko powstało niedawno, działalność jeszcze się nie rozkręciła, więc pieniędzy nie jest za wiele, dlatego taka propozycja, jaką dałam pani, jest dla mnie jak najbardziej korzystna.

- Muszę się zdecydować teraz? - Głos Kaśki zaczął drgać od zdenerwowania.

- Nie, oczywiście, że nie. Tylko niech pani pamięta, że skoro ja panią znalazłam, to inni też tu dotrą. Wcześniej czy później. Proszę, to jest moja wizytówka. Numer telefonu, adres. Jak się pani zdecyduje, już będzie pani wiedziała, gdzie mnie szukać. - Wręczyłam jej wizytówkę, w ostatnim momencie powstrzy-

mując się od dodania pieniędzy. Kaśka wyglądała na osobę, która mogłaby się poczuć urażona takim gestem. - Niech pani myśli szybko, pani Kasiu, bo szkoda i pani, i dzieci - rzuciłam na odchodnym.

Pomaszerowałam w kierunku Jeremiego, który zdążył wytupać ścieżkę wokół samochodu.

- Już jestem - oznajmiłam. - Przeze mnie się nieźle wymarzęś. - Popatrzyłam na jego czerwone policzki. - Zapraszam do mnie na gorącą herbatę, w ramach rekompensaty za wywleczenie na to pustkowie. Gdybyś nie prowadził, zaprosiłabym cię na nalewkę, ale tak pozostaje nam jedynie herbatka.

- Herbatka niezła rzecz. - Tata Filipka roztarł zgrabiałe ręce. - Można by było tu zaśpiewać wzorem Starszych Panów:

Dopóki ciebie, ciebie nam pić,

Póty jak w niebie, jak w niebie nam żyć,

Herbatko, herbatko, herbatko...

Zanucił radośnie i nad wyraz udanie. Teraz już wiedziałam, po kim Filipek odziedziczył talent muzyczny.

- A sprawa załatwiona pomyślnie? - zainteresował się.

- Nie wiem, mam nadzieję, że tak. - Zapatrzyłam się w rozświetlaną śniegiem ciemność za samochodowym oknem.

- Czyli Kaśka jak zwykle ostrożna? - zapytał niby od niechcienia.

Zatkało mnie.

- A skąd wiesz, że ja, że Kaśka, że w ogóle? - wydukałam nieskładnie.

- No wiesz, trzeba być zorientowanym. Kaśka by z głodu padła, gdyby nikt nie wiedział, gdzie jest. Mam układ z kilkoma panami TTT.

- TTT? - zdziwiłam się.

- Tankujący tanie trunki - wyjaśnił Jeremi wesoło. - Którego omamiłaś i jakich niecznych metod użyłaś, podstępna kobieto, dla zdobycia tajnych informacji?

- Chciałabym móc powiedzieć, że wystarczył mój nieodparty urok, ale niestety nie te lata. - Zaśmiałam się, bo wesoły nastrój Jeremiego był zaraźliwy. - Miast naturalnego powabu musiałam sięgnąć do portfela i przekupić pana Miecia. Ale podejrzliwie najpierw mnie wybadał, po co i na co mi ta wiedza, dopiero potem z właściwym sobie wdziękiem wyłudził dychę i pobiegł zaszaleć. A swoją drogą, to na jakie lichy ja tu się kryję, konspiracyjnie staram się wszystko załatwiać? Czemu mi nie powiedziałaś, że doskonale wiesz, po co tam jadę?

- Bo nie wiem - wyznał prostodusznie Jeremi. - Wiedziałem do kogo, ale nie wiedziałem i nie wiem po co. Zresztą wzruszyła mnie ta twoja troska i o mnie, i o Kaśkę. Jako samotnemu facetowi dowody troski kobiecej są mi raczej obce i jak już się zdarzą, pragnę cieszyć się nimi jak najdłużej.

- No, no, nie przesadzajmy. A Kaśce zaproponowałam pracę. Skoro wiesz już tyle, możesz wiedzieć wszystko. Z zamieszkaniem rzecz jasna, bo inaczej nie widziałam sensu. Ma się namyślić.

- Kaśka jest mądra. - Jeremi gwałtownie przyhamował, bo niespodziewanie coś czmychnęło nam tuż przed maską.

- Co to było? - zapytałam, gapiąc się w ślad za umykającym czymś.

- Chyba lis. Ale wielki skurczybyk. Jak się zgodzisz, kiedyś zaproszę cię na polowanie...

- Oszalałeś? Ja się brzydzę zabijaniem. - Wzdrygnęłam się.

- Z kamerą, babo przerywająca w połowie zdania.

- A, z kamerą to proszę bardzo, mogę polować. O ile kamera nie będzie dosłownie narzędziem zbrodni.

- O to możesz być spokojna. A wracając do Kaśki, to co myślisz?

- Nie wiem, nie znam jej wcale, wprowadziła ją w moją świadomość dopiero co Waleria. To raczej ty, bardziej obeznany, możesz mi coś na ten temat powiedzieć. No więc co myślisz?

- Myślę, że przyjdzie. - Jeremi zaparkował pod Uroczyskiem. - Mądra jest i kocha dzieci. Przyjdzie - powtórzył.

Poczułam, jak z jego słowami spływa na mnie jakaś dziwna pewność, że odtąd wszystko będzie dobrze. I u mnie, i u Kaśki, i w Uroczysku, i w ogóle. Jeremi miał rzadki dar kojącego wpływu na otoczenie. Już się nie dziwiłam, że Mańka wróciła od niego taka spokojna i że Filip taki twórczy... Wchodząc do domu, nuciłam sobie pod nosem piosenkę Starszych Panów i było mi tak jakoś błogo i dobrze. Przy parzeniu herbaty olśniło mnie, że tata Filipa po prostu zrobił coś, czego było mi najbardziej w tym momencie potrzeba: jednym wypowiedzianym pewnie słowem uspokoił moje skołatane nerwy. Jak się okazało, takie męskie stanowcze „przyjdzie” było mi potrzebne, i to nie tylko w odniesieniu do Kaśki. Stanowczość męska była mi niezbędna do życia. I z tym oto zupełnie świeżym odkryciem usiadłam do popijania herbatki z ojcem Filipa Krawca, który był i błyskotliwy, i czarujący, i bardzo zabawny. Czas zleciał mi nie wiedzieć jak i kiedy, i gdy już się zegnaliśmy, pogratulowałam sobie w duchu, że jednak zdecydowałam się zapukać do drzwi mojego ucznia. Bo mój węch mówił mi wyraźnie, że właśnie rozpoczęła się bardzo ciekawa znajomość, która miała wszelkie szanse na przerodzenie się w przyjaźń.

Kaśka przyszła późną nocą. Jej pukanie obudziło cały dom, ale na całe szczęście okazałam się najszybsza i to ja otworzyłam jej drzwi. Nie wiem, czy w innym wypadku nie zmieniłaby zdania i nie uciekła. Weszła, popychając przed sobą przemoczone i zmarzniete dzieci. Po raz pierwszy zobaczyłam ją w jasnym świetle. Do tej pory była dla mnie jedynie cieniem. Stała przede mną wychudzona kobieta z zapadniętymi, zmęczonymi oczami. Przez moment w holu panowała cisza. Jagoda z Marysią stały za mną, zaspane i zszokowane.

- Dobrze, że pani się zdecydowała - z trudem wydobyłam głos ze ściśniętego wzruszeniem gardła. - Witamy w domu, pani Kasiu. Może najpierw Marysia pokaże pani pokój, tam się rozbierzecie, a potem zapraszam do kuchni, zrobię coś do jedzenia i picia. Maniu, zaprowadź panią do pokoju za salonem. Tam wszystko jest przygotowane. I pokaż, gdzie jest łazienka.

Jakby nigdy nic poszłam do kuchni, gdzie dopadła mnie Jagoda.

- Majka, kiedy zamierzałaś mi powiedzieć? - zapytała, biorąc się pod boki.

- Wczoraj - przyznałam skruszona. - Ale najpierw długo cię nie było, potem był Jeremi, a potem sama nie wiedziałam, czy mam ci zawracać głowę. Przecież nie miałam pewności, że ona w ogóle przyjmie moją propozycję. Waleria i pani Lena ze stacji wręcz były przekonane, że nic nie uda mi się wskórać. Ale przepraszam, powinnam cię była uprzedzić.

- Powinnaś, choć poza tym dobrze zrobiłaś - powiedziała ku mojemu zaskoczeniu.

- Jak to dobrze? I nie będziesz mi mówiła, że jej nie znam, że nie powinnam, bo jeszcze nie daj Boże nas okradnie, choroby przyniesie...

- A po co mam ci to mówić? Przecież sama wiesz. - Jagoda wzruszyła ramionami - A co do chorób, jutro przebadam i ją, i dzieci. Cholera wie, jakie nieznanne cywilizacje zamieszkują ich włosy i całą resztę.

- Jagoda, ale ja tak nie mogę. Zaburzyłaś moje poczucie bezpieczeństwa. No, zacznij odrobinę czarnowidzieć, chociażby dla przyzwoitości!

- A idź precz, a kysz, żadnego czarnowidztwa uprawiać nie będę. Szczerze mówiąc, sytuacja tej Kaśki leżała mi na sercu ciężkim głazem i dlatego nie zamierzam marudzić, chociaż nie mam pojęcia, jak chcesz utrzymać dodatkowo dorosłą osobę z dwójką dzieci...

- Jagódko, i tak trzeba by było pomyśleć o kimś, kto będzie miał Uroczysko cały czas na oku. Rano zwykle jesteś w gabinecie, ja w szkole, Mańka też, a Uroczysko zostaje samo.

- Jest jeszcze Florian...

- Tylko zimą. Ale potem pasieka, ogród... to wszystko będzie trzymało go poza domem. Myślę, że ktoś i tak by był niezbędny do pracy w recepcji i ogólnie do doglądania na bieżąco domu. Poza tym u nas w kółko ktoś jada, przebywa, nawet ostatnio Łucja brała u nas kąpiel, bo u niej coś tam się porobiło z wodą. Jedna mała kobieta i dzieciaki raczej nie zdołają doprowadzić nas do ruiny.

- To fakt, że zwykle wszyscy, którzy do nas przychodzą, są głodni i spragnieni - burknęła Jagoda. - W tym kontekście jestem skłonna przyznać ci rację. Miejmy nadzieję, że Kaśka da sobie radę z recepcją. Gdy ostatnio badałam ją u Walerii, wyglądała na kogoś, kto cierpi na depresję. Nie wiem, jak sobie poradzi z kontaktami z ludźmi. Ale skoro już mam ją pod nosem, postaram się coś z tym zrobić.

- À propos, daj jej coś na gardło, jak masz, bo strasznie chrypi.

- Od kiedy jesteś lekarzem? No dobra, dobra. - Obronnym gestem podniosła rękę. - Sama też zwróciłam na to uwagę. Zaraz jej to gardło obejrzę.

I tak oto w naszym domu rozpoczął się całkiem nowy okres. Przybycie Kaśki pokryło się z ogromnym zamieszaniem, jakie miało zapanować w Uroczysku. Ale tej nocy jeszcze nie miałam świadomości, że to ostatnie względnie spokojne chwile. Wręcz przeciwnie, wydawało mi się, że i tak strasznie dużo się dzieje. Ale, dzięki Bogu, na razie pozostawałam w błogiej nieświadomości co do tego, co jeszcze nadejdzie, i jedyne, co mnie interesowało, to żeby Kaśka dobrze się tu poczuła i jak wytłumaczę jej obecność mamie i tacie, którzy oczywiście, jak się o niej dowiedzą, z miejsca zaczną się o mnie zamartwiać na śmierć. Ale chyba taki już urok bycia rodzicem: rodzic zwykle się czymś zamartwia i jak jeden powód mu

zniknie, natychmiast szuka sobie nowego. Patrząc na to z tej strony, można by rzec, że wprowadzam w życie mamy i taty stabilizację, bo Kaśka miała zostać z nami na dłużej i tym samym powód do martwienia się zapewniałam im na dłuższy czas. Grunt to umiejętność dostrzegania w każdej sytuacji dobrych stron. Jedyne szkopuł był taki, że szczerze wątpiłam, by rodzice byli mi za to wdzięczni...

O Kaśce przezornie poinformowałam mamę i tatę od razu następnego dnia. Nauczona doświadczeniem postanowiłam tego nie odkładać, bo rodzice mieli niezwykły dar dowiadywania się o wszystkim w tempie rekordowym i potem, nie wiedząc czemu, mieli pretensje, że wszystko przed nimi ukrywam. Prawdą a Bogiem ostatnimi czasy na ukrywanie czegokolwiek brakowało mi energii, lecz byłam mało wylewna, gdyż zbyt wiele się działo. Ale rodzice, jak to rodzice, wiedzieli zawsze lepiej i usiłowali mnie przekonać, że niepotrzebnie przed nimi usiłuję zatajać różne rzeczy. Gdybym naprawdę chciała to robić, byłabym niewątpliwie upośledzona, bo jak już wspomniałam, oni i tak wiedzieli wszystko. A to jakaś sąsiadka wpadła na kawę do mamy i poinformowała ją o tym i owym (tajemnicą dla mnie pozostaje, skąd te kobiety tyle o mnie wiedzą), a to tata na zakupach pogadał ze sprzedawcą i wracał do domu z nowym zasobem informacji. Analizując to wszystko, zaczęłam się zastanawiać, czy w Malowniczym i okolicy nie działa jakaś siatka wywiadowcza mająca na celu szpiegowanie samotnych kobiet. Ewentualnie właściciele pensjonatów. Albo samotnych właścicielek pensjonatów. Tak czy inaczej najrozsądniej było poinformować rodziców niezwłocznie i mieć to za sobą, inaczej mi zarzucą, że znów robię coś za ich plecami. Po wejściu do kuchni potulnie pozwoliłam się nakarmić i napić; to zawsze usposabiało dobrze i mamę, i tatę. Mamę - bo miała poczucie dobrze spełnionej macierzyńskiej misji, tatę - bo zwykle jadł ze mną do towarzystwa, a jedzenie było jego drugą pasją. No może trzecią, po szachach i nalewce. W końcu przy kompciku zebrałam się w sobie.

- Mamo, tato chciałabym wam coś powiedzieć - zaczęłam ostrożnie, ale nie dane mi było dokończyć.

- No nareszcie! Majeczko, nic nie musisz mówić. Matki wyczuwają takie rzeczy! Gratuluję! - Mama zerwała się z krzesła i serdecznie mnie uściskała.

- Ale o co chodzi? - zapytałam zdeorientowana, odruchowo oddając uściski i jednocześnie sponad matczyne ramienia pytając popatrując na ojca. Niestety tata wyglądał na równie zaskoczonego. W końcu zareagował na moje błagalne spojrzenia.

- Kochanie, może jednak pozwolisz Majce powiedzieć, bo ja w przeciwieństwie do ciebie nigdy nie miałem okazji być matką i matczyne jasnowidztwo jest mi raczej obce. I puść ją wreszcie, bo ją zadusisz.

- Jaki ty jesteś niedomyślny! - Mama niechętnie wypuściła mnie z objęć i z politowaniem pokiwała głową.

- Przecież to od razu widać.

- Ale co?! - zawołaliśmy z tatą równocześnie.

- A co innego mogłabyś chcieć nam powiedzieć, jeżeli nie to, że wychodzisz za mąż? - Mama uśmiechnęła się wszechwiedząco.

Z wrażenia zachłysnęłam się kompocikiem.

- Za męża? - wykaszlałam, czując, że oczy wychodzą mi na wierzch i za chwilę ani chybi się zadławię.

- A może ja ci zepsułam niespodziankę? Pragnęłaś nam sama to powiedzieć, a ja tak weszłam ci w słowo, tak? - zatroskała się mama, podczas gdy ojciec poklepywał mnie po plecach.

- Renatko, nie chcę tutaj wyjść na potwora, ale instynkt ojcowski podpowiada mi, że Majce niezupełnie o to chodziło.

- Tadeusz, a słyszał kto kiedy o instynkcie ojcowskim? Mój drogi, wy niczego podobnego nie posiadacie - stwierdziła autorytatywnie mama. - Wam natura dała w zamian samczą siłę - dodała, a mnie zamurowało na dobre. Nawet kaszleć przestałam. - No, Majeczko, powiedz tacie, że mam rację - zaapelowała mama, której macierzyński instynkt jakoś nie chciał zauważyć mojej konsternacji.

- Masz, oczywiście, że masz, ale tylko w pewnym zakresie - mruknęłam więc, siłąc się na dyplomację.

- Jak to w pewnym zakresie? - Mama nie zadowolala się pólśłówkami i jak zwykle żądała konkre-tów.

- No, że mamy instynkt, to się zgadza - brnęłam, a tata spojrzał na mnie ze współczuciem. - Ale czasami... cóż, bywa zawodny - dokończyłam i wypiałam duszkiem resztę kompociku.

- Zawodny, he? - Mama zmarszczyła brwi. - Chcesz mi powiedzieć...

- Dokładnie - przerwałam jej. - Nie wychodzę za męża, nie zareczyłam się, za to mam nową pracow-nicę w Uroczysku. Mieszka u mnie z dziećmi. To Kaśka. - I nie czekając na komentarze, opowiedziałam historię mojej nowej recepcjonistki.

- I ty ją tak po prostu przyjęłaś? Dziecko, przecież sama ledwo wiażesz koniec z końcem! - Mama załamała ręce.

- Fakt, ale mam gdzie spać, co jeść i mam rodzinę - powiedziałam, patrząc jej w oczy.

- Boję się, że to się źle skończy...

- Teraz to już nie ma się co bać. W końcu Majka nie może teraz się wycofać. To nie umowa na abo-nament telefoniczny, ale żywy człowiek. - Tata zmarszczył brwi. - Ale swoją drogą, Majka, czemu nigdy nie zapytasz nas o radę? I czemu dowiadujemy się o wszystkim po fakcie? - zapytał oskarżycielsko.

Ręce mi opadły. I bądź tu mądra: jak mówisz od razu - źle, bo się najpierw nie poradziłaś, jak nie mówisz, też niedobrze, bo usłyszysz, że wszystkiego o własnej córce dowiadują się od obcych... Raz chcą, żebyś się jak najszybciej usamodzielniała, drugi raz woleliby, żebyś się o wszystko pytała! Z rodzicami przez całe życie jest twardy orzech do zgryzienia, myślałam posepnie. Cóż, przynajmniej w całym tym zamieszaniu mama zapomniała o moim wymyślanym zamążpójściu. Wprawdzie nie przypuszczałam, żeby ten temat został mi odpuszczony na amen, ale w tym wypadku każda zwłoka była dobra. Tym bardziej że akurat tutaj instynkt macierzyński sprawił mojej mamie niezłego figielka i wcale a wcale nie pragnęłam jej tego uświadamiać. Obawiałam się, że niekoniecznie przyjęłaby to z niewzruszonym spokojem i

opanowaniem, wręcz przeciwnie, a jak na mój gust życie i bez tego miałam urozmaicone i barwne. Trzeba było mieć nadzieję, że w zamieszaniu przedświątecznym mama najzwyczajniej zapomni o swoim pomysle. A nawet jeżeli nie, to akurat tę sytuację można było podsumować powiedzeniem: co się odwlecze, to nie uciecze. Niestety. Bo czasami mogłoby nie tylko się odwlec, ale przepaść na wieki wieków w otchłani niepamięci. Na mój skromny gust oczywiście.

Od rodziców wyszłam ledwo żywa z przejedzenia, objuczona torbami z zupką w słoikach, zimnymi nóżkami, smalczykiem z jabłuszkami, ciastem i kompotem. Dzięki Bogu, widząc, jak z trudem targam te wszystkie dobra do przedpokoju, tata stwierdził, że mnie odwiezie.

- Nie będziesz się przecież tłukła z tym wszystkim autobusem - stwierdził, wkładając kurtkę. - Nawiasem mówiąc, mogłabyś zrobić w końcu prawo jazdy. Jak się wreszcie zdecydujesz, kupię ci nawet samochód!

- Tadeusz, do czego ty ją namawiasz! Jeszcze, nie daj Boże, się zabije! Niektórzy nie powinni siadać za kierownicą nigdy! - zdenerwowała się mama.

- Ależ oczywiście, moja duszko. - Ojciec puścił do mnie oko. - I dlatego ciebie nigdy do tego nie nakłaniałem - dokończył, opuszczając spiesznie przedpokój i chroniąc się w zacisznym wnętrzu auta.

- No, widziałaś go! Na starość robi się po prostu nieznośny! A ty nie słuchaj ojca. Ja i tak mam się czym martwić, nie muszę do długiej listy dorzucać jeszcze ciebie jako kierowcy. - Mama poprawiła mi szalik, zasłaniając mi przy tym połowę twarzy wraz z oczami. - Zakryj się, bo mróz chwycił.

- Mamo, przecież w samochodzie jest ciepło, a wracając do prawa jazdy, to sama wiesz, jak to wygląda. Praktycznie tu nie ma chodników i mam wrażenie, że chodząc poboczem, jestem bardziej narażona na wypadek, niż gdybym siedziała za kierownicą.

- Wy z ojcem macie niewątpliwy dar uspokajania człowieka - powiedziała z przekąsem. - Teraz sen z powiek będzie mi spędzała wizja ciebie rozjechanej przez jakiś pędzący pojazd.

- Zawsze możesz pocieszyć się tym, że gdy kładziesz się spać, to ja już rzadko w tym czasie bywam poza domem. Marne szanse, że leżąc w łóżku, pod coś wpadnę. Dlatego snu z powiek nie powinno ci to spędzać - uspokoiłam ją beztrasko.

- Ależ ty mądra jesteś! - Mama wzięła się pod boki. - Zupełnie jak tata! A teraz leć już i zadzwoń, jak dojedziecie. Chcę mieć pewność, że w Uroczysku jest wszystko w porządku. W końcu zostawiłaś tam zupełnie obcą osobę! A w tygodniu tata podrzuci ci rzeczy dla dzieciaków tej Kaśki.

- Mamo, wiesz, że jesteś najukochańszą mamą i najlepszym człowiekiem pod słońcem? - zapytałam rozczulona.

- Sąsiadka ma małe wnuki. Na pewno znajdą się jakieś ciuszki i zabawki. - Mama zrobiła obojętną minę. - I to wcale nie znaczy, że jestem zachwycona, że tak ryzykujesz, ale jeżeli ma się coś zmarnować, lepiej niech ktoś skorzysta.

- Mamo, nie udawaj, przecież wiem, że na moim miejscu zrobiłabyś to samo - powiedziałam, obejmując ją na pożegnanie.

- A co ty tam wiesz! Niby dorosła jesteś, a masz fiu bździum w głowie. - Mama opędziła się ode mnie jak od natrętnej muchy. - Na twoim miejscu to ja bym się ubezpieczyła od dobrych uczynków, ot co! - zakończyła gniewnie.

Zaczęłam się zastanawiać, co by na taką propozycję powiedział agent ubezpieczeniowy. Ostatnimi czasy jeden taki regularnie do mnie wydzwaniał, niestrudzenie wymyślając różne straszne rzeczy, przed którymi powinnam się ubezpieczyć. Na przykład wczoraj po raz kolejny proponował mi opłacenie ubezpieczenia przeciwpowodziowego, chociaż za każdym razem próbowałam go przekonać, że na takiej wysokości żadna powódź mi nie grozi. Wczoraj zadzwonił i zastosował nową taktykę, biblijno-proroczą.

- Witam, pani Maju - rozpoczął uradowanym głosem sugerującym wieloletniego przyjaciela.

- A, witam. Co tam słyhać, panie Wojtku? Jakie makabryczne wizje roztoczy pan dzisiaj przede mną? - zainteresowałam się uprzejmie.

- Proszę nawet tak nie żartować! Pani Maju, ja niczego nie roztaczam, ja tylko przewiduję!

- Aaa, został pan wróżkiem! - Buchnęłam śmiechem w słuchawkę. - Takim nowoczesnym, telefonicznym?

- Teraz pani się śmieje, ale jak przyjdzie co do czego, to ja z ręką na sercu będę mógł powiedzieć, że ostrzegałam.

- No dobrze, niech pan czyni swoją powinność, tylko zanim pan zacznie, to tak z ciekawości chciałam zapytać, czemu pan zawsze do mnie dzwoni, a nigdy nie porozmawia pan ze mną o ubezpieczeniu, jak się spotykamy w miasteczku?

- Bo tak jest profesjonalniej - wyjaśnił pan Wojtek po krótkiej ciszy. - Pierwszy kontakt telefoniczny, drugi, jak klient wyrazi zainteresowanie, osobisty. A pani jeszcze nie dała mi się przekonać, ale to tylko kwestia czasu.

- Tak, tak, pan telefonuje, a biedne pszczołki i inne owady umierają - mruknęłam, przypominając sobie niedawno oglądany program telewizyjny mówiący o szkodliwości działania komórek na świat owadzi. - Je pan powinien ubezpieczyć! No ale dobrze, już nic nie mówię - mruknęłam, wiedząc, że rozmowę uda mi się zakończyć, dopiero gdy wysłucham, czego i za ile powinnam się strzec. - Jakie promocje ma pan dla mnie w dzisiejszej ofercie? Mały tajfunik i odszkodowanko?

- Bynajmniej. Wichur na razie się nie przewiduje, aczkolwiek wszystko jest możliwe. Natomiast powódź, pani Maju, jest jak najbardziej prawdopodobna.

- Chyba epoka lodowcowa - sprostowałam, zerkając za okno, za którym wciąż sypał śnieg.

- Jaka lodowcowa, widzi pani te opady? Sypie i sypie, w prognozach mówią, że tak będzie przez całą zimę...

- No proszę, a wcześniej mówili, że zimy w ogóle nie będzie. Ale co z tym sypaniem?

- Jak już nasypie, to co się stanie?

- Będzie nasypane? - spróbowałam błysnąć elokwencją.

- Będzie się topić - wyjaśnił pan Wojciech z głębokim westchnieniem sugerującym, że los agenta ubezpieczeniowego jest ciężki do zniesienia. - I dlatego warto wykupić ubezpieczenie przeciwpowodziowe.

- Panie Wojtku, już o tym rozmawialiśmy. Naprawdę mieszkam tak wysoko, że żadna powódź mi nie grozi - przypomniałam mu usłużnie.

- A tego pani nie może wiedzieć. - Głos agenta zabrzmiał złowroźnie. - Jak Noe ostrzegał swoich pobratymców, że niebo się otworzy, też mu nikt nie wierzył!

- Chce mi pan powiedzieć, że jest pan naszym współczesnym Noem? - zapytałam, zastanawiając się, czy przypadkiem nie postanowił połączyć dwóch zawodów i poza ubezpieczycielem nie pracuje na ćwierć etatu jako kaznodzieja.

- Każdy agent nim jest! I woła głosem nawołującego w głuszy! - wykrzyknął przejęty pan Wojciech.

- Chyba na puszczy - sprostowałam beztroskim tonem. - A co do powodzi, to ja jednak pozostanę wśród niedowiarków...

- Pani Maju, ja pani nie dam tak łatwo zginąć - zapewnił mnie pan Wojtek stanowczo. - Zadzwoń do pani niedługo.

- Niech pan dzwoni - zgodziłam się, bo co się miałam nie zgadzać.

Teraz, wsiadając do samochodu taty, doszłam do wniosku, że muszę naszemu współczesnemu Noemu powiedzieć, że jeżeli będzie miał coś, co pozwoli mi zabezpieczyć się przed konsekwencjami dobrych uczynków, to taką polisę wykupię z miejsca. Bo z wszystkich znanych mi katastrof ta zapewne groziła mi najbardziej.

Właśnie podjeżdżaliśmy z tatą pod dom, gdy zadzwoniła do mnie Łucja.

- Cześć, marnotrawna przyjaciółko - powitałam ją. - Już myślałam, że zapomniałaś o mnie zupełnie. Nie odzywałaś się, telefonu nie odbierałaś, nawet się zastanawiałam, czy nie zgłosić twojego zniknięcia na policję, ale na szczęście twój syn doniósł, że żyjesz, masz się dobrze i wyjechałaś do Wrocławia na babskie ploty. Ty podła ty, żeby tak ani słowem nie wspomnieć o wyjeździe! - Z miejsca zarzuciłam aparat pretensjami

- Majeczko, przebacz, sama wiesz, że ja wiecznie w biegu jestem, zapomniałam zadzwonić - ukorzyła się Łucja.

- Dobra, tym razem nie będę nawet się dąsać, bo zwyczajnie się za tobą stęskniłam, paskudo - powiedziałam, wychodząc z samochodu. - Wpadaj na kawę.

- No właśnie wpadłam - odezwała się tuż koło mnie Łucja. - I nie zostałam wpuszczona.

- Jak to? Nie zostałam wpuszczona? - Spojrzałam na nią zdziwiona, odytkając od ucha komórkę.

- Zwyczajnie. Otworzyła mi jakaś dziewczyna z dziećciem wiszącym u każdej nogi i stwierdziła, że cię nie ma. Potem zapytała, czy chcę wynająć pokój, a gdy zaprzeczyłam, stwierdziła, że będziesz wieczorem, i zamknęła mi drzwi przed nosem.

- Dużo miała tych nóg? - zainteresował się tata, a my popatrzyłyśmy na niego zdumione. - Mówiłaś, że u każdej nogi jej dziecię wisiało. I tak się zastanawiam, ile miała tych dzieci, a ich liczba jest ściśle powiązana z liczbą kończyn - wyjaśnił precyzyjnie ojciec.

- Dwie, panie Tadeuszu, miała dwie kończyny i dwoje dzieci. Aha, zanim zamknęła mi te drzwi przed nosem, zdążyła mnie poinformować, że dobrze, że nie chcę tego pokoju, bo i tak mogłabym zostać tylko na dwie noce, reszta na najbliższe dni jest zajęta. Nie miałam pojęcia, Majka, że tak ci ta zima służy. A w ogóle kto to jest ten cerber, który chce sprzedawać noclegi twoim przyjaciołom?

- To Kaśka, ale szczerze mówiąc, nic z tego nie rozumiem. - Zmarszczyłam brwi. - Jakie rezerwacje? Wczoraj wszystkie pokoje miałam wolne... No nic, nie ma co się zastanawiać, wchodźmy do środka, trzeba to wyjaśnić.

Gdy otworzyłam drzwi, w nozdrza uderzył mnie zapach świeżo wypastowanej podłogi. Zdziwiona zapaliłam światło i blask bijący z mojego domu prawie mnie oślepił. Wszystko było wysprzątane na błysk. Po prostu lśniło. Kaśka dokonała cudu, bo mnie takie porządki zajęłyby tydzień. Prześlizgałam się po wyfroterowanej podłodze do pokoju Kaśki i zapukałam.

- Pani Kasiu, chciałam zawiadomić, że już wróciłam - powiedziałam, gdy mi otworzyła. - I pięknie pani wysprzątała, ale nie trzeba było...

- Ja wiem, że nie musiałam - przerwała mi, wychodząc z pokoju i cicho zamykając za sobą drzwi. - Wczoraj pani mówiła, że mam się zająć recepcją, ale skoro będę tu pracować i mieszkać, chcę mieć świadomość, że nie jestem ciężarem. - Kaśka odgarnęła zaskakująco ładne, długie brązowe włosy. - Niech pani nie myśli, że nie zdaję sobie sprawy, że z recepcją poradziłibyście sobie we własnym zakresie. I przepraszam, że nie wpuściłam pani do pokoju, ale dzieci śpią. Trochę ich zmęczył nasz dotychczasowy tryb życia - dodała, spuszczać oczy. - A z ludźmi sobie poradzę. Słyszałam, jak w nocy rozmawiała pani o tym z panią doktor. Rzeczywiście zdziczałam trochę po śmierci Piotra. Ale nie aż tak, żeby tego nie opanować, gdy mam szansę zrobić coś dobrego dla dzieciaków. I mimo że się boję jak diabli, proszę się nie martwić.

- Nie martwię się. Wiedziałam, że da pani radę - zapewniłam ją. - Ale jednej rzeczy nie rozumiem... była u mnie moja przyjaciółka Łucja i pani...

- Nie wpuściłam jej. - Kaśka nerwowo zaplotła szczupłe palce. - Nie wiedziałam, kto to jest, i spanikowałam. Ale to się już nie powtórzy...

- Nie o to chodzi. - Machnęłam ręką. - Powiedziała jej pani, że mamy pełną rezerwację. Jak to możliwe?

- Zwyczajnie, zostawiła mi pani na dole komputer, sprawdziłam mejle. Chyba ostatnio nikt tego nie robił, bo skrzynka była pełna. - Kaśka spojrzała na mnie spod oka. - No i skontaktowałam się z klientami. Część rezerwacji potwierdziłam telefonicznie, na część odezwałam się mejlowo i czekam na odpowiedzi, ale wstępnie mamy komplet.

- Komplet?! Ale jak? A ceny?

- Z tym miałam mały kłopot, ale sprawdziłam cennik konkurencji, w rezultacie podałam ceny o parę złotych niższe. Niewiele, ale to na ludzi działa, zrobiłam też wstępną kalkulację zysków przy pełnym obłożeniu. Na jej podstawie będzie można wyliczyć zyski przy obłożeniu niepełnym, to da pani możliwość zaplanowania inwestycji na kolejny rok - wyłożyła Kaśka swobodnie.

Szczeńka mi opadła. Kalkulacje? Zaplanowanie inwestycji? Pełne obłożenie?

- Skąd pani tyle o tym wie? - zapytałam osłupiała.

- Studiowałam ekonomię i zarządzanie, i studium turystyczne skończyłam. Chcieliśmy z Piotrem założyć taki pensjonat, to na niego miał zarobić... Trochę jestem zapóźniona, bo od dawna nic nie czytałam, a wiadomo, że z takimi sprawami trzeba być na bieżąco, ale co nieco jeszcze pamiętam... Trochę się bałam, że się pani będzie na mnie gniewać, że sama tym ludziom odpowiedziałam, ale z drugiej strony pytania dotyczyły najbliższych dni i szkoda było stracić klientów. A w kalendarzu rezerwacji nie miała pani nic zaznaczone. Zawsze można jeszcze odwołać...

- Odwołać? A niech cię ręka boska broni! - wykrzyknęłam, zapominając, że nie przeszłyśmy na ty. - Kasiu, Uroczysko nigdy nie miało kompletu gości. Nawet latem! Przepraszam, jakoś tak z rozpędu zaczęłam pani mówić po imieniu - zreflektowałam się.

- Ale tak jest lepiej - zapewniła mnie, po raz pierwszy lekko się uśmiechając. - Na pulpicie komputera ma pani folder Uroczyska. Tam wszystko zapisałam. Proszę sobie przejrzeć.

- Dziękuję. - Cały czas nie mogłam uwierzyć własnym uszom. - A, i jeszcze jedno. Skoro mam mówić do ciebie po imieniu, to musi działać w obie strony. Teraz przyszła do mnie Łucja, widziałaś już ją, bo była tu wcześniej. Jeżeli chcesz, chodź do nas do kuchni.

- Nie, zostanę z dziećmi. - Kaśka pokręciła głową. Chwilowa otwartość ustąpiła i znów stała przede mną spięta, poważna kobieta. Widać jeszcze musiało trochę potrwać, żeby na powrót wyszła ze skorupy. A ja nie zamierzałam naciskać. Wiedziałam, że to nic nie da.

Z czasem wszystko się ułoży, pomyślałam i wróciłam do kuchni, żeby podzielić się nowinami z tatą i Łucją.

Łucja po wysłuchaniu historii Kaśki niedowierzająco pokręciła głową.

- Popatrz, mieszkam tu tyle lat i nic o niej nie wiedziałam... Szczerze mówiąc, przestałam się interesować takimi sprawami, odkąd oszukała mnie pewna dziewczyna. Wiesz, jak Norbert był mały, płatała się tu taka jedna z domu dziecka. Znaczący, wcześniej mieszkała w domu dziecka, bo wtedy już skończyła osiemnaście lat i nie miała co ze sobą zrobić. Zaproponowałam jej mieszkanie w zamian za pomoc przy Norbercie, wydawało mi się, że pomysł nie jest najgorszy. Aż do momentu gdy kiedyś wróciłam do domu, w którym poniewierały się flaszki i niedopałki, a moja biedna sierota spała pijana z jakimś innym ululanym sierotą płci odmiennej. Mój syn, dzięki Bogu trzeźwy, siedział przed telewizorem, a spod poduszki, na której się opierał, wystawała flaszka po winie marki Wino. Mówię wam, gdyby wtedy wpadła tam opieka społeczna, nie miałabym nic do gadania na swoją obronę. Sierotę i sierota z miejsca wystawiłam za drzwi, ale właściwe zakończenie tej historii nastąpiło, dopiero gdy odebrałam rachunek telefoniczny. Żeby go

zapłacić, musiałam wziąć kredyt. Wtedy nie przelewało mi się finansowo, a sierota uwielbiała konwersować telefonicznie ze znajomymi. Z billingu wynikało, że nic innego nie robiła, tylko przez całe boże dni nawijała na mój koszt. Od tej pory zrobiłam się nadmiernie ostrożna i uważam, że wizerunek Ani z Zielonego Wzgórza jest niezwykle szkodliwy i mylący. Gdyby żyła ta cała Lucy, pozwałabym ją do sądu. Mnie z miejsca na słowo „sierota” przed oczami stawało skromne dziewczę o rozmarzonych oczkach. A potem zamiast marzycielki dostałam pijaczkę i maniakalną telefonogadaczkę - prychnęła Łucja.

- Twoja opowieść jest młynem na stwierdzenie Jagody, że żaden dobry uczynek nie pozostanie bez kary - mruknęłam. - Z drugiej strony niejednemu psu Burek i nie każdy, kto jest w trudnej sytuacji, od razu musi okazać się kłamcą i wykorzystywaczem. Ale dałaś mi do myślenia, będę zwracała większą uwagę na rachunki i ogólnie na to, co się dzieje w Uroczysku. Chociaż Kaśka nie wydaje mi się typem podobnym do twojej sieroty.

- Mnie też i w związku z tym głupio się czuję, że tak wszystkich wsadziłam do jednego worka. Chyba zrobiła się ze mnie straszna egoistka.

- E tam, od razu egoistka. Raz się sparzyłaś i nic dziwnego, że po raz drugi chętnie ręk do ognia nie pchałaś. Zresztą sama mówiłaś, że o Kaśce nie wiedziałaś nic. Gdyby nie to, że zgadałyśmy się z Walerią, ja też nadal nie miałabym o jej istnieniu zielonego pojęcia.

- A co to za wytłumaczenie? I tak jasno wynika, że jestem jednostką antyspołeczną! Co z tego, że ktoś mnie raz oszukał! To nie powinno tak definitywnie wpłynąć na moje postrzeganie świata. A najgorsze jest to, że wcale nie mam pewności, czy gdybym nawet знаła sytuację tej dziewczyny, to czybym coś zrobiła! Zresztą niewiedza nie jest żadnym wytłumaczeniem! Skoro wiedziała Waleria, Jagoda, ojciec

Filipa, pani Lenka, to i ja mogłam się dowiedzieć! - dręczyła się Łucja.

- Przestań popadać w paranoję! Nie można wiedzieć wszystkiego, często gęsto życiem rządzi przypadek - tłumaczyłam, wyciągając z szafki grzańca. - Tato, powiedz jej, żeby się przestała katować! A swoją drogą, co ty tak cicho siedzisz?

- A bo myślę, że Łucja ma trochę racji - zasępił się ojciec. - Dobrze nam i dlatego obojętniejemy. Albo zasłaniamy się złymi doświadczeniami.

- No nie, nie mogę! Może kupcie sobie włosiennice i zacznijcie się biczować! - zdenerwowałam się. - Przecież jak wiecie, że można pomóc, to pomagacie, i to się liczy. Łucja, ty mi tu nie mów o znieczulicy w twoim wydaniu, bo sama widziałam cię parę razy w akcji. Gdyby nie ty, nasz pan Miecio dawno by umarł z głodu! Myślisz, że nie wiem, że co rano kupujesz mu bułkę i kiełbasę? I ciekawe, co robią u ciebie te dwa koty, które ktoś ci podrzucił na podwórko. Zapewne przygarnęłaś je z powodu zatwardziałości serca i znieczulicy! Dajcie spokój, nie chcę już słyszeć ani słowa o obojętności. Tato, napijesz się z nami? - taktycznie zmieniłam temat.

- Oszalałaś? Przecież muszę wrócić do domu! Samochodem. A jedno z drugim niestety się wyklucza. - Tata ciężko westchnął. - Powiedz mi, córko, jak to się stało, że te mejle, na które odpowiadała Kaśka, nie zostały odebrane?

- Chciałabym móc powiedzieć, że z powodu awarii serwera albo z innej przyczyny niezależnej ode mnie, ale niestety, po prostu zapomniałam sprawdzić - przyznałam ze skruchą.

- Kobieto, ja mam wrażenie, że wiem, dlaczego ta Kaśka nie chciała od innych pomocy - przemówiła Łucja proroczym tonem, potępieńczo kiwając głową. - Coś ją natchnęło i kazało czekać na ciebie. Bez kogoś, kto będzie trzymał rękę na pulsie, ty byś zginęła! Jak można nie sprawdzać poczty? To do czego ty używasz komputera?

- Właściwie do niczego - wyznałam. - Czasami grywam w kierki. Komputer to złodziej czasu - dodałam obronnie.

- Aha, ale nie wtedy, gdy prowadzisz za jego pomocą interes, ciemnoto! - Łucja popukała się znacząco w głowę. - W każdym razie mam przeczucie, że ta Kaśka to będzie prawdziwy skarb. Moje mieszkanie w życiu nie było tak wypucowane, zaczynam ci jej powoli zazdrościć. A zmieniając temat, to o ile słuch mnie nie myli, ktoś dzwoni do drzwi.

Rzeczywiście słuch jej nie mylił, za drzwiami stał weterynarz Czarus, który wpadł z przyjacielską wizytą i równie przyjacielską butelką wina. Ludzkie towarzystwo w kuchni przywitało go z entuzjazmem, psy po stwierdzeniu braku czarnej torby, która zwykle była równoznaczna z niemiłymi zabiegami, odprawiły powitalny psi taniec i tylko kot przezornie opuścił kuchnię szybkim galopkiem.

- Oho, kicia nie darzy cię zbyt dużą sympatią - skomentowała dezercję kota rozbawiona Łucja. - Ale, ale, coś na widok Czarka mi się skojarzyło. Słuchajcie, ta znajoma, u której byłam we Wrocławiu, opowiedziała mi niesamowitą historię. Jej koleżanka została sama w domu z dziećmi i chorym psem. Mąż wyjechał w jakąś delegację, nieważne zresztą gdzie, ważne, że go nie było. No i traf chciał, że akurat wtedy psina wyzionęła ducha. No i babka była w kropce, bo na dworze mróz, ziemia zmarznięta, więc własnoręczne kopanie grobu odpadało, samochód mąż zabrał, a martwy zwierzak wymagał natychmiastowej interwencji.

- Powinna zabrać go do weterynarza. Zająłby się utylizacją - wtrącił Czarek.

- No i tak zrobiła, tyle że trudno jej było to zorganizować, bo psisko było wielkie i ciężkie, a ona raczej mała i drobna. W końcu udało jej się zapakować go w torbę i jakoś dotachała zwłoki do tramwaju. I wyobraźcie sobie, przygotowuje się do wysiadki, a tu podchodzi do niej młody dżentelmen i proponuje pomoc.

- To dowodzi, że są jeszcze porządni ludzie - wtrącił tata, z aprobatą kiwając głową.

- O, i to jak! - prychnęła Łucja. - Oczywiście po lekkim wahaniu kobitka zgodziła się, żeby za nią wytaskał ciężar na przystanek. Bo co się miała opierać. W końcu jak ktoś chce pomóc... No i jak się tramwaj zatrzymał, to nasz młody dżentelmen puścił się w długą razem z torbą i martwym psem. I wiecie co, jednego nie mogę odżałować, że nie ma sposobu, by zobaczyć minę tego złodziejaszka, jak zajrzał do środka - zakończyła Łucja, chichocząc.

- Może to go czegoś nauczy - skwitował tata, gdy w końcu przestaliśmy się śmiać. - W życiu nie przypuszczałem, że tak ubawi mnie zdechłe psisko. To chyba nie do końca w porządku - dodał z lekką skruchą.

- No to ja pana uspokoję, że w jak najlepszym porządku. W sumie nie śmiejemy się ze zdechłego psa, tylko ze złodzieja - rozwiął jego wątpliwości Czarus. - Mnie natomiast frapuje co innego... Dlaczego to, moja droga Łucjo, mój widok przywiódł ci na myśl historię z martwą zwierzyną?

- A dlatego, drogi Czarku, że jesteś weterynarzem i temat zwierzęcy nieodmiennie mi się z tobą kojarzy - wyjaśniła Łucja, dolewając sobie wina. - A tak à propos skojarzeń, mógłbyś któregoś dnia do mnie wpaść i zaszczepić moje kocury. O, na przykład jutro jestem w domu.

- Jutro niestety nie mogę, jadę po mamę. Stwierdziła, że chce przyjechać trochę wcześniej, zupełnie nie wiem dlaczego, ale nie wierzy, że moje kawalerskie gospodarstwo jest należycie przygotowane do świąt.

- Cóż, ja tam jej się nie dziwię. - Pokiwałam ze zrozumieniem głową.

- No i widzi pan, panie Czarku, wszystkie kobiety są takie same. Nie są w stanie uwierzyć, że bez nich też dalibyśmy sobie radę. - Tata westchnął teatralnie i podskoczył, bo właśnie w tym momencie rozdzwonił się jego telefon.

- Mama dzwoni? - zapytałam, tłumiąc uśmiech.

- A któż by inny? Dobrze, będę się zbierał. Maju, a gdzie jest Marysia? - zainteresował się tata, ignorując dzwoniącą komórkę.

- Na zajęciach z gry na gitarze. Oficjalnie. A nieoficjalnie na randce z Filipem.

- Jak to? Zamiast chodzić na lekcję, ona randkuje? I ty to mówisz tak spokojnie? - W głosie taty dźwięczało zdumienie pomieszane ze zde gustowaniem.

- Nie do końca tak to wygląda. Chodzi na lekcje, a potem idzie do Filipa, żeby doskonalić grę. Tak to się formalnie nazywa. Bo moim zdaniem nawet gdyby Filipek w życiu nie widział gitary, Mania by coś tam u niego doszkalala.

- No to ja jednak po nią podjadę. Lepiej niech ona tak szczegółowo się z tym Krawcem nie doucza - zdenerwował się tata. - Majka, czy ty wiesz, czym to się może skończyć?

- Tato, tym, o czym myślisz, to się może skończyć zawsze i wszędzie. Mania nie jest głupia. Zresztą nie są sami. Jest z nimi Jeremi i ma odwieźć potem Marysię do domu.

- Jeremi? - zapytali tata z Czarkiem jednym głosem.

- No, tata Filipa - wyjaśniłam, patrząc na nich zdziwiona i kątem oka widząc, że Łucja z trudem hamuje rozbawienie.

- My wiemy, jak ma na imię tata Filipa - w imieniu męskiego grona zabrał głos Czarek. - Ale od kiedy jesteś z nim na ty? - Pytanie wyraźnie było zabarwione nutką oskarżenia.

- A co to? Przesłuchanie? - Zirytowana wzięłam się pod boki. - Jestem, od kiedy jestem. Tato, telefon nadal ci dzwoni, może byś odebrał, bo inaczej mama zamartwi się na śmierć, a potem zmyje ci głowę!

- Mama to dopiero się zamartwi, jak jej wszystko opowiem - stwierdził tata chmurnie. - A zaprosiłaś już pana Czarka na wigilię? - zapytał, wyraźnie dając mi do zrozumienia, kto cieszy się jego największą sympatią.

- Jeszcze nie, ale skoro już o tym mówimy, rzeczywiście, Czarku, miałam to zrobić. Czekałam tylko, aż przywieziesz mamę, ale skoro wszyscy wiedzą lepiej ode mnie co, kiedy i jak...

- O przepraszam, nie wszyscy! - Łucja zrezygnowała z konspiracji i jawnie się śmiała. - Ja milczę jak zaklęta!

- Właśnie słyszę, jak milczysz! Ale tak czy inaczej, Czarku, serdecznie chciałam was z mamą zaprosić na wigilię. Wspominałam ci, jak będą wyglądały nasze święta, i jeżeli nie zależy ci na kameralnej atmosferze, będzie mi miło, gdy ten czas spędzisz z nami.

Z zakłopotaniem stwierdziłam, że się rumienię. Zdziwiające, że spośród męskich znajomości jedynie weterynarz wywoływał u mnie tego typu nastoletnie reakcje. Rumieńce, zakłopotanie, a ostatnio wręcz starałam się nie zostawać z nim sama... I nagle dotarło do mnie, że to wszystko wskazuje na jedno: po prostu się zakochałam! Klasycznie i zupełnie nie po dorosłemu! O Matko Boska, i co ja mam z tym zrobić? - myślałam w popłochu. Ja nie chcę! Ale oczywiście miałam pełną świadomość, że w tej sytuacji moje chcenie czy niechcenie nie ma żadnego znaczenia. Po prostu już się stało, herbatka po obiedzie i po ptokach, jak mówiła moja babcia. No dobrze, Majka, weź się w garść, kobieto! - nakazałam sobie w duchu i zorientowałam się, że weterynarz cały czas coś mówi, patrząc mi głęboko w oczy.

- Przepraszam, mógłbyś powtórzyć, bo trochę się wyłączyłam? - poprosiłam nieprzytomnie i ze zdziwieniem stwierdziłam, że wszyscy się na mnie dziwnie patrzą.

- Ja chyba zwariuję! - Ku mojemu zdziwieniu Czarek wyglądał na mocno zirytowanego. - Nie wytrzymam, jak Boga kocham! - Wzburzony podniósł się zza stołu, a mnie przeleciało przez myśl, że najwyraźniej umknęło mi coś ważnego. - W skrócie, Majka, powiedziałem, że ja z tobą to zawsze i wszędzie, i na zawsze. W święta i w dni powszednie - wyrzucił z siebie z desperacją.

Znieruchomiałam. W kuchni zapanowała cisza jak makiem zasiał, wszyscy, łącznie z Jagodą, która właśnie wróciła z pracy, wlepili we mnie oczekujące spojrzenia, a ja otworzyłam kilka razy usta i stwierdziłam, że nie jestem w stanie wydobyć głosu. I poczułam, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Jednocześnie miałam ochotę się rozplakać i krzyczeć, byłam wzruszona i wściekła zarazem, i nijak nie mogąc poradzić sobie z tym natłokiem doznań, po prostu uciekłam na górę. Nie przymierzając jak niezrównoważona małaletnia panienska, prawie że przewracając po drodze tatę i tratując stojącą w drzwiach Jagodę.

- Majka, no co ty?! Co ja znowu powiedziałem nie tak? - usłyszałam jeszcze podniesiony głos weterynarza, zanim spanikowana zamknęłam za sobą drzwi od pokoju i zdyszana opadłam na łóżko.

Dopiero po chwili, gdy moje serce zaczęło bić względnie normalnym rytmem, dotarło do mnie, że zrobiłam z siebie koncertową idiotkę. I to, że nie był to bynajmniej pierwszy raz i zapewne nie ostatni, wcale a wcale nie podziałało na mnie kojąco. I co ja teraz zrobię? - zapytałam samą siebie. Jak mam mu spojrzeć w oczy i co powiedzieć? I czego ja właściwie chcę? Tu właśnie był pies pogrzebany.

Nie wiedziałam. Po prostu nie wiedziałam i czułam się z tym podle. Jak zagubione we mgle dziecko. I jednocześnie miałam świadomość, że wcześniej czy później będę zmuszona zająć stanowisko w tej sprawie. Nikt tego za mnie nie robi. Niestety czasy, kiedy rodzice decydowali o związkach swych dzieci, minęły bezpowrotnie. A szkoda. Gdyby trwały nadal, wydaliby mnie, nie pytając o zdanie, za Czarusia i byłby święty spokój. Nie ponosiłabym odpowiedzialności za pomyślność albo totalną porażkę tego związku. A tak wszystko zależało ode mnie. I to właśnie była konsekwencja bycia dorosłym. Z całą mocą mogłam stwierdzić, że samodzielność i dojrzałość są mocno przereklamowane. Żadna nastolatka przy zdrowych zmysłach nie powinna się do tego spieszyć.

I tak oto przy okazji wyjaśniłam kolejną zagadkę ludzkości. Zrozumiałam, dlaczego takie zjawisko jak „nastolatka przy zdrowych zmysłach” nie występuje w przyrodzie. Bo gdyby było inaczej, żadna z tych szalonych istot nie rwałaby się tak do dorosłego życia, do późnej starości pozostawałaby pod opiekuńczymi skrzydłami rodziców i ludzkość z całą pewnością by wymarła. W pięć minut rozwiązałam coś, czemu psychologowie poświęcają całe lata. Byłam genialna! I zapewne z powodu swej genialności siedziałam zamknięta w pokoju, nie wiedząc, co zrobić ze swoim życiem. No po prostu tylko sobie w łeb strzelić. Z braku strzelby - z procy.

Niestety, zamiary samobójcze musiałam odłożyć na później, bo na dole działo się coś ewidentnie dziwnego. Nawet zza zamkniętych drzwi słyszałam dobiegający z parteru harmider i z całą pewnością jako właścicielka tego przybytku, genialna czy nie, powinnam sprawdzić, co się dzieje. Nawet jeżeli oznaczało to spotkanie oko w oko z Czarusiem, na którego widok zapewne spalę się ze wstydu. I dobrze, pomyślałam buńczucznie. Przynajmniej obejdzie się bez strzałów i innych spektakularnych gestów. Spopielę się u jego stóp i będę miała z głowy. Z takim pokrzepiającym, acz niewykonalnym planem zwlokłam się z łóżka i poszłam zobaczyć, kto i dlaczego tak hałasuje.

Widok, który roztoczył się przede mną, gdy dotarłam na schody, prawie że zwałił mnie z nóg. Cały dół mojego domu w zasięgu wzroku wypełniony był ludźmi, przeważnie starszymi. Teraz wiedziałam, jak musiał się czuć Shrek, gdy zobaczył swoje bagno zapchane po brzegi bajkowymi stworami. Kiedy w końcu z niemałym trudem przepchałam się do kuchni, natychmiast dopadła mnie Jagoda.

- Majka, zabiję cię! - wysyczała mi do ucha bez wstępów, uśmiechając się przy tym uprzejmie do depczącego nam co chwila po palcach starszego pana.

- Mnie? Za co? Przecież ja w ogóle nie wiem, o co chodzi i kim są ci ludzie - odszepnęłam gorączkowo.

- Nie wiesz? To ja ci powiem! To są nasi goście wigilijni. Ponoć pani Leontyna dzwoniła do ciebie wczoraj czy przedwczoraj, nie wiem, bo nie do końca zrozumiałam, odebrała Marysia i miała ci przekazać, żebyś oddzwoniła.

- O cholera! Rzeczywiście Mania przekazała, ale zupełnie mi to z głowy wyleciało, bo właśnie wychodziłam po Kaśkę... Ale nie mówiła nic poza tym, że pani Leontyna prosiła o telefon...

- Bo jak nie oddzwonisz, to będzie znaczyło, że data spotkania ci odpowiada! - Jagoda dokonała czegoś pozornie niemożliwego i zaczęła krzyżeć szeptem.

- A o tym słyszę po raz pierwszy - mruknełam, usiłując naprędce ogarnąć sytuację. - Widocznie Mani coś umknęło.

- W takim razie zabiję i ciebie, i Marysię, żeby te roztargnione geny nie miały szans się rozprzestrzeniać po świecie. - Jagoda groźnie zmarszczyła brwi. - Ale to potem. Teraz musimy w jakiś sposób okiełznać tę cizbę.

- Dobra, to może zrobimy tak: ja ich oprowadzę po Uroczysku, na całe szczęście Kaśka wysprzątała dom na błysk, a ty może zorganizuj w tym czasie coś do siedzenia... Oczywiście Łucji i Czarka już nie ma? - bardziej stwierdziłam, niż zapytałam, usiłując przeczesać wzrokiem rozgadany tłum.

- Oczywiście, że są. Poszli do Walerii po stołki i krzesła. A co do twojego wcześniejszego zachowania, to jeszcze porozmawiamy!

- Nie wiem, o czym mówisz. - Przezornie uciekłam oczami w bok. - A gdzie pani Leontyna? Widziałas ją?

- Zaginęła w akcji. Zdaje mi się, że usiłuje zaprowadzić tu jakiś porządek. Patrząc na rezultaty, raczej bym na nią nie liczyła. - Jagoda cofnęła się przed zbitą grupą staruszek, które nie patrząc na nikogo i na nic, w niewiadomym celu parły do przodu.

- No to pora na mnie. Nie na darmo w końcu jestem nauczycielką, jakiś posłuch powinnam mieć. - Usiłowałam wierzyć w to, co mówię. - Uwaga, proszę państwa! Proszę o chwilę ciszy! - zawołałam. - Proszę państwa!! - powtórzyłam jeszcze głośniejszym głosem. Niestety, moje okrzyki nie przyniosły żadnego efektu, a ja poczułam narastającą irytację. Bo czego jak czego, ale takiego zupełnego ignorowania po prostu nie trawiłam. - Cisza!!! - ryknęłam w końcu nie swoim głosem i z ulgą stwierdziłam, że całe towarzystwo znieruchomiało, patrząc na mnie ze zdziwieniem. - Witam państwa w Uroczysku. Mieliśmy się spotkać na omówienie spraw wigilijnych, ale najpierw chciałabym zaprosić was do obejrzenia pensjonatu. To pozwoli ocenić państwu warunki, w jakich spędzicie ten wyjątkowy wieczór - kontynuowałam swobodnie, posyłając Jagodzie tryumfujące spojrzenie. - Czy są jakieś pytania? - dodałam z przyzwyczajenia i dopiero potem zdałam sobie sprawę, że przecież mam do czynienia z dorosłymi ludźmi, a nie z dziećmi ze szkoły.

- Ja, ja mam pytanie! - ku mojemu zdumieniu zgłosił się starszy pan. - Bardzo jestem ciekawy, jak to możliwe, że taka mała istota może tak głośno... Nawet nie wiem, jak to określić, bo słowo „mówić” nie oddaje tego, czego byliśmy świadkami, a „ryczeć” chyba nie wypada powiedzieć...

- Kazimierz! Jak możesz! Niech pani go nie słucha.

- Z tłumy wypchnęła się do przodu krągła pani o rumianych policzkach i ogniście rudych włosach wystających spod figlarnego zielonego kapelusika. - Jak zwykle chce być dowcipny - dodała, mrużąc zielone oczy podkreślone czarną kredką.

- A ty jak zwykle musisz mieć ostatnie słowo - odparował natychmiast pan Kazimierz.

Stwierdziłam, że uwaga, jaką zdołałam wywalczyć, wisi na włosku.

- Dobrze, panie Kazimierzu, nieważne, jak to nazwać, ważne, że wszyscy mnie usłyszeli - odpowiedziałam natychmiast i widząc, że zielony kapelusik z rozniewaną miną szykuje się do dalszego szturmu, najzwyczajniej w świecie postanowiłam nie dać nikomu dojść do głosu.

- A teraz zapraszam państwa na górę. Obejrzymy pokoje, bo może część z was zdecyduje się zostać po wigilii na noc. W tym czasie na dole zostaną przygotowane krzesła i jak wrócimy, omówimy wszelkie szczegóły.

- O, widzisz, Kaziu, pani Maja pokazała ci odpowiednie podejście do twojego głędzenia - zielony kapelusik wykorzystał przerwę w mojej przemowie, potwierdzając, że chyba rzeczywiście zawsze musi mieć ostatnie słowo.

Nie czekając na rozwinięcie dyskusji, czym prędzej poprowadziłam szemrzący tłumek za sobą. Szczerze mówiąc, gdyby ktoś potem zapytał mnie, skąd wiedziałam, co mówić, musiałabym stwierdzić, że nie mam pojęcia. Wiem tylko, że niewiadomym sposobem udało mi się wychwalić pod niebiosa każdy z pokoi, co więcej, dostrzegłam w nich mnóstwo ciekawych rzeczy, które do tej pory jakoś umknęły mojej uwadze. Cóż, widocznie desperacja wpływa dobrze na twórcze podejście do otoczenia. Gdy oględziny zostały zakończone i wszyscy schodzili z powrotem na dół, podeszła do mnie pani Leontyna.

- Nareszcie się do ciebie dopchałam. Ale gaduły z tych naszych współbiedniaków, co?

- Rzeczywiście mają sporo do powiedzenia - przytaknęłam. - Pani Leontyno, a jak wy się tu dostaliście? Bo chyba nie na piechotę? - Postanowiłam nie przyznawać się, że ich wizyta jest dla mnie totalnym zaskoczeniem.

- Pewnie, że nie. Na początku myśleliśmy, żeby ci, którzy mają auta, dowieźli pozostałych, ale był problem z organizacją. W rezultacie proboszcz załatwił busy i kierowców. Wiesz co, Maju, obawiam się, że miałaś rację... Rzeczywiście może być kłopot z okiełznaniem towarzystwa. - Leontyna zmieszana spuściła oczy. - Nie sądziłam, że to będzie takie trudne, ale nijak nie mogę się z nimi dogadać... Kłócą się o potrawy, o godzinę, o kolory obrusów...

- Rozumiem, że pytała ich pani o to wszystko?

- Wydawało mi się, że skoro to ma być nasze wspólne przedsięwzięcie, powinniśmy ustalić to razem. A co, myliłam się?

- Hmm... Jak by to powiedzieć... Nigdy nie organizowałam tego typu imprezy i podobnie jak pani jestem laikiem. Ale mam doświadczenie z dziećmi i ku mojemu zaskoczeniu zasady chyba muszą być podobne. Proszę mi pozwolić, spróbuję zrobić to moim sposobem. Może się uda. Jak nie, będziemy się zastanawiać, co dalej. - Uspokajająco położyłam dłoń na ramieniu Leontyny. - A kto to jest ta dama w zielonym kapeluszu? - spytałam z zaciekawieniem, przyglądając się, jak zielony kapelusik zażarcie kłóci się z panem Kazimierzem.

- To Brygida Świętojańska. Nasza lokalna artystka malarka. Nie poznałaś jej jeszcze?

- Pierwszy raz ją na oczy widzę, ale to wystarczy, by stwierdzić, że ma charakterek. - Roześmiałam się, patrząc na zadziorną minę zielonego kapelusika. - A jakie obrazy maluje?

- Najróżniejsze. Ostatnio pracuje nad cyklem świątków dolnośląskich. Kiedyś sprzedawała swoje prace za całkiem niezłe pieniądze, teraz jest trochę gorzej.

- No proszę, to Malownicze ma nawet swoją artystkę. - Zdziwiona pokręciłam głową. - Kto by pomyślał, takie malutkie miasteczko! Aż dziw bierze, że nie pognało naszej malarki w obce, większe kraje.

- Nie pognało, ale mogło. Brygida swego czasu miała propozycje z zagranicy, mogła wyjechać i robić naprawdę światową karierę, ale nie chciała. Została tutaj. Zresztą nie ona jedna. Mamy też rzeźbiarza, pana Klaudiusza. Jak widać, nie wszystkich ciągnie wielki świat.

- To fakt, niekiedy nawet bywa na odwrót. Z wielkiego świata człowiek dobija do takiego małego miasteczka i dostrzega ze zdziwieniem, że tego właśnie było mu potrzeba - mruknęłam zamyślona, przypominając sobie siebie sprzed roku. - A niech mi pani powie, o co chodzi z panem Kazimierzem. Czemu oni się tak kłócą?

- Bo ja wiem? Chyba to ich sposób na życie. Uwielbiają się, są parą od lat, ale nie mieszkają razem. I nieustannie drą koty. Taka miłość pod górkę. Aha, skoro jesteśmy przy miłości, to chciałam cię prosić o rozmowę po spotkaniu. Będziesz miała moment?

- Oczywiście, a teraz panią przeproszę, bo już najwyższa pora, żebym zeszła do Jagody. Wydaje mi się, że przyszła pora na konkrety.

Wzięłam głęboki oddech. Co też ich wszystkich dzisiaj napadło? Miłość, wyznania, bla, bla, bla. Miałam tylko nadzieję, że Leontyna nie będzie chciała rozmawiać ze mną o Czarku, jego wyznaniu i moich uczuciach. Zdrowy rozsądek podpowiadał mi wprawdzie, że to niemożliwe, by starsza pani wiedziała, co wydarzyło się w kuchni przed jej przyjściem, ale kto ją tam wie. Może jakimś dziwnym sposobem, znanym jedynie staruszkom, dowiedziała się o wszystkim i będzie chciała udzielić mi dobrych rad? Jak to mówią starzy wyjadacze życia, wszystko się może zdarzyć, tak więc i jasnowidzące staruszki mogą się niespodziewanie pojawić w naszym życiu i niezłe w nim namieszać.

Gdy spotkanie dobiegło końca i wszyscy staruszkowie - poza Leontyną - przekrzykując się nawzajem, dogadując i plotkując, opuścili Uroczysko, opadłam bez sił na krzesło, pozwalając, by Czarek i tata, który widząc, co się dzieje, został, żeby mi pomóc, zajęli się sprzątaniami. Formalnie byłam wyczerpana. Staruszkowie okazali się niezmordowani i nieustępliwi. I pełni werwy. Na początku przyjęta przeze mnie taktyka postawienia ich przed faktem dokonanym przynosiła pożądane rezultaty. Bez szemrania przyjęli informację, że obrusy będą koloru ecru, a dodatki czerwone. Zaproponowana godzina kolacji wigilijnej już wywołała pomruki niezadowolenia, natomiast prawdziwa wojna rozpętała się przy potrawach. Okazało się, że każdy chce, żeby na stole stało co innego. Kłócono się zażarcie o gatunki ryb, rodzaje śledzi, sposób gotowania kapusty. W pewnym momencie nikt już nie słuchał nikogo, tylko wszyscy krzyczeli do siebie, na siebie lub po prostu dla towarzystwa. Marysia, która wpadła w sam środek tego bałaganu, z trudem przedarła się przez rozwrzeszczany tłum i zapytała scenicznym szeptem, co tu się, u diabła, dzieje.

- Ustalamy menu wigilijne - wyjaśniłam nieuważnie, bo uwagę miałam skupioną na dwóch starszych paniach, które ujmując się pod boki, przechodziły właśnie od sporu o krokiety do wywleknięcia jakiś

dawnych spraw sąsiedzkich. Obok nich trwała wieloosobowa zażarta dyskusja o rodzaju ryby przyrządzonej po grecku i o to, czy karp ma być smażony, duszony, czy też pieczony w śmietanie.

- Pieczony i nie ma możliwości, żeby było inaczej - zawyrokował pan z krągłym brzuszkiem i pucołowatymi policzkami. - Jeszcze moja mama takiego robiła, a nie znałem osoby, która by lepiej gotowała i znała się na tradycji!

- Ty chyba oszalałeś! Na wigilię pieczona ryba? Nie chcę tutaj nikogo obrażać, ale trudno tu mówić o jakiegokolwiek tradycji! Ryba ma być smażona! To jest tradycyjne danie, a nie tam jakieś pieczone wymyślać - oburzyła się stojąca obok pani, potrząsając zgrabnym blond koczkiem.

- Ryba to koniecznie duszona - bojowo wtrąciła sąsiadka blond koczka.

- Duszona to zaraz ty będziesz - zagroził zwolennik pieczonego.

Wymieniłyśmy z Jagodą przerażone spojrzenia. Sytuacja niewątpliwie wymknęła się spod kontroli i groziła jedną wielką awanturą. Zewsząd dolatywały nas podniesione głosy: Duszona! Pieczona! Z olejem zwykłym! A nie, bo Inianym! Borowiki, tylko borowiki, precz z podgrzybkami! Jesteś stary wariat! No proszę, normalna się odezwała! I tak dalej w ten sam deseń. Uspokajające okrzyki, które wydawałyśmy na przemian (Marysia, ja i Jagoda) całkowicie zignorowano. Jakby tego było mało, psy, przezornie zamknięte w pokoju Marysi na górze, jakimś cudem sforsowały drzwi i szaleńczym galopem zbiegły na dół, gdzie z miejsca popadły w dziki zachwyty. No bo jak tu się nie cieszyć! Tylu ludzi do obskoczenia i oblizania jednorazowo w życiu nie widziały! Czarek, który stał najbliżej schodów, usiłował przechwycić szarżujące zwierzaki, ale okazały się sprytniejsze i wtedy właśnie rozpętało się prawdziwe piekło. W kłócący się tłum wpadły rozochoczone psiska, które dosłownie nie wiedziały, w co pysk wsadzić i kogo najpierw obskakiwać i witać. W harmidrze wszelkie polecenia nikły. W końcu darowałam sobie wrzeszczenie (akurat w tym wyręczyły mnie świetnie wszystkie panie) i ruszyłam na pomoc Czarkowi i tacie, którzy bezskutecznie usiłowali zagonić czworonożne towarzystwo na górę. Co więcej, psy, widząc usiłującego ich łapać weterynarza, pokojarzyły wszelkie zgromadzone w kudłatych łbach dane i zaczęły panicznie przed nim uciekać. Weterynarz, który usiłuje cię złapać, nigdy nie oznacza niczego dobrego, zwłaszcza jeżeli jesteś psem albo jakimś innym chomikiem. Wreszcie wspólnymi siłami zapędziliśmy psie towarzystwo na schody i właśnie wtedy weterynarz był uprzejmy się potknąć, całym ciałem runął na poręcz, która ni mniej, ni więcej, tylko jęknęła, trzasnęła i się złamała.

- Jak się wali, to się wali wszystko - skwitowała Marysia sytuację w nagle zapadłej ciszy. - Czarek, żyjesz?

- Nic mi nie jest - zapewnił weterynarz, gramoląc się spod drewnianych szczątków. - Nie zwracajcie na mnie uwagi, zajmijcie się lepiej tymi ustaleniami. Majka - szepnął do mnie - wykorzystaj to, że są cicho, no jazda!

- Ale o czym ty mówisz?! Przede wszystkim muszę mieć pewność, że tobie nic się nie stało! Rąbałeś, aż huknęło. Wstawaj i sprawdź, czy możesz się ruszać - stwierdziłam stanowczo, z rozmysłem ignorując stado pilnie obserwujących nas staruszków.

- Przecież mówię, że nic mi nie jest! Zaraz zejść do Florka i razem to naprawimy. Naprawdę nie musisz się mną przejmować...

- Właśnie że muszę - wyrwało się mi niespodziewanie i natychmiast spiekłam raka. - W końcu jak ktoś tak upada, to nic dziwnego, że człowiek się przejmuje, każdy by się przejął, ale skoro mówisz, że wszystko w porządku, to ja... - Tu machnęłam ręką w niesprecyzowanym kierunku i spłoniona odwróciłam się do moich przyszłych wigilijnych gości. - Może wrócimy do tematu - powiedziałam, zmęczona schodząc po schodach, myśląc, że wcale bym się nie zdziwiła, gdyby większość z nich zrezygnowała z imprezy. Ostatecznie najpierw zostali napadnięci przez psy, potem byli świadkami schodowej demolki... jakkolwiek by na to patrzeć, wyglądało to średnio zachęcająco. - Na czym skończyliśmy?

- Na ustaleniu potraw - przypomniał usłużnie pan Kazimierz, patrząc na mnie z jawnym współczuciem.

- I ja nadal obstaję przy pieczonej rybie, karpia konkretnie. - Pan z brzuszkiem natychmiast wrócił do przerwanej przekrzykiwanki.

- A ja bym chciała suma - wtrąciła pani o wyglądzie szarej myszki. - Nigdy nie przepadałam za karpem...

- Jak to?! Wigilia bez karpia?! - zapowietrzył się blond koczek.

Gdy już myślałam, że awantura wybuchnie od nowa, i to w dużo większym natężeniu, niespodziewanie wtrącił się pan Kazimierz.

- A ja, drodzy państwo, przygotuję bobrzy ogon - wypalił w przestrzeń. - To dopiero będzie odwołanie się do tradycji.

Popatrzyłam na niego z niebotycznym zdziwieniem. Bolesny kuksaniec w bok od Marysi przywołał mnie do porządku.

- Mamo, zamknij usta - zrugła mnie szeptem córka.

- Wiem, że przeżywasz ciężkie chwile, ale niekoniecznie od razu musisz wyglądać jak...

- Lepiej nie kończ - przerwałam jej ostrzegawczo, popatrując wokoło i stwierdzając z ulgą, że nie jestem w swej reakcji osamotniona, bo reszta towarzystwa jak na komendę przerwała wszelkie spory i z głupimi minami zagapiła się na pana Kazia.

- No jak to? Bobrzy ogon? - odezwał się niepewnym głosem blond koczek.

- Przecież mówię wyraźnie: bobrzy ogon...

- Kazimierz, coś ty znowu wymyślił? - Pani Brygida zirytowana zmrużyła zielone oczy i spod zmarszczonych brwi groźnie popatrzyła na wielbiciela egzotycznych dań.

- Przecież to wigilia, dania bezmięsne obowiązują - wtrącił właściciel krągłego brzuszka i zwolennik pieczystego.

Pan Kazimierz zgodnie pokiwał głową.

- Bóbr większość życia spędza w wodzie, to można przyjąć, że jest rybą. Do takich wniosków doszli też średniowieczni mnisi.

- Ha, chyba pan zapomniał, że żyjemy w trochę bardziej cywilizowanych czasach niż średniowiecze
- rozległ się z tyłu pełen pretensji piskliwy głos.

- Odkąd tu wszedłem, nie jestem tego taki pewien - odpowiedział nadszpodziewanie poważnie pan Kazik. - Przepraszam za szczerość, ale zachowujemy się jak stado dzikusów. Kobieta stara się z nami rozmawiać, a nawet nie może dojść do głosu. I słusznie zauważyłeś, Krzysiu, że to ma być Wigilia. - Tu zwrócił się do właściciela krągłego brzuszka. - Święto miłości i ciepła, a nie narodzin karpia i wyżerki. Przy najmniej tak mi się do tej pory wydawało.

Całe towarzystwo pospuszczało głowy, w czym wybitnie przypominali moich uczniów, gdy coś zbroją. I gdy tak na nich patrzyłam, wpadł mi do głowy pewien pomysł. Coś, co zastosowałabym również u siebie w klasie, ale przecież nie musiałam tych tutaj informować, że za moment zostaną potraktowani dokładnie tak jak wyjątkowo krnąbrni licealiści w okresie buntu i naporu. Cóż, może już tak to wygląda: bunt małolatów, chwila względnej stabilności, a później powrót do przeszłości, tyle że dużolatów. I chyba z tymi ostatnimi jest gorzej, bo ich się już nie da wychować.

- Moi drodzy - powiedziałam do mojej „wiekowej klasy”. - Pan Kazimierz ma rację, święta nie powinny być powodem do kłótni, chociaż wiadomo, że kto się lubi, ten się czubi... Mam propozycję. Zaraz dostaniecie kartki, na których każdy napisze propozycję potraw wigilijnych, a na następnym spotkaniu zrobimy losowanie. Zdamy się na przypadek, tak będzie najbardziej sprawiedliwie. Spotkanie musi odbyć się pojutrze i wtedy musimy już dopiąć wszystko na ostatni guzik. Razem z losowaniem potraw zrobimy losowanie prezentów, każdy z państwa wyciągnie karteczkę z nazwiskiem współbiedniaka, ale o tym mówiła już pani Leontyna. Teraz proszę o napisanie nazw potraw i oddanie kartek Marysi.

Gdy udało mi się wreszcie powiedzieć ciągiem wszystko, co miałam do zakomunikowania, z piersi wydobyło mi się głębokie westchnienie ulgi. Jak się okazało, przemowa pana Kazimierza odbiła się głęboko w sercach zgromadzonych, bo spisywanie dań, zbieranie kartek i domawianie godziny kolejnego spotkania przebiegło nadzwyczaj sprawnie i we względnej ciszy, przy akompaniamencie stukania młotka dobiegającego ze schodów. Widać weterynarz i pszczelarz zabrali się do usuwania schodowej demolki. Gdy w końcu za ostatnim gościem zamknęły się drzwi, pomyślałam, że Jagoda miała rację. Wigilia dla stada nieznanym ludzi, z których każdy miał wyrobione nawyki i był nieustępliwy, nie miała szans powodzenia.

Dzisiejsze spotkanie jasno mi pokazało, że nie wszystko da się załatwić dobrymi chęciami. Gdyby nie pan Kazimierz, dzisiejsze spotkanie skończyłoby się okładaniem laskami i Bóg wie czym jeszcze.

- Co masz taką zboląłą minę? - przerwała moje ponure myśli Jagoda, klepiąc mnie po ramieniu. - Tylko mi nie mów, że się łamiesz.

- A dziwisz się? Miałaś rację, to nie może się udać - jęknęłam, chowając twarz w dłonie.

- O nie, moja droga! Nie chcę niczego takiego słyszeć! Pierwsze koty za płoty, najgorsze za nami. Poza tym nigdy nie powiedziałam, że to się nie uda, tylko że będzie trudno. A to zupełnie co innego.

- Tak? Jakoś nie widzę różnicy. Nie pocieszaj mnie, doskonale pamiętam, jak mówiłaś, że staruszkowie są trudni we współżyciu!

- I co w związku z tym? Nikt nie każe ci z nimi brać ślubu! Trzeba to tylko jakoś ogarnąć. W końcu to są tylko drobne problemy z komunikacją... Nie z takimi rzeczami sobie radziłyśmy!

- Drobne problemy z komunikacją, powiadasz - sarknęłam. - Gdyby nie pan Kazimierz, te drobne problemy uniemożliwiłyby nam jakiegokolwiek porozumienie. To spotkanie to była całkowita porażka!

- Ty chyba przyjechałaś sobie za cel udowodnienie, że jesteś do niczego - zdenerwowała się wreszcie Jagoda. - Jeżeli myślisz, że będę cię w tym utwierdzać, wybij to sobie z głowy! Jeżeli chcesz znać moje zdanie, to jak na coś zupełnie nieprzygotowanego poszło nam całkiem nieźle! I nie ma co jójczyć! Nikt nikogo nie pobił, nikt nie zginął, wszelkie spory zostały zażegnane w zarodku. Teraz weź się w garść, bo w kuchni czeka na ciebie pani Leontyna i jest jeszcze gorzej zdołowana od ciebie. Chyba nie chcesz kopać leżącej staruszki?

- Nawet gdybym chciała, nie mam na to siły - mruknęłam, z trudem podnosząc się z krzesła. - Natomiast ty wprost przeciwnie, promieniejesz i tryskasz energią...

- Ktoś musi - skwitowała moja przyjaciółka. - Wystarczy, że ty marudzisz.

- Racja, gdybyśmy razem marudziły, życie stałoby się nie do zniesienia - zgodziłam się z nią, zmuszając się do dziarskiego tonu. - No to teraz przejmuję od ciebie pałeczkę i idę pocieszać panią Leontynę. A swoją drogą nie mówiła ci przypadkiem, czego ode mnie chce?

- Nie mam pojęcia, ale twierdziła, że wiesz, że na ciebie czeka. Tak na zdrowy rozsądek pewnie chce pogadać o świętach, bo o czym by innym?

- O miłości na przykład - odpowiedziałam i ignorując zdziwioną minę Jagody, powlokłam się do kuchni, zaglądając po drodze na schody, gdzie Czarus z panem Florianem zażarcie dyskutowali, pochyleni nad leżącą przed nimi poręczą.

- No i jak wam idzie? - zainteresowałam się, jednocześnie przyglądając się poręczy, która z tej perspektywy wydawała mi się jakaś dziwna.

- Ddoskonale - zapewnił mnie dziwnie szybko pszczelarz.

- Świetnie, jakbyśmy od urodzenia zajmowali się stolarką - zawtórował mu gorliwie weterynarz, sadowiąc się na schodach i własnym ciałem zasłaniając przede mną efekt prac stolarskich.

- A nie wydaje się wam, że ta poręcz jest jakby za krótka? - zapytałam, usiłując zajrzeć za plecy Czarka.

- Jaka za krótka? W sam raz, tylko musimy ją jeszcze przyciąć - oburzył się weterynarz.

- Przyciąć? Jesteście pewni? Bo mnie się wydaje, że jej już jest dużo mniej...

- Majka, jesteśmy pewni! Mężczyźni mają wrodzony zmysł majsterkowania - stwierdził weterynarz, ignorując moje niedowierzające spojrzenie. - Zobaczysz, rezultat przerośnie twoje najśmielsze oczekiwania.

- Aha - odpowiedziałam tylko, bo choć nawet w części nie byłam mężczyzną i prawdopodobnie nie posiadałam nawet minimalnych wrodzonych zdolności do dźbania w drewnie, to i bez tego wyraźnie widziałam, że z „naprawą” poręcz jest coś nie tak. Może gdyby pozwolili mi się przyjrzeć z bliska, umiałabym nawet sprecyzować, o co mi chodzi, ale obserwując zacięte miny uwarunkowanych genetycznie stolarzy, zrezygnowałam z dociekań. Ostatecznie nawet jeżeli coś im nie wyszło, poręcz od schodów nie była konstrukcją zbyt skomplikowaną, przy odrobinie wysiłku powinni sobie z nią poradzić i bez mojej obecności, która nawiasem mówiąc, wyraźnie była im nie na rękę. I tak ograniczyłam chęć pomocy do zaproponowania kawy i poszłam odbyć nieuniknioną rozmowę z panią Leontyną, która siedziała w kuchni śmiertelnie znużona. Widać starszackie plemię nie tylko mnie wykończyło.

- Majka, dziecko, przepraszam cię za to wszystko! - Postanowiła nie silić się na wstępy. - Nie miałam pojęcia... Nie wiem, co w nich wstąpiło, po prostu nie wiem. - Rozłożyła bezradnie ręce.

- Niech się pani w ogóle tym nie przejmuje - uspokajająco pogłaskałam ją po ramieniu. - Najważniejsze, że się dogadaliśmy i znaleźliśmy rozwiązanie, które chyba większości przypadło do gustu. - Nie wiedzieć kiedy przejęłam taktykę Jagody i skupiłam się na pozytywnych aspektach tego całego bałaganu.

- A co będzie, jak na następnym spotkaniu znów się zaczną awanturować? Zupełnie nie mam na nich wpływu, jak są w grupie. A przecież trudno ich będzie znów zaskoczyć... Bobrzy ogon był raczej jednorazowego użycia - rozpaczła pani Leontyna, załamując drobne pomarszczone dłonie.

- Fakt, trzeba będzie coś przewencyjnie wymyślić - mruknęłam, bo dotarło do mnie, że starszka może mieć rację. - I to szybko, bo czasu zostało niewiele. Musimy opanować tylko to najbliższe spotkanie, kolejne będą już w dużo mniejszym gronie. Myślę, że pani Ewa powinna dobrać sobie kilka osób do pomocy w kuchni i ogólnie do organizacji. Z dekoracją poradzimy sobie we własnym zakresie, jeżeli chodzi o dojazd, mam nadzieję, że proboszcz weźmie to na siebie - wyliczałam i w tym momencie spłynęło na mnie natchnienie. - Pani Leontyno, wiem! - wykrzyknęłam, łapiąc zdziwioną starszkę za rękę. - Zaprosimy proboszcza! On ma wprawę w przemawianiu, a dodatkowo chyba przy nim nikt nie będzie się wyklócał. Przynajmniej nie w takim stopniu jak dzisiaj.

- Masz rację! - Pani Leontyna się ożywiła. - Że też nie przyszło mi to wcześniej do głowy. To kto zajmuje się proboszczem? Ja czy ty?

- Mogę ja. I tak muszę się z nim spotkać i dogadać parę spraw. Jutro do niego wpadnę na plebanie - powiedziałam, myśląc, że przy okazji porozmawiam o Kaśce. Może będzie wiedział, jak dokładniej wygląda sprawa z dziećmi. Czy już wydano decyzję o ich zabraniu, czy był tylko taki zamiar. Bo jeżeli sprawa już była w toku, potrzebowałam kogoś, kto mi pomoże ją unieważnić. Proboszcz wydawał mi się jak najbardziej odpowiednią osobą. - No to mamy już ustalone. Ale chciała pani rozmawiać ze mną o czymś innym, dobrze zrozumiałam?

- Tak, chodzi o jedno miejsce więcej... Dla pewnego pana, z którym nie udało mi się jeszcze skontaktować, ale mam nadzieję, że przyjdzie.

- Pani Leontyno, z miejscami już jest problem. Gości mamy grubo ponad komplet. W tej sytuacji rezerwacja w ciemno jest praktycznie niemożliwa - odmówiłam stanowczo i już zamierzałam rozwieść się nad trudnościami usadzenia takiego tłumu, ale widząc minę starszej pani, ugryzłam się w język. Niestety odrobinę za późno, bo dopiero teraz dotarło do mnie, że ten tajemniczy pan musi być dla niej kimś bardzo ważnym. Nie na darmo w prośbie o rozmowę wspomniała o miłości.

O cholera! - jęknęłam w duchu. Że też ja zawsze muszę z czymś takim wyskoczyć. Nie miało mi się kiedy zebrać na asertywność!

- Ale proszę się nie przejmować, rozumiem, że na tym miejscu szczególnie pani zależy i właśnie z myślą o takim przypadku zachowałam dwa, tak na wszelki wypadek - czym prędzej odwróciłam kota ogonem, mając nadzieję, że ta nagła zmiana zapatrywań na liczbę miejsc wypadła w miarę naturalnie. - Choć tylko pod warunkiem, że się dowiem, kim jest ten tajemniczy pan - dodałam, przysiadając na sąsiednim krześle.

- To taka stara i do tego zupełnie nieciekawa historia. - Leontyna z wyraźnym zakłopotaniem spuściła oczy. - Znudzę cię tylko...

- Cóż, zaryzykuję, chyba że to coś, o czym nie chce pani opowiadać. - Popatrzyłam na nią zaintrygowana.

- Nie, to nie żadna tajemnica. Swoją drogą kiedyś pół miasteczka opowiadało sobie różne wersje tej historii. To były jeszcze czasy, gdy tego typu sprawy nazywano skandalami. - Pani Leontyna uśmiechnęła się smutno. - Teraz nie tylko nikt by tego tak nie zakwalifikował, ale wręcz nie zwrócono by na to w ogóle uwagi. Wtedy było inaczej. Czasami wręcz żałuję, że nie mam wnuków, którym mogłabym z dumą opowiadać, że ich babka swego czasu stała się bohaterką skandalu. Nie sądzisz, że brzmi to imponująco? Ale wracajmy do tematu. O tym, co się działo w czasie wojny, już wiesz. Ewa mówiła, że wtajemniczyła cię w historię z imionami, więc nie będę się powtarzać. - Pani Leontyna na chwilę zamilkła i niewidzącym wzrokiem zapatrzyła się w ogień płonący pod czajnikiem. - W każdym razie minęło parę lat od tamtych wydarzeń, uporałam się jako tako z żalem, pamiętałam oczywiście o Stasiu, ale już tak radykalnie nie twierdziłam, że nigdy i z nikim... I wtedy poznałam Antoniego. Antoni... Jak mam ci go opisać, żebyś zrozumiała... Po prostu gdy się zjawił, poczułam, że znika ze mnie... Pustka? Tak chyba można określić to uczucie. I to nie znaczy, że byłam wcześniej jakoś specjalnie nieszczęśliwa. Jedną z niezaprzeczalnych zalet młodości jest pęd do zachłannego czerpania radości z życia. Tak jak mówiłam, gdy pojawił się Antoni, nie byłam już dogłębnie nieszczęśliwa... Tylko taka, bo ja wiem, niepełna. Antoni okazał się moim dopełnieniem. Na początku strasznie się bałam, że mnie nie dostrzeże, że będzie wolał Ewę. Ona była taką trzpiotką, śmieszką. Do tańca i do różańca, dusza towarzystwa. Wydawało mi się, że przy niej wypadam blado. Ale okazało się, że moje obawy są bezpodstawne. Antoni mnie pokochał. I tak naprawdę bardzo żałuję, że na tym ta historia się nie kończy. - Leontyna głęboko westchnęła. - Niestety to życie, a nie książka czy film. Spotykaliśmy się dwa lata, w grudniu poprosił mnie o rękę. Oczywiście przyjął go bez wahania. Poprosił mnie pięknie, w starym stylu, na kolanach, z kwiatami i pierścieniem po prababce. Styl Antoni miał we

krwi. Teraz z perspektywy lat wiem, że z tym człowiek się rodzi, nie można się tego wyuczyć. Wraz z moim „tak” rodzice w końcu odetchnęli i przestali się o mnie niepokoić. Lubili Antoniego. Poza tym przypuszczam, że cieszyła ich myśl o potencjalnych wnukach. Tuż po naszych zaręczynach wyjechałam z ojcem na doroczne polowanie na starocie. Grudzień był miesiącem, w którym tata skupował najwięcej rzeczy. Miało mnie nie być dwa tygodnie. Pech chciał, że wróciliśmy wcześniej. Przywieźliśmy sporo towaru, między innymi ramki do zdjęć dla matki Ewy. Z miejsca poszłam je zanieść i zobaczyłam, jak na werandzie Ewa całuje się z Antonim. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że wtedy po raz drugi mój świat się zawalił. Ale większa od rozpacz była wściekłość. Wykrzyczałam im w twarz wszystko, co mi wtedy przyszło do głowy. Mówiłam straszne rzeczy. I nie tylko mówiłam, byłam przekonana, że chcę dla nich jak najgorzej. Antoni usiłował coś powiedzieć, ale zapewne wiesz, że przerwanie wypowiedzi wściekłej kobiecie jest z góry skazane na klęskę. I Antoni przegrał. Na odchodnym cisnęłam w niego pierścieniem po prababce i powiedziałam, że może się zająć planowaniem świąt, bo ze mną już nigdy nie usiądzie do wigilijnego stołu. Wcześniej w planach mieliśmy wspólne święta, nasi rodzice mieli się bliżej poznać. Ewy nie zaszczycałam nawet słowem, wcisnęłam jej w rękę ramki i odeszłam...

- A to drań... Jak można coś takiego zrobić! A ona też nie lepsza! Rozumiem, że od tamtej pory nie rozmawialiście z panią Ewą aż do momentu, gdy ja do niej poszłam? - zapytałam, czując, że z minuty na minutę coraz mniej lubię podstępnie występłą staruszczykę Ewę.

- Ależ nie, rozmawialiśmy. O ile oczywiście można taką awanturę nazwać rozmową. Wspominałam ci, że Ewa jest dosyć porywczą i mimo poczucia winy nie zdzierzyła mojego zachowania. Ale mniejsza o to. Antoni też przychodził, kajał się, przekonywał, że to była głupota, przekomarzali się na temat wolności po ślubie i Ewka rzuciła podobno tekst, że oferuje mu ostatni prawdziwy wolny pocałunek. I tak jakoś idiotycznie wyszło.

- Rzeczywiście, jakoś idiotycznie - stwierdziłam z przekąsem. - Dobre sobie.

- Też tak wtedy uważałam. Nie chciałam go słuchać ani się z nim widzieć. W rezultacie rozmawiał z nim mój ojciec. Jego Antoni przekonał. Tylko nie pomyśl sobie, że tata wykazał zrozumienie i akceptację. Przeciwnie, uważał, że było to zachowanie nieodpowiedzialne i szczeniackie i Antoni wiele stracił w jego oczach, ale tłumaczył też, że każdy ma prawo popełnić błąd i powinno dać mu się drugą szansę. Ale ojca też nie słuchałam.

- Nie dziwię się. Też bym nie chciała mieć nic wspólnego z facetem, który całuje się z inną. Ani z nim, ani z taką, pożałuj Boże, przyjaciółką - oburzona solidaryzowałam się z panią Leontyną.

- A widzisz dziecko, ja teraz niesamowicie tego żałuję... - niespodziewanie wyznała Leontyna. - Kochałam Antoniego przez całe życie i on mnie też kochał. Nigdy się nie ożenił. A przez mój upór i żal tyle straciłam. I lat, i szczęśliwych chwil. Myślę, że wtedy rzeczywiście to był tylko głupi wyskok. Ale ja byłam urażona i bardzo się bałam, więc nie zdobyłam się na przebaczenie. Szkoda. Strach, upór i rozgoryczenie to nie są dobrzy doradcy. I dlatego teraz chciałabym zaprosić Antoniego na wigilię. Gdyby przy-

szedł, przeszłość zatoczyłaby koło. Może nic z tego nie wyniknie, z całą pewnością nic z tego nie wyniknie, ale dokonałabym rozliczenia z przeszłością. - Leontyna ciężko westchnęła.

Popatrzyłam na nią z niepokojem. Zwrot „rozliczenie z przeszłością” zabrzmiał dość radykalnie. Poza tym jej opowieść jakoś dziwnie mnie rozstroiła. Trafiła w sedno moich rozterek. Ja też się bałam, dlatego uciekałam przed weterynarzem i tym, co czułam. Sparzyłam się w małżeństwie, zawiodłam i bałam się kolejnej wpadki.

- Pani Leontyno, oczywiście proszę próbować go zaprosić. - Odkasznęłam, starając się zagłuszyć natłok myśli szalejących niczym tajfun w mojej głowie. - Miejsce będzie czekało. Myśli pani, że przyjdzie?

- Nie wiem, ale powinnam zrobić wszystko, żeby przyszedł... To jedna z tych rzeczy, które nie dość, że zaważyły na całym życiu i moim, i jego, ale dodatkowo nie dają o sobie zapomnieć. Ile ja nocy nie przespałam, myśląc o tym, co się stało! A gdy wreszcie doszłam do wniosku, że tak naprawdę już mu wybaczyłam, było za późno i nie potrafiłam się wycofać. Nie do końca wiem, dlaczego teraz się zdecydowałam na tak stanowcze kroki i prostowanie dawnych spraw... Niewątpliwie ma to związek z tobą, masz taki ożywczy wpływ na ludzi. Nie śmieję się, nie śmieję. - Popatrzyła na mnie spod oka. - Wiem, co mówię. W każdym razie dziękuję, że zgodziłaś się ewentualnie gdzieś go wetknąć, bo chyba nie sądziłaś, że uwierzę w bajeczkę o rezerwowych miejscach?

- Pani Leontyno, jaka bajeczka? - postanowiłam zaprzeczyć się i za nic nie przyznać do kłamstwa.

- Dobrze, dobrze, ja już tam swoje wiem. - Leontyna żartobliwie pogroziła mi palcem. - Ale czy ja dobrze słyszę, że przyszła Waleria?

- A tak, widocznie wpadła się dowiedzieć, jak przebiegło spotkanie. Pójdę zaprosić ją na herbatę. Zaraz wracam. - Błyskawicznie skorzystałam z okazji odwrócenia uwagi pani Leontyny od moich nieudolnych kłamliwych zapędów.

- Majeczko, poczekaj chwilkę. Waleria sama trafi, a ja chciałam zadać ci jeszcze jedno, trochę niedyskretne pytanie... Hmm, jak by to powiedzieć, nie miałabyś do tej herbaty czegoś... no wiesz... - Pani Leontyna zrobiła dziwną minę, która zapewne w jej mniemaniu miała mi wszystko wyjaśnić.

- Słodkiego? - wysiliłam inteligencję, starając się odgadnąć, czego mogą pragnąć staruszki w zimowej wieczór.

- E tam, słodkiego! - Ton pani Leontyny jasno dawał do zrozumienia, że nie mam nawet bladego pojęcia o wieczornych zwyczajach staruszek. - Mocniejszego! Jestem wykończona i kieliszek dobrze by mi zrobił. Zresztą nie tylko mi! Po takim wieczorze jak dzisiejszy trzeba sobie golnąć. To najlepsze lekarstwo na stesy!

- Wszystko zależy, ile kto się stresuje - mruknęłam, patrząc na nią ze zdziwieniem, bo niecodzienne życzenie i słowo „golnąć” w ustach dystygowanej staruszki wprawiły mnie w lekką konsternację. - Obawiam się, że w moim wypadku skończyłoby się to ani chybi alkoholizmem. Ale, jak mawiają, wszystko jest dla ludzi i przyznam szczerze, że chętnie napiję się z paniami. Bo pani, pani Walerio, nam oczywiście czynnie potowarzyszy? - zwróciłam się do sąsiadki, która w rezultacie sama dotarła do kuchni.

- Potowarzyszę, czemu nie. - Waleria usadowiła się przy stole tuż obok Leontyny. - A co będziemy piły i opijały?

- Gorzką żołądkową - zdecydowałam, zaglądając do barku. - A pić będziemy za pomyślność wszelkich wigilijnych założeń. - Wymownie spojrzałam na Leontynę. - Gorzka żołądkowa podobno ma nawet jakieś właściwości zdrowotne, biorąc to pod uwagę, będziemy mogli poczuć się rozgrzeszone - dodałam, stwierdzając, że w najbliższym czasie muszę uzupełnić zapasy alkoholowe, bo niebezpiecznie zostały przetrzebione. A jeżeli Leontyna zechce się leczyć po każdym spotkaniu przedwigilijnym, procentowa spiżarka zacznie świecić pustkami.

- Przepraszam, ale chwilowo panie zostawię i pójdę zobaczyć, jak się mają sprawy poręczy - powiedziałam po pierwszym kieliszku.

- Poręczy? - Waleria pytająco uniosła brwi.

- Mieliśmy taką małą wewnętrzną demolkę - wyjaśniłam. - Na szczęście skończyło się bez ofiar i teraz weterynarz z panem Miodkiem naprawiają szkody.

W tym momencie wydawało mi się, że zdaję pełną relację ze stanu naprawy. Ale już po chwili okazało się, że poręcz podstępnie przechytryła geny stolarskie weterynarza i pszczelarza. Po ich przeróbkach wyglądała mniej więcej tak, jakby wysokością przystosowano ją do rozmiaru krasnali.

- A co wy mi tutaj jakiś Kingsajz urządza? - zapytałam zdumiona. - Co to ma być?

- Oj, bo najpierw źle wymierzyliśmy i ciachnęliśmy za bardzo z jednej strony - jęknął zmieszany Czarek.

- To jjja - wtrącił pszczelarz. - Jjja wymierzyłem i ciachnąłem. Czczczarek odradzał, cccały czas.

- Nie ma to wielkiego znaczenia. - Weterynarz postanowił bohatercko trwać przy boku współtowarzysza stolarskiej niedoli. - A potem dla wyrównania ciachnęliśmy z drugiej strony, ale było nierówno, no to równaliśmy i wyszło, co wyszło... Trudno, jutro kupimy materiały...

- Jutro to ty jedziesz po mamusię - przypomniałam mu.

- Ale nie martwcie się, coś wymyślę...

- Przecież ja to zzzrobię - zapewnił mnie pan Miodek skruszony.

- Zobaczymy, jak to będzie. W każdym razie to by było na tyle, jeżeli chodzi o wasze genetyczne stolarskie uwarunkowania. - Bezlitośnie prychnęłam śmiechem. - Nic dodać, nic ująć.

Dwaj stolarze amatorzy nic na to nie odrzekli. Być może, w głębi ducha zgodzili się z moim ostatnim stwierdzeniem: nic dodać, nic ująć.

Następnego dnia na plebanię wpadłam bez zapowiedzi. Nie było to może zbyt uprzejme, ale najpierw jak zwykle nie mogłam nadążyć ze wszystkimi bieżącymi sprawami - między innymi nadal ciągnęła się za mną szopkowa historia, która stała kołkiem w gardle dyrektorce, bo ku jej niezadowoleniu właśnie praca mojej klasy zdobyła jak do tej pory najwięcej głosów. W związku z tym dyrektorka starała mi się dopiec na rozmaite sposoby. Jeden z nich polegał na obarczaniu mnie wszelkimi dodatkowymi zajęciami, jakie mogła wymyślić. I tak właśnie zostałam uszczęśliwiona nadzorowaniem prób do jasełek, mimo że

formalnie przygotowywał je kto inny, poza tym dyrektorka doszła do wniosku, że najwyższa pora popracować nad wystrojem szkolnych korytarzy, i oczywiście znalazłam się wśród wytypowanych nieszczęśliwców, którzy dwa razy w tygodniu zostawali wraz ze zdolniejszymi plastycznie uczniami i przyozdabiali szkolne mury uroczymi gadżetami typu kartonowe gwiazdki śniegowe. Ale nie miałam co narzekać. Ostatecznie zawsze mogło być gorzej, na przykład dyrcia mogłaby mi zlecić wycinanie kartonowych paskudztw w domu, a jednak tego nie zrobiła. Oczywiście nie wynikało to bynajmniej z dobroci jej serca, raczej z tego, że nie wpadła dotąd na takie uprzykrzenie mi życia, ale w tej sytuacji mogłam cieszyć się chociażby z braku rozwiniętej wyobraźni mojej uroczej przełożonej.

I tak najpierw całkowicie zaabsorbowała mnie szkolna sytuacja i nadludzkie wysiłki nierzucania się w oczy dyrektorce, a kiedy w końcu z ulgą opuściłam szkolne mury (upiększone postaciami Mikołajów z czerwonymi nochalami, których nie powstydziliby się nawet pan Miecio spod monopolowego), moja komórka odmówiła współpracy i zdechła, w momencie gdy wbijałam numer do proboszcza. I właśnie dlatego przybyłam na plebanię bez zapowiedzi, łamiąc wszelkie zasady dobrego wychowania. Pocieszało mnie jedynie to, że proboszcz nawiedził Uroczysko również zniecka i można było z tego wnioskować, że nie jest zbyt przywiązany do sztywnej etykiety.

- O, pani Maja! Proszę, niech pani wchodzi! - ucieszył się na mój widok, rozwiewając tym samym wszelkie moje obiekcje. - Właśnie miałem się do pani wybrać i dowiedzieć się, jak przebiegło wczorajsze spotkanie.

- Właśnie pośrednio w tej sprawie przysłałam - powiedziałam, wyplątując się z szalika i obtupując z butów śnieg.

- Chciałam... - Tylko tyle zdołałam wyjaśnić, bo z głębi domu nadciągnęła zażywna kobietka schludnie okryta fartuszkami i wzięwszy się pod boki, obrzuciła nas pełnym wyrzutem spojrzeniem. - Dzień dobry, przepraszam, strasznie pani nabłociałam... - Skruszona spojrzałam na kałuże wokół moich botków, bo pierwsze, co mi przyszło do głowy, to że kobitka denerwuje się zabrudzeniem świeżo wypastowanej podłogi.

- A co tam podłoga! - Zbagatelizowała moje kajanie się machnięciem ręki. - Tyle razy proboszczowi mówiłam, że to nie wypada, by proboszcz sam drzwi otwierał - zwróciła się do mojego gospodarza tonem, jakim przemawia się do niesfornego dziecka. - Po to jest gospodyni. Co też sobie pani pomyśli o prowadzeniu przeze mnie plebanii! Dobrze, że zdążyłam przyjść, zanim proboszcz zaproponował coś do picia, jeszcze, nie daj Boże, sam by podawał! - Załamała pulchne dłonie.

- Pani Dorotko, jak zwykle pani przesadza - mitygował ją proboszcz. - Z całą pewnością otworzenie przeze mnie drzwi nie zrukuje pani opinii w oczach naszego gościa!

- Dobrze, dobrze. Proboszcz się po prostu nie zna nawet na prowadzeniu domu, a co dopiero całej plebanii - gderała, postanawiając widocznie za nic nie dać się przekonać i pocieszyć. - A teraz proszę dać mi płaszcz, powieszę go przy piecu, żeby przesechł - zwróciła się do mnie. - Ta pogoda zwariowała, śnieg wali z nieba jak opętany, zupełnie nie zwracając uwagi, że odwykliśmy przez ostatnie lata od śnieżnych

zim! Nie można by to było tak stopniowo nas do tego na powrót przyzwyczaić? - Wpiła we mnie pytające niebieskie spojrzenie.

- Hmm, zdaje mi się, że śniegowi na tym nie zależy, chyba nie interesują go nasze odczucia - powiedziała niepewnie, z trudem pokonując mętlik w głowie wywołany słowotokiem pani Dorotki.

- Co racja, to racja, ale to wszystko mnie wybija z rytmu. - Gospodyni księdza z dezaprobatą pokręciła głową. - Moją dewizą jest umiar we wszystkim - powiedziała, a ja stwierdziłam, że z całą pewnością można z tej dewizy wyłączyć gadanie. Już na pierwszy rzut oka było widać, a raczej słyhać, że pani Dorotka milkła rzadko. Nawet gdy wypytałszy się, co będziemy pili, oddalała się w kierunku kuchni, słyszałam, jak mruczy sama do siebie pod nosem.

- No dobrze, teraz mamy szansę porozmawiać. - Proboszcz odetchnął głęboko, prowadząc mnie do pokoju, na którego środku królował wielki owalny stół nakryty szydełkowym obrusem. - Pani Dorotka bardzo poważnie traktuje swoją rolę - dodał, przysmykając drzwi.

- Da się zauważyć - przytaknęłam, z trudem zachowując powagę. - Szczerze mówiąc, aż boję się myśleć, co by to było, gdyby na przykład się rozchorowała... Jeszcze proboszcz musiałby sam parzyć herbatę! Przerażająca perspektywa.

- Prawda? Wizja samodzielnego przyrządzania gorących napojów napawa i mnie przeraźliwym lękiem, coś takiego każdego szanującego się proboszcza może zabić. - Zaśmiał się. - Tak naprawdę nie powinienem żartować z pani Doroty, bo to dusza człowiek. Bez niej zginąłbym marnie... Ale wracając do naszej rozmowy, coś się stało?

- Właściwie nie, poza tym, że wczorajsze spotkanie dało nam nieźle w kość. Większość naszych gości, jak zapewne proboszcz wie, to ludzie starsi. Cóż, chyba nie umiem z nimi rozmawiać. Było o krok od awantury. Ale o to mniejsza, bo udało mi się nad tym zapanować. Natomiast jutro jest kolejne spotkanie...

- Wiem, pani Leontyna dzwoniła z pytaniem, czy da się załatwić podwózkę - przerwał mi proboszcz, marszcząc brwi. - Tylko że nic nie mówiła o trudnościach...

- Bo umówiliśmy się, że ja to załatwię - wyjaśniłam, uśmiechając się do pani Dorotki, która z poważną miną wniosła do pokoju tacę z dzbankiem z kawą i ciasteczka własnego wypieku. - Ale te ciastka pachną! - zachwyciłam się, bo rzeczywiście po pokoju rozniósł się słodki cynamonowy aromat. - Pani Doroto, zaczynam proboszczowi szczerze zazdrościć.

- Proszę najpierw spróbować, dopiero potem chwalić - mruknęła skromnie, lecz widziałam, że sprawiłam jej ogromną przyjemność. - Jak będą smakować, to zapakuję pani trochę do domu - powiedziała, troskliwie stawiając przede mną napelnioną filiżankę. - To ja już pójdę - stwierdziła następnie i rzuciwszy ostatnie kontrolne spojrzenie, uznała widać, że wszystko wygląda należycie, bo zostawiła nas samych.

- I tak poza transportem mamy - to znaczy moja rodzina i pani Leontyna - do proboszcza jeszcze jedną prośbę. Dobrze by było, żeby ksiądz proboszcz zjawił się jutro w Uroczysku. Przypuszczam, że pana obecność złagodzi nieco obyczaje - wyjaśniłam oględnie i sięgnęłam po ciasteczko.

- Oczywiście, jeżeli mogę pomóc, to nie ma problemu. Nie wiem tylko, czy pani mnie nie przece-
nia.

- W każdym razie obecność proboszcza nie zaszkodzi. Ale to nie wszystko, z czym przychodzę...

- Ja też będę miał do pani prośbę, lecz najpierw niech pani mówi.

Mimo tej zachęty jeszcze przez długi moment milczałam, zastanawiając się, od czego mam zacząć. A potem postawiłam wszystko na jedną kartę i bez owijania w bawełnę opowiedziałam krótko o Kaśce. Jej wcześniejszą historię sobie darowałam, bo tak jak przypuszczałam, proboszcz był z nią zaznajomiony. Skupiłam się za to na sytuacji obecnej.

- I tak mieszka z dziećmi u mnie, ale doszły mnie słuchy, że mają jej je odebrać. Nie wiem, jak to wygląda z punktu widzenia prawa, może proboszcz będzie mógł mi pomóc i czegoś na ten temat się dowiedzieć. Ja ją oczywiście mogę zameldować, tyle że jeżeli sprawa już ruszyła, nie wiem, czy można ją w trakcie umorzyć...

- Nie muszę się niczego dowiadywać. Znam sytuację Kasi, zresztą opieka społeczna i policja też ją zna. Dlatego nikt jej do tej pory nie ruszał.

- No właśnie, wydawało mi się to dość dziwne, że wcześniej nie usiłowano jej odebrać maluchów. Zdaje się, że już dość długo jest bezdomna.

- Tak, ale ma meldunek u rodziców. Dzięki temu można było tyle to ciągnąć. I wszyscy, znając jej sytuację, odkładali drastyczne decyzje na potem. Ale zima zapowiada się ostra, już jest śnieżnie i mroźno, a to dopiero grudzień i nie można było dłużej przymykać oczu. Chciał nie chciał, trzeba było coś z tym zrobić.

- Coś? Z tym? Na litość boską, nie mówimy o czymś, tylko o kobiecie i jej dzieciach! - zdenerwo-
wałam się. - O człowieku z krwi i kości!

- Ma pani słuszność, źle się wyraziłem.

- W ogóle przeraża mnie takie podejście! Dlaczego nikt nie usiłował jej pomóc? I nie mówię tu o propozycji zamieszkania w domu samotnej matki albo w schronisku dla bezdomnych!

- Jest w tym oczywiście trochę racji, ale na pani miejscu nie rzucalbym takich bezwzględnych oskarżeń. Są niesamowicie krzywdzące. Poza tym, jak słusznie pani zauważyła, mówimy o człowieku z krwi i kości, i właśnie tacy sami ludzie jej pośrednio pomogli. Gdyby nie życzliwość bliźnich, Kaśka już dawno musiałaby pożegnać się z dziećmi - powiedział proboszcz z wyrzutem.

- Przepraszam, poniosło mnie. Ale po prostu coś mnie trafia, jak sobie pomyślę, ile ta kobieta prze-
szła!

- Nie chcę pani martwić, lecz jeszcze z niejednym takim przypadkiem się pani zetknie. Niestety ży-
cie ze sprawiedliwością ma niewiele wspólnego, za to z cierpieniem sporo. A jeżeli chodzi o ścisłość, wiele osób próbowało Kaśce pomóc. I nic. Uciekała od ludzi. Nie wiem, jak pani udało się ją przekonać.

- Sama się nad tym zastanawiam. Chyba niechcący udało mi się trafić w sedno. Bo właściwie wcale jej nie przekonywałam. Wyjaśniłam, że mogę coś dla niej zrobić i ona może też zrobić coś dla mnie. Nie

zaoferowałam jej jałmużny, tylko pracę. No i myślę, że paradoksalnie pomogło mi to, że byłam obca. A w ogóle to przepraszam, że tak na księdza napadłam. Rzeczywiście nie mnie oceniać - zreflektowałam się, głęboko wzdychając.

- Tak naprawdę najważniejsze w tym wszystkim jest to, że udało się jej pomóc - stwierdził proboszcz wspaniałomyślnie, dolewając kawy do filiżanek. - A co do dzieci, to o ile wiem, jeszcze nikt nic nie zaczął robić. Jutro z samego rana zatelefonuję do pani Irenicy, która się tym zajmuje, i poinformuję ją o zmianie w sytuacji Kasi. Przypuszczam, że dobrze by było, gdyby ją pani zameldowała, chociażby tymczasowo. Ale tak naprawdę nie bardzo się na tym znam. Dopytam się i wtedy będziemy jasno wiedzieli, na czym stoimy.

- Będę bardzo wdzięczna. Ale mówił proboszcz, że chce o czymś ze mną rozmawiać.

- A tak, o dwóch sprawach. Po pierwsze, okazało się, że mam jeszcze jedną staruszkę na wigilię. Dość skomplikowana sprawa, bo pani Matylda nie jest samotna. Ma dwie wnuczki, jedną może nawet pani kojarzyć. Ostatnio zrobiło się o niej głośno. Mieszka we Wrocławiu, maluje i robi światową karierę, to Agata Jaramowicz.

- Rzeczywiście kojarzę, byliśmy nawet z Marysią na jej wystawie - przypomniałam sobie.

- To ukochana wnuczka pani Matyldy. Niestety, równie ukochana, co zapracowana, i traf chciał, że w tym roku nie będzie jej w kraju na święta. Szczerze mówiąc, mimo że tyle o niej wiem, nie mam pojęcia, jak wygląda, bo nigdy jej nie widziałem. Wpada do babki jak po ogień, średnio raz w roku. Pani Matylda nie chce o tym mówić, ale wnuczka chyba nie przepada za kościołem i skrzętnie unika w nim wizyt. Tak czy inaczej nie będzie jej w tym roku w Malowniczem. Druga wnuczka to Olga. Mieszka tu, w miasteczku. Nawet jeżeli jej pani nie kojarzy, to z całą pewnością będzie wiedziała pani, który dom jest jej własnością. To ta największa willa niedaleko apteki.

- A tak, trudno nie zwrócić na nią uwagi. Jedyne określenie, jakie przychodzi mi na myśl w związku z tym domem, to „wypasiony”. Nie umiałabym powiedzieć, czy jest ładny, czy brzydki, tylko taki, bo ja wiem, chyba na pokaz - mruknęłam, podbierając ukradkiem z talerza kolejne ciastko.

- Cóż, trudno się z panią nie zgodzić - przytaknęła proboszcz. - Ale to idealnie obrazuje Olę.

- A czy my przypadkiem nie plotkujemy? - zreflektowałam się w końcu.

- Może trochę, ale jest to niezbędne dla pełnego zrozumienia sytuacji - uspokoił mnie proboszcz. - Olga oczywiście zaprosiła babkę na święta, ale zrobiła to w mało sympatyczny sposób, zaznaczając, że jeżeli babcia chce z nią spędzić ten czas, to musi kupić sobie elegancką suknię, i postawiła szereg innych warunków. Nie chcę wchodzić w szczegóły, a w skrócie wygląda to tak, że w domu Olgi będą jacyś ważni w jej mniemaniu ludzie i po prostu wstydzi się babki. Pani Matylda oczywiście za nic do niej w tej sytuacji nie pójdzie. Zwierzyła mi się z tego wczoraj, gdy byłam u niej na partyjce brydzyka. I wtedy, niewiele myśląc, zaproponowałam jej naszą wigilię. Mam nadzieję, że to nie będzie kłopot. Wiem, że lista jest właściwie zamknięta, ale nie mogę pozwolić, żeby pani Matylda została sama - zakończył proboszcz z westchnieniem.

- Rozumiem, w takiej sytuacji będziemy musieli znaleźć jeszcze jedno miejsce - powiedziałam, myśląc, że byłoby najlepiej, gdyby nagle się okazało, że Uroczysko wykonane jest z jakiegoś elastycznego materiału, na przykład z gumy.

Proboszcz odchrząknął.

- No i właśnie tu przechodzimy do następnego tematu.

- Niech mi tylko ksiądz nie mówi, że mamy zmieścić jeszcze kogoś.

- Ha, będę zmuszony jednak panią zawieść. - Proboszcz chyba dla odwrócenia mojej uwagi podektnął mi pod nos talerz z ciasteczkami. - Ale to jest skomplikowana sprawa.

- Skomplikowana czy nie, to nie zmienia faktu, że nie możemy utknąć dowolnej liczby osób na ograniczonym metrażu. - Z premedytacją zignorowałam wabik w postaci ciastek. - Jak tak dalej pójdzie, ludzie nie będą mogli sięgnąć po jedzenie, bo będą ściśnięci niczym sardynki w puszcze.

- Pani Maju, w ostateczności będę stał i odstąpię swoje miejsce Grażynce. - Widać proboszcz był przygotowany na taki obrót sprawy i wytoczył przeciwko mnie najcięższe działo. Skoro słodkości nie podziały, postanowił najwyraźniej użyć dyskretnego szantażu.

- Dobra, poddam się. Najwyżej goście wyjdą od nas lekko podduszeni. - Zrezygnowana uniosłam rękę do góry. - Kim jest ta Grażynka, jeżeli oczywiście mogę spytać?

- Nawet pani powinna, bo właśnie pani ją zaprosi - z niewinną miną oznajmił proboszcz.

- Słucham? Dlaczego ja? Przecież to księdza pomysł. - Patrzyłam na niego nieufnie. - To ma być jakiś podstęp?

- Można i tak to zakwalifikować. Ale zacznę od początku. Grażynka mieszka razem z babką wysoko w górach. To kompletne odludzie, gospodarstwo podupadło i bieda u nich aż piszczy.

- No to trzeba było od razu mówić, że potrzebne są dwa miejsca. Chyba nie chce mi proboszcz powiedzieć, że zaprosimy wnuczkę, a babkę zostawimy samą? Właśnie tu był ten haczyk, tak?

- A w żadnym razie. Haczykiem, jak to pani nazywa, ma być pani we własnej osobie.

- Nic z tego nie rozumiem, proszę mi to w miarę prosto i klarownie wyjaśnić. W najbardziej niewyszukanych słowach, bo jakoś tak przeczuwam, że z myśleniem dziś u mnie nie najlepiej - powiedziałam, zastanawiając się, czy to proboszcz mówi tak nieskładnie, czy ja ostatnimi czasy straciłam na inteligencji.

- Babcia Grażynki jest niewierząca, ale wnuczka owszem. Ja nic bym tam nie osiągnął. Starowinka nie bardzo mnie lubi. - Proboszcz zrobił dziwną minę. - Gdybym chciał być precyzyjny, to powinienem stwierdzić, że tak naprawdę nie znosi mnie z całego serca. Czy pani wie, że zwierzęta dzielają uczucia swoich właścicieli? - zapytał nagle.

- Szczerze mówiąc, to się nad tym nie zastanawiałam. - Usiłowałam nie okazywać zaskoczenia tą nagłą zmianą tematu i obiecałam sobie w duchu, że po przyjsciu do domu natychmiast zrobię sobie jakiś test, by sprawdzić, czy nie zgłupiałam doszczętnie i czy to moja wina, że zupełnie nie kapuję, o czym do mnie mówią. Na wszelki wypadek postanowiłam zacząć od czegoś prostego typu

„Czy jesteś dobrą żoną”. Tu miałam pewność, że się nie pomylę. Rozwód niebywale mi ułatwił udzielanie odpowiedzi w takich psychozabawach.

- To tak jak ja. Nie myślałem o tym dopóty, dopóki przy ostatniej mojej wizycie nie poznałem jej rottweilerki. Wypisz wymaluj cała pańcia, różni je tylko to, że niestety nie obie posiadają sztuczne szczęki. I muszę przyznać, że z dwojga złego wolałbym zostać pokąsany przez babcie. Pewnie też bym zrozumiał, co mi chciała tym przekazać...

- Chce mi proboszcz powiedzieć, że poszczuła go psem? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Nie chcę, ale jestem niejako zawodowo zobowiązany do mówienia prawdy i w związku z tym odpowiedź brzmi „tak”. Wprawdzie skończyło się niegroźnie, ucierpiała głównie sutanna, dzięki Bogu zdążyłem przeskoczyć pobliski płot.

W tym momencie stało się ze mną coś dziwnego. Oczami wyobraźni ujrzałam księdza, który nieczym skrzyżowanie Kung Fu Pandy z jakimś innym Bruce'em Lee pięknym wyskokiem pokonuje płot, przy czym, łopocząc sutanną, robi jeszcze kilka sztuk rodem z Matriksa. I, nie wiedząc czemu, to wszystko rozbawiło mnie do tego stopnia, że po kilku nieudanych próbach odzyskania powagi poddałam się i zaniosłam niepohamowanym śmiechem.

- Przepraszam - wydukałam w końcu, gdy udało mi się przemówić. - To przerosło moje możliwości. Chyba po prostu jestem przemęczona i dlatego wyobraziłam sobie proboszcza jako Kung Fu Pandę - wymknęło mi się nieopatrznie.

Na twarzy księdza odbiło się niebotyczne zdumienie, które ku mojej uldze prawie natychmiast przeszło w rozbawienie. Na całe szczęście proboszcz posiadał dobrze rozwinięty zmysł humoru. Nasze śmiechy nie uszły rzecz jasna bacznej uwagi pani Dorotki, która z niepokojem pomieszany z dezaprobatą aż dwa razy zajrzała do pokoju i nie widząc w nim nic, co by usprawiedliwiało taki wybuch radości, wycofała się na powrót do kuchni, wzruszając ramionami i pukając się w głowę.

Proboszcz wreszcie skończył się śmiać i wrócił do tematu:

- Tak czy inaczej sama pani rozumie, że ja nie mogę zaprosić Grażyny, a ktoś to musi zrobić.

- Cóż, rozczaruję księdza, ale z całą stanowczością odmawiam - powiedziałam, wycierając mokre od śmiechu oczy. - Musiałabym do szczytu zgłupieć, żeby pchać się w paszczę babci i jej rottweilerki.

- Nie ma obawy, pani nie poszczuje. - Proboszcz machnął uspokajająco ręką. - Przeprowadziliśmy odpowiednie badania, które dały stuprocentowo pewne wyniki.

- Czyli co? Chce mi proboszcz wmówić, że rottweilerka nie gustuje w polonistkach?

- Nie, ale babina gustuje tylko w gonieniu księży. Sprawdziliśmy to, że tak powiem, w praktyce. Wysyłałem tam kilku moich kolegów, specjalnie wybierałem tych lepiej wysportowanych - usprawiedliwił się proboszcz, widząc moją minę. - Inni ludzie jej nie interesują. A przynajmniej nie w tym względzie.

- Cóż, może babina chciała obejrzeć Matriks na żywo - mruknęłam, przypominając sobie o wcześniejszych skojarzeniach. - No dobrze, powiedzmy, że się zgadzam, ale nadal nie wiem, jakim sposobem

mam ją przekonać, żeby puściła wnuczkę. A swoją drogą to dziewczyna po prostu nie może wyjść z domu? Chyba jest pełnoletnia...

- Pani Maju, tam na górze to inny świat, inni ludzie. Jak babka nie pozwoli, Grażyna nie pójdzie. Nawet za męża nie wyszła, bo babce jej zameście nie było w smak.

A co do przekonywania, jeśli się nie uda po dobroci, niech ją pani nastraszy urokiem...

- Czym?! - zapytałam przekonana, że musiałam źle usłyszeć.

- Urokiem. - Proboszcz zrobił niewinną minę. - Babka jest zabobonna. Z pewnością wie, że na wigili ma być też Waleria, a jej się boi jak ognia. To wprawdzie kłamstwo, ale czego się nie robi dla dobra sprawy...

- Tak, czego się nie robi - powtórzyłam z przekąsem, przypominając sobie, że ktoś kiedyś powiedział, że nowe doświadczenia nas rozwijają. A ja jeszcze nigdy nie zostałam pogryziona przez psa, nie mówiąc już o staruszcze. Teraz nadarzała się niepowtarzalna okazja. I będę mogła poznać ten inny świat i innych ludzi na górze... Cóż, miejmy nadzieję, że to tylko przenośnia, myślałam ponuro i postanowiłam, że w nowym roku zapiszę się na kurs asertywności. Może wtedy uda mi się przetrwać wśród tych innych światów, ludzi i szczujących psami staruszek.

Następnego dnia ledwo wstałam i spojrzałam za okno, wiedziałam, że nie jest dobrze. Z nieba walił śnieg, a raczej śnieżysko. W miejscu gdzie kiedyś był parapet, urosła góra śniegowa zakrywająca szybę do połowy. Poza tym było jakoś tak chłodnawo. Z niepokojem pomacałam kaloryfer, który tylko potwierdził moje przypuszczenia. Był zimny. No pięknie! - pomyślałam. Na następny raz trzeba jednak uważać z życzeniami. Chciałam śnieżnej zimy, to mam, a awansem dostałam jeszcze awarię ogrzewania. Chyba po to, żebym się za bardzo nie nudziła.

Otworzyłam kalendarz i żmudnie usiłowałam zorganizować sobie dzisiejszy dzień. Z moich notatek jasno wynikało, że albo jakimś cudem doba stanie się dłuższa o parę godzin, albo ewentualnie zrezygnuję ze spania i w późnych godzinach nocnych spotkam się z jakimś specem od pieców, a nad ranem odwiedzę Grażynkę i jej babkę. O ile oczywiście popołudniowe spotkanie ze staruszkami mnie nie zabije. I tu dopiero dotarł do mnie rozmiar komplikacji. Spotkanie ze staruszkami samo w sobie budziło u mnie dreszcze niepokoju, a świadomość, że będzie musiało się odbyć w arktycznych warunkach, wywoływała nieprzyjemne skurcze w żołądku. Poza tym dotarło do mnie, że to nie jedyny problem. W kalendarzu, na samym dole, drobnym maczkiem zanotowałam, że właśnie dziś mieli przyjechać do Uroczyska pierwsi zimowi goście. I prawdopodobnie nie oszaleją ze szczęścia, gdy się okaże, że pierwszą noc będą zmuszeni spędzić skupieni przy olejowym grzejniku w czapach i kurtkach.

W tym samym momencie zgasła lampka na biurku, a radio przestało grać.

- Mamo, nie ma prądu - poinformowała mnie Marysia, wsuwając potarganą głowę w szparę drzwi. - I chyba wyłączyło się ogrzewanie...

- Córko, to ogrzewanie się nie wyłącza. Skoro nie działa, znaczy, że mamy awarię - uświadomiłam jej i wkładając na piżamę gruby sweter, a na to szlafrok, udałam się do kuchni, gdzie szczękająca zębami Jagoda powiadomiła mnie, że coś dziwnego stało się z drzwiami.

- Chciałam wypuścić psy, ale coś się chyba zacięło, bo ani drgną. Klucz normalnie się przekręca, zamek chodzi bez zarzutu... Nie chciałam mówić głośno przy Marysi, ale to wygląda tak, jakby je ktoś trzymał od zewnątrz - szepnęła mi ze zgrozą do ucha.

- Oszalałaś? Po co ktoś miałby w taką pogodę stać na zewnątrz pod drzwiami? - zapytałam zdumiona.

- Bo ja wiem? A jak to jakiś wariat, zбочeniec? - Półmrok grudniowego poranka i zimno wyraźnie niezbyt służyły mojej przyjaciółce, a już na pewno miały zły wpływ na jej logikę.

- Jagoda, a nie uważasz, że każdy normalnie myślący wariatozбочek usiłowałby wejść do środka?

- A widziałaś kiedyś normalnie myślącego wariata? - odparowała Jagoda i sugestywnie zaszczękała zębami.

- Z wariatami, takimi zdiagnozowanymi rzecz jasna, nigdy nie miałam do czynienia - mruknęłam, mocując się z drzwiami, które rzeczywiście sprawiały wrażenie zablokowanych od zewnątrz. - Dlatego nie mogę się wypowiadać. Natomiast jaka światła myśl miałaby spowodować, że taki osobnik sterczałby pod drzwiami w śniegu, zamiast wejść i popisać się swoim wariactwem i zбочeństwem? Chyba że to fetyszysta i podniecają go, powiedzmy, zaśnieżone drzwi - puściłam wodze fantazji i nagle doznałam olśnienia. - Jagoda, ale my jesteśmy głupie! - zawołałam odkrywczco.

- Przecież nas po prostu zasypało!

- Jak to zasypało? W ciągu jednej nocy? Niemożliwe.

- Moja przyjaciółka znienacka stała się pogodowym ekspertem. - Poza tym przecież jest jeszcze weranda - dodała tonem, który sugerował, że werandy są śniegoodporne.

- No tak, ale słyszałaś, jak w nocy wiało?

- Trudno było nie słyszeć. Zastanawiałam się nawet, czy nas nie zdmuchnie z tej góry.

- No właśnie, wiało i wwiało nam śnieg na werandę - wyłuszczyłam swoją teorię.

- To bardzo możliwe, takie rzeczy w śnieżne zimy są na porządku dziennym - potwierdziła moje przypuszczenia Kaśka, która bezszelestnie niczym duch pojawiła się w przedpokoju.

- Zależy gdzie, ja tam z takim dziennym porządkiem spotykam się pierwszy raz - sarknęła Jagoda.

- Ty, moja droga, do tej pory byłaś mieszczuchem, a dopiero teraz stałaś się traperem poznającym prawdziwe życie - wyjaśniłam, myśląc, że temperatura panująca w domu niemile kojarzy mi się z zeszłoroczną zimą, kiedy to porzucona przez zdradliwego męża przymarzałam w lodowatej chałupie.

- No to może mi teraz, znające traperskie życie kobiety, powiecie, jak mam się stąd wydostać, żeby pójść do pracy? - z ironią zapytała Jagoda, natychmiast uświadamiając mi, że to pytanie dotyczy również mnie.

- Hmm - mruknięłam i z nadzieją popatrzyłam na Kaśkę, która jako rdzenna mieszkanka gór przypuszczalnie najlepiej znała procedury wydostawania się z zablokowanego śniegowymi zaspami domostwa.

- Co się tak na mnie patrzycie? - zdziwiła się Kaśka.

- Może masz jakiś pomysł... Nie wiem, może trzeba wyskoczyć oknem...

- Ty, to jest myśl! - ożywiła się Jagoda. - Wspólnymi siłami okno chyba nam się uda otworzyć. Parter nie jest wysoki, więc przy odrobinie szczęścia niczego sobie nie połamiemy, tylko tego śniegu jest strasznie dużo... Pod oknami zwłaszcza, bo tam nikt nie odśnieżał...

- A nie lepiej załatwić to inaczej? - Kaśka popatrzyła na nas jakoś dziwnie. - Bez kaskaderskich wyczynów i ewentualnych urazów?

- Pewnie, że byłoby lepiej, ale nic innego nie przychodzi mi do głowy. Trudno, sytuacja wymaga ofiar. Pójdę się ubrać w kombinezon i się tym zajmę - stwierdziłam bohatercko.

- A nie prościej użyć telefonu? - odchrząknęła znacząco zaprawiona w zimowych bojach rdzenna mieszkanka gór, a my z Jagodą zagapiłyśmy się na nią z podziwem, powalone prostotą rozwiązania.

- Prościej - przyznałam, postanawiając powstrzymać się od jakichkolwiek komentarzy, by się nie pogrążyć.

- To do kogo dzwoniemy?

- Do pana Floriana, jest najbliżej - przytomnie poradziła Marysia, która dopiero teraz wróciła z łązienki i dzięki temu nie była świadkiem głupoty najbliższej rodziny.

Pomysł w zamyśle był dobry, ale wyrwany z głębokiego snu pan Miodek najpierw nie wiedział, o czym mówię, a gdy już udało mi się dotrzeć do jego zaspanego jestestwa, stwierdził, że jest w identycznej sytuacji.

- Niestety, twój Florian też jest zawiany - poinformowałam Jagodę i nie wiedząc czemu komunikatem tym wywołałam napad wesołości u Marysi. - Co się chichrasz, myśl lepiej, do kogo mamy dzwonić. - Popatrzyłam na nią z zazdrością, bo w tej chwili niczego bardziej nie pragnęłam, jak być rozbawioną nastolatką, która nie musi martwić się zablokowanymi drzwiami, awariami, spóźnieniem do pracy oraz rychłą inwazją staruszków i innych gości.

- A weterynarz? - podsunęła Jagoda kolejną kandydaturę.

- Nie ma go. Nie wrócił jeszcze z mamusią i zapewne pogoda nie da mu dziś dotrzeć. Powoli, na spokojnie zrobmy przegląd znajomych... Łucja odpada, bo przecież nie będzie się tu przedzierała, bardziej przydałby się mężczyzna - myślałam głośno.

- Chyba że jest u niej jej brunet - powiedziała Jagoda. - To dość prawdopodobne, bo ostatnio właściwie są nierozłączni ...

- Zostawmy Łucję i jej bruneta jako wyjście awaryjne, najpierw zadzwonię do ojca Filipa. On przynajmniej ma samochód przystosowany do paskudnych warunków drogowych.

- Naprawdę sądzisz, że istnieją pojazdy, poza pługami oczywiście, które poradzą sobie z takim śniegiem? - zwątpiła Jagoda.

- Nie wiem, ale niektóre zapewne są lepsze od innych, a Jeremi właśnie taki wóz posiada - wyjaśniłam, wybierając jego numer i modląc się, żeby odebrał. Wprawdzie w zanadrzu miałam jeszcze kilka ewentualnie pomocnych dłoni, ale wołałam to załatwić jak najszybciej. Poza tym ojciec Filipa był typem, którego bez żadnego stresu mogłam poprosić o przysługę. A jak zauważyłam, nie z każdym przychodziło to łatwo. Tym razem szczęście mi dopisało, bo Jeremi odebrał po pierwszym sygnale i gdy powiedziałam mu, o co chodzi, stwierdził, że już jedzie.

- Miałem właśnie do ciebie dzwonić, bo się trochę o was niepokoiłem. W miasteczku wszystko zasypane i wyobrażam sobie, jak to musi wyglądać tam na górze. Zaraz będę.

- Zaraz będzie - powtórzyłam wiadomość współtowarzyszkom niedoli i zadzwoniłam do Walerii, żeby się dowiedzieć, czy ona też nie została uwięziona.

Telefon stacjonarny nie odpowiadał, więc zaniepokojona wybrałam numer na komórkę. Okazało się, że Walerii nie ma w domu, bo pogorszenie pogody zatrzymało ją w miasteczku u Alicji Łagody. A ściślej mówiąc, Alicja Łagoda zatrzymała Walerię. Zakomunikowała mi to osobiście, odbierając telefon mojej sąsiadce i mówiąc, że gdyby nie ona, Waleria z całą pewnością leżałaby teraz martwa w jakiejś zaspie.

- W ogóle nie chciała mnie słuchać, uparta koza, ale tym razem postawiłam na swoim - powiedziała mocnym głosem wprost do mojego ucha. - Gdybym ustąpiła, nie wiadomo, czym by się to skończyło.

Gdy w końcu udało mi się zakończyć rozmowę z panią Alicją, zadzwoniłam jeszcze do mamy i taty, a potem do Łucji. Jak się okazało, nikogo poza nami nie zawiało na amen i mogłam odetchnąć spokojniej. Ledwo to zrobiłam, psy zaczęły ujadać pod drzwiami, co niewątpliwie było oznaką, że ktoś kręci się po podwórku, a tym kimś zapewne był Jeremi. To z kolei uświadomiło mi, że mój ubiór z całą pewnością nie nadaje się do przyjmowania gości, i pognałam na górę, by odziać się w coś względnie ludzkiego. W rezultacie wróciłam na dół zsiniała z zimna i szcękająca zębami, mając nadzieję, że Jeremi wie, do kogo mam się zwrócić w sprawie awarii. Nie chciałam nawet myśleć, co będzie, jeżeli usterki nie da się naprawić w kilka godzin. Wprawdzie w salonie był kominiek, ale o ogrzaniu nim całego domu w środku zimy mogłam tylko pomarzyć. Tak więc sprawa ogrzewania była jak najbardziej paląca w sensie dosłownym i przenośnym.

W kuchni zastałam Kaśkę ubraną w sweter Jagody i przygotowującą śniadanie. Jej dzieci z zainteresowaniem wyglądały przez okno i po raz pierwszy nie schowały się na mój widok za plecami mamy. No, to już jakiś postęp, pomyślałam i poszłam sprawdzić, co się dzieje z drzwiami, za którymi słychać było szuranie. Po chwili szurające odgłosy ustały i szarpnięte mocno drzwi otworzyły się, ukazując nam świat jak żywcem wyjęty z Narnii. I zaśnieżonego, roześmianego Jeremiego.

- No co tam, moje panie? Przez chwilę mogłyście poczuć się jak uwięzione księżniczki - rzekł ze śmiechem, a ja, patrząc na zasypany świat, zachodziłam w głowę, jakim cudem udało mu się tutaj dojechać.

- Chyba poważnie zubożałe, bo te przyzwoitsze więzione były w zamkach i wieżach, a nie w ubogich chatach. Ale cóż, widać jakie księżniczki, takie więzienie. Dobrze, że przynajmniej księżę przyzwoitej jakości - jawnie się podliziałam. - A odśnieżyłbyś jeszcze jednego księżniczka? Pan Florian też jest zasypany, ja bym w tym czasie zajęła się podwórkiem.

- Panem Florianem zajął się Filip. Zaraz mu pomogę, a potem, jeżeli pozwolisz, również ja zajmę się podwórkiem. Gdzie ty, taki słaby drobiazg, do takiej roboty!

- Nie przesadzajmy, ani taki znowu drobiazg, ani taki słaby. Dam sobie radę!

- Nie wątpię, lecz skoro już tu jestem, zajmę się odśnieżaniem, a ty możesz sobie popatrzeć, jak pracuję nad muskulaturą. - Jeremi udał, że napina pod kurtką mięśnie. - Ewentualnie w bardziej spektakularnych momentach możesz zachęcająco piszczeć.

- Wiesz, jednak sobie daruję i zaparzę gorącą herbatę. A potem muszę zbierać się do pracy. - Zasmiałam się

- Nie musisz, nie musisz. Szkoła jest zamknięta, dzieciaki nie podocierały. Zresztą w ogóle nie radzę dzisiaj wybierać się gdziekolwiek. Wszystko jest sparaliżowane śnieżycą.

- No to pięknie... W miasteczku też jest aż tak źle?

- Chwilowo nie najlepiej, ale myślę, że za parę godzin wszystko wróci do normy, a co? - zapytał, widząc moją zmartwioną minę.

- W Uroczysku miało się dzisiaj odbyć spotkanie wigilijne. Zresztą wiesz, opowiadałam ci ostatnio o grupowej Uroczyskowej Wigilii. Wszystko jest zorganizowane, transport, proboszcz załatwił busy, ludzie są poumawiani...

- Nic z tego, żaden bus się tu nie dostanie. Nie w takich warunkach. Przypuszczam, że centrum miasteczka już dziś będzie normalnie funkcjonować, ale z całą pewnością nie dotyczy to obrzeży. A gdzie macie umówione te busy?

- Pod kościołem. - Ze zdenerwowania zaczęłam obgryzać paznokcie. - Cholera, nie mogę sobie pozwolić na żadne opóźnienie. Bez tego spotkania nic nie zostanie ustalone i przygotowania utkną w miejscu. A ja potem nie zdążę tego wszystkiego zorganizować - jęknęłam. - Same zakupy to robota na ładnych parę dni, nie mówiąc już o gotowaniu, sprzątaniu... Zresztą nieważne, niepotrzebnie zawracam ci głowę - zreflektowałam się. Bo w końcu dlaczego moje problemy miałyby obchodzić praktycznie nieznanego faceta? Tak naprawdę powinnam Bogu dziękować, że przyjechał i odkopał nasze drzwi, a ja, zamiast mu podziękować, jeszcze marudzę.

- Jak to nieważne? - Jeremi spojrzał na mnie zdumiony. - Jest problem, to trzeba go rozwiązać. Skoro transport jest spod kościoła, zorganizujcie spotkanie tam. I o ile znam proboszcza, nie będzie robił z tego żadnego problemu. Ciebie sam zawiozę i przywiozę z powrotem, bo nie ma szans, żebyś się dostała do miasta na piechotę. Nie mówiąc już o waszym samochodzie, który przy takiej aurze jest zupełnie nieprzydatny. Ja się tu ledwo przedarłem, a mam auto, które już niejedno w życiu przejechało.

I tak oto w kilka sekund Jeremi rozwiązał za mnie sprawy, nad którymi biedziłam się, odkąd otworzyłam oczy. Potem z uwolnionym już panem Florianem zajął się odśnieżaniem podwórka, a ja poszłam zaparzyć herbatę. W kuchni zgromadzili się już wszyscy zziębnięci domownicy plus Filip, który rozgrzany odśnieżaniem, usiłował przekonać Marysię, że tak naprawdę wcale nie jest zimno, a nawet jeżeli, to jego zdaniem Mania powinna chwycić za łopatę i od razu zmienić poglądy na temperaturę. Jak się można było domyślić, moja córka nie wykazała należytego entuzjazmu dla tej skądinąd słusznej propozycji i obrzuciła mojego biednego ucznia lodowatym wzrokiem.

- Też mi dżentelmen się znalazł. Jakbyś nie zauważył, to czasy, kiedy wysyłało się kobiety na traktory, dawno minęły - rzuciła kąśliwie. - Powinieneś się uczyć manier od ojca - dodała i zadzierając wysoko głowę, już miała wyjść z kuchni, ale tuż obok niej rozdzwonił się telefon.

- Maniu, odbierz, proszę - powiedziałam, udając, że nie widzę, że właśnie psuję jej spektakularny finał.

- A dlaczego ja? - naburmuszyła się natychmiast moja ukochana i jak zwykle pomocna córka, ale telefon wciąż uparcie dzwonił, więc w końcu podniosła słuchawkę.

- Mamo, tata do ciebie - powiedziała po chwili i podała mi telefon.

- Tak, stało się coś? - zapytałam bez wstępów i jak mogłam najoschlej. Wprawdzie od ostatniej rozmowy z Igorem minęło trochę czasu, ale nadal byłam na niego zła za tę całą szopkę związaną z wyjazdem Marysi i nie miałam zamiaru udawać, że jest inaczej.

- A stało się! - Ton Igora jasno dał mi do zrozumienia, że to nie będzie miły telefon. - Chcę zabrać Marysię na święta na Słowację! To się stało!

- Igor, ale rozmawialiśmy już na ten temat i chyba jasno określiłam swoje stanowisko w tej sprawie. - Poczulałam, jak ręka samoistnie mocniej zaciska mi się na słuchawce.

- Właśnie, ty, ty i ty! - wydarł się mój były mąż. - Ty powiedziałaś, ty postanowiłaś, ty masz prawa! To ja coś ci powiem! Jesteś nieludzka, wcielenie podłości i egoizmu! W ogóle nie patrzysz na dobro Marysi, bo liczysz się właśnie ty i tylko ty! Zabieram swoje dziecko na święta i mam cię w dupie, słyszysz, ty mała...

- Igor, nie masz prawa się tak do mnie odzywać. Poza tym zastanów się, zanim powiesz o kilka słów za dużo! - ostrzegłam podniesionym głosem, z trudem panując nad sobą. Igor nadal potrafił mnie zranić jak mało kto. Cóż, wiedział, gdzie i jak uderzyć. Lata małżeństwa odsłoniły nasze słabe punkty i czasami bardzo żałowałam, że nie jestem na tyle podła, by pozbyć się skrupułów i odplacić mu pięknym za nadobne, tym bardziej że każdy nasz kontakt zwykle kończył się dla mnie łzawo i nerwowo.

- Mam prawo, prawo ojca! - darł się Igor w moje ucho. - I będę ci mówił, co mi się podoba! - Tyle tylko zdołałam usłyszeć, bo w tym samym momencie Marysia siłą odebrała mi słuchawkę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że musiała wszystko słyszeć, i serce mi się ścisnęło. Obiecałam sobie kiedyś, że bez względu na stosunki z jej ojcem, ona nigdy nie będzie przez nas cierpieć. I znowu zawiodłam.

- Już nie, tato, nie będziesz mówił, co ci się podoba - powiedziała Marysia głośno i dobitnie. - Co to za ojciec, który obraża matkę swojego dziecka? - zapytała, aż drżąc z napięcia.

- Maniu, oddaj mi słuchawkę - poprosiłam cicho, czując łyzy pod powiekami. Za nic nie chciałam dopuścić do tego, żeby córce na moich oczach pękło serce. - Obiecuję, że porozmawiamy spokojnie - dodałam, ale Marysia tylko pokręciła głową.

- W ogóle, tato, zawiodłeś mnie - ciągnęła, coraz bardziej podnosząc głos. - Nawet nie zapytałeś, co ja o tym myślę! Tak, masz rację, na początku się ucieszyłam, ale potem... Mama nie może teraz zostawać sama, a już na pewno nie chciałabym wyjeżdżać na całe święta. Nie tylko ty jesteś moją rodziną. A po tym, jak się dzisiaj zachowałeś, nie chcę z tobą rozmawiać! Nic nie wiesz o kobietach, cud, że ta twoja Wioletta nadal z tobą wytrzymuje! Nie dzwoń do mnie! - wypaliła na koniec i rzuciła słuchawką z takim wstrętem, jakby było to coś najobrzydliwszego na świecie.

- No i co się tak na mnie gapicie? - zapytała po chwili, pociągając nosem i usiłując przybrać obojętną minę. Wyszło jej raczej marnie i jasno było widać, że zamiast twardzielki stoi przed nami mała skrzywdzona dziewczynka.

- Nic, kochanie, nic - odpowiedziałam szybko i wymownie spojrzałam na zgromadzonych. Oczywiście, jak bywa w takich sytuacjach, w kuchni nie zabrakło nikogo. Nawet tata Filipa i pan Florian skończyli odśnieżanie na tyle wcześnie, żeby wszystko dokładnie słyszeć i obejrzeć sobie moje mokre oczy, a także nieszczęśliwą minę Mani. Pierwszy otrząsnął się Filip, który różnym tonem stwierdził, że skoro na dworze jest śnieg, a w domu są dzieci, należy ulepić bałwana. Dzieciaki Kaśki chyba po raz pierwszy od zamieszkania u nas wydały z siebie piski radości i pobiegły wkładać buty i kurtki.

- A ty na co czekasz? - Filip zwrócił się do Marysi. - No już, księżniczko! Nie chcesz na traktory ani do łopaty, to przydaj się przynajmniej do bawienia dzieci - zaczął się z nią droczyć i to była metoda idealna. Mania klasycznie dała się podpuścić i już po chwili kłóciła się zawzięcie z rozbawionym Krawcem juniorem, który udawał zatwardziałego szowinistę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jestem mu wdzięczna. W duchu obiecałam sobie, że do końca roku przymknę oko na wszelkie wybryki z jego udziałem.

- No to może w końcu napijemy się tej herbaty - zaproponowałam, ukradkiem wycierając oczy i siadając do stołu.

- Doskonały pomysł, zwłaszcza że jakoś tak powiało chłodem i nie mam tu bynajmniej na myśli kłopotów z ogrzewaniem - mruknęła Jagoda. - Czego on znowu się czepiał?

- Wciąż tego samego. Nie może przeboleć świąt na Słowacji - powiedziałam, z trudem biorąc się w garść; - A że w jego przekonaniu wykazał się wspaniałomyślnością, łatwo mi nie odpuści. Będzie drażył temat i kąsał. Głupia jestem, że się jeszcze nie uodporniłam. Przecież to nie pierwsze tego typu zachowanie Igora. Ale co innego mnie zastanawia w tym wszystkim. - W zamyśleniu sięgnęłam po gorący dzbanek. - Co się stało z Marysią?

- Nie wiem, o co dokładnie chodzi, lecz na mój gust nie ma się nad czym zastanawiać, twoja córka zachowała się wobec ciebie bardzo w porządku - powiedziała Kaśka.

- To wiem, ale tak mu wykrzyczała, że się nie zna na kobietach i że ja teraz nie mogę zostać sama... Dziwnie to jakoś brzmi.

- Może ma coś wspólnego z tą nadopiekuńczością? - Jagoda pochyliła się w moją stronę. - Rozmawiałaś z nią na ten temat?

- Nie, jakoś nie wiedziałam, od czego zacząć. Bo co mam jej powiedzieć: „Córko, za grzeczna jesteś”? Przecież musiałabym być kompletną wariatką, by się czepiać dzieciaka za to, że zachowuje się bez zarzutu. Chociaż obiektywnie rzecz biorąc, jest to bardzo niepokojące.

- Ale dlaczego? - zdziwiła się Kaśka.

- Bo nie ma idealnych nastolatków, ty szczęśliwa matko kilkulatków - uświadomiłam jej brutalnie. I nagle mój wzrok padł na dziwnie milczącego Jeremiego. - A właśnie, czy ty przypadkiem nie masz nic wspólnego z tą cudowną przemianą? Właśnie sobie przypominałam, że to wszystko zaczęło się od momentu, gdy Mańka poleciała wypłakać się Filipowi i po rozmowie z tobą wróciła taka układna. Już dawno miałam cię o to zapytać, tylko zapomniałam.

- Tak, zawsze wiedziałem, że nie ma nic gorszego niż kobieta z dobrą pamięcią. - Jeremi lekko się zarumienił.

- Nie mogłabyś na mój i swój użytek doznać małej amnezji? - zapytał markotnie.

- Musiałaby mocno dostać po głowie - wtrąciła się Jagoda. - Ale z całą pewnością nie pozwolimy jej okaleczyć - dodała natychmiast. - Przede wszystkim dlatego, że jesteśmy bardzo ciekawi, co takiego powiedziałaś Mańce, że po tej rozmowie oblekła się w anielską powłokę.

- Dzięki, zawsze wiedziałam, że na przyjaciół można liczyć - stwierdziłam. - Czyli jeżeli nie interesowałyby cię przemiana Mańki, pozwoliłabyś mnie stłuc na kwaśne jabłko?

- Raczej nie, ale teraz mam dodatkową motywację - wyznała Jagoda z rozbijającą szczerością. - No to gadaj waćpan, cóżżeś uczynił temu dziecięciu - zwróciła się do Jeremiego.

- A nie obilo się wam o uszy, że czasami warto pozostać w nieświadomości? - Jeremi wyraźnie nie palił się do zwierzeń.

- Słyszeliśmy, ale to pprzesady - odpowiedział w naszym imieniu pan Miodek, którego najwyraźniej też dręczyła ciekawość.

- Panie Florianie, czego jak czego, ale tego się po panu nie spodziewałem! Myślałem, że pan, jako mężczyzna, ze mną się solidaryzuje, a widzę, że już pan wsiąkł w to babskie grono! - westchnął Jeremi. - Zanim cokolwiek powiem, pamiętajcie, kto was odkopał i że wszystko, co zrobiłem, zrobiłem z dobrej woli...

- No, dopiero teraz mnie zaintrygowałeś. Coś ty, bratku, nawywijał, że się aż tak asekurujesz? - zaintrygowana nachyliłam się w jego kierunku.

- Powiedziałem, że zapewne przekwitasz i jesteś rozchwiana emocjonalnie, psychicznie, skłonna do przeziębien

i urazów, i trzeba się teraz o ciebie szczególnie troszczyć, bo w takim stanie różne rzeczy kobietom przychodzą do głowy. I że w żadnym razie nie powinnaś zostawać sama na święta, bo choroba wie, czym to się może skończyć w takim niepewnym momencie - wyrzucił z siebie i odetchnął z wyraźną ulgą, że ma to już za sobą.

- Że co?! Że ja?! Że... - Z oburzenia aż się zatchnęłam.

- Majka, na litość boską, ja nawet nie pamiętałem, jak wyglądasz... Byłem wprawdzie na jakichś wywiadówkach, ale mam kiepską pamięć wzrokową... Chciałem ją czymś koniecznie uspokoić i to pierwsze przyszło mi do głowy...

- Że jestem starą nie zrównoważoną babą?

- Kkkolego, ty lepiej już nic nie mów - poradził mu scenicznym szeptem pszczelarz. - Z kkkażdym słowem się pppograżasz.

- Palnąłem, co mi ślina na język przyniosła, nawet nie przypuszczałem, że tak mocno to sobie weźmie do serca... A potem jak cię zobaczyłem, jak przyszłaś dopytać się o chałupę starego Czyraka, uświadomiłem sobie, jaki ze mnie dureń. I szczerze mówiąc, miałem nadzieję, że ta moja głupota nigdy nie wyjdzie na jaw.

- Jeremi, ja ci dobrze radzę, posłuchaj pana Floriana i zamknij dziób - poradziłam mu, groźnie marszcząc brwi.

- Nie dość, że nieźle mnie postarzyłeś, to jeszcze mówisz mi prosto w oczy, że jestem zupełnie nijaka, i zasłaniasz się słabą pamięcią wzrokową. Szczyt taktu! - Zupełnie niespodziewanie poczułam rozbawienie. - No i co ty na to, Jagoda? W końcu, jak słusznie zauważyła Marysia, jesteśmy w tym samym wieku, więc jedziemy na tym samym wózku.

- He, sama nie wiem, co ja na to, po prostu mnie zatkało - wyznała Jagoda. - Szczerze mówiąc, do tej pory czułam, że jestem w szczytowej formie. Ale to zapewne jakieś starcze omamy - powiedziała z błyskiem w oku.

- Tak, też tak myślę. To zapewne mechanizm zaprzeczenia - podłapałam natychmiast. - Poza tym traumatyczne rzeczy wypiera się z pamięci. Zwyczajnie zapomnieliśmy, że znienacka dopadła nas stetryczność...

- Ja was bardzo proszę, dajcie spokój - słabym głosem powiedział Jeremi.

- Co on tam mówi? - Przyłożyłam dłoń do ucha. - Nie dosłyszałam...

- Nie przejmuj się, to normalne w naszym wieku! - odrzyknęła do mnie Jagoda. - A o co pytał? Niech pomyślę... Niestety, zapomniałam! Ha, to zapewne skleroza, silnie postępująca. - Pokiwała głową z ubolewaniem.

- Dziewczyny, mam propozycję. Przepraszę was, pokajam się nawet, a potem zastosujecie ten mechanizm wyparcia w stosunku do mojej głupoty... Co wy na to? - Ojciec Filipa błagalnie złożył ręce i rzucił nam spod oka spojrzenie, któremu nie sposób było się oprzeć.

- Cóż, kajaj się i próbuj, ale nie licz na to, że łatwo ci odpuścimy. - W końcu się nad nim zlitowałam. - Swoje będziesz musiał wycierpieć, wuju dobra rada. I miej na uwadze, że przekwitające kobiety funkcjonują na ulgowych warunkach. Huśtawka hormonalna ma swoje prawa.

- O, nie zazdrozczę, gggdybym wiedział, ooo ccco chodzi, tobym w ogóle nie pytał. - Pan Florian współczująco poklepał Jeremiego po plecach.

- No dobra, poużywamy sobie na tobie potem, a na razie w ramach odkupienia swoich win powiedz, czy nie masz zamiaru na jakiegoś specja od pieców, bo jak zapewne poczujesz, jest u nas dosyć rzeško.

- Właśnie tak mi się wydawało. - Jeremi z ulgą przyjął zmianę tematu. - A co się konkretnie stało?

- Konkretnie to kaloryfery są zimne - podzieliłam się z nim tym, co wiedziałam. W końcu to było najistotniejsze, a reszta stanowiła dla mnie coś w rodzaju wiedzy tajemnej dostępnej jedynie czarodziejom piecowym.

- No tak... - Jeremi nie wydawał się usatysfakcjonowany odpowiedzią. - A może coś bliżej? Jaki to piec? Rodzaj, rocznik?

- Skąd mam wiedzieć? Gazowy, ale konkretnie jaki... Panie Florianie, jaki mamy piec? - zwróciłam się do jedynej osoby, która w tym gronie mogła mieć jakieś pojęcie o czymś tak abstrakcyjnym.

- Szczerze mmmówiąc, nie widziałem go na oczy. - Pszczelarz rozwiał moje nadzieje. - Ppan Tadeusz się tym zajmował.

- Znaczy to tyle, że mój tata włączył ogrzewanie. Wątpię, czy będzie wiedział o nim cokolwiek więcej niż to, gdzie jest - wyjaśniłam Jeremiemu. - Ale to i ja wiem - pochwaliłam się.

- W takim razie rzucę na niego okiem. Naprawić nie naprawię, ale przynajmniej będę miał jasność, kto się najlepiej tym zajmie.

- No jak to kto? Ktoś od pieców - powiedziałam. - A co? Niekoniecznie? - domyśliłam się, widząc jego pobłażliwy wzrok.

- Koniecznie, tyle że inaczej naprawia się nowsze generacje, a inaczej starsze. Jak zobaczę urządzenie, to będę wiedział, kto się potencjalnie najlepiej na nim zna - wyjaśnił mi Jeremi, idąc za mną w kierunku wejścia do piwnicy. Nagle przystanął, wlepiając oczy w schody na górę, na których nadal stał efekt stolarskich wysiłków pszczelarza i weterynarza. - A to co? - zapytał, z zainteresowaniem oglądając skarłłą poręcz.

- Zdarzył się mały wypadek przy pracy. Poręcz nie wytrzymała napiętej atmosfery, a potem niestety nie dane jej było przetrwać naprawy. Czarek i pan Florian, oczywiście na mój gust, nie odziedziczyli po męskich przodkach stolarskich uzdolnień - wyjaśniłam pobieżnie. - Chyba że przodkowie byli krasnalami.

- Muszę ci powiedzieć, że wygląda to trochę groteskowo. - Jeremi z istic naukową ciekawością przyglądał się czemuś, co kiedyś było porządną drewnianą poręczą, a teraz niczym kikut sterczało przy schodach. - I co z tym zrobisz?

- Z tym to raczej nic, ale może komuś przyda się miniaturowa wersja. Znasz kogoś, kto chętnie przyjmie poręczkę?

- Poręczkę?

- Pomniejszona forma poręczy to poręczka. Chyba logiczne.

- Zapewne, pozwól, że nie będę się nad tym zastanawiał, bo i tak odczuwam w głowie jakiś dziwny zamęt. - Ojciec Filipa z widocznym trudem zbierał myśli. - Uznam, że skoro mówisz, chyba wiesz. A wracając do tematu stolarskiego, służę pomocą. Kiedyś zajmowałem się stolarką zawodowo.

- Jeremi, uważaj, bo jeszcze nie daj Boże się przyzwyczaję i uznam, że jesteś lekiem na całe zło - ostrzegłam, patrząc na niego z uznaniem. - I będę cię nękać z byle jakiego powodu.

- A nękać sobie do woli - zezwolił ojciec Filipa, w skupieniu przyglądając się moim schodom. - Masz miarękę? - zapytał następnie, a ja pomyślałam, że są pytania, których w żadnym razie nie powinno się zadawać żadnej kobiecie. Na przykład takie o rodzaj pieców albo o posiadanie narzędzi. Jak przypuszczałam, za chwilę zostanie poruszone kolejne arcytrudne zagadnienie mające na celu ustalenie miejsca pobytu młotków, śrubek i innych przedmiotów, które sukcesywnie upychałam w różnych, najczęściej przypadkowych miejscach.

- Gdzieś powinna być - mruknęłam wymijająco. - Będę musiała poszukać, ale może potrzebna ci wiertarka? - zagadnęłam entuzjastycznie, bo właśnie sobie przypomniałam, że wiertarkę widziałam wczoraj w schowku na odkurzacz.

- A po co mi wiertarka? - Jeremi omiół mnie zdziwionym spojrzeniem. - Muszę wymierzyć długość poręczy, wiertarka raczej mi w tym nie pomoże... - zauważył, a ja stwierdziłam, że trudno odmówić mu słuszności w rozumowaniu.

- No tak, w takim razie zaraz zapytam pana Floriana, on nie powinien mieć kłopotu ze zlokalizowaniem takich przyrządów - powiedziałam, obiecując sobie w duchu, że w najbliższym czasie kupię skrzynkę na porozrzucane w różnych miejscach narzędzia i będę utrzymywała w niej wzorowy porządek. O ile oczywiście zdołam użyć jej zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Poprzednią bowiem miast wypełniać wiertłami, gwoździami i innymi niebezpiecznymi w użyciu przedmiotami, zabrałam na górę, bo doszłam do wniosku, że idealnie nadaje się na przetrzymywanie papierów i dokumentów. I tak miarki, wkrety i temu podobne nadal pozostały bezdomne i znajdowały się w zadziwiających miejscach. Na przykład ostatnio Marysia o mało co nie zginęła, zaatakowana podstępnie przez młotek, który spadł na nią przy wyjmowaniu książek z półki.

- Nie ma co zawracać mu głowy. - Jeremi machnął ręką. - Po południu przywiozę swoją, a teraz chodźmy do tego pieca, im szybciej to załatwimy, tym szybciej uda się tu kogoś ściągnąć.

Niewątpliwie miał rację, tyle że w związku z brakiem światła musieliśmy jeszcze zlokalizować latarkę, potem znaleźć do niej działające baterie (wyjęłam z budzika) i nareszcie mogliśmy się zapuścić w egipskie ciemności piwnicy. Biorąc pod uwagę moje doświadczenia z mężczyznami, Jeremi i tak wykazał się w tej sytuacji wprost anielską cierpliwością.

- Majka, zdradz mi sekret, jak ty sobie dajesz radę w tym typowo po babsku zagospodarowanym świecie? - zapytał tylko, gdy już ze spisanyymi z pieca dziwnymi znaczkami, które mi nic nie mówiły, a podobno określały dokładnie to, co określone być powinno, wróciliśmy na górę.

- Normalnie. Tak jak ty dajesz sobie radę w męskim. Nam czasami brakuje pod ręką miarek i śrubokrętów, a tobie pewnie czegoś innego. Tak czy inaczej dobrze, że można liczyć na wzajemną pomoc. I w ramach babskiego świata mogę cię zaprosić w sobotę na domowe pierogi, co ty na to? - zapytałam, ubierając się w kurtkę, bo temperatura z minuty na minutę spadała na łeb, na szyję. - O ile oczywiście do tego momentu nie zamrzniemy, nie zapada nas na amen i podłączą prąd. Swoją drogą nie orientujesz się, ile to ostatnie może to trwać?

- Różnie, w zależności od okoliczności. Niestety, słyszałem w radiu, że linie energetyczne zostały pozrywane w wielu miejscach, więc prądu może nie być nawet kilka dni. Dobrze, że masz ogrzewanie gazowe.

- Które i tak nie działa - uświadomiłam mu.

Potężny rozmiar komplikacji powoli w pełni do mnie docierał. To nie był już problem, tylko mała, bo mała, ale jednak pensjonatowa katastrofa. Po pierwsze, do Uroczyska nie było można dostać się w normalny sposób, co stawiało pod znakiem zapytania przybycie gości. Po drugie, ogrzewanie nie działało. Po trzecie, nie było prądu. A po czwarte, spotkanie wigilijne nie mogło się odbyć na wcześniej ustalonych warunkach. Ostatni punkt uświadomił mi, że wyliczanie tych wszystkich nieszczęść nic mi nie da i najwyższy czas wziąć sprawy w swoje ręce.

Zacząłam więc od telefonu do proboszcza, który bez najmniejszych oporów zgodził się na spotkanie udostępnić plebanię. Podniesiona na duchu pozytywnym rozwiązaniem jednego problemu z miejsca zadzwoniłam do zakładu energetycznego, gdzie jakaś pani zgnębionym głosem powiadomiła mnie, że prądu na razie nie ma.

- Tyle to ja wiem - poinformowałam ją uprzejmie. - Gdyby był, nie dzwoniłabym do państwa - dodałam dla jasności.

- Skoro pani wie, to czemu zawraca głowę? - zgnębiony głos przeistoczył się w zirytowany.

- Bo chciałabym się dowiedzieć, kiedy będzie - wyjaśniłam, nabierając pewności, że z którąś z nas coś jest nie w porządku.

- Czy ja wyglądam jak Duch Święty? - zapytała pani, a mnie na moment замуrowało. - Skąd niby mam to wiedzieć?

- Zastanówmy się... Bo jest pani pracownikiem zakładu i ma pani wgląd w dane? - podesunęłam jej elokwentnie, na co po drugiej stronie zapadło milczenie przerywane tylko ciężkimi westchnieniami. - Halo, jest tam pani? - upewniłam się, nie bardzo rozumiejąc przedłużającą się wzdychającą ciszę.

- A co pani taka niecierpliwa? Adres proszę podać - zażądała urażoną telefonistka i po chwili usłyszałam klikanie klawiatury. - No, jasno wynika, że prądu u pani nie ma - powiedziała po chwili. - Zgłoszenia były, awaria jest odnotowana.

- To świetnie, bardzo się cieszę, a teraz może przejdźmy do punktu drugiego - zaproponowałam, czując, jak moja cierpliwość z minuty na minutę się ulatnia. - Kiedy ta odnotowana skrupulatnie awaria zostanie usunięta?

- Jak wozy dotrą - wyjaśniła pani tonem jasno dającym do zrozumienia, że jestem najgorszym typem klienta, jaki może się przytrafić biednej pracownicy infolinii.

- A kiedy dotrą? Za godzinę? Dwie? Trzy dni? Tydzień? W przybliżeniu? - zapytałam, czując, że za chwilę zacznę w desperacji tłuc głową o ścianę.

- Będą, jak będą - flegmatycznie stwierdziła pani i się rozłączyła, nie mając zapewne bladego pojęcia, że gdybym ją tylko dorwała, udusiłabym ją gołymi rękami.

- I co, dowiedziałaś się czegoś? - zainteresowała się Jagoda.

- Tak, że elektrownia zatrudnia idiotów - odpowiedziałam ze złością. - Pani poinformowała mnie, że prądu nie ma i będzie, jak będzie.

- No popatrz, nigdy nie przypuszczałam, że jestem specjalistką od elektryczności, ale tyle to i ja ci mogłam powiedzieć. W razie bezrobocia zatrudnię się w elektrownianej infolinii. - Jagoda parsknęła śmiechem. - Nie wiesz, czy w zamrażarce mamy jeszcze truskawki?

- Nie wiem - mruknęłam nieuważnie. - A nie wiesz, gdzie się podział Jeremi?

- Jest na dworze, został zwerbowany do doprawienia bałwanowi nosa - wyjaśniła Jagoda, uparcie ryjąc w zamrażalniku.

- Z truskawek? Oszaleli? Nie wiedzą, że jest środek zimy i truskawki są w cenie złota?

- Nie, z marchewki, truskawki są dla mnie - uspokoiła mnie Jagoda.

- Dzięki Bogu! Nie chciałabym wyjść na sknerę, ale truskawek dla bałwana bym nie zdzierżyła.

- I jednakowoż skąpiradło by z ciebie wylazło - podsumowała Jagoda.

- Dobra, dobra, w takim razie jak tylko ojciec Filipka skończy zabawę z bałwanem, wezmę od niego numer do tego majstra do pieców, może przynajmniej to się uda w miarę szybko załatwić - stwierdziłam i dopiero teraz popatrzyłam na Jagodę uważniej. - A co cię w ogóle tak nagle napadło z tymi truskawkami? - zainteresowałam się, widząc na twarzy przyjaciółki jakąś dziwną desperację.

- A nie wiem, tak jakoś zjadłabym z cukrem, a skoro nie ma prądu, to i tak wszystko się rozmrozi. Przy odrobinie dobrej woli można nawet uznać, że dbam, by nic się nie zmarnowało.

- O rany, o tym nie pomyślałam. Dobrze, że mi przypomniałaś, trzeba to wszystko wystawić na dwór! - Poderwałam się z krzesła. - Ostatecznie na zewnątrz mamy naturalną zamrażarkę.

- Z naturalnymi amatorami mięsa - dodała Jagoda, głową pokazując na Toskę, która cierpliwie siedziała w otwartych drzwiach zamrażarki i miłośnie wpatrywała się w przekładane przez moją przyjaciółkę paczuszki.

- Profilaktycznie ułożymy to gdzieś wyżej, gdyby na przykład któreś miało ochotę na lody mięsne. O, Jeremi, widzę, że sprawa bałwanowego nosa już załatwiona? - zwróciłam się do ojca Filipa, który cały zaśniewony pojawił się w kuchni. - Czy mi się wydaje, czy ciągle sypie?

- Teraz to już nie sypie, tylko prószy - sprostował Jeremi, zdejmując z głowy wielką czapę. - Mam dla was dwie wiadomości, jedną dobrą, drugą złą. Od której zacząć?

- Od dobrej - tym razem postanowiłam postawić na optymizm.

- Właśnie dzwoniłem do pana Grzesia, specja od pieców gazowych. Przyjdzie jeszcze dziś.

- No to świetnie, jaka jest w takim razie ta zła wiadomość?

- Że dziś znaczy dwudziesta, dwudziesta pierwsza. Wcześniej się mu nie uda...

- No to ładnie. Gości, o ile oczywiście dotrą, przywitam w zimnym i ciemnym domu - stwierdziłam ponuro. - Ale i tak jestem ci niebywale wdzięczna, że udało ci się umówić go tak szybko. Domyślałam się, że przy takich warunkach nie było to proste - zwróciłam się zaraz do Jeremiego, by nie pomyślał, że jestem kompletną niewdzięcznicą. Bo przecież nie byłam. Przeraziła mnie tylko wizja wieczoru.

- Pani profesor, czym pani się martwi? - zagadnął mnie Filip, który razem z ojcem pojawił się w kuchni.

- Życiem, Filip, po prostu życiem - mruknęłam. - A gdzie są dzieci i Marysia? - zapytałam, zaglądając do przedpokoju i nie widząc tam nikogo.

- Zostały na dworze i odprawiają dziki taniec wokół bałwana. Przekonałem ich, że to niezbędny rytuał każdego szanującego się lepiacza bałwanów - wyjaśnił Filip. - Znaczący, przekonywałem głównie dzieci, ale Marysia chyba też uległa mojej nadprzeciętnej charyzmie.

- Jak cię słucham, to dochodzę do wniosku, że sam jesteś bałwanem, mój drogi Filipie - rozległ się tuż za nim głos mojej córki. - Tylko nie potrzebujesz marchewki.

- Tak mówisz, bo po prostu nie radzisz sobie z zazdrością - odpowiedział Krawiec junior, a ja pomyślałam, że jeszcze brakuje mi tu kłótni nastolatków. Jakbym i bez tego miała za mało problemów.

- Spokój mi tutaj! Zamiast się kłócić, lepiej się do czegoś przydajcie. Jak na razie nie ma prądu ani ogrzewania. Musimy napalić w kominku i... Sama nie wiem, potem czekać na cud i modlić się, by nasi goście kochali ciemność i marzyli o spędzeniu urlopu na Antarktydzie. Wtedy jako namiastkę będziemy mogli oferować im wysoce ujemną temperaturę.

- No właśnie, pani profesor, ja chciałem coś zaproponować, ale pani mi przerwała.

- Krawiec, znamy się przecież nie od dzisiaj i jedyne, co mogę powiedzieć o twoich pomysłach, to że niezmiennie napawają mnie lękiem.

- Ale ja mam naprawdę dobre rozwiązanie. - Filip popatrzył na mnie jakoś tak poważnie. Dopiero teraz dotarło do mnie, że bez nieodłącznych szkolnych różów i koronek wygląda bardzo dorośle. Stało przede mną już nie dziecko, ale młody facet, który dodatkowo wydawał się naprawdę przejęty sytuacją.

- No dobra, to co proponujesz? - W związku z nowymi spostrzeżeniami postanowiłam zaryzykować i dać mu szansę.

- Trzeba rozpalić w kominku...

- Ale wymyśliłeś - przerwała mu wzgardliwym prychnięciem Marysia. - Przed chwilą to samo powiedziała moja mama.

- Maryśka, ja nawet przez chwilę poważnie o tobie myślałem, ale teraz jasno widzę, że z tobą nawet święty nie wytrzyma - wkurzył się natychmiast Filip, natomiast Marysia wyglądała na bardzo zadowoloną. Nawet jakby ciut się zarumieniła.

- Czy możecie klócić się w jakimś innym, późniejszym terminie? - zaproponowałam, taktownie nie zwracając uwagi na to dość nietypowe miłosne wyznanie. - Filip, streszczaj się, skończyłeś na kominku. Co dalej?

- Można zaaranżować powitalny wieczór. W kominku będzie się paliło i w salonie będzie w miarę ciepło. Wszędzie rozstawi się świece, przecież nikt nie musi wiedzieć, że to z powodu braku prądu. Ja skrzyknę kilku chłopaków, pogramy gościom na gitarach, coś zaśpiewamy, a wszystko pod hasłem „Powitalny wieczór w Uroczysku”. Co pani o tym myśli?

- Nie wiem - odpowiedziałam szczerze. - Pomysł dobry, ale jak chcesz to wszystko zorganizować w kilka godzin? Poza tym wy gracie mrocznego rocka - dodałam szeptem, bo przypominałam sobie, że Jeremi, o ile było mi wiadomo, nic nie wiedział o rockowych zapędach syna. - Chcecie mi gości wykończyć?

- Mrocznego rocka gramy tylko w klubie we Wrocławiu - sprostował również szeptem mój uczeń, czym utwierdził mnie w przekonaniu, że jego ojciec nadal nic nie wie o istnieniu zespołu. - A ogólnie grywamy różne rzeczy. Nawet z programem nie byłoby kłopotu, bo ostatnio robiliśmy wieczór piosenki poetyckiej. Gitarki, Waldi i Leszek śpiewali, cały repertuar można żywcem ściągnąć. Dodać jeszcze parę szybszych i bardziej tanecznych kawałków i będzie pani miała z głowy problem.

- No tak, ale co dalej? Przecież nie będę robiła takiego wieczoru za każdym razem, jak ktoś przyjedzie - zaszepczałam, bo pomysł Filipa zaczął do mnie trafiać, tyle że pociągał za sobą pewne komplikacje.

- To będzie wieczór z okazji otwarcia sezonu zimowego - wyjaśniła Marysia, której aż się oczy zaświeciły na myśl o potencjalnej imprezie. - Kto trafi, ten ma szczęście.

- Świetny pomysł! - Filip z uznaniem spojrzał na moją córkę. - Czyli co? Organizujemy chłopaków?

- I jakiś poczęstunek - wtrąciła Jagoda, która do tej pory tylko słuchała - ale tym to ja się zajmę. Mam wolny dzień, bo pacjenci w większości poodwoływali wizyty, a tych kilku, którzy chcieli przyjść, odesłałam do pana Pokątnego.

- To jakiś nowy lekarz w Malowniczym? - zainteresowałam się, bo nie skojarzyłam nazwiska.

- Pracuje głównie w szpitalu. Nie kojarzysz, bo to młodzieniaszek dopiero po stażu. Ale dziś ma wolne i obiecał przyjąć za mnie moich chorych - wyjaśniła Jagoda. - Czyli reasumując: wszyscy organizujemy świece, bo na pewno nie ma ich w Uroczysku w ilościach odpowiednich. Ja zajmę się jakimiś przekąskami, Filip skrzykuje chłopców, Kaśka i Marysia przygotowują stoły. Tobie, Majka, jak zwykle się upieczę, bo ktoś musi być na spotkaniu na plebanii. Jak wszystko dobrze pójdzie, to może nasi goście nawet nie zauważą, że coś jest nie w porządku. O ile oczywiście podłączą światło.

- Światło będzie, jak będzie - zapewniłam ją, cytując panią z elektrowni. - A gdzie jest pan Florian?

- Florek walczy z drogą. Jeremi poszedł mu pomóc. A tak na marginesie, czemu ty tak uparcie mu panujesz? Nie możecie zacząć mówić sobie na ty?

- Nie możemy, bo to mój pracownik, mieszka razem z nami, nie chcę prowokować niezręcznych sytuacji i ludzkich języków.

- Po pierwsze, mieszka osobno, bo jest zamurowany, po drugie, my dwie też mieszkamy razem i ludzie mogliby zacząć o nas rozpowiadać nieprzyzwoite rzeczy, po trzecie, jak między nami coś się skonkretyzuje, to też będziesz mówiła do niego „panie Florianie”?

- Wtedy to będzie prawie rodzina i zacznę do niego mówić nawet „mój drogi Floruniu”, jeżeli będziesz sobie życzyć - zapewniłam ją. - A wracając do plotek na nasz temat, to nie ma ich tylko dlatego, że są inne.

- Tak? A jakie? - zainteresowała się Jagoda.

- Domyśl się - zaproponowałam jej z westchnieniem.

- Nie mam pojęcia. - Moja przyjaciółka wzruszyła ramionami. - Szczerze mówiąc, prowadzimy życie nudne aż do bólu. Nie wiem, gdzie tu ma być jakikolwiek temat do plotek.

- Oj, kochana, a cały czas mi powtarzasz, że to ja życia nie znam - wytknęłam jej i rozejrzałam się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nas nie słyszy. Upewniwszy się, że Filip z Marysią zniknęli z salonu, pochyliłam się w jej stronę. - Alicja Łagoda ostatnio powiedziała mi, że ludzie gadają, że my jesteśmy strasznie rozpustne, bo tylu facetów się u nas przewija - podzieliłam się z nią zasłyszaną ostatnio plotką.

- No coś ty? - Jagoda ze zdziwienia znieruchomiała.

- Przecież to kompletne bzdury! Gdyby wszyscy prowadzili się tak jak my, toby ród ludzki wyginał!

- Ba, ja to wiem, ty to wiesz, ale inni widać są lepiej poinformowani. Myślę, że tak naprawdę nie ma sobie co tym głowy zawracać, ucichnie. Mam nieodparte wrażenie, że w tych plotkach maczała swój niewyparzony ozór Kraśniakowa. Ona przecież do tej pory nie może mi wybaczyć, że sprzątnęłam weterynarza sprzed nosa jej córki.

- O, a sprzątnęłaś? - Jagoda czujnie nastawiła uszu.

- Jeszcze niedawno marudziłaś, że nie jesteś gotowa i w ogóle...

- Marudziłam i szczerze mówiąc, nadal mam te same wątpliwości - powiedziałam powoli. - Ale Czarek jest dla mnie kimś szczególnym, a ostatnio po rozmowie z panią Leontyną uświadomiłam sobie, że

czas ucieka i szkoda każdego dnia. Chyba trzeba do tego podejść jak do biznesu: nie zyskuje ten, kto nie ryzykuje. Ale boję się strasznie.

Tego, jak nam się ułoży, ale to w dalszej perspektywie. Teraz najbardziej obawiam się wizyty jego mamy - wyznałam Jagodzie, która przez moment patrzyła na mnie bez słowa, a potem wybuchnęła śmiechem. - Śmieję się, śmieję, a ja wiem, co mówię. Ty jesteś pozbawiona traumatycznego doświadczenia posiadania teściowej, a ja już jedną miałam. I szczerze mówiąc, boję się powtórki z rozrywki.

- Majka, ja cię przepraszam, ale tylko siebie posłuchaj - poradziła mi moja rozbawiona przyjaciółka. - Czy kogoś takiego jak Czarek mogła wychować jakaś wredna baba? Twój Igor od początku był bubkiem, a weterynarz to zupełnie inny gatunek faceta. Zamiast się martwić, uwierz mi na słowo, że i teściowa będzie zupełnie z innej bajki. Teraz myśl, jak by go zachęcić do konkretniejszych działań. Bo po ostatnim razie, gdy zwiłaś mu sprzed nosa na górę, i to po tym, jak ci wyznał miłość, wcale bym się nie zdziwiła, gdyby dał sobie spokój. Biega koło ciebie prawie od roku.

- Ty to wiesz, jak człowieka pocieszyć. - Skrzywiłam się. - I rok minie dopiero w marcu, a ja przecież do tej pory musiałam uporać się z rozstaniem z Igorem. To i tak poszło szybko. Czasami się zastanawiam, czy nie za szybko.

- A na co masz czekać? Sama słusznie zauważyłaś, że czas ucieka - przypomniała mi moje wcześniejsze słowa. - Zresztą wy po prostu jesteście sobie przeznaczeni. Lepiej mnie posłuchaj. Pamiętasz, jak cały czas ci powtarzałam, żebyś nie wychodziła za Igora? Widać mam jakieś paranormalne uzdolnienia. I całą sobą czuję, że nie powinnaś już uciekać. Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że do tego dojrzałaś - powiedziała, ściskając mocno moją rękę, a mnie ze wzruszenia łzy zakręciły się w oczach, ale niestety nie dane nam było się porozczulać.

Do pokoju wróciły dzieciaki z drewnem do kominka, a za chwilę zjawił się Jeremi i stwierdził, że jeżeli chcę się z nim zabrać do miasteczka, to powinnam się zbierać. Czas był ku temu najwyższy, bo przed spotkaniem na plebanii chciałam jeszcze porozmawiać z proboszczem i ustalić wszelkie szczegóły. Stojąc już w drzwiach, okutana w gruby kozuch i za duże rękawice, które przyniósł mi od siebie pan Florian, spojrzałam jeszcze raz w głąb domu, gdzie w salonie Marysia układała drewno w kominku, Jagoda szeptała coś na stronie z pszczelarzem, a Filip, sądząc, że nikt go nie obserwuje, zagapił się otwarcie na moją córkę. Jak ja ich strasznie wszystkich kocham, pomyślałam ze wzruszeniem. W końcu odwróciłam się, by zamknąć za sobą drzwi, i wpadłam wprost na weterynarza. I wtedy stało się coś dziwnego. Biały, cichy świat zamarł wokół mnie. Widziałam tylko jego oczy, zarost na twarzy, a po głowie tłukły mi się fragmenty opowieści pani Leontyny: „Przez mój upór i żal tyle straciłam. I lat, i szczęśliwych chwil. Strach, upór i rozgoryczenie to nie są dobrzy doradcy”. I nie mam pojęcia, jakim sposobem moje ręce znalazły się nagle na jego szorstkich policzkach. Byłam przekonana jedynie o tym, że nie chcę już stracić ani jednego dnia, ani jednej minuty. A Czarek, cóż... Nawet jeżeli był zaskoczony, nie dał tego po sobie poznać, tylko objął mnie mocno i po raz pierwszy pocałował tak, jak prawdziwy mężczyzna powinien całować kobietę. Nie-

wtajemniczoną zdradę, że świat wtedy wiruje, grunt ucieka spod nóg, a czas się zatrzymuje. I myślę, że to jest najbardziej trafna definicja pierwszego pocałunku. Jednym słowem - magia.

Na plebanię, mimo protestów Czarka, zawiózł mnie Jeremi. Po pierwsze, tak było wcześniej ustalone, po drugie, w domu u weterynarza czekała przecież jego świeżo przywieziona mama, a ja nie zamierzałam się jej od początku narażać. Niech sobie Jagoda mówi, co chce, i niech się ze mnie podśmiewa, ja, nauczona doświadczeniem, wiedziałam, że matki facetów są istotami bardzo niebezpiecznymi i wrogimi. Ciekawe, że matki dziewczynek wcale tak mi się nie kojarzyły. A co by było, gdybym poza Marysią miała jeszcze synka? - zastanowiłam się. Czy nagle zamieniłabym się w teściową rodem z dowcipów? I co, wtedy dla męża Marysi byłabym słodka, a dla żony syna potworna? Coś mi tu wyraźnie nie pasowało. Nigdy nie słyszałam, że wychowywanie potomstwa płci obojga powoduje w późniejszym życiu rozdwojenie jaźni. Z tego wniosek, że albo nie każda matka chłopca jest potworem, albo wszystkie jesteśmy paskudne, tylko się do tego nie przyznajemy. Mając tak ograniczony wybór, stanowczo wołałam, żeby prawdziwe okazało się pierwsze przypuszczenie. Wtedy mogłabym żywić nadzieję, że matka Czarka należy do tego mniej upiornego gatunku.

W każdym razie postawiłam na swoim i do Malowniczego pojechałam z ojcem Filipa, zostawiając Czarka z dość dziwną miną. Przemieszanie szczęścia z dziką zazdrością stworzyło kombinację niemożliwą do wyobrażenia, trzeba to było po prostu zobaczyć. Na całe szczęście nie miałam czasu, żeby zastanawiać się nad skomplikowanymi uczuciami weterynarza. Najpierw mało co nie umarłam ze strachu, bo samochodem Jeremiego, mimo porządnych zimowych opon i łańcuchów, dziwnie rzucało, a na plebanii z miejsca zostałam zapędzona przez gosposię do ustawiania krzeseł. Tym razem pani Dorotka, przerażona mnogością ludzi, którzy mieli się tu pojawić, nawet nie zaprotestowała, jak do prac włączył się proboszcz. W międzyczasie proboszcz powiedział mi, że dzwonił do kogo trzeba i na całe szczęście sprawa Kasi jeszcze nie jest ruszona, została odłożona jakąś miłosierną ręką na później.

- Teraz tylko wypadałoby zameldować ją w Uroczysku, chociażby tymczasowo, i zatrudnić na etat. Oczywiście jak nie może pani na cały, wystarczy na pół albo jeszcze mniej. Chodzi o to, żeby wszystko było zgodnie z prawem - wyluszczył mi, przysiadając na pierwszym z brzegu krześle.

- To się załatwi bez problemu, bałam się, że będą większe pierepałki. - Odetchnęłam z ulgą.

- Pani Irena mówiła, że zdążyła pani w ostatnim momencie. Jeszcze parę dni i lawina by ruszyła. Ale teraz nie ma się co zastanawiać, tylko Bogu dziękować, że wszystko się tak ułożyło. O, chyba pierwsi biesiadnicy nadchodzą! - dodał, a ja natychmiast poczułam, jak cała się spinam.

Spotkanie ze staruszkami jawiło mi się jako koszmar. Ale po chwili się przekonałam, że stres był zupełnie niepotrzebny. Nasi przyszli wigilijni goście, tak nieznośni w Uroczysku, tutaj pod okiem księdza byli potulni jak baranki. Ustalenia zostały poczynione szybko i sprawnie, pan Kazimierz wybrany na sierotkę wyciągnął z pudła karteczki z nazwami potraw, które zostały od razu odczytane i spisane. Szczególnie mi na tym zależało, bo nie chciałam być potem oskarżona o potrawowe oszustwo. W całym spotkaniu nastąpił jeden jedyny zgrzyt, gdy się okazało, że wśród wylosowanych dań nie ma sumą. Miłośniczka tej

ryby popadła bowiem w czarną rozpacz i to nie tylko w przenośni, ale dosłownie poczęła łać łzy, wprawiając mnie w niemłą konsternację.

- Pani Barbaro, no co też pani wyprawia - próbował przemówić jej do rozsądku speszony proboszcz. - Kto to widział, żeby z powodu ryby tak płakać - przemawiał do niej jak do upartego dziecka.

- A co tam ksiądz wie! - wychlipała staruszka, ocierając płynące po policzkach łzy. Czynność ta była zupełnie zbędna, bo jak zaobserwowałam, jej oczka funkcjonowały z niesamowitą precyzją, produkując nieprzerwane łzawe strumyki. - Sum był zawsze na naszej wigilii. Nawet jak wojna była, tatuś stawał na głowie i zdobywał suma. Chleb z sumem jedliśmy, nic więcej, ale to właśnie był smak świąt!

No to ładnie! Nie pozwolić jej na suma, to odebrać smak wspomnieniom, pomyślałam rozdarta między współczuciem a irytacją. Pozwolić, to jednocześnie zgodzić się na dalsze modyfikowanie dań, co w ogóle nie wchodziło w rachubę.

- Pani Basiu, mój karp został wylosowany - odezwał się zniecierpliwiony pan z krągłym brzuszkiem.

- I co z tego? Chce się pan, panie Krzysiu, chwalić czy jak? - zwróciła się do niego rozżalona staruszka Basia.

- Ależ nawet mi to do głowy nie przyszło! - oburzył się pan Krzyś. - Tylko pomyślałem, że podzielimy się potrawą na pół.

- Jak to? - Pani Basia pociągnęła nosem, a strumyki jakby zmniejszyły intensywność płynięcia.

- Zamiast robić stertę karpia, zrobimy część tak, a część tak. W końcu na półmisku sum z karpem się nie pogryzą - wyjaśnił pan Krzyś, popatrując na proboszcza, który z miejsca przybrał minę wyrażającą pełnię uznania.

W ten sposób konfliktowe menu wigilijne zostało ustalone i gdy wydawało mi się, że możemy już kończyć, wypłynęła sprawa choinki, o której, szczerze mówiąc, zupełnie zapomniałam. A przecież w tym roku potrzebowałam nie byle jakiego drzewka, tylko całej choiny. Co więcej, zupełnie nie wiedziałam, gdzie tu kupić drzewko, i nie miałam pomysłu, jak je dostarczyć do Uroczyska. Oczywiście mogłam na ten temat zasięgnąć języka i coś postanowić, ale moi wigilijni goście oczekiwali konkretów tu i teraz. Już miałam zwrócić się o pomoc do proboszcza, gdy nieoczekiwanie z zacienionego kąta przy drzwiach odezwał się znajomy głos, który mnie zapewnił, że sprawę choinki bierze na siebie. To weterynarz nie wytrzymał napięcia i po sprawdzeniu, co u mamusi, przygnał na plebanię, by, jak to później określił, służyć mi pomocą w każdej potrzebie. Oczywiście pomoc przyjąłam, chociaż przypuszczałam, że Czarus przybył tu z bardziej prozaicznych powodów. Mianowicie dręczony przez niskie poczucie zazdrości postanowił mieć mnie na oku. Tak czy siak najważniejsze, że wszystko zaczynało nabierać konkretnych kształtów i powoli zmierzało do, miejmy nadzieję, szczęśliwego finału.

Zanim opuściłam plebanię, umówiłam się jeszcze z Jeremim, że następnego dnia, o ile oczywiście nie będzie jeszcze bardziej padać, zawiezie mnie w góry do Grażynki i zajmie się naprawą poręczy. Zamierzałam też porozmawiać z Leontyną, ale starsza pani cały czas otoczona była grupą staruszków, którzy o czymś szeptali, mocno przy tym gestykulując. Ogólnie w powietrzu czuć było jakieś poruszenie i napię-

cie. Co chwila dolatywały mnie strzępy rozmów, coś o granatowej czapce i o tym, że ktoś znów pojawił się w Malowniczym. Przez moment nawet miałam zamiar się dopytać, o co chodzi, ale w ogólnym zamieszaniu wyleciało mi to z głowy.

Nie doczekawszy się rozmowy z panią Leontyną, pożegnałam się z proboszczem i Jeremim. Z weterynarzem wróciłam do Uroczyska, gdzie okazało się, że pierwsi goście jakimś cudem przebili się przez śniegi i rozgrzani nalewką mojego taty bawili się w najlepsze przy muzyce zespołu Filipa. Jagoda szepnęła mi, że pomysł z powitalnym wieczorem przy świecach był przedni. Chłopcy zadbali nawet o to, że w momencie gdy spec od pieców zaczął czymś intensywnie walić, oni zagrali bardzo głośne kawałki, które zupełnie zagłuszyły odgłosy z piwnicy. Gdy zajrzałam do salonu, przekonałam się naocznie, że moja przyjaciółka miała rację. Przyjezdni siedzieli na dywanie w kręgu i zgodnie śpiewali piosenki z repertuaru Starego Dobrego Małżeństwa, wokół na wszystkich wolnych powierzchniach stały pozapalane świece, tworząc liryczno-romantyczną atmosferę, którą podkreślał ogień buzujący w kominku. I, ku mojemu zaskoczeniu, w salonie było nawet ciepło, mimo że piec dopiero co został naprawiony. Jak się okazało, pan Grześ, piecowy magik, cudem zdołał dotrzeć wcześniej. W związku z tym zaświtała nadzieja, że do wieczora dom się nagrzej i nie zamrzniemy.

W ogóle wszystko jakoś tak zaczęło się układać, jakby nagle niepasujące elementy zostały powkładane w odpowiednie miejsca. Jedynym zgrzytem była sytuacja w szkole, ale i ją postanowiłam w najbliższych dniach rozwiązać. Po prostu po świętach złożę wymówienie. Ostatecznie może z głodu nie umrę, a pracować w takiej atmosferze nie miałam ani siły, ani ochoty. Zdawałam sobie sprawę, że łatwo nie będzie, ale z drugiej strony dość miałam tej dziwnej sytuacji i ciągłych pretensji pod moim adresem. A tak bez nauczycielskiego jarzma na karku zajmę się pensjonatem i spokojnie skupię się na jego rozwoju. Na pewno wszystko będzie dobrze, pomyślałam i w tym samym momencie, jakby na potwierdzenie tych optymistyczno-życzeniowych myśli, w korytarzu rozbłysło światło. Widać ktoś tam na górze, kto czuwa nad pensjonatami, był dzisiaj dla nas wyjątkowo łaskawy. Ogrzewanie zostało naprawione, prąd się pojawił, goście dotarli i zupełnie nieświadomi wszelkich awarii świetnie się bawili. I to była dobra wróżba na przyszłość. To, że się tak wszystko gładko rozwiązało, i to, że Czarek cały czas był koło mnie i bardzo niechętnie dał się w końcu przekonać, że powinien wracać do mamy. I to, że tak ładnie na mnie patrzył. To wszystko dawało nadzieję, że każdy, nawet ten, kto do tej pory był przez życie traktowany dosyć szorstko, ma szansę na coś lepszego. Ja, Jagoda, Kaśka z dziećmi, pani Leontyna, która nadal wytrwale usiłowała skontaktować się z Antonim - wszyscy mieliśmy szansę i tylko od nas zależało, czy z niej skorzystamy. Właśnie w tym momencie w pełni zrozumiałam, co znaczy wziąć sprawę w swoje ręce. Nawet jeżeli ryzykowałam, to akurat to ryzyko było w pełni uzasadnione. I niezbędne do szczęścia, które, jak wiadomo z kolei, niezbędne jest do życia.

W nocy nie mogłam spać. Znienacka dopadły mnie wątpliwości. Wszystkie złe doświadczenia zaczęły upiornie krążyć nad moją biedną skolataną głową niczym sępy. Optymizm i przekonanie, że podejmę słuszne decyzje, diabli wzięli. A co będzie, jak się okaże, że nam się z Czarkiem nie uda? Czy mam

prawo ryzykować tę chwiejną i z trudem odbudowaną stabilność? I co najgorsze, ryzykiem obciążona byłam nie tylko ja, bo z tym bym sobie poradziła, ale co z Marysią? Jakie mam prawo mieszać jej w życiu? I tak dostatecznie dużo było w nim zawirowań, gdy rozstawaliśmy się z Igorem. Im więcej o tym myślałam, tym większy strach mnie opanowywał. W końcu nie mogłam już uleżeć w łóżku i zesłam do kuchni, gdzie ku swojemu zdziwieniu zastałam córkę.

- A co ty tutaj robisz? - zapytałam, ciasniej otulając się szlafrokiem.

- To samo co ty, nie mogę spać i przyszłam na ciepłe mleko. - Marysia brodą wskazała garnuszek na kuchence.

- Chyba coś mnie natchnęło, bo zagrzałam więcej. Nalać ci?

- Poproszę - mruknęłam, tłumiąc ziewnięcie. - Twoja babcia twierdzi, że to najlepsze lekarstwo na bezsenność.

- Wiem, to przecież nasze rodzinne mądrości, przechodzą z pokolenia na pokolenie. Myślę, że moje dzieci, o ile oczywiście kiedyś je będę miała, też będą przekonane, że po mleku się zasypia. Do momentu, aż zmądrzeją - dodała tonem wszechwiedzącej staruszki.

- E tam, ja w to wierzę do dzisiaj. Coś w tym mleku musi być, bo rzeczywiście sen po nim łatwiej przychodzi.

- Mamo, to tylko placebo. Ale najważniejsze, że działa - dodała ugodowo.

- No dobra, placebo czy nie, mniejsza o to. Powiedz mi lepiej, córko, co się stało, że jest ci potrzebny środek nasenny? - zagadnęłam, bo w tonie Mani wyczułam przygnębienie.

- Babcia dzwoniła - odpowiedziało krótko moje dziecko.

- No to co? Do mnie dzwoni nieustannie. Dziś ponarzekła trochę na śnieżne komplikacje i na dziadka, ale to normalne. Mama zwykle gdera, a teraz w ogóle musimy się uzbroić w cierpliwość, bo idą święta, a przed nimi babcia zawsze jest rozdrażniona. Wiesz, dążenie do perfekcji jest męczące nie tylko dla tego, kto dąży, ale też dla najbliższego otoczenia - wyjaśniłam, dmuchając w parujące mleko.

- Mamo, ja mam dwie babcie. - Mania z westchnieniem spojrzała mi w oczy. - Dzwoniła mama taty.

- Ooo - powiedziałam tylko, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. - I co? - dodałam po chwili, starając się, by mój głos brzmiał zachęcająco.

- Stwierdziła, że miło by było, gdybyśmy się zobaczyły. Wiesz, ona z dziadkiem zostaną zupełnie sami na święta, bo tata z Wioletką wyjeżdżają i wrócą dopiero po sylwestrze... i tak sobie pomyślałam, że może bym pojechała do nich w drugi dzień świąt? Wtedy już normalnie kursują pociągi. Jakoś mi ich szkoda... Wiem, że ty za babcią nie przepadasz...

- Daj spokój, Maniu - przerwałam jej. - Moje sympatie czy antypatie w tym wypadku nie mają żadnego znaczenia.

To twoja babcia i cokolwiek mogę o niej powiedzieć, to na pewno nie to, że cię nie kocha - powiedziałam, myśląc, że teraz to już żywcem powinnam trafić do nieba albo zostać ozłocona przez teściową. Z tych dwóch rzeczy wniebowstąpienie wydawało mi się jednak bardziej realne.

- Czyli co, mogłabym do nich pojechać? - Mania spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

- Pewnie, że byś mogła, pod warunkiem że ktoś cię odbierze ze stacji. Czemu mi od razu nie powiedziałaś o tym telefonie? Przynajmniej nie miałabyś kłopotu ze snem.

- Racja, ale wtedy ty siedziałabyś tu sama i nie mogłabym ci powiedzieć, że naprawdę nie masz się czym martwić.

- Ależ ja się absolutnie niczym nie martwię - zaparłam się w żywe oczy, bo jeszcze tylko tego brakowało, żeby Mania przejmowała się moimi kłopotami. To była moja rola. Ja powinnam się martwić razem z nią i jej pomagać, a nie na odwrót.

- Jasne. Ale wiesz co, mamó, mimo to powiem ci, że Czarek jest tego wart.

- Czego? - zapytałam słabo, bo wszechwiedza mojego nastoletniego dziecka trochę mnie przerażała.

- Zmiany, ryzyka i tego wszystkiego, co ze sobą niesie nowy człowiek i nowy związek. - Mania odstawiała pusty kubek do zlewu. - Tyle że ty się tym ani trochę nie przejmujesz, prawda?

- Zołza! - Pokazałam jej język i wywróciłam oczami.

- Ale kochana! - Moja nad wyraz domyślna i dojrzała córka zaśmiała się i poklepała mnie po ramieniu. - Idę spać, placebo zaczęło działać - powiedziała, ziewając. - Tobie też radzę, bo jutro będziesz miała worki pod oczami i weterynarz może cię nie zechcieć.

- Maryśka! - powiedziałam groźnie.

- No co, dbam o ciebie, a ty mi tu od razu Maryśką walisz między oczy - wytknęła mi. - Ale tak naprawdę, na mój skromny gust oczywiście, to nie masz się czym martwić. Nawet gdybyś nagle osiwiła i zbrzydła, nic ci nie grozi. Czarus przepadł na amen.

- A skąd ty to możesz wiedzieć, ukochana córko?

- Z obserwacji, ukochana matko. Jak ktoś tak się całuje jak wy, to nie trzeba być prorokiem, żeby stwierdzić, że będzie z tego miłość - stwierdziła na odchodnym i ziewając, pomaszerowała do łóżka, nie zdając sobie sprawy, że właśnie odpędziła ode mnie resztki senności.

Tym razem nawet gorące mleko nie pomogło. Miałam szczerą nadzieję, że weterynarz rzeczywiście przepadł na amen, bo tylko w takich okolicznościach istniała możliwość, że nie zauważy niedoskonałości mojej urody. Wprawdzie nie obawiałam się całkowitej brzydoty i kompletnego osiwienia, ale sińce pod oczami były ze wszech miar prawdopodobne. I jedyne, czego mogłam sobie życzyć, to żeby w tej sytuacji prawdziwe okazało się powiedzenie, że miłość jest ślepa. A już miłość weterynarza w szczególności.

Następny dzień nadszedł stanowczo zbyt szybko. Oczywiście krótkość nocy nierozzerwalnie powiązana była z tym, że usnąć udało mi się koło piątej nad ranem. Przynajmniej tak przypuszczam, bo gdy ostatni raz sprawdzałam godzinę na swojej komórce, była czwarta. Natychmiast jak za potrząśnięciem

czarodziejskiej różdżki po głowie zaczęła mi się płątać piosenka Starego Dobrego Małżeństwa, którą wczoraj na swoje nieszczęście usłyszałam na powitalnym wieczorze przy świecach:

Czwarta nad ranem

Może sen przyjdzie

Może mnie odwiedzisz.

Jak zaczęła, tak nijak nie mogłam się jej pozbyć. Po raz kolejny w myślach pojawił mi się tekst:

Czemu cię nie ma na odległość ręki?

Czemu mówimy do siebie listami?

Gdy ci to śpiewam - u mnie pełnia lata,

Gdy to usłyszysz - będzie środek zimy.

Ze złości zazgrzytałam zębami. Piosenka przyczepiła się do mnie niczym rzep do psiego ogona. W końcu, gdy nie udało mi się jej zagłuszyć ani kotkiem, który wlaził na płotek, ani starym niedźwiedziem, który w przeciwieństwie do mnie mocno spał, poddałam się. Jak stare dobre kołysanki nie pomogły, to już nic nie pomoże, pomyślałam sennie. Trudno, nie pozostawało mi nic innego, jak spędzić noc z głową pełną pytań dotyczących czwartej nad ranem, nieobecnością kogoś o rzeczonyj nieludzkiej godzinie itd., itp., itd.

Na koniec okazało się, że piosenka ma dla mnie wymiar proroczy, bo rzeczywiście usnęłam dopiero około piątej, tyle że zamiast topoli za oknem szumiał i gwizdał wiatr (przynajmniej tak przypuszczam), unosząc tumany śniegu i rzucając nim w szyby, ale to już mnie zupełnie nie interesowało, bo spałam tak mocno, że żadna wichura nie była mnie w stanie obudzić. Spore trudności miała z tym również Jagoda, gdy rano - zaniepokojona moją nieobecnością w kuchni - przyszła sprawdzić, co się dzieje. Półprzymiśna usiadłam na łóżku i dotarło do mnie, że chyba budzik się zepsuł, bo nie zadzwonił. Przy dokładniejszych oględzinach wyszło na jaw, że w środku nie ma baterii, więc nawet gdyby był szalenie sprawny, nie miał najmniejszych szans spełnić swojego budzikowego powołania. Oczywiście dopiero na widok tragicznie pustego miejsca w zegarkowym wnętrzu przypomniałam sobie, że wczoraj własnoręcznie przełożyłam baterie do latarki, gdy schodziłam z Jeremim do piwnicy. Złorzeczając na swoje zapominalstwo, obiecałam sobie solennie, że jeszcze dziś zrobię bateriowe zapasy.

Nie zmieniało to faktu, że było fatalnie późno i żeby mieć chociażby cień szansy na punktualne dotarcie do szkoły, musiałam zrezygnować z porannego mycia, nie mówiąc już o śniadaniu. A i tak nie spóźniłam się tylko dlatego, że widząc, jak beładnie miotam się po domu, Jagoda miłosiernie na mnie zaczęła i podwiozła mnie pod samą szkołę. Wpadając do pokoju nauczycielskiego, uprzytomniłam sobie, że dziś jest dzień rozstrzygnięcia konkursu szopkowego i że do świąt zostało jakoś potwornie mało dni, a co za tym idzie, powinnam obgadać z dziećmi naszą klasową wigilię, w Uroczysku zacząć wielkie sprzątanie, chociaż to, odkąd mieszkała u nas Kaśka, stało się mniej palące. Tak czy inaczej dotarło do mnie, że to ostatni moment, by na spokojnie zorganizować sobie czas przedświąteczny.

Ale teraz po kolei: najpierw lekcje, a potem następne sprawy, upomniałam się w duchu. Jedna rzecz w jednym czasie - moja mama notorycznie powtarzała tę maksymę, której mi osobiście nigdy jeszcze nie

udało się wprowadzić w życie. Wychodząc z pokoju nauczycielskiego, natknęłam się na Helenkę, która poinformowała mnie, że w gabinecie dyrektorki właśnie rozstrzyga się konkurs i zliczane są szopkowe głosy.

- To i dobrze, może w końcu wszystko się uspokoi - powiedziałam, wracając po dziennik. - Nawet nie wiesz, jak mi cała ta sprawa dopiekała. Przypuszczam, że pani dyrektor i tak nie zapomni tej szopkowej historii i przynajmniej do końca roku szkolnego będę miała przechłapanie - dodałam, myśląc, że dłużej na pewno nie, bo najdalej w przyszłym tygodniu złożę wypowiedzenie. Skoro już to postanowiłam, nie było sensu czekać.

- Niestety, możesz mieć rację, bo dowiedziałam się z nieoficjalnych źródeł, że szopka twojej klasy prowadzi. Podobno dyrektorka jest wściekła.

- Błagam, powiedz, że tylko żartujesz! Jeżeli to prawda, zostanę przez nią żywcem pożarta.

- E tam, tak źle nie będzie. Zresztą na wszystko przychodzi koniec, niedługo szopki zostaną sprząnięte do magazynu i pójdą w niepamięć. Musisz przeczekać - zawyrokowała optymistycznie Helenka i zniknęła za drzwiami klasy, skąd po chwili rozległy się donośne nakazy dotyczące rozwieszenia map.

To mi uprzytomniło, że ja też powinnam się pospieszyć. Było już po dzwonku.

Na przerwie pobiegłam do szatni, by przywitać się z Alicją Łagodą i od niej się dowiedziałam, że jestem pilnie poszukiwana przez dyrektorkę.

- Nie wygląda to dobrze, moje dziecko. - Pani Alicja popatrzyła na mnie z troską. - Chyba nadepełniałaś jej nieźle na odcisk, bo dawno nie widziałam jej takiej wścieklej. Wiesz, o co tym razem chodzi?

- Wciąż o to samo. Szopka mojej klasy jej stoi kością w gardle. Na nieszczęście podobno ma realne szanse zająć pierwsze miejsce. Szczerze mówiąc, chętnie bym się go zrzekła, byle tylko mieć to z głowy!

- Ha, kto sieje wiatr, ten burzę zbiera - mruknęła filozoficznie pani Łagoda. - Chociaż w tym wypadku Krawiec z całą resztą powinni dostać po głowie, i to piorunem!

- Prawdą a Bogiem to razem powinniśmy, pani Alicjo. Dałam im za dużo swobody. A powinnam kontrolować, wypytywać, zresztą teraz to już szkoda gadać. - Machnęłam ręką. - Idę do dyrektorki, niech pani trzyma za mnie kciuki.

- Majka, jak już będziesz wiedziała co i jak, przyjdź i powiedz... Mam jakieś złe przeczucia - powiedziała ponuro pani Alicja i ciężko westchnęła.

W dyrektorskim gabinecie panowała atmosfera napięcia i grozy. Na mój widok spłoszona sekretarka zatrzepotała rękami i ledwo dosłyszalnym głosem wyszeptała, że pani dyrektor czeka.

- Pani Maju... - zatrzymała mnie, gdy już miałam rękę na klamce. - Niech pani spróbuje ją ułagodzić, to może jednak zmieni zdanie - wyszeptała mi do ucha.

- Zdanie na temat czego? - odszepnęłam, ale sekretarka siedziała już z powrotem na swoim miejscu ze wzrokiem wbitym w papiery.

Wzruszyłam więc tylko ramionami i nacisnęłam klamkę. Dyrektorka, jak to miała w zwyczaju, siedziała za biurkiem i pilnie coś pisała. Na mój widok podniosła głowę i momentalnie przybrała zacięty wy-

raz twarzy. Oho, ani chybi wygrałam konkurs, pomyślałam i jakby nigdy nic uśmiechnęłam się na przywitaniu.

- Dzień dobry, podobno chciała mnie pani widzieć - zaczęłam rozmowę jak najbardziej standardowo. Ostatecznie mogłam nagle okazać się ślepa i nie zauważyć oznak wrogości. Poza tym nie zamierzałam mojej „ukochanej” przełożonej niczego ułatwiać, a już tym bardziej jej prowokować.

- Rzeczywiście. Proszę, niech pani usiądzie. - Dyrektorka z niechęcią wskazała puste krzesło. - Jest pani najczęściej wzywana do mnie osobą, oczywiście z grona nauczycielskiego - dodała ironicznie.

- Myślę, że mnie pani przecenia - odpaliłam, niewiele myśląc. - Dużo częściej zagłada tu chociażby pan Karol... - sugestywnie zawiesiłam głos, a dyrektorka spurpurowiała. I w ten oto sposób, dzięki mojemu niewyparzonemu jęzorowi, wszelkie pokojowe rozwiązania zostały już na wstępie zaprzepaszczone. Dla nikogo bowiem nie było tajemnicą, że fizyk Karolek donosi pani dyrektor o wszystkim i wszystkich. Powiedzenie jej tego wprost równało się wykopaniu topora wojennego. I pomyśleć, zaledwie przed paroma sekundami obiecywałam sobie, że za nic jej nie sprowokuję...

- Nie po to panią wezwałam, żeby dyskutować, kto i po co do mnie przychodzi - wysyczała, mrużąc oczy.

- Chciałam pani zakomunikować dwie sprawy. Po pierwsze, nie wiem dlaczego i jak, ale ta skandaliczna szopka pani klasy zdobyła pierwsze miejsce. Pani ma jakąś zadziwiającą zdolność mydlenia ludziom oczu... Ja też początkowo jej uległam, ale na szczęście szybko odzyskałam rozum. I dlatego chciałam panią zawiadomić, że w przyszłym roku szkolnym nie przedłużymy pani kontraktu - zakończyła tryumfalnie. - Nie powinno to raczej pani dziwić, zważywszy na to, jak układała się nasza dotychczasowa współpraca.

- I nie dziwi - odpowiedziałam, z trudem przełykając ślinę i czując, że niepokojąco pieką mnie oczy. Zawsze tak mnie piekły, gdy chciało mi się płakać ze zdenerwowania. Było to o tyle dziwne, że przecież sama zamierzałam zrezygnować. I chyba o to właśnie chodziło: gdybym to ja ubiegła dyrektorkę i byłaby to moja własna decyzja, potraktowałabym to inaczej. A tak zostałam po prostu wyrzucona z pracy, co nigdy nie jest przyjemne.

- Proszę, tu jest pisemna decyzja. - Dyrektorka przerwała ciszę i wyciągnęła w moją stronę zadrukowane kartki.

Patrząc na jej wyczekująca minę, poczułam, że coś się we mnie zacina. Chęć do płaczu odeszła jak ręką odjął. Jeszcze tylko tego brakowało, żebym dała jej satysfakcję! Za nic! Żadnych łez i żalów. Ostatecznie stać mnie na odrobinę dumy i godności, pomyślałam i przybrałam obojętną minę.

- Dobrze, przejrzę to w domu - powiedziałam jak gdyby nigdy nic i z zaskoczeniem stwierdziłam, że mój głos brzmi całkiem normalnie. - Czyli mogę powiedzieć dzieciakom, że ich praca wygrała?

- Tak, ale... - Dyrektorka z niedowierzaniem popatrzyła na wypowiedzenie, które niedbale włożyłam do torebki. - Nie chce ze mną pani o tym porozmawiać? Zadać żadnych pytań?

- Pani dyrektor, a po co? Wszystko już zostało powiedziane. - Spojrzałam jej wymownie w oczy. - Przecież na konkursie szopek pani mi jasno dała do zrozumienia, że nie widzi mnie już w tej szkole. Po co więc sobie strzepić język?

- Skoro tak pani do tego podchodzi... Widać nie zależy pani na tej pracy ani na dzieciach! - wybuchnęła, nie mogąc poradzić sobie z rozczarowaniem. Widocznie spodziewała się szlochów, błagań i Bóg wie czego jeszcze.

- Myli się pani. Na moich dzieciach zależy mi bardzo, ale one już w tym roku piszą maturę. Poza tym wydaje mi się, że kto jak kto, ale pani nie powinna mi mówić o miłości do młodzieży! Jest pani stronnicza, pamiętliwa i nietolerancyjna - w końcu wyrzuciłam z siebie wszystko, co leżało mi na wątrobie. Ostatecznie w mojej sytuacji niewiele miałam do stracenia.

- No tak, właściwie tego się mogłam po pani spodziewać. - Dyrektorka wyglądała jak granat, któremu właśnie wyciągnięto zawleczkę. - Ciekawe, czy we wrześniu będzie miała pani tyle buty!

- A to już jest moja osobista sprawa. Nie widzę powodu, żeby o tym z panią rozmawiać. Jeżeli to wszystko, co miała mi pani do przekazania, to się pożegnaj.

Z satysfakcją zauważyłam, że dyrektorka jakby straciła głos. Widać spodziewała się po mnie zupełnie innej reakcji.

- Tak, to wszystko - odpowiedziała w końcu lodowatym tonem. - A, i jeszcze jedno. Może się zdarzyć, że do młodszych klas przyjdzie na lekcję pani następczyni. Chcę, żeby przyjrzała się grupom, które po pani przejmie.

Na koniec nie omieszkała wypuścić ostatniej zatrutej strzały. I w dodatku celnej, bo zabolalo jak diabli. Moje dzieciaki w rękach jakiejś pupilki dyrektorki! Ohyda! Chociaż z drugiej strony może jestem niesprawiedliwa? Przecież prawdopodobne jest również to, że ta następczyni jest zupełnie bezstronna i miła, pomyślałam z westchnieniem i zmobilizowałam wszystkie siły, by przybrać pogodny wyraz twarzy. Znając życie, po wyjściu z dyrektorskiego gabinetu moje zwolnienie stanie się tajemnicą poliszynela i zostanie wzięta pod lupę przez wszystkich moich nauczycielskich kolegów. A wiadomo - jak cię widzą, tak cię piszą. I faktycznie, ledwo wyszłam za drzwi, wpadłam na beczelnie podsłuchującą sekretarkę. No to teraz opowieść o moim zwolnieniu plus plotki mam jak w banku, pomyślałam, wymijając ją w milczeniu. Słowa wydawały mi się zupełnie zbędne. W głowie miałam potworny mętlik, nerwy, które jakimś cudem udawało mi się do tej pory trzymać na wodzy, zaczynały mi puszczać. Teraz śmiałe plany dotyczące rezygnacji z pracy wydawały mi się nie tylko niemądre, ale wręcz kretyńskie. Wcale a wcale nie byłam na to gotowa! Ku własnemu zaskoczeniu polubiłam uczyć i już czułam, że będzie mi tego potwornie brakowało. Jak w ogóle mogłam myśleć, że już tu nie chcę pracować? - zastanawiałam się zrozpaczona. I jak mam przetrwać do końca dzisiejszego dnia, skoro najchętniej schowałabym się w ciemni i porządnie się wypłakała?

- No nareszcie, już myślałam, że w życiu stamtąd nie wyjdiesz - odezwała się tuż za moimi plecami Alicja Łagoda. - Majka, dziecko, a co tobie się stało? - zapytała bezradnie, bo na jej widok jakby coś we mnie pękło i już poczułam na policzkach dwie mokre strużki.

Pani Alicja jednym wnikliwym spojrzeniem oceniła sytuację i widząc, że nie jestem w stanie niczego wyjaśnić, stanowczym gestem ujęła mnie pod ramię i wciągnęła do toalety dla dziewcząt, jednocześnie wyprasząc z niej dwie chichoczące uczennice. Potem własnym potężnym ciałem zabarykadowała drzwi i kazała mi umyć twarz zimną wodą.

- A teraz spokojnie i po kolei, co się dzieje? - zażądała ode mnie wyjaśnień, więc bez słowa wręczyłam jej nieco wymięte kartki z wypowiedzeniem. - Ha, czyli jednak to prawda - mruknęła, a jej czoło pokryła gęsta siateczka zmarszczek.

- Jak to prawda? Jaka prawda? - Wprawdzie przypuszczałam, że wścibska sekretarka wszystko wypaple, ale nijak nie mogłam pojąć, jakim cudem mogłaby zrobić to w takim tempie.

- Z tym wypowiedzeniem. Podobno pierwsza wiedziała bibliotekarka...

- Bibliotekarka wiedziała przede mną, że zwalniamą mnie z pracy? - zapytałam z niedowierzaniem.

- Majka, czy ty jesteś ślepa? - zapytała Alicja retorycznie. - Przecież to nie żadna tajemnica, że istnieją w szkole dwa wrogie obozy. Jeden z dyrektorką na czele, a drugi tych, którzy nie włożą jej w tyłek.

- Ale co ma moje wypowiedzenie do sympatii czy antypatii dyrektorki?

- A myślisz, że ona sama podejmuje takie decyzje? Oprócz niej musi cię ktoś jeszcze porządnie nie lubić... Stawiam na Julitę. Chociaż w tej chwili nie ma to żadnego znaczenia. Co masz zamiar z tym zrobić? - Pani Alicja zadała pytanie, na które za nic nie chciałam musieć odpowiadać.

- Nic, przecież nie mogę jej zmusić do zmiany decyzji

- odpowiedziałam ponuro. - Zresztą sama myślałam, czy nie zrezygnować od września, bo nie dawałam sobie już rady z gęstą atmosferą wokół mojej osoby - wyznałam, ochlapując policzki lodowatą wodą i wycierając twarz rękawem. - Tyle że jakoś tak mnie to zabolalo i nadal chce mi się po prostu wyć, jak sobie pomyślę, że mnie najzwyczajniej w świecie wyrzuciła. A swoją drogą wciąż nie mogę uwierzyć, że o moim zwolnieniu wiedzieli wszyscy, tylko nie ja!

- Nie wiesz, że zainteresowany dowiaduje się ostatni?

- Pani Alicja pokręciła głową. - Ja chyba też pójdę w końcu na emeryturę - powiedziała posepnie. - Jestem za stara na pracę. Nieraz to myślę, że i na życie w dzisiejszym świecie jestem za stara...

- Niechże pani nie opowiada głupstw! - zachnęłam się. - Jedynie dzięki takim ludziom jak pani można normalnie funkcjonować wśród zwariowanych dyrektorek i innych dyrektorkopodobnych typów. Zresztą ktoś musi mieć na oku całe to towarzystwo z dyrekcją na czele, i to ktoś, przed kim cała ta ferajna czuje respekt... A pani, pani Alicjo, jest jedną z niewielu osób, na które zawsze można liczyć. Kogoś takiego nie może tu zabraknąć. Przecież pani wie, że czasami daje się tu wytrzymać wyłącznie dlatego, że można do pani przyjść i się wyżalić. Niech pani nie zaprzecza, bo doskonale wiem, że nie tylko ja biegam na przerwach do pani kantorka - dodałam i spontanicznie przyłgnęłam do jej ogromnego biustu.

- No, no... starczy już tych czułości - odgoniła mnie wyraźnie wzruszona. - Weź się w garść i biegnij na lekcję. Jak nie można inaczej, trzeba po prostu robić swoje - powiedziała i pogładziła mnie po policzku.

- Czyli tak zachowują się dorośli? Robią swoje?

- Podobno. - Pani Alicja puściła do mnie oko. - Tak mi przynajmniej mówiono. I w myśl tego powiedzenia teraz niestety muszę już wracać na dół i pozamykać szatnie... ale wolałabym mieć pewność, że nie zostawiam cię w kompletnej rozsypce. - Popatrzyła na mnie uważnie.

- Już się pozbierałam. - Machinalnie wyprostowałam plecy. - Zimna woda działa cuda.

Udało mi się wykrzesać z siebie coś na kształt uśmiechu, który natychmiast zgasł, gdy Alicja zniknęła na schodach do szatni. Po prostu nie chciałam jej martwić i tylko na jej użytek zrobiłam dobrą minę do złej gry. Chociaż powinnam się do tego przyzwyczajać, myślałam ponuro, wychodząc z dziewczynskiej toalety i wlokąc się w kierunku swojej klasy. Dobra mina do złej gry będzie mi bowiem towarzyszyła przez wiele miesięcy. Przynajmniej tak mi się wydawało w tej chwili. I wiedziałam, że dopóki nie zostanę sama i najzwyczajniej w świecie się porządnie nie wypłaczę, świat będzie miał czarne barwy. Ale na razie musiałam zgodnie z sugestią Alicji robić swoje i jak gdyby nigdy nic prowadzić lekcje. I niewątpliwym plusem w tej całej sytuacji było to, że ktoś tam kiedyś wymyślił ćwiczenia. Ich istnienie dawało bowiem możliwość zlecenia uczniom samodzielnej pracy, a załamane mu nauczycielowi ukrycie prawdziwych uczuć. Bo jak wiadomo, profesjonalny wykładowca zawsze powinien mieć minę pokerzysty, a profesjonalny pokerzysta nigdy nie zalewa się łzami i nie robi hysterii na lekcji, nawet gdy jest to jedyna rzecz, której aktualnie pragnie.

Na całe szczęście gdy ktoś urządzał świat, przewidział, że życie będzie niosło ze sobą najróżniejsze sytuacje i dlatego zarządził tym wszystkim tak, że zarówno te dobre, jak i te złe kiedyś się kończą. I tak późnym popołudniem z niebywałą ulgą opuściłam szkolne mury. Czułam się, jakbym przebywała w odrealnionej rzeczywistości. Głowę miałam przyciężkawą i bolesną, twarz mi zeszywniała od utrzymywania na niej pogodnego wyrazu. W pewnym momencie nawet zaczęłam się obawiać, że ten sztuczny uśmiech pólidioty przylgnie do mnie na stałe. Postanowiłam, że profilaktycznie po przyjsciu do domu najpierw się porządnie wypłaczę, a potem, by zapobiec trwałym uszczerbkom na urodzie, zrobię sobie regenerującą maseczkę. Domownikom i rodzicom nowinę przekażę jutro albo pojutrze, bo opowiadanie tego dziś i gremialne zastanawianie się, co powinnam zrobić, stanowczo przerastało moje możliwości. I tak w prosty sposób zagospodarowałam sobie popołudnie i wieczór. Najpierw uzalenie się nad sobą, trochę wina, a potem domowy salon piękności.

W tym samym momencie, gdy to pomyślałam, zadzwonił do mnie tata Filipa, informując mnie, że niestety się spóźni, bo... tu nastąpiły jakieś trzaski i piski... i żebym chwilę poczekała. To natychmiast mi uprzytomniło, że przecież byliśmy umówieni. Po lekcjach mieliśmy jechać do Grażynki i jej krwiożerczej babki. Nie wdając się w szczegóły i nawet nie usiłując wnikać w przyczynę spóźnienia, zapewniłam go, że może się spóźniać do woli i że zamiast pod szkołą poczekam na niego w rynku pod apteką. Spokojnie mo-

głam tam dotrzeć o własnych siłach, bo śnieg miłosiernie przestał padać i nawet został częściowo usunięty z chodników. Widok ogromnych zasp na poboczach uświadomił mi, że rację miała pani Leontyna, gdy przekonywała mnie, żebym nie przejmowała się prognozą pogody. Jak na bezśnieżną zimę, o której trąbili w telewizji, zostaliśmy obdarowani wyjątkowo dużym dostatkim śniegu, który notabene właśnie przeina-
czał mi dokumentnie buty i skarpety. Pocięczałam się, że ostatni sezon muszę tak cierpieć.

W przyszlą zimę nie będę już panią nauczycielką i będę mogła paradować po miasteczku w walon-
kach i grubych spodniach. Teraz musiałam w miejscu pracy zjawiać się ubrana jeżeli nawet nie elegancko,
to przynajmniej przyzwoicie.

Gdy przemarznięta do szpiku kości dotarłam do rynku, Jeremiego jeszcze nie było. Nie było go
również, gdy z zakupioną na wieczór maseczką i kremem przeciwzmarszczkowym wyszłam z apteki. Wi-
dać coś mu się musiało posypać, pomyślałam. Przytupując na chrzęszczącym śniegu, wyciągnęłam z kie-
szeni komórkę i wystukałam numer, ale telefon, zamiast mnie połączyć z ojcem Filipka, powiedział, że
rozmówca jest poza zasięgiem sieci. Uświadomiłam sobie, że chętnie usłyszałabym głos Czarusia. A skoro
i tak na razie musiałam beczynnie tkwić na środku rynku, równie dobrze mogłam tkwiąc, dzwonić. Po-
ciągając zsiniałym z zimna nosem, wybrałam numer weterynarza i po dość długim oczekiwaniu nareszcie
usłyszałam jakieś nieśmiałe „słucham”. Wypowiedziane głosem kobiecym i zupełnie nieweterynarzowym.

- Dzień dobry, Maja Woroniecka z tej strony - przedstawiłam się, gdy już opanowałam zaskoczenie.

- Czy zastałam Czarka?

- Niestety, syn zapomniał telefonu. - Już nie miałam wątpliwości, że właśnie po raz pierwszy roz-
mawiam z mamą weterynarza, przed którą cały czas żywiłam skrzętnie skrywaną obawę. - Ale ja wiem,
kim pani jest - dodała radośnie. - Czarus mi tyle o pani opowiadał! - Tu głos mamy Czarka wyraźnie się
rozpłynął, nie wiem czy na wspomnienie Czarusia, czy na wzmiankę o mnie. - Już nie mogę się doczekać,
kiedy panią poznam - ciągnęła niezrażona moim milczeniem, a w słuchawce coś zatrzeszczało i zadudniło -
...pierwszą kobietą - dosłyszałam zaledwie końcówkę wypowiedzi.

- Przepraszam, ale coś strasznie dudni - odpowiedziałam i już miałam dodać, że nie do końca wiem,
co mówiła, lecz mama Czarka nie dała mi dojść do głosu.

- Naprawdę?! - wykrzyknęła. - I co pani teraz zrobi? A Czarka jak na złość nie ma w domu!

- Ale proszę się tak nie denerwować, to się dosyć często zdarza, szczególnie tu w górach - powie-
działam z lekka zdziwiona, że zwykle trzaski w słuchawce mogą tak kogoś poruszyć.

- Co pani powie? I jak sobie pani z tym radzi?

Jej fascynacja zakłóceniami na linii była co najmniej dziwna. Wprawdzie zdawałam sobie sprawę,
że to starsza kobieta i może mieć jakieś bziki. Czarek był późnym dzieckiem, ale do tej pory gdy opowia-
dał mi o mamie, twierdził, że jest zdrowa i nic jej nie dolega. Ani psychicznie, ani fizycznie. Cóż, może
niechcący trafiłam na jakiś newralgiczny punkt.

- Staram się jakoś nad tym panować. Przepraszam, ale muszę już kończyć, właśnie przyjechał po mnie znajomy. Proszę przekazać Czarkowi, że wpadnę dziś wieczorem - powiedziałam szybko, bo właśnie zobaczyłam nadjeżdżający samochód Jeremiego.

- Oczywiście, kochana, oczywiście. Bądź dzielna! - zakrzyknęła na zakończenie matka weterynarza, utwierdzając mnie w przekonaniu, że z całą stanowczością coś tu nie gra.

Nie miałam czasu się nad tym zastanawiać, bo ojciec Filipa właśnie stylowo podjeżdżał swoim samochodem tuż pod aptekę i byłoby po prostu niegrzeczne kazać mu na siebie czekać, tym bardziej że przyjechał tu specjalnie dla mnie. Poza tym chciałam mieć już za sobą wizytę u Grażynki, jej babki i wściekłego psa. Miałam nadzieję, że gdy to odbębnię, domownicy przestaną w końcu chodzić za mną i pytać, z kim się pozamieniałam na rozumy i czy chociaż raz nie mogę stanowczo powiedzieć „nie”. „Nie” - odpowiadałam więc stanowczo specjalnie dla nich, ale w głębi serca trudno było nie przyznać im racji. Powinnam nauczyć się odmawiać, zanim zginę marnie. Na całe szczęście Jeremi zgodził się mi towarzyszyć w tej wyprawie od początku do końca, więc istniała nadzieja, że jedno z nas przeżyje. Chyba że jego zagryzie krwiożercza babina, a mnie pies. Albo odwrotnie.

- Jeremi, czy ty znasz tę Grażynkę i jej babkę? - zagadnęłam, gdy już uporałam się z pasami w samochodzie, co nie było wcale proste, bo ubrana na cebulkę ledwo się ruszałam.

- Tyle o ile - odpowiedział ojciec Filipa, patrząc na mnie z zainteresowaniem.

- Co się tak patrzysz? Umazałam się czymś na twarzy, czy jak? - Z niecierpliwością poruszyłam się na fotelu, bo pod jego badawczym wzrokiem poczułam się ciut nieswojo.

- Nie, z twarzą jest wszystko w porządku - odpowiedział z lekkim ociąganiem.

- No to jak z twarzą jest w porządku, to z czym nie jest? - dociekałam.

- Bo wiesz, wyglądasz trochę jak kula. - Parsknął śmiechem.

- Cha, cha, cha, naprawdę bardzo śmieszne.

Uśmiełam się jak pszczoła.

- Nie musisz się tak od razu obrażać, w końcu kula jest kształtem doskonałym. Jak się nad tym głębiej zastanowić, to można przyjąć, że powiedziałem ci niebywały komplement. Pokaż mi kobietę, którą przyrównują do doskonałości i która się z tego nie cieszy!

- Proszę cię bardzo, taki wyjątek siedzi właśnie koło ciebie. I ty mnie lepiej do niczego nie przyrównuj. Ty masz jeszcze ze mną na pieńku za to przekwitanie. - Pogroziłam mu palcem, który obleczony grubą rękawicą przypominał z wyglądu serdelek.

- Wiedziałem, że nie odpuszczisz. Długo mi będziesz wypominać to kretynstwo?

- Przy każdej możliwej okazji - zapowiedziałam szczerze. - A spodziewałeś się czegoś innego?

- Niestety nie. I tak dobrze, że się na mnie śmiertelnie nie obraziłaś. - Ojciec Filipka spojrział na mnie ukradkiem.

- Ha, żeby mnie obrazić, musisz jeszcze trochę potrenować, to nie taka prosta sprawa, mój drogi - uświadomiłam mu i w tym samym momencie z przerażeniem ujrzałam tuż przed nami stromy zjazd. - A

czemu my zjeżdżamy w dół? - spytałam zaniepokojona. - O ile mi wiadomo, mieliśmy jechać wysoko w góry.

- Majka, mieszkasz tu przez tyle miesięcy i jeszcze nie zauważyłaś, że góry składają się z gór i dołów? Najpierw musimy zjechać, dopiero potem wjechać na następną.

- A czy ty jesteś pewny, że na przykład te łańcuchy ci nie spadną? Albo nie zaczną się ślizgać na lodzie? - zapytałam przez ściśnięte gardło, obserwując, jak samochód w ślimaczym tempie pełźnie w dół.

- Jestem całkowicie pewny. Zresztą zobacz, to nie pierwsza moja zima w tych stronach i nadal żyję.

- To rzeczywiście pocieszające. Chyba że właśnie teraz miałyby być ten pierwszy raz - mruknęłam, wbijając się w fotel i po raz kolejny zastanawiając się, co mnie przygnało w góry, skoro tak panicznie boję się stromizm. Wyszło mi, że po prostu muszę być ukrytą masochistką.

- Chyba pierwszy i ostatni - zaripostował Jeremi, z uwagą wpatrując się w drogę. - Nie przypuszczam, żeby dało się stracić życie więcej niż raz.

- Nie czepiaj się szczegółów, tylko skup się na tym cholernym zjeździe - poradziłam mu, na wszelki wypadek zamykając oczy. Teraz dokładnie zrozumiałam, dlaczego koniom zakłada się klapki, żeby nie widziały niebezpieczeństwa. Tak było po prostu lepiej. Z tego jasno wynikało, że spokojnie mogłabym być koniem. Z klapkami. Bez kłapek bym nie dała rady i musieliby mnie odstrzelić jako nieprzystosowaną.

- Możesz już patrzeć - powiedział po chwili senior Krawiec.

Z niechęcią otworzyłam oczy. Jak się okazało, niechęć była jak najbardziej uzasadniona, bo zjazd wprawdzie się skończył, za to przed nami rozpościerała się stroma biała droga w górę.

- O matko i córko! - jęknęłam słabo. - Daleko jeszcze?

- Nie, to będzie to gospodarstwo na samej górze, rzut beretem - optymistycznie poinformował mnie Jeremi.

- Przecież ty sama mieszkasz wysoko, więc o co chodzi?

- Ale moje wysoko już oswoiłam, a to jest całkiem obce wysoko - wyjaśniłam, najlepiej jak umiałam, zawiłe podejście do wysokości i w tej samej chwili zadzwonił do mnie weterynarz.

- No cześć, już wróciłeś? - zapytałam bez wstępów. - Bo ja...

- Nie tylko wróciłem, ale jestem już u ciebie - bezceremonialnie przerwał mi Czarus trochę zdyszany.

- U mnie? A po co? Mnie przecież u mnie nie ma. - Z lekka się zaplątałam w wyjaśnieniach.

- No właśnie widzę! Co z tym psem? - zapytał rzeczowo, a ja zdębiałam.

- Z psem? Jakim psem? - ostrożnie usiłowałam wybadać teren, bo po pierwsze, miałam trzy psy i nie wiedziałam, o którego mu chodzi, a po drugie, odniosłam wrażenie, że z weterynarzem jest chyba coś nie w porządku. Tylko tego mi brakowało, żeby mu się coś z głową porobiło, pomyślałam w panice. To by znaczyło, że jestem jakaś toksyczna i nie powinnam się wiązać z żadnymi mężczyznami, bo po bliższym kontakcie ze mną głupieją.

- Jak to z jakim? Tym w studni - wyjaśnił Czarek, a ja zaniemówiłam. - Majka, jesteś tam?

- Jestem, ale nie mam pojęcia, o czym mówisz...

- Jak to o czym? To nie ty rozmawiałaś z moją mamą?

- Rozmawiałam, a i owszem. Powiedziała, że zapomniałaś komórki... ale słowem nie mówiłam o psie!

- Czegoś tu nie rozumiem... A w ogóle gdzie ty jesteś?

- W samochodzie. Jeremi był tak dobry i zaoferował się, że podwiezie mnie do tej Grażynki od proboszcza...

- No tak! Mogłem się tego spodziewać! Jeremi tu, Jeremi tam, niedługo jak zajrzę do lodówki, to zgadnijmy, kogo tam zobaczę?! No kogo?! - Głos weterynarza buzował wściekłością, która natychmiast udzieliła się i mnie. Niedoczekanie, żeby taki weterynarz, taki czaruś jeden, na mnie krzychał!

- A czy ty przypadkiem się nie pomyliłeś? - zapytałam lodowatym tonem. - Jakim prawem na mnie wrzeszczysz? Dzwonisz, napadasz na mnie, mówisz zupełnie niezrozumiałe rzeczy o jakichś psach i myślisz, że ja sobie na to pozwolę? Myślałam, Czarku, że jesteś inny, ale widać, doskonale się maskowałeś! Jakbyś zapomniał, ja już raz to przerabiałam! Nigdy nie pozwolę, żeby ktoś mnie obrażał, i nigdy nie zwiążę się z kimś, kto mi nie ufa! I komu ja nie będę mogła zaufać!

- Wiesz co, Majka, i vice versa! Ja też myślałem, że jesteś inna! Jak mogłaś tak sobie zakpić z mojej matki! Ona tak się przejęła! A ja głupi myślałem, że jestem dla ciebie kimś szczególnym, baran! - Czarek szalał po drugiej stronie.

Poczułam, że nie jestem w stanie dłużej tego ciągnąć. Zbyt dużo wydarzyło się jednego dnia. Stawowczo zbyt dużo jak na moje siły.

- Masz rację! Baran i uparty stary osioł! Przecież to ciebie wybrałam, to ty byłeś tym, tym... zresztą nieważne. Musiałeś wszystko zepsuć? - zapytałam bezradnie, cicho pociągając nosem i się rozłączyłam.

Moje plany na dzisiejszy dzień samoistnie się zmodyfikowały. Płacz odkładany do tej pory na wieczór wybuchnął z zastraszającą siłą. Jeremi, który do tego momentu z przekonaniem udawał ślepego i głuche, popatrzył na mnie z przerażeniem, natychmiast odzyskał słuch i wzrok i zatrzymał się na poboczu, wciskając mi w ręce opakowanie chusteczek higienicznych.

- Chyba niechcący namieszałem ci w życiu - powiedział ze skrucą i nawet jeżeli do tej pory miałam jakąś nadzieję, że nie słyszał tego wszystkiego, o czym wrzeszczał podły weterynarz, teraz ją bezpowrotnie straciłam.

- Nnnie naamieszałeś - wychlipałam, z rozmachem wydmuchując nos, w którym bulgotało niczym w wulkanie tuż przed wybuchem. - Wprost przeciwnie, teraz wiem, na czym stoję. - Z trudem złapałam ustami powietrze. - I zaraz się uspokoję, na pewno - dodałam i rozplakałam się jeszcze bardziej, chociaż przed momentem wydawało mi się, że w dyscyplinie „niespodziewana histeria” osiągnęłam już najwyższy poziom.

- Majka, nie chcę wyjść na chama i gbura, ale im dłużej żyję, tym bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że zupełnie nie rozumiem kobiet...

- No to witaj w klubie - chlipnęłam i zużyłam ostatnią chusteczkę. - Pociesz się, że nie jesteś odosobniony. Ja ich też nie rozumiem... To najbardziej pokręcone istoty, jakie znam. Masz może ręcznik? Bo odnoszę wrażenie, że chusteczki tu nie wystarczą.

- Nie mam... Chyba że chcesz ściereczkę do szyb...

- Dawaj, może być i do podłogi. Byle była duża i wsiąkliwa. A z tymi kobietami to o co konkretnie ci chodziło? - Wytarłam twarz w żółtą szmatkę.

- O proporcję - wyjaśnił Jeremi w zamyśleniu. - Strasznie dużo płaczecie - ciągnął dalej, a ja jakby na potwierdzenie wyprodukowałam nową porcję łez, które wprowadziły Krawca seniora w widoczną konsternację. - Boże, ale ze mnie idiota! - powiedział ze skruchą i podał mi kolejną szmatkę wyciągniętą ze schowka. - Już nic nie mówię, nie płaczecie w ogóle... Ani trochę...

- Ani troszeczkę - potwierdziłam, płacząc rzewnie. - A skoro już to ustaliliśmy, wyduś to z siebie, no dalej!

- W skrócie, chciał nie chciał, słyszałam twoją rozmowę z panem Cezarym. Nie był może miły jak kacuszka, pieklił się i zrobił klasyczną scenę zazdrości... Ale żeby to skutkowało takimi łzami...

- A bo wiesz, jak to jest, kiedy się zaczyna walić, to wali się z każdej strony - wyjaśniłam, ocierając oczy i finalnie dmuchając nos. - Weterynarz po prostu dolał ostatnią kroplę do i tak przepełnionej czary. - Westchnęłam i pokrótce opowiedziałam Jeremiu o wszystkim. O szopce i wygraniu konkursu, o zwolnieniu z pracy, o rozmowie z matką Czarka. - A że mam oczy w wyjątkowo mokrym miejscu, musiało tak się skończyć. Początkowo miałam nadzieję, że wytrzymam do powrotu do domu, ale ta awantura przeważała - zakończyłam i z niesmakiem spojrzałam w lusterko, z którego spoglądał na mnie czerwony i zapuchnięty stwór.

- Poczekaj... Jeśli dobrze zrozumiałem, i tak zamierzałaś się zwolnić. - Ojciec Filipa w zamyśleniu podrapał się w głowę. - Więc o co chodzi?

Skoro sam chciał, no to mu powiedziałam. Że to całkiem co innego, że trzeba być najbardziej podłym z podłych, żeby tak podstępnie ubiec biednych ludzi i nie dać im się samym zwolnić! I że to w stylu wrednej dyrektorki, i że w ogóle życie jest obrzydliwe, a faceci podli, bo wystarczy im dać palec, a od razu chcą całą rękę! W tym momencie, widząc minę Jeremiego, zorientowałam się, że się zagalopowałam, i zamilkłam w pół wywodu.

- Majka, a teraz ja ci powiem, jak to wszystko wygląda z mojego punktu widzenia. - Jeremi spojrzał na mnie spod oka. - Po pierwsze, na mój gust dyrektorka wyświadczyła ci przysługę. Poczekaj, daj mi skończyć - dodał, widząc, że już szykuję się do wtrącenia komentarza. - Przecież gdybyś sama zrezygnowała z tej posady, musiałabyś to jakoś logicznie wytłumaczyć rodzinie. Z tego, co usłyszałam, jasno wynika, że nawet teraz masz z tym problem i nie kwapisz się do informowania najbliższych, że zostałam bez etatu. I tu mamy sedno sprawy. W obecnej sytuacji możesz z czystym sumieniem zwalić wszystko na dyrektorkę. I masz z głowy. Nie ty podjęłaś decyzję, więc nie musisz czuć się winna. To sporo upraszcza, prawda?

- Jak na to popatrzeć od tej strony, rzeczywiście jest w tym pewna słuszność - przyznałam mu rację. To faktycznie było mniej skomplikowane niż konieczność wyjaśniania, że z własnej woli zrezygnowałam ze stałych pieniędzy, bo mi się charakter przełożonej nie podobał. Niekoniecznie musiałoby to wszystkim trafić do przekonania, a już na pewno z tego grona wykluczyłabym mamę, która na wiadomość o rezygnacji urządziłaby mi w życiu jesień średniowiecza. Zupełnie inaczej wyglądało to od drugiej strony. Dyrektorce mój charakter rzeczywiście mógł się nie podobać i mogła mnie wyrzucić z pracy. I wyrzuciła.

- Specjalnie nie powiedziałem, że zostajesz bez zajęcia - podkreślił Jeremi. - Bo przecież masz pensjonat. Zostajesz bez etatu, a to całkiem co innego niż bezrobocie. Dobrze by było, żebyś tak na to spojrzała, bo chyba przez moment wyleciało ci to z głowy, babo ze ścierką przy oczach.

- I to wszystko? Nie skomentujesz awanturki z weterynarzem?

- A co tu komentować? - Jeremi wzruszył ramionami. - Jego zachowanie było jak najbardziej zrozumiałe. Sam na jego miejscu zachowałbym się podobnie.

- Co takiego? Chcesz mi powiedzieć, że wrzeszczenie, zupełnie nieuzasadniona zazdrość i zarzuty od czapy to u facetów norma? - Spojrzałam na niego z niedowierzaniem.

- Pewnie gdybym zobaczył swoją dziewczynę z tak cudownym facetem jak ja, też bym się czuł zaniepokojony. - Senior Krawiec w końcu nie wytrzymał i parsknął śmiechem. - Ale na całe szczęście mi to nie grozi...

- Bo żaden nie jest tak cudowny? I skromny? - wtrąciłam, mimowolnie się uśmiechając.

- To też, ale poza tym nie mam dziewczyny i nie zamierzam jej mieć. Możesz to powiedzieć swojemu weterynarzowi, zanim zazdrość go zeżre doszczętnie. - Ojciec Filipka nagle spoważniał.

- Ooo, a dlaczego? Złożyłeś jakąś obietnicę celibatu, czy jak? - Zaciekawiona popatrzyłam mu w oczy.

- Nie, ale kochałem swoją żonę tak, że nie wyobrażam sobie życia z inną kobietą - odpowiedział niespodziewanie szorstkim głosem. - Na początku wydawało mi się, że nie będę umiał bez niej oddychać, wstawać z łóżka, jeść, ale się nauczyłem. Któregoś dnia wpadła do mnie matka. Byłem podпиты, zarośnięty, niedomyty, no wiesz, taki zapyziały gbur. Popatrzyła na mnie i bez słowa położyła przede mną zdjęcie mojej żony i Filipa. A potem... potem zapytała, czy jestem gotowy stracić też syna. Na to nie byłem gotowy. Pozbierałem się. Nawet chciałem wmówić sobie, że warto byłoby znaleźć kogoś na miejsce Małgosi. Nie patrz tak na mnie. Tak właśnie pomyślałem: „na miejsce Małgosi”. I wtedy dotarło do mnie, że to z góry jest skazane na porażkę. Nie chcę cierpieć, przyrównując obce kobiety do mojej żony. Nie chcę, żeby one cierpiały, gdy będą musiały żyć i rywalizować z duchem. - Jeremi potrząsnął głową i zapatrzył się na białą przestrzeń za oknem. - Po prostu nie umiałbym być z kimś na stałe.

- Na stałe? - powtórzyłam za nim, bo wydało mi się, że ojciec Filipa dodał to z lekkim wahaniem.

- Tak. Mam kogoś we Wrocławiu. Spotykamy się czasami. Ona wie, na czym stoi, i ja też. Jasny układ.

- Seks bez zobowiązań? - Zmarszczyłam brwi, usiłując jakoś sobie to wszystko logicznie ułożyć.

- Raczej życie bez zobowiązań. To już nie ten wiek, żebym sprostał typowo seksualnemu związkowi.

- Jeremi, ty wiesz, że ja jestem wścibska baba? I do tego prawdomówna? Słuchaj, na dłuższą metę nie istnieje coś takiego jak życie bez zobowiązań. Już prędzej seks, ale nie życie. I niestety muszę cię zmartwić... Jeżeli ona nawet mówi, że się na taki układ zgadza, prawdopodobnie kłamie. Liczy na to, że się zmienisz, zachwycisz. Chyba że ma męża i ucina sobie romans na boku...

- Nie, coś ty! Czy ja wyglądam na faceta, który by rozbijał czyjąś rodzinę? Nigdy niczego jej nie obiecywałem, dlatego...

- Wydawało ci się, że i ona niczego sobie nie obiecuje? To nie moja sprawa, nie wiem, czy powinnam cokolwiek mówić, ale... Uważaj. Jest po trzydziestce czy młodsza? Oczywiście jeżeli nie chcesz, nie odpowiadaj - zastrzegłam od razu, bo w końcu wtykałam nos w nie swoje sprawy i mimo wcześniejszej deklaracji wścibstwa czułam się z tym niezręcznie.

- Niewiele po trzydziestce. - Jeremi wyglądał na zakłopotanego i zaskoczonego własną wylewnością.

- Ma dzieci? - drażylałam, czując się coraz gorzej w roli profesjonalnej ciekawskiej baby.

- Nie, to panna bez zobowiązań. Naprawdę wydaje się całkiem zadowolona z naszego układu - zapewnił mnie ojciec Filipa, a ja tylko pokiwałam głową nad jego niesamowitą naiwnością i głęboko westchnęłam. - A czemu w ogóle ma służyć ten wywiad? - zapytał w końcu, gdy cisza niepokojąco się przedłużyła.

- Jednej drobnej sprawie... Nie dziw się, że się waham. Bynajmniej nie jestem żadnym autorytetem i dlatego nie wiem, czy mieszać ci w głowie domysłami.

Co mnie podkuśiło, żeby włączyć z butami w czyjeś życie? Oczywiście odpowiedzi mogłam udzielić bez namysłu i natychmiast: znów odezwała się we mnie zgubna chęć zbawiania świata. I jak podpowiadało doświadczenie, chęć skończy się tym, że dostanę zdrowo po tyłku.

- Teraz przepadło. Zaczęłaś, to mów. - Ojciec Filipa popatrzył na mnie znad kierownicy.

- Widzisz, to tylko taka sugestia, przecież nie znam tej dziewczyny i być może, jej rzeczywiście odpowiada wasz układ, ale... Co ja ci będę owijać w bawełnę, jesteś dorosły i po prostu bądź czujny - poradziłam mu nieco pokrętnie, ale miałam nadzieję, że zrozumie.

- Czyli? - Krawiec senior wbił we mnie spojrzenie zagubionego szczeniaczka.

Kurczę, do czego to doszło! - pomyślałam ponuro. Nie dość, że właśnie będę zupełnie niesolidarnie rzucała podejrzenia na ród kobiecy, to jeszcze dodatkowo wkopałam się w uświadamianie dojrzałego, ba, prawie przejrzałego mężczyzny. Gdybym miała wybór, z całą pewnością wybrałabym nastolatka. Nastolatki są uświadomione dużo lepiej ode mnie, a gdyby nawet trafił mi się wyjątkowo tępy egzemplarz, to mogłabym się posłużyć jakąś przenośnią typu żabki i motylki albo coś równie malowniczego. Z Jeremim sytuacja wydawała się o wiele trudniejsza.

- Jeremi, a nie możesz się domyślić? - spróbowałam wysłać mu dwuznaczne spojrzenie. - Wysil wyobraźnię!

- Wysilam już od jakiegoś czasu, ale im więcej mówisz, tym mniej rozumiem... Potępiasz mnie za niemoralne prowadzenie? Boisz się, żebym się czymś nie zaraził?

- O matko! - jęknęłam. - Twoje prowadzenie się mnie nie interesuje. Znaczy się w tym złym sensie. Chodzi mi o zabezpieczenie. To ty masz o to zadbać, rozumiesz?

- No wiesz co, Majka, a za kogo ty mnie masz? Za nieodpowiedzialnego szczeniaka? - Krawiec senior wyraźnie się oburzył, a mnie spadł kamień z serca, że wszystko jest jasne i niczego już nie muszę wyjaśniać i wchodzić w szczegóły. - Wprawdzie to Ela się zabezpiecza, ale przecież na to samo wychodzi - dodał, a kamień, którego dopiero co się pozbyłam, wylądował mi prosto na stopach. Łatwowierność ojca Filipa po prostu mnie powaliła.

- Jeremi, a jesteś stuprocentowo pewny, że ta twoja Ela nie będzie miała ochoty na dzidziusia? - rąbnęłam w końcu prosto z mostu, bo cóż mi pozostało.

- Na dzidziusia? - powtórzył za mną niczym echo.

- Dzidziusia, wiesz, takiego małego człowieczka. Tylko nie każ mi wyjaśniać, skąd się biorą boba-sy. Mogę ci ewentualnie pożyczyć jakieś książki na ten temat...

- Majka, to wcale nie jest zabawne!

- Ja to wiem i właśnie dlatego od jakiegoś czasu usiłuję przekazać ci pewną prawdę: w życiu kobiety nadchodzi taki moment, że za wszelką cenę chce zostać mamą. A jak ma jeszcze świadomość, że zostało jej mało czasu, jest skłonna do wszelkich podstępów i knowań - wyjaśniłam, czując się co najmniej tak, jakbym właśnie zdradziła jakąś tajną operację wojskową. - Dlatego lepiej by było, żebyś to ty...

- Dobrze, rozumiem wszystko... Myślisz, że byłaby do tego zdolna?

- Jeremi, przecież ja jej nie znam. Ale potencjalnie... Lepiej niczego nie zanieczywać. A nie myśla-łeś, żeby jednak dać jej szansę i zaprosić do prawdziwego życia? Może jakoś bywam się ułożyło.

- Nie wiem. Nie chcę ryzykować. Nie mam siły na znoszenie szlochów i wymówek w razie porażki. - Ojciec Filipa westchnął i obrzucił mnie badawczym spojrzeniem. - No ale widzę, że moje wyznania wy-rażnie ci pomogły.

- Cóż, nie ma lepszego sposobu na własne problemy jak komplikacje w życiu bliźnich. Rzeczywi-ście jest mi lepiej. Logika twojego rozumowania pomogła mi spojrzeć na wszystko z trochę innego, bar-dziej optymistycznego punktu widzenia. Przynajmniej jeżeli chodzi o pracę. Z weterynarzem muszę uporać się sama. Ale to potem. Teraz odwalmy sprawę na górze - stwierdziłam dziarskim tonem.

Wszelkie znaki na ziemi i niebie wskazywały, że nie będzie to miła wizyta i z całą pewnością po-winnam zamiast skłonności do niepohamowanego płaczu ukazać zimną i opanowaną twarz. Nawet jeżeli ta twarz jest nieco opuchnięta i czerwona. Ostatecznie zawsze mogłam ten nieco dziwny koloryt wytłuma-czyć działaniem mrozu i wiatru. Albo udawać, że to moja cera, zdrowej i hożej wieśniaczki. Albo po pro-sku zupełnie się tym nie przejmować i przejść nad swoim wyglądem do porządku dziennego. I z tych

wszystkich możliwości ta ostatnia najbardziej przypadła mi do gustu: opuchnięte i czerwone wcielenie zimnego opanowania. No po prostu groźne pomidorowe macho. Krótko mówiąc - strach się bać!

Chałupa krwiożerczej babki Grażynki przedstawiała obraz nędzy i rozpacz. Na pierwszy rzut oka było widać, że wszystko tu się wali. Dach się zapadał, ściany zrobione z desek świeciły dziurami, po werandzie zostały tylko zapadnięte schody i jedna boczna ścianka. Wszystko to otaczał połamany płot. Jedy- nym elementem, który wyraźnie odstawał od pozostałych, był wielki kojec z porządną ocieploną budą, z której zresztą, ledwo zdążyliśmy wjechać na podwórko, wyskoczyło wielkie, spasione czarne psisko. W tym samym momencie drzwi chałupy otworzyły się i stanęła w nich babina okutana w wełnianą chustę.

- A czego się tu płaczą? - zapytała skrzekliwym głosem.

- Czego chcą?

- Dzień dobry, pani Franciszko - odpowiedział za nas oboje Jeremi i stanął pół kroku przede mną.

- Dla kogo dobry, dla tego dobry - wymamrotała stara z niechęcią. - Ty to z dołu jesteś - dodała, przypatrując się Jeremiu. - Ale tamtej - wskazała mnie głową - nie znam.

- To jest Maja, uczy w naszym liceum. Możemy wejść? - Widać ojciec Filipa postanowił z miejsca przejść do rzeczy, za co byłam mu niesamowicie wdzięczna.

- A po co? - zapytała babka celnie. - Ja was nie zapraszałam. Wizyt im się zachciało, widział to kto!

- Chcieliśmy zobaczyć się z Grażyną. - Zdecydowałam się przemówić i opuściłam bezpieczne miejsce za plecami Jeremiego. Przecież nie mogłam się nim całkowicie wysługiwać.

- Czego od niej chcą? - Babka wyraźnie się nasrożyła.

- Szkoły to ona już dawno pokończyła - dodała, popatrując na mnie nieufnie. - A na żadne do- kształcanie nie pójdzie, bo nie ma na to czasu ani pieniędzy.

- Proszę się nie denerwować. Przyjechałam tu nie jako nauczycielka, tylko zupełnie prywatnie - wyjaśniłam, usiłując przekrzyczeć rozszczekane psisko, które chyba na widok swojej pani postanowiło pokazać, jak dzielnie się spisuje, i do nieustannego ujadania dorzuciło spektakularne rzucanie się całym cielskiem na siatkę kojca. - Mam sprawę do Grażynki, ale nie tylko, bo i do pani.

- No, skoro ma, to niech wchodzi - niechętnie zgodziła się babka i nie czekając na nas, zniknęła wewnątrz domu, zostawiając uchylone drzwi.

- Ależ powitanie - szepnęłam do Jeremiego, ostrożnie stąpając po połamanych i oblodzonych schodkach. - Bez ciebie nie weszłabym tam za żadne skarby świata.

- Mogło być gorzej - odszepnął Jeremi i w ostatnim momencie przytrzymał mnie za łokieć, bo po- ślizgnęłam się na oblodzonej krawędzi stopnia i mało brakowało, a wywinęłabym niezłego orła. - Na przy- kład z miejsca mogłaby wypuścić na nas tego brytana...

- Jeszcze nie powiedziane, że tego nie robi - mruknęłam sceptycznie. - Cokolwiek można o niej powiedzieć, to na pewno nie to, że jest przyjaźnie nastawiona do ludzi.

Weszłam do przedpokoju i usiłowałam przyzwyczaić oczy do półmroku.

- Niech idą tutaj - usłyszałam głos babiny i w tym samym momencie jej głowa ukazała się w szparze uchylonych drzwi. - I niech mówią, czego chcą - zażądała, gdy już weszliśmy do ciasnej i biednej, ale czyściutkiej kuchni.

- A mogłaby pani poprosić wnuczkę? - Ukradkiem obrzuciłam babkę Grażynki zaciekawionym spojrzeniem. Z bliska niestety moje przypuszczenia się potwierdziły: wyglądała na niezłą żonę. Coś w kształcie jej ust i spojrzeniu sugerowało, że babcia z całą pewnością nie jest milusią starowinką. Raczej złośliwą i zgryźliwą jędzą.

- Grażyna, przyjdź tu! - krzyknęła w głąb domu. Patrzyła na nas z niechęcią przemieszaną z zaciekawieniem. Pomyślałam, że to ostatnie przeważyło i dlatego zdecydowała się nas dopuścić do wnuczki, która właśnie cichutko jak myszka weszła do kuchni.

- Dzień dobry - przywitała się i z niepokojem spojrzała na babkę. - Wołałaś mnie, babciu?

- Goście do ciebie przyszli. Wiesz coś o tym?

- Nie, babciu. - Grażynka aż się wzdrygnęła, a mnie z wolna zaczęła opanowywać wściekłość. Bo jak to tak można terroryzować Bogu ducha winną dziewczynę?

- Pani Grażynka nic nie wie o naszej wizycie - powiedziałam śmiało. Mnie ta baba wścieklica nie wystraszy.

- Sami przyszliśmy, bo bardzo bym chciała zaprosić was na wigilię...

- A więc to tak?! - krzyknęła zniecierpliwiona babina wielkim głosem. - Podstępem się tu wdarli i co, myślała, że ja na to pozwolę?! I ten łapiduch w czarnej sukience wymyślił sobie, że przyśle tu jakichś obcych, to będzie inaczej? Ja wam zaraz dam wigilię!

- No to mamy nową wersję „Grinch: świąt nie będzie” - wyrwało mi się, zanim zdołałam się opanować.

- Babciu, ja babcię proszę... - wyszeptwała ledwie żywa ze strachu Grażynka, prawie że przezroczysta ze zdenerwowania. Obie, babka i wnuczka były wyraźnie niedożywione i nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że tutaj jedyną istotą jadającą regularnie jest pies.

- Zamknij się, niewdzięczna dziewucho! - przerwała moje rozmyślenia babka i niewiele myśląc, zamierzyła się na skuloną dziewczynę.

A potem rozpętało się piekło, bo widząc, na co się zanosi, zareagowałam instynktownie i skoczyłam, by jakoś, nie wiem do końca jak, powstrzymać bitną staruchę, która bynajmniej nie zamierzała poddać się bez walki i klasycznie podbiła mi oko. Nie mam pojęcia, czy to był cios przeznaczony dla Grażynki, czy mierzyła z premedytacją we mnie, ale jedno było pewne: prawy sierpowy miała opanowany perfekcyjnie, o czym świadczyła opuchlizna błyskawicznie opanowująca okolice oka.

- O matko, co też babcia narobiła! - usłyszałam drżący ze zdenerwowania głos Grażynki i zobaczyłam, jak Jeremi siłą sadza staruchę z piekła rodem za stołem. Sama otumaniona bólem i zaskoczona obrotem sytuacji stałam bez ruchu na środku kuchni, trzymając się za puchnący policzek i czując, że dzieje się ze mną coś dziwnego. Z sekundy na sekundę stawałam się bardziej wściekła. Nie tylko na babkę, ale na

wszystko i wszystkich. Na Grażynkę, że tak bezwolnie pozwala sobą pomiatać, na Jeremiego, że zareago-
wał tak późno, a już najbardziej na samą siebie, że dałam się wkręcić w tę historię.

- Majka, wszystko dobrze? - usłyszałam tuż koło siebie troskliwy głos Jeremiego i zamiast uczucia
wdzięczności aż się zatrzęsłam od gniewu.

- To najgłupsze pytanie, jakie można zadać człowiekowi, który właśnie dostał pięścią w oko -
warknęłam i zgrzytając zębami, ruszyłam w kierunku stołu, gdzie siedział ten cholerny bokser w babcinej
skórze. - Nic nie jest dobrze!

- Majka, proszę, uspokój się! Chyba nie chcesz się bić ze starszą kobietą? - Przestraszony Jeremi
złapał mnie za ramię.

- Puszczaj natychmiast! - nakazałam mu ostro. - Nie chcę się z nią bić! Jeżeli miałabym określić
precyzyjnie, to chcę mordować, ale nie zamierzam ulegać pragnieniom! Macie coś zimnego, co bym mogła
sobie przyłożyć, zanim zupełnie przestanę widzieć? - zwróciłam się do Grażynki, która bezradnie miotła
się po całej kuchni.

- Może nóż? - zaproponowała, wyciągając z kredensu wielki majcher.

- Nie, nic ostrego ani ciężkiego! - zaprotestował histerycznie Jeremi, wyrywając jej nóż z rąk i
chowając go sobie za plecami. - Może raczej lód?

- Nie mamy lodu - warknęła babka, popatrując na mnie ironicznie.

- Jeremi, cały świat jest teraz jedną gigantyczną zamrażarką - uprzytomniłam mu zgryźliwie. - Weź
jakiś woreczek i przynieś mi trochę śniegu.

- Ja to zrobię - zaoferowała się Grażynka, wyczuwając chyba, że Krawiec skoncentrowany jest
przede wszystkim na pilnowaniu złowrogiego wiekowego pięściarza i mnie, potencjalnej morderczynie.

- Sama może sobie to zrobić, bo przecież jasno powiedziałam, że na żadną wigilię się nie wybieram.
- Babka wbiła we mnie twarde spojrzenie. - Będziecie wychodzić, to sobie nazbiera śniegu, ile dusza za-
pragnie. No i co się tak gapi tym jednym okiem? Mało byłam przekonująca? - Szyderczo się uśmiechnęła,
ukazując brak kilku zębów.

- Mało, a nawet w ogóle - odpowiedziałam, dając znak Jeremiemu, że ma siedzieć cicho. - Jeżeli
uważa pani, że perswazja fizyczna mnie przekona, to mało mnie pani zna. Ale gdybym wiedziała, jak to się
skończy, powiedziałabym Walerii, żeby sama załatwiła z panią wszystkie sprawy. I chyba tak zrobię.
Niech tu przyjdzie i się z panią rozmówi. - Dwuznacznie zawiesiłam głos. Cóż, nie zamierzałam począt-
kowo tego robić, ale skoro znałam słabości wroga, byłabym głupia, gdybym w takiej sytuacji ich nie wy-
korzystała.

- Waleria? - Babina niespokojnie poruszyła się na krześle. - A co ma do tego ta czarownica?

- Ano tak, nie zdążyłam wszystkiego powiedzieć, bo od razu mnie pani pięścią załatwiła. To
wszystko jest pomysł Walerii... Nie wiem dlaczego, ale bardzo jej zależy na tym, żebyście były na naszej
wigilii. Ale właściwie ma pani rację... Co ja sobie będę język po próznicy strzępić, niech Waleria sama to
sobie załatwia, bo ja mam serdecznie dość takiego traktowania. - Zastanawiałam się, na które miejsce w

kategorii spontanicznego łągarstwa mogłabym liczyć. Na mój gust powinnam załapać się na któreś z pierwszych trzech.

- Ale co to gada! Wyszło źle, bo zdenerwowana byłam... Po co od razu się obrażać i fatygę Walerii robić. - Babina z jędry błyskawicznie przeistoczyła się w troskliwą staruszeczkę. - To nie ksiądz w tym paluchy maczał?

- Jaki ksiądz? - zaparłam się w żywe oczy, myśląc, że jak tylko stąd wrócę, natychmiast będę musiała się udać do proboszcza i z miejsca poprosić o odpuszczenie wszelkich grzechów, jakich się dzisiaj dopuściłam. I powiedzieć mu, że od tego momentu jestem asertywna do bólu i już nigdy nie dam się wkręcić w tego typu akcje.

- A to jam źle zrozumiała... Zaraz się dogadamy... Grażynka, no co tak sterczysz, zróbże herbaty! - Babina nagle stała się uosobieniem gościnności. - I co, Waleria o mnie też gadała, żebym tam była? - dopytywała się z niepokojem, w czasie gdy Grażynka krzątała się wokół kuchni węglowej.

- Wspominała, ale odniosłam wrażenie, że głównie chodziło jej o Grażynę - mruknęłam, czując, że ból z podbitego oka rozprzestrzenia się powoli na całą głowę.

- No to jak tak, niech dziewczucha idzie i się rozerwie - wydusiła z siebie z trudem upiorna babina. Widać bycie sympatyczną totalnie ją wyczerpywało i było zupełnie obce jej naturze. - Z Walerią trza dobrze żyć - dodała z westchnieniem. - No i niech urazy nie chowa za to oko. Ja tam jestem porywczą. Powie Walerii, że się już nie gniewa?

- Powie, powie. Czyli co, pani nie przychodzi? - zapytałam chytrze.

- Nie to że nie chcę, ale chałupy samej nie można zostawić. Psisko też nieprzyzwyczajone do samotności. - Widać było, że babina kombinuje jak koń pod górkę. - Ale Grażynka przyjdzie - zapewniła.

- No to bardzo się cieszymy - wtrącił Jeremi, z niepokojem patrząc na moją twarz. - Majka, powinniśmy już iść. Nie wygląda to dobrze...

- Śliwa nigdy nie wygląda dobrze - uświadomiłam go z rezygnacją i w tym samym momencie łupnęło mnie z tyłu głowy. - Na herbatkę wpadniemy następnym razem. Późno już się zrobiło - powiedziałam, a w myślach przyrzekłam sobie, że moja noga więcej tu nie postanie.

- Grażyna, odprowadź gości, a żywo! - zarządziła babina, z wyraźną ulgą przyjmując nasze wyjście.

Grażynka, widać wytresowana przez starą heterę, porzuciła przygotowywanie herbaty i posłusznie poszła za nami na dwór.

- Pani Grażynko, niech pani wraca, przezięb się pani - powiedziałam ze współczuciem, patrząc na trzęsącą się z zimna dziewczynę.

- Już wracam, tylko chciałam pani bardzo podziękować... Za zaproszenie i ułagodzenie babci... No i przeprosić za ten wypadek. To nie pani powinna mieć podbite oko.

- Tylko ty? - zapytałam, kręcąc głową i spoglądając na Jeremiego, który bezradnie rozłożył ręce. - Słuchaj, a nie myślałaś, żeby się stąd wyprowadzić? - zapytałam łagodnie. - Przecież to chore. Babcia nie może cię terroryzować.

- Jest stara. Nie poradzi sobie sama. Nie mogę jej zostawić. Zresztą gdzie miałabym pójść?

- Rozumiem, że nie chcesz zostawić babki - wtrącił się niespodziewanie Jeremi. - Ale może przydałaby ci się praca? Właśnie się rozglądam za kimś, kto by u mnie trochę posprzątał, czasami coś ugotował. Byłabyś zainteresowana?

- Bardzo! - Grażynka natychmiast się ożywiła. - I babcia nie będzie miała nic przeciwko, bo pieniądze są potrzebne...

- No widzisz, doskonale się składa. Dam ci swoją wizytówkę, zadzwoń wieczorem, to się umówimy.

- Ale my nie mamy telefonu. - Grażynka zmarkotniała. - Chyba że udałoby mi się z poczty.

- Nie, poczekaj. Skoro tak, to po prostu przyjdź do mnie jutro o piątej. Na jakieś trzy, cztery godziny. Dobra? Co do kasy, to się dogadamy.

- Jasne. Będę i jeszcze raz dziękuję. I pani, i panu. - Pomachała nam na pożegnanie i zniknęła w czeluściach ponurego domostwa.

Gdy tylko się upewniłam, że nas nie słyszy, z miejsca napadłam na Jeremiego.

- Oszalałeś? - zapytałam z furją. - Dlaczego mnie nie poparłeś? Trzeba ją namówić, żeby wyprowadziła się od tej strasznej kobiety, a teraz, jak jeszcze zacznie przynosić do domu pieniądze, to w ogóle się stąd nie wydostanie!

- Czyli sugerujesz, że lepiej by było, żeby siedziała głodna i bosa, uwiązana do babki przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? - zapytał krótko ojciec Filipa, otwierając przede mną drzwi od samochodu.

- Nie, ale trzeba ją przekonać, że da sobie radę w samodzielnym życiu - wyjaśniłam, sadowiac się na fotelu i stwierdzając, że oko znikło mi zupełnie w opuchliznie.

- Boże, wyglądam jak cyklop! - jęknęłam, oglądając się w lusterku. - Cyklop z siną naroślą zamiast drugiego oka. Ile znika taka opuchlizna? - zapytałam, z przerażeniem uświadamiając sobie, że jutro będę musiała z taką śliwą pokazać się w szkole.

- Ze dwa tygodnie. - Jeremi krytycznie przyjrzał się mojemu opuchniętemu obliczu. - Minimum - dodał po chwili, czym utwierdził mnie w przekonaniu, że wyglądam fatalnie. - A co do cyklopa, to zupełnie go nie przypominasz, bo powinnaś mieć oko pośrodku. Chyba że jakiegoś zmutowanego, ale też nie bardzo...

- Dzięki, ty to wiesz, co powiedzieć zrozpaczonej kobiecie - westchnęłam z rezygnacją. - A co do Grażynki...

- A właśnie, dobrze, że wróciłaś do tematu. Ty, Majka, masz ze sobą jeden problem. I to taki, który niestety obraca się przeciwko tobie. Chcesz uszczęśliwiać ludzi na siłę i mierzysz wszystkich swoją miarką.

- Brzmi krytycznie. I niemiło - stwierdziłam z lekką urazą. - Bo co? Bo nie godzę się na bestialstwo i terror? Przecież to, co wyprawia babka Grażynki, to przemoc. Fizyczna i psychiczna!

- Zgoda, i gdyby Grażyna była małym dzieckiem albo niepełnoletnią panienką, można by było coś z tym zrobić. A tak jedynie można jej pomóc oderwać się na chwilę od domu i babki. Widzisz, nie każdy jest tak silny jak ty i nie każdy umie o sobie walczyć.

- O, jednak coś w rodzaju komplementu mi się trafiło - rzuciłam z przekąsem.

- A, i jeszcze jedno. Grażyna nie zostawi babki. To jest właśnie ta klanowość, która łączy tu ludzi. Na dobre i na złe. Jak by ona mogła innym w oczy spojrzeć, gdyby zostawiła babkę bez pomocy? Jak by się czuła? Małe miasteczka to środowiska zamknięte. To mało znana twarz prowincji. Przyjezdni widzą jedynie sielankę, a prawda jest taka, że wszędzie toczy się prawdziwe życie, a często gęsto to miasteczkowe jest trudniejsze, bo wywiera większą presję.

- Czyli co? Mam się nie wtrącać? Nie pomagać? Nie mówić, że coś mi się nie podoba? - zasypałam go pytaniami.

- Nic takiego nie powiedziałem. Ale nie staraj się podejmować za kogoś decyzji. Lepiej nakierować, pokazać możliwości, a nie na siłę ulepszać komuś życie. Widzisz, Grażyna chce pracować. Wyjdzie z domu, zarobi pieniądze. To pokaże jej całe spektrum możliwości. I wtedy będzie mogła podjąć samodzielnie decyzję, co chce zrobić ze swoją przyszłością.

- Może masz rację. Ale ja nie potrafię tak po prostu godzić się ze złem. Jak można dziewczynie odbierać młodość? Prawo do szczęścia?

- Można. Jej babka, chociaż trudno w to uwierzyć, była w młodości piękną kobietą. Mama mi opowiadała. Podobno ściągali do niej konkurenci z wszystkich okolicznych wiosek. Widok Grażyny ją denerwuje, przypomina, że jest stara i brzydka, że najlepszy czas jest już poza nią. Zazdrość, Majka, to straszne uczucie. Babce łatwiej by było, gdyby mieszkał z nią wnuczek.

- Ona ma wnuka? Myślałam, że Grażyna to jej jedyna rodzina.

- Ma, Jaśka. Wyjechał parę lat temu i słuch po nim zaginął. Nie pisze, nie daje znaku życia. Uciekł.

- Typowy samiec. Zostawił siostrę w rękach babuni, a sam hulaj dusza, piekła nie ma. - Złapałam się na tym, że przemawia przeze mnie gorycz, a skutki odbijają się na Bogu ducha winnym Jeremim. - Oj, przepraszam! Jakoś tak mam dziś żal do rodu męskiego. Ale wiem, że nie wszystkim psom Burek, i dlatego mam nadzieję, że się na mnie nie obrazisz. Do jutra mi przejdzie i znów będę widziała tylko ludzi, a nie podział na płeć.

Tak naprawdę nie wiedziałam, jak się wszystko ułoży, bo kłótnia z weterynarzem leżała mi na wątrobie. Pomyślałam, że skoro już na samym początku nie umiemy się sobą cieszyć, tylko zaczynamy od kłótni i wyrzutów, niedobrze nam to wróży. Przecież teraz właśnie powinniśmy być na etapie motyli w żołądku i nie wiem czego tam jeszcze, ale na pewno wszelkiej maści wzlotów i wzruszeń. A tu się okazuje, że zamiast tego robimy sobie karczemne awantury telefoniczne. Może jednak powinniśmy pozostać przyjaciółmi, pomyślałam zgnębiona. Przyjaźń była taka bezpieczna... I taka niewystarczająca, dodałam natychmiast i to stwierdzenie dało mi w pełni jasność sytuacji.

- No, Majka, dowiozłem cię do domu - przerwał mi rozmyślenia Jeremi. - Niestety, nie spisałem się i nie dostarczam cię w nienaruszonym stanie... Cały czas nie mogę sobie darować, że nie byłem szybszy, że cię jakoś nie powstrzymałem albo chociaż nie ubiegłem. Stanowczo wolałbym ja nosić krwawe ślady naszej wyprawy... Co ze mnie za facet!

- Daj spokój. Po pierwsze, nie krwawe, tylko sine. Po drugie, ktoś musiał wejść pod piączę babuni i padło na mnie. Ale że mamy równouprawnienie, następnym razem ty pójdziesz na pierwszy ogień i będziemy kwita. - Spróbowałam się uśmiechnąć, lecz natychmiast zrezygnowałam, bo policzek zareagował ostrym szarpiącym bólem. No cóż, przynajmniej w szkole nie będę musiała markować dobrego nastroju. Ostatecznie trudno od kogoś ze śliwą pod okiem wymagać, by przez cały dzień szczerzył się jak głupi do sera.

- Zapomniałem zapytać... gdzie nauczyłaś się tak pierwszorzędnie kłamać? - zagadnął Jeremi, gdy już miałam wysiadać. - Ta bajeczka o Walerii była pierwszorzędna. Skąd wiedziałaś, że to podziła?

- Skoro w perspektywie miałam spotkanie z babcią, która posiada krwiożerczego psa i nie waha się go używać, wolałam zebrać wszelkie informacje o potencjalnym wrogu. Dowiedziałam się, że babina jest niesamowicie przesądna... I tak po nitce do kłębka dotarliśmy do Walerii - wyjaśniłam, z pełną premedytacją pomijając osobę proboszcza. Wprawdzie wydawało mi się, że Jeremi nie rozsiewa plotek na prawo i lewo, ale jak to mówią, przezorny zawsze ubezpieczony. - A co do kłamstwa, to od razu używasz takich mocnych słów... Ja tylko ułatwiam sobie i innym życie.

- Ładnie to nazwałaś. - Ojciec Filipa się zaśmiał. - Czyli jednym słowem nagięłaś sytuację do potrzeb.

- O wiele lepiej to brzmi. Dziękuję ci za towarzystwo, podwiezienie i za rozmowę... Dobrze, że miałam się przed kim wygadać, bo teraz czuję się o wiele lepiej.

- Polecam się na przyszłość. - Jeremi uśmiechnął się szelmowsko. - No i ja też dziękuję za uświadomienie - dorzucił i pomachał mi ręką na pożegnanie.

I tak zostałam sama pod domem, gdzie czekali na mnie domownicy, którym wprawdzie nie musiałam jeszcze dziś mówić o zwolnieniu z pracy, bo na szczęście nie miałam tej wiadomości wypisanej na twarzy. Całkiem inaczej miała się rzecz ze śliwą, bo jej nie sposób było przeoczyć ani ukryć. I z pewnością moi bliscy zażądadają szczegółowych wyjaśnień, a co niektórzy mogą nawet zapragnąć mnie pomścić, więc musiałam nastawić się na załagodzenie całej sytuacji. A biorąc pod uwagę, że tak naprawdę sama chętnie bym okaleczyła babkę Grażynki, to odwodzenie kogoś od tego pomysłu mogłam podciągnąć pod całkowite pogwałcenie moich przekonań. Cóż, widać był to jeden z sądnych dni, które obfitują w mnogość trudnych zdarzeń i mają na celu sprawdzenie twardości naszego charakteru. Pocieszałam się, że co nas nie złamie, to nas wzmocni. I szczerze mówiąc, życzyłam sobie, żeby to powiedzenie okazało się w stu procentach prawdziwe.

Gdy weszłam do domu, z pełną premedytacją zrezygnowałam z zapalania światła w holu. Bałam się, że niechcący mogłabym natknąć się na któregoś z naszych gości i śmiertelnie przerazić go swoim wi-

dokiem, a poza tym chciałam jeszcze zyskać chwilę, zanim zostanę obłożona przez rodzinę i zmuszona do szczegółowych wyjaśnień. A może powiedzieć z miejsca wszystko? - zastanawiałam się, rozpinając płaszcz. Miałabym to z głowy; poza tym istniała możliwość, że ogarnięta współczuciem familia oszczędzi mi pytań z cyklu: a z czego będziemy żyć, gdy, nie daj Boże, okaże się, że pensjonat świeci pustkami? Tak naprawdę w myśl tego planu powinnam ściągnąć tu jeszcze mamę i tatę. Ale na to stanowczo brakowało mi sił. Gdy tak otoczona półmrokiem rozważałam, czy nie zostać tu na zawsze, a przynajmniej do momentu, aż wszyscy pójdą spać, do przedpokoju weszła Jagoda.

- Majka, to ty? - zapytała szeptem.

- Ja, a skąd wiesz, że już wróciłam? - odszepnęłam. - I dlaczego szepczemy?

- Widziałam samochód Jeremiego na podwórku - wyjaśniła moja przyjaciółka. - A szepczemy, bo chwilowo nie chcę ściągać tu wszystkich obecnych.

- Co się dzieje? - zapytałam, odrywając tęskne spojrzenie jedyne oko od wieszaka, który zapełniony ciepłymi kurtkami przez moment jawił mi się jako świetna kryjówka.

- Nic takiego, po prostu chcę ci coś powiedzieć na osobności. Możemy przez chwilę nie zapalać światła? Będzie większa pewność, że nikt tu przez moment nie przylezie.

- Świetny pomysł, chyba czytasz mi w myślach - ucieszyłam się. - Ja też go wcale nie chcę zapalać. No a teraz mów, po co ta konspiracja?

- Weterynarz tu był - zaczęła Jagoda z wahaniem. - Trzy razy. Wyglądał, jakby przejechał go walec, i cały czas pytał o ciebie. Bredził też o jakimś nieporozumieniu... W ogóle się z nim nie mogłam dogadać. Chciałam pomówić z tobą o tym bez świadków, tym bardziej że zapowiedział, że przyjdzie wieczorem. O co tu chodzi?

- Pokłóciliśmy się - wyznałam po chwili milczenia. - Czarek zrobił taką scenę zazdrości, że aż mną trzącha na samo wspomnienie. Poza tym oskarżył mnie, że dworuję sobie z jego matki, rozumiesz?

- Jak to możliwe? Jakim cudem udało ci się tak niespodziewanie spotkać jego mamusię i z miejsca ją obrazić? - zdziwiła się Jagoda.

- Otóż to. Nie spotkałam jej, tylko rozmawialiśmy przez telefon. Ona ma jakiegoś szmergla na punkcie zakłóceń na linii, strasznie interesowały ją wszelkie piski i trzaski w telefonie. A Czarek usiłuje mi wmówić, że stroiłam sobie z niej żarty. Mówiłam ci, Jagoda, mam pecha, przynajmniej jeżeli chodzi o potencjalne teściowe. Obawiam się, że ta też jest nieźle szurnięta. Szkoda gadać. Poza tym, tak jak ci już wspominałam, z weterynarza wyszedł dzisiaj niezły despota i zazdrośnik. No ale skoro już się zapowiedział, zobaczymy, co ma mi do powiedzenia.

- Muszę przyznać, że wyglądał na strasznie skruszony - powiedziała Jagoda. - Ale dziwnie to wszystko wygląda... Jakieś idiotyczne te jego zarzuty. Do tej pory wydawało mi się, że jest zupełnie normalny... jak na faceta oczywiście.

- Rzeczą ludzką jest się mylić - westchnęłam i wzruszyłam ramionami. - Tak naprawdę to dobrze, że jestem tak strasznie zmęczona. W tym stanie nie mam po prostu siły, żeby się nad tym wszystkim zastanawiać, a już tym bardziej przejmować paranoicznym zachowaniem Czarusia.

- Co się stało? Rzeczywiście masz jakiś taki słabutki głos... Poczekaj, zapalę światło, to cię dokładniej obejrzę...

- Broń Boże! - Złapałam ją za rękę. - Jeszcze nie teraz.

- Co nie teraz? - zaniepokoiła się Jagoda. - Majka, co się dzieje? Wyraźnie czuję, że coś jest nie w porządku.

- Bo jest i dlatego wstrzymaj się jeszcze z tym światłem. Posłuchaj uważnie i staraj się nie denerwować.

- Jak tak mówisz, to z miejsca czuję się zdenerwowana do granic możliwości.

- Jagoda, po prostu nie wyglądam najlepiej. Zanim obejrzysz mnie w całej okazałości, chciałabym... No nie mogę, powiem wprost: najwzyczajniej w świecie mam ogromną śliwę pod okiem, a raczej tam gdzie oko powinno być. Strasznie mi spuchło i boli jak cholera.

- Śliwę? Matko Boska, w coś ty się wplątała? Natychmiast mi to pokaż! - zarządziła, zapalając światło i w tym momencie na jej twarz wypłynął wyraz grozy.

- Lojalnie ostrzegałam, że nie jest to estetyczny widok - mruknęłam w odpowiedzi na jej minę.

- Estetyczny? W życiu nie widziałam tak okropnie zapuchniętej twarzy! Kto cię tak urządził? - Jagoda wyjęła mi z rąk płaszcz i odwiesiła. - Zresztą na razie nic nie mów, trzeba ściągnąć trochę opuchliznę. - Popchnęła mnie łagodnie do kuchni, gdzie usadowiła mnie za stołem, a sama pobiegła do swojego pokoju po jakieś tajemnicze mazidło, którym wysmarowała mi opuchnięte miejsce. - To cię przy okazji trochę znieczuli - wyjaśniła, patrząc na mnie z troską.

- Czyli będę żyć, pani doktor? - zapytałam, usiłując chociaż trochę rozładować napiętą atmosferę. - Popatrz, a ja dzisiaj po raz pierwszy w życiu kupiłam sobie krem przeciwzmarszczkowy. - Rozbawiona łypnęłam jedynym dostępnym okiem na Jagodę. - Drogi był jak cholera, więc ta opuchlizna jest jak znalazł. Krem na dłużej starczy, jak będę go używać tylko na połowie twarzy. Ta druga dzięki opuchliznie wygładziła się samoistnie...

- Jak ci się od tego uderzenia dowcip wyostrzył! - parsknęła Jagoda. - Jeżeli myślisz, że dam ci się zagadać, to nic z tego! Opowiadaj mi tu wszystko jak na spowiedzi! - rozkazała, grożąc mi palcem. - Ze szczegółami! I od razu zastrzegam, że zamierzam temu, kto to zrobił, podbić oboje oczu! I skąd ten pomysł na krem przeciwzmarszczkowy? Nigdy nie używałaś.

- Z deklaracjami zemsty bym się na twoim miejscu powstrzymała. Chyba że chcesz zostać bokse-rem nokautującym staruszki...

- Boże, to matka weterynarza ci tak przywalała?! - Jagoda zrobiła wielkie oczy.

- Jaka matka weterynarza? Mówiłam ci, że z nią rozmawiałam tylko przez telefon, to niby jak miała mnie okaleczyć na odległość?

- Aha, no tak - zreflektowała się Jagoda. - Jak nie ona, to o jakiej staruszce mówisz?

- Wiesz co, rzeczywiście, skoro już mam opowiadać, to opowiem o wszystkim... Od początku do końca. Najpierw miałam zamiar trochę dozować ponure szczegóły, ale przecież i tak musicie się dowiedzieć...

- Im dłużej cię słucham, tym bardziej się boję - wyznała Jagoda.

- Mania jest na górze? - zapytałam, pomijając milczeniem ostatnią wypowiedź mojej przyjaciółki. Cóż, intuicję to ona miała zawsze doskonale rozwiniętą, w przeciwieństwie do mnie. I właśnie potwierdziła, że nadal ją posiada zdrową i aktywną.

- Tak, razem z twoim tatą jest w swoim pokoju. Rozwiązują zadania matematyczne i polerują jakieś nowe nabytki Marysi. Przyniosła dzisiaj z pół kilo zardzewiałych sztuczków. Na mój gust twój tata się wciągnął w kompletowanie dziedzictwa rodowego Mani. Ale wracając do tematu, ich też chcesz w to wtajemniczyć?

- Nie bardzo mam wybór. Przynajmniej część tego, co mam powiedzieć, dotyczy nas wszystkich. Jeżeli zaś chodzi o oko, to przecież każdemu będę musiała wyjaśnić swój wygląd. Wolę zrobić to hurtowo. Wprawdzie taty nie brałam dziś pod uwagę, ale jak się nad tym głębiej zastanowić, to może i lepiej, że jest teraz u nas. Przekaze wszystko mamie. Wiesz, że jej potrzeba trochę czasu, by się oswoić z trudnymi nowinami...

- Dobra, to idę ich zawołać. Przy okazji przygotuję ich na to, że wyglądasz niestandardowo - mruknęła Jagoda, nie mogąc ukryć zaniepokojenia. - Martwisz mnie, siostró - dodała na odchodnym.

Poczekalam, aż zniknie na schodach, i szybko łyknęłam podwójną dawkę leków przeciwbólowych. Głowa łupała mnie tak, jakby w środku prowadzono wyjątkowo głośne roboty budowlane. Gdy Jagoda wróciła, najpierw wysłuchiwałam obowiązkowych okrzyków grozy, a potem opowiedziałam im wszystko z wyjątkiem kłótni z weterynarzem. To było coś, o czym w tej chwili nie chciałam rozmawiać, zwłaszcza w obecności Marysi. Prawdę mówiąc, z tatą też wolałam o tym nie dyskutować, bo było jasne jak słońce, że jako wzorowy i lojalny ojciec stanie za mną murem, co oczywiście niewiele będzie miało wspólnego z obiektywizmem, a mogło zrazić go do Czarka.

Ku mojemu zaskoczeniu największą sensację wywołała opowieść o wizycie u piekielnej staruszki. Tata aż zatrzęsł się ze złości.

- Miałaś rację, gdy mówiłaś, że z zemstą będzie kłopot - powiedziała Jagoda. - To tak jakoś byłoby nieetycznie pójść i sprać staruszkę.

- I tu jest właśnie ten brak złotego środka! - pieklił się tata. - Jakbyśmy odwzięczyli się jej pięknym za nadobne, to okrzyknięto by nas sadystami, ale jak ta babina dręczy wszystkich dookoła i okalecza niewinnych ludzi, to wszystko jest w porządku. Bo co? Bo usprawiedliwia ją wiek! Czy to nie jest chore?

- No jest, ale nie zmienisz porządku świata, dziadku - stwierdziła filozoficznie Mania. - Swoją drogą jak na staruszkę to nieźle ci przygrzmociła.

- Czegoś tu nie rozumiem. - Jagoda zmarszczyła brwi. - Gdzie był wtedy Jeremi? Bo chyba nie stał i nie przyglądał się beczynnemu, jak ta jędrza spuszcza ci manto?

- To nie było żadne manto, tylko jeden celny cios - zaprotestowałam. - I nie ma w tym w ogóle winy Jeremiego. Chciałam uniemożliwić tej babie uderzenie Grażyny i pierwsza jej się nawinęłam.

- Wychodzi na to, że dziewczyna ma tam niezłe piekło. - Tata pokręcił głową. - Bardzo cię boli, córeczko? - zapytał troskliwie i pogłodził mnie po zdrowym policzku.

- Teraz już nie. Ta twoja maść, Jagoda, działa cuda.

Rzeczywiście policzek prawie mi nie dokuczał.

- Trzeba będzie nałożyć jeszcze raz na noc. - Jagoda pokiwała głową. - Jak dobrze pójdzie, to już jutro opuchlizna zmniejszy się o połowę. Tylko uroczy fiolecik ci zostanie, bo na to niestety nie ma dobrego lekarstwa. Przed pójściem do szkoły będziesz musiała nałożyć sobie na twarz grubą warstwę pudru i tyle. W tym wypadku świetnie się składa, że nie masz męża, bo wtedy padłoby na biedaka jak nic. Nikt by ci w pracy nie uwierzył w agresywną staruszczkę.

- No właśnie, wracając do twojej pracy, Majeczko, to jeśli dobrze wiem, kosztowała cię sporo nerwów. Więc może i lepiej, że sytuacja rozwiązała się samoistnie. A na razie nie ma co snuć czarnych scenariuszy. W najgorszym wypadku jakoś pomożemy ci przetrwać martwy turystycznie sezon. Przecież mamy z mamą emerytury... - powiedział ojciec, a ja obrzuciłam go zaskoczonym jednookim spojrzeniem.

- A poza tym, Majka, nie mieszkasz tu sama - dodała natychmiast Jagoda, na równi ze mną zdziwiona racjonalną postawą ojca. - Ja mam pracę i to, co zarabiam, powinno utrzymać płynność pensjonatu w trudniejszych chwilach.

- Korzystając z okazji, ja też chcę coś powiedzieć - wtrąciła niespodziewanie Marysia, która dotąd siedziała cicho jak mysz pod miotłą. I samo to powinno mi dać do myślenia. Moja córka małomówność rezerwowała sobie na momenty totalnych dąsów albo na czas, kiedy miała nie do końca czyste sumienie. Skoro stanowczo dąsy odpadały, wyszło mi czarno na białym, że Mańka coś kombinuje. - Być może, za moją sprawą też uda się zarobić trochę grosza - powiedziała, robiąc niewinną minę.

- Co takiego? Wybierasz się do pracy? - zapytałam, usiłując nie pokazać po sobie zaniepokojenia.

- A nie, niezupełnie. Tylko przeczytałam ogłoszenie w gazecie. O castingu...

- Maniu, czyś ty oszalała? - mimowolnie podniosłam głos. - Najpierw skończ szkołę... A w ogóle, córko, kocham cię nad życie, ale nie widzę w tobie nadmiernych zdolności aktorskich - wyrzuciłam z siebie jednym tchem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie podcinam swojemu dziecku skrzydeł. Ale na myśl, że moja mała niewinna córeczka dostanie się w szpony brutalnego show-biznesu, nie tylko byłam gotowa na podcięcie, ale wręcz na wyrwanie każdego skrzydła z korzeniami. Najwyżej zostałyby nielotem, pomyślałam i jednocześnie stwierdziłam, że mam jakieś dziwne skojarzenia. To chyba te proszki przeciwbólowe pomieszane ze stresem, wytłumaczyłam sobie natychmiast, z trudem usiłując wyrzucić sprzed oczu obraz pingwina.

- Mamo, a mogłabyś mnie wysłuchać do końca? - Mania ze zniecierpliwieniem przewróciła oczami.

- Marysia, jak ty się odzywasz do matki? - wtrącił się natychmiast mój tata i ani chybi wybuchłaby sprzeczka, gdyby nie Jagoda, która kategorycznie zażądała powrotu do tematu.

- Ja bardzo chętnie dokończę, jeżeli tylko dacie mi dojść do głosu - stwierdziła Mania wyniośle. - Ten casting nie dotyczył ludzi, tylko krów...

- Krów?! - tym razem Jagoda nie wytrzymała. - Jak to krów?

- No, najzwyczajniej, ciociu. Krów. Takich co to stoją w oborze i piją mleko.

- A są takie? - spytałam zbita z tropu. - Pierwszy raz słyszę o krowach pijących mleko...

- Oj, bo przy was można zwariować. Gadacie i gadacie i nawet nie zauważyłam, kiedy też przy was zgłupiałam. Przejęczyłam się, oczywiście dają mleko.

- A w takim razie, poza daniem mleka, co te krowy miałyby robić?

- Tańczyć, śpiewać, recytować - zadowcipkował mój tata, ale widząc nasz wzrok, natychmiast przybrał poważną minę.

- Nic, nic nie miały robić. Miały być! - krzyknęła Marysia z rozpaczą. - Czy wy chociaż raz mogliście zachowywać się normalnie?

- Ja tu nie chcę wyjść na czepialskiego, ale dlaczego ta smarkula na nas krzyczy? - chciał wiedzieć mój tata, z niesmakiem popatrując na swoją wnuczkę.

- Bo mnie potwornie denerwujecie. Zapisałam Kasandrę na ten casting. Jak ją przyjmą, dostaniemy kasę za jej wypożyczenie. I właśnie jak ją zapisywałam, to wydawało mi się, że dobrze robię, ale teraz wcale już nie jestem tego taka pewna...

- Wiecie co, mnie to wszystko jakoś przerasta - wyznałam po chwili. - Zastanowię się nad tym jutro, chociaż oczywiście wiem, że to całkowicie niepedagogiczne. Maniu, powinnaś dostać burę za to, że najpierw nie zapytałaś mnie o opinię - dodałam po namyśle i z zainteresowaniem spojrzałam na Biskopta, który usiłował wyjść spod stołu, ale jakoś dziwnie plątały mu się nogi i zależał się jak pijany. - Co się stało temu psu? - zapytałam w tym momencie Biskopt legł jak długi na środku kuchni.

- Zapomniałam ci powiedzieć. - Jagoda machnęła ręką.

- To ciecinka.

- Ciecinka? Przecież to samiec! - Zaniepokoiłam się, czy podbite oko może w jakiś przedziwny sposób spowodować upośledzenie psychiczne.

- No właśnie, samiec. Odczuwa skutki niepohamowanej żądz. Toska ma ciecinkę. A ja nie mogłam sobie z tym towarzystwem poradzić i z miejsca wykorzystałam twojego Czarusia.

- Matko Boska! Z dwojga złego było dać Biskoptowi szansę - powiedziałam, usiłując zachować powagę.

- Majka, to wcale nie było zabawne! - oburzył się tata. - Przecież siedzi z nami dziecko!

- Tatusiu, zdziwiłbyś się, ile to dziecko już wie - bąknęłam pod nosem. - No ale dobra, co też weterynarz uczynił? Spoił go? - zapytałam, widząc, jak Biskopt usiłuje się podnieść, ale rozjeżdżają mu się łapy.

- Prędej znarkotyzował, bo napasł go jakimis̄ prochami. Swoją drogą trzeba będzie coś wymyślić, bo nam się psina wykończy, jak będzie zmuszona być dwa tygodnie na ostrym haju - stwierdziła Jagoda. - A, jeszcze jedno, bo potem zapomnę. Dzwoniła pani Leontyna i mówiła, że jutro rano ktoś podrzuci pierwszą partię zakupów do Uroczyska.

- Podrzuci to podrzuci, na całe szczęście jest Kaśka, ma kto odebrać.

- A ty gdzie się rano wybierasz? - zainteresował się tata. - Lepiej by było, żebyś jutro wypoczęła, a nie szwendała się Bóg wie gdzie.

- Pewnie, że by było lepiej, ale przecież muszę iść do pracy.

- Jutro sobota.

- O cholera, wszystko mi się pokręciło! - jęknęłam. - Chyba rzeczywiście pójde się położyć.

Ale oczywiście nie poszłam, bo w tym momencie przyjechał podły Czarus̄ zazdrośnik. Na mój widok zdębiał. Potem zbladł, poczerwieniał i znowu zbladł, aż się przestraszyłam, że w końcu zemdleje albo zrobi coś równie głupiego i niewygodnego.

- Majka, na litość boską, co ci się stało? - zapytał wreszcie, ignorując wszystkich obecnych. - Zabiję tego skurczybyka... Kto ci to zrobił?

- Spokojnie, można by rzec, że to był wypadek przy pracy - odpowiedziałam chłodno. Ostatecznie cały czas byłam na niego zła. No może nie aż tak bardzo jak jeszcze przed chwilą, gdy nie widziałam jego troski i ciepłych oczu, ale zawsze!

- Majka, dajże spokój, nie widzisz, że on się o ciebie martwi? - syknęła w moim kierunku Jagoda i z miejsca opowiedziała Czarkowi całą historię. Łącznie z epizodem wypowiedzenia mi pracy.

- I tak od wakacji będę mogła zająć się porządnie pensjonatem - podsumowałam jej opowieść.

- Ale jestem baran! - powiedział po chwili milczenia weterynarz Czarus̄ i spojrzał mi w oczy z miną smutnego spaniela.

- Już to dziś słyszałam - przypomniałam mu usłużnie.

- Jestem i baran, i stary uparty osioł - dodał, a moja rodzina, widząc, że zanosì się na poważniejszą rozmowę, dyskretnie opuściła kuchnię. Przez moment panowała cisza, przerywana jedynie pochrapywaniem Biszkopta, który w końcu usnął z nosem opartym o moje stopy. - Strasznie cię przepraszam. Poniosło mnie i zachowałem się jak ostatni dureń. I to w momencie gdy potrzebowałam podtrzymania na duchu - katował się, a mnie z sekundy na sekundę coraz bardziej topniało serce.

- Racja, nie popisałeś się - przyznałam, postanawiając nie ulegać rozczuleniu. - I zrobiłeś mi ogromną przykrość. W dodatku było mi głupio przed Jeremim. On to wszystko słyszał, a przecież twoje zarzuty są po prostu bezpodstawne...

- Wiem, ale gnałem tu na złamanie karku i okazało się, że cię nie ma, a jeszcze powiedziałaś, że jedziesz gdzieś z tym pa... przepraszam, z Jeremim, to się wściekłem. Jestem po prostu o ciebie cholernie zazdrosny... Tak długo czekałem, kiedy w końcu dasz mi szansę. Nie dziw się, że teraz się boję. Ale to się już więcej nie powtórzy, obiecuję.

- Czarek, mi nie są potrzebne obietnice, tylko świadomość, że mi ufasz. - Nagle coś sobie przypomniałam. - Ale jednego nie rozumiem... - W tym momencie usłyszałam, że w przedpokoju tata żegna się z Marysią. - Poczekaj, pójde ucałować tatę na do widzenia i potem o coś cię zapytam... A w ogóle przejdź do mojego pokoju, dobrze? Tam nikt nam nie przeszkodzi - zaproponowałam i poszłam.

Po paru minutach, gdy dotarłam do swojego pokoju, zastałam weterynarza siedzącego w fotelu przy oknie i nawet nie wiem, jak znalazłam się na jego kolanach.

- No to o co chciałaś mnie spytać? - wymruczał mi prosto do ucha.

- Zaraz, zaraz, ja się jeszcze na ciebie gniewani - przypomniałam mu, markując dla przyzwoitości próbę opuszczenia jego kolan.

- Dobrze, to ty się jeszcze chwilę pogniewaj, a ja potem cię przeproszę. Miałaś o coś mnie spytać...

- No tak, o tę rozmowę z twoją mamą... Nie mówiłam jej nic o psie, ani nie prosiłam, żebyś przyjeżdżał. Nic z tego nie rozumiem, a już posądzenie mnie, jakobym drwiła sobie z twojej matki, było po prostu podłe! I bez sensu!

- Masz rację. Dziś widać miałem dzień robienia z siebie klasycznego dupka. Gdy wróciłem do domu, po tym twoim telefonie, mama powiedziała, że pies ci wskoczył do studni...

- Co takiego?! - wytrzeszczyłam na niego oko.

- No właśnie. Coś mi w tym wszystkim nie pasowało, więc zacząłem się dopytywać, co jeszcze mówiłaś. No i mama stwierdziła, że podobno przekonywałaś ją, że to się często zdarza, zwłaszcza tu w górach.

- Ale przecież... - usiłowałam wtrącić, lecz nie pozwolił mi mówić.

- Poczekaj, daj mi skończyć. Wszystko to nie trzymało się kupy, więc niewiele myśląc, wsiadłem do samochodu i przyjechałem tutaj. Po drodze samochód mi się jeszcze zakopał, dzięki Bogu obok były domy i facet pomógł mi go wypchnąć, w każdym razie jak się okazało, że cię nie ma, to najpierw się przestraszyłem, że rzeczywiście się coś stało, a potem zadzwoniłem do ciebie i tę część historii akurat znasz doskonale. No i jak się wykrzyczałem, nadal wściekły wróciłem do domu, gdzie się okazało, że moja mama zapomniała aparatu słuchowego - zakończył niespodziewanie i spojrzał mi ze skruchą w oko.

- Twoja mama nosi aparat? - zaskoczona całkiem zapomniałam, że przecież miałam udawać ciężko obrażoną.

- Tak, bez niego poważnie niedosłyszysz.

- Poczekaj, poczekaj. Teraz zaczynam rozumieć. Gdy z nią rozmawiałam, były jakieś zakłócenia na linii i powiedziałam, że coś dudni. Nie sądzisz, że brzmi to podobnie jak „pies w studni”? Wiesz, ja nawet byłam zdziwiona tym, że twoja mama tak się ekscytuje trzaskami w słuchawce, i rzeczywiście wyjaśniłam jej, że w górach się to często zdarza... O rany, no to obie nawarzyłyśmy piwa...

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jak mi się dostało, gdy wróciłem do domu i powiedziałem jej o naszej kłótni. Kazała mi tu jechać i nie wracać, aż dasz się przeprosić. No to co? Nie będziesz się już gniewać?

- No nie wiem, nie jestem jeszcze w stu procentach przekonana. - Uśmiechnęłam się na tyle, na ile pozwolił mi bolący policzek.

- Świetnie się składa - ucieszył się weterynarz, całując mnie w szyję. - Bo widzisz, mama wyraźnie powiedziała, że mam nie wracać, dopóki mi nie przebaczysz... Więc czy byłabyś tak uprzejma i daśała się przez całą noc?

- A ty będziesz mnie przez tę całą noc przepraszał? - upewniłam się, wtulona w niego całą sobą.

- Skoro mamusia kazała - wymruczał i zamknął mi usta pocałunkiem.

Postanowiłam, że nie ma tak łatwo i będę się gniewała aż do rana. A co tam... I dopiero potem pomyślałam sobie, że w najśmielszych wyobrazeniach nie przeszło mi nawet przez myśl, że pierwsze romantyczne chwile z Czarusiem, miast piękna i wymuskana, spędzę z połową twarzy opuchniętą i wymazaną jakąś maścią. Ale cóż było robić, skoro sama mamusia kazała...

Nad ranem weterynarz wymknął się z Uroczyśka niczym złodziej, a ja padłam na łóżko i natychmiast zasnąłam. Obudziłam się koło jedenastej i stwierdziwszy, że faktycznie mazidło podziałało i oko, choć w otoczce opuchlizny, wróciło na własne miejsce, postanowiłam wykorzystać dzień wolny i pójść na rynek, na zakupy. Pora była już najwyższa rozejrzeć się za prezentami, poza tym wychodząc z domu, najprostszym z możliwych sposobów unikałam komentarzy Jagody i znaczących spojrzeń pana Miodka. Co do Marysi, to miałam szczerą nadzieję, że nie zarejestrowała tego, że weterynarz został na noc. O mamie Czarka wolałam na razie nic nie myśleć, bo komu jak komu, ale jej z całą pewnością nie uszła uwagi nieobecność syna. Jak tak się nad tym zastanawiałam, doszłam do wniosku, że mogłaby nie być przygłucha, ale za to niedowidząca. Może wtedy dałoby się jej wmówić, że nie zauważyła powrotu Czarka. Albo mogłaby być matką piętnaściorga dzieci, wtedy brak jednego może nie rzuciłby jej się w oczy. A tak musiałam pogodzić się z tym, że właśnie zostałam kobietą rozpustną i niemoralnie się prowadzącą. Co więcej, byłam w pełni świadoma, że mama Czarusia również to wie. Wszystko to spowodowało, że zakupy na dole jawiły mi się jako dobro nadrzędne, pozwalające uniknąć niewygodnych tematów.

I tak, rezygnując ze śniadania - zauważyłam, że ostatnio z przyczyn różnych nie dane jest mi spożywanie tego posiłku - zrobiłam makijaż ze szczególnym uwzględnieniem megagrubej warstwy pudru, ubrałam się ciepło, na nogi zamiast zgrabnych kozaczków wciągnęłam toporne, ale za to ciepłe i nieprzemakalne walonki i ruszyłam do Malowniczego. Gdy w końcu tam dotarłam, byłam tak zmęczona brnięciem przez zaspę, że stanęłam na krańcu rynku, by odzyskać oddech. Cóż, starość nie radość, pomyślałam i już miałam oddać się ponuremu rozmyślaniu o zgubnych skutkach upływu czasu, gdy nagle uważniej spojrzałam na rynek. I to wystarczyło, żebym zaniemówiła i zapomniała o wszelkich smętnych rozważaniach. Plac i wszystkie odchodzące od niego uliczki zostały w nocy udekorowane lampkami i bombkami. Staroświeckie kamienice, ławki i drzewa ubrane w śniegowe czapy wyglądały zupełnie inaczej niż zwykle. Nabrały łagodnej miękkości, która sprawiała, że chciało się tak stać i stać, i nie myśleć zupełnie o niczym. Teraz dopiero zdałam sobie sprawę, że ostatnie tygodnie przeżyłam w biegu, ignorując wszystko, co mnie otaczało. Pozwoliłam, by czas przejął nade mną kontrolę i kto wie, gdybym dziś nie wybrała się na zakupy,

pewnie nadal pozostałabym ślepa i głucha, opętana myślą, że cały czas muszę się dokądś spieszyć i gnać na złamanie karku, byle dalej i przed siebie. A po co? Ze zdziwieniem stwierdziłam, że nie znajduję sensu w tym pośpiechu, który przecież przez ostatnie dni i tygodnie ustalał rytm mojego życia. Jak dobrze, że udało mi się w końcu przystanąć, pomyślałam.

Na środku placu ustawiono ogromną choinkę, która pyszniła się soczystą zielenią poprzetykaną obficie kolorowymi ozdobami. Ale najpiękniejsze były chybotające się na wietrze szklane sopele, na których światło tworzyło piękne, migotliwe i ulotne tęcze. Pod drzewkiem zamiast prezentów stała naturalnych rozmiarów szopka. Maria z odwiecznym wyrazem czułości, znanym wszystkim matkom na całym świecie, pochylała się nad żłóbkiem, w którym leżało Dzieciątko. Józef obejmował ją za plecy, gestem jasno dającym do zrozumienia, że te dwie istoty, kobieta i mały człowiek, są czymś najdroższym w jego życiu. Szczerze mówiąc, po raz pierwszy widziałam szopkę, w której twórca pokazał tyle zwykłej ludzkiej miłości. Patrząc na postacie, pełne spokojnej zadumy i wzajemnego oddania, poczułam, jak niespodziewanie w oczach pojawiają mi się łzy. I ani chybi dałabym im popłynąć, lecz w ostatnim momencie przypomniałam sobie, że dziś w żadnym razie płacz, nawet ten ze wzruszenia, nie wchodzi w rachubę. Nie mogłam rozmazać sobie pudru i ukazać całemu światu pięknego liliowego koloru wokół oka. Na myśl o zaciekawionych spojrzeniach wszystkich mieszkańców Malowniczego Łzy jakby się cofnęły, a ja pomyślałam, że lęk przed piętnującą opinią publiczną czasami bywa mimo wszystko przydatny. Ściskając w rękę torbę na zakupy, podeszłam tuż pod choinkę, by z bliska przyjrzeć się tegorocznemu cudowi, który jak w każdym grudniu przybrał postać małego dziecka. Nie byłam w swoich zamiarach odosobniona, bo szopka przyciągała większość robiących zakupy.

- Piękna jest, prawda? - usłyszałam tuż za sobą znajomy głos i odwróciwszy się, zobaczyłam tutejszą artystkę, panią Brygidę Świętojańską, która ubrana w rude futerko i zieloną grubą czapę wydawała się naturalnym przedłużeniem choinki i szopki.

- Dzień dobry, pani Brygido. Rzeczywiście szopka jest niesamowita. W ogóle cały rynek wygląda pięknie.

- Rynek to zasługa pana burmistrza. On się tym wszystkim zajął. Nawet świąteczne wieńce na drzwi sklepów ufundował. Podobno nasze Malownicze startuje w tym roku w konkursie na najładniej udekorowane miasteczko. Nie słyszała pani?

- Chyba mi umknęło - przyznałam zawstydzona. Szczerze mówiąc, zajęta swoimi sprawami, nie bardzo interesowałam się życiem miasteczka i nagle poczułam, że jako jego mieszkanka coś zaniedbuję. Cóż, będę musiała to zmienić, pomyślałam i uśmiechnęłam się do zielono-rudej artystki.

- To dobrze, że ogłaszają takie konkursy - powiedziała. - Bez rywalizacji i możliwości wygranej nikomu by się nie chciało palcem ruszyć, a tak dzięki wspólnym siłom jest dużo łatwiej. Muszę pani powiedzieć, że kocham piękno i bardzo się cieszę, jak mogę się nim otaczać. Nawet jeżeli jest to kiczowaty urok Bożego Narodzenia. Ten specyficzny kicz też jest tradycyjnie piękny. A wie pani, że wszystkie malowane elementy szopki ja robiłam? - zapytała z dumą.

- Naprawdę? Pani Brygido, jest pani niesamowicie zdolna! - zachwyciłam się szczerze, bo było czym.

- Podobno. Przynajmniej tak mówią. - Artystka się zarumieniła, wyraźnie ucieszona. - Ale moje malunki to tylko dodatek. Postacie to jest dopiero sztuka! Robił je Klaudiusz. Zna go pani?

- Niestety, nie miałam okazji spotkać Klaudiusza, ale pani Leontyna mi o nim wspominała. To lokalny rzeźbiarz, prawda?

- Tak, koniecznie musicie się poznać. To niesamowicie uzdolniony człowiek, tylko że biedę ostatnio klepie. Bycie artystą patriotą to naprawdę ciężki kawałek chleba. - Pani Brygida, przejęta losem kolegi po fachu, z troską potrząsnęła rudymi lokami wystającymi spod czapki.

- Patriotą? - Nie wiedziałam, o czym ona mówi.

- Ano tak. Za granicą żyłoby nam się jeżeli nie lepiej, to na pewno łatwiej. Ale jak człowiek chce zostać w kraju i nie dać się wydrzeć z korzeniami z rodzinnych stron, musi się przygotować na trudne warunki. No ale to nie czas i nie miejsce na narzekania - dodała po chwili energicznie. - Niech mi pani powie, co się pani stało w oko.

- To długa historia. Mały wypadek w czasie pracy w terenie - odpowiedziałam wymijająco. - Tak bardzo widać? Myślałam, że udało mi się to trochę zatuszować.

- Trochę się udało, ale też trochę widać. Praca w terenie, powiada pani... Że też człowiek nigdzie nie może się dziś czuć bezpieczny. Ale prawdą a Bogiem, zawsze i wszędzie zdarzały się typy spod ciemnej gwiazdy. Ja nie jestem z tych, którzy nic nie robią, tylko marudzą na dzisiejsze czasy ze szczególnym uwzględnieniem młodzieży.

- Dzisiejszej? - upewniłam się, bo zaczęło już trochę mieszać mi się w głowie. Artystka nie dość, że mówiła dużo, to wylewała z siebie potoki słów, nie dbając o jakiegokolwiek przerwy. Można się było w tym słownym ciągu bez trudu pogubić.

- Przecież nie wczorajszej. - Pani Brygida wzruszyła ramionami. - Młodzież zawsze była i jest taka sama. Ale co ja tam będę pani głowę zawracać. Muszę iść, bo jeszcze sprawunków nie dokończyłam. A rybki pani już nabyła?

- Nie, jeszcze nie. Chyba trochę za wcześnie...

- Bynajmniej. Widzi pani tłum w tamtej części rynku? Tam teraz sprzedają ryby. Musi je pani dziś kupić... koniecznie.

- Co, potem nie będzie? - Nie rozumiałam, czemu akurat dziś mam dokonać rybnych sprawunków.

- Takich na pewno nie - odpowiedziała tajemniczo. Zaintrygowana podążyłam we wskazanym kierunku.

Gdy udało mi się przepchnąć przez zwarty tłum, zobaczyłam, że na rozstawionym prowizorycznym straganie leżą najróżniejsze ryby z przewagą karpia. Przyjrzałam się uważnie i nie zobaczyłam w nich nic nadzwyczajnego. W ogóle już sam fakt bycia martwą rybą wyklucza raczej jakieś cechy szczególne. Za straganem stał sprzedawca, starszy człowiek z granatową czapką wciśniętą na oczy.

- Podać coś pani? - zapytał uprzejmie.

Pomyślałam, że w końcu pani Brygida mieszka tu od dawna, więc może warto jej posłuchać. Poprosiłam więc o cztery kilogramy karpia, trochę płotek (kotu też należy się odrobina szczęścia w wigilijny wieczór) i czegoś, co wyglądało po rybiemu, ale za chorobę nie wiedziałam, jak się nazywa. Zapłaciłam za to całe przeciętne rybie towarzystwo i pomaszero wałam do Kraśniakowej po wędlinę. Gdy już zakupiłam, co chciałam, i zapewniłam wścibską sprzedawczynię, że w oko nic szczególnego mi się nie stało, przyszło mi do głowy, że ją podpytam o dziwne rybie podniecenie. Ostatecznie ktoś jak nie największa plotkarka w mieście mógłby mi udzielić bardziej szczegółowych wyjaśnień.

- Pani Kraśniakowa - zagadnęłam, wracając od drzwi. - Nie wie pani, o co chodzi z tym straganem? Bo ryby dostępne są wszędzie, ale tylko u tego pana kupuje aż tylu ludzi. Są jakoś szczególnie świeże, czy jak?

- To pani nic nie wie? - Kraśniakowa zniżyła głos i przewiesiła się przez ladę. - Toż to najprawdziwszy anioł jest!

- Anioł? - powtórzyłam z niedowierzaniem.

- No tak, historyczny - wyjaśniła Kraśniakowa. - Już przed wojną on się ponoć tu pokazywał... Nie w każdym roku przychodzi. Moja babka opowiadała, że kto ma szczęście, ten widzi go ze skrzydłami. Ale podobno on sam musi chcieć się tak pokazać.

- I sprzedaje ryby? Ten anioł? - Popatrzyłam za okno na fragment rynku ze straganem, przy którym nadal panował dziki tłok.

- Nie tam. - Kraśniakowa spojrzała na mnie z politowaniem. - Teraz akurat sprzedaje. Innym razem nie.

- A kiedy nie sprzedaje, to co robi? - Jak już zaczęłam, postanowiłam zgłębić sprawę anioła do końca.

- Różnie. Czasami tylko przechodzi, kiedyś podobno ozdoby choinkowe rozdawał. I kto dostał, temu niebywale się szczęściło przez cały rok. - Kraśniakowa rozgadała się na całego. - A teraz widać przyszła kolej na ryby. Co się dziwić. W końcu ryba to znak chrześcijański - stwierdziła z powagą. - A kupiła pani?

- Kupiłam - przyznałam zmieszana, bo nie wiedziałam, co o tym wszystkim sądzić. - A po czym poznajecie, że to anioł? I to ten sam?

- No jak to? Przecież od razu na pierwszy rzut oka widać. I ma zawsze taką samą czapkę, granatową w kratkę. I mało mówi... Co tu tłumaczyć, anioł jest anioł. A jak się pojawia, to zwykle czeka nas dobry rok. Niech pani te ryby zrobi na wigilię. Inaczej moc stracą.

Wprawiła mnie w kompletne osłupienie. Anioł? Moc? Czarodziejskie ryby? Nie rozumiałam, ale w tym wszystkim musiało coś być, bo gość w czapce cały czas był oblegany, no i ostatecznie gdybym usłyszała o tych rybach wyłącznie od Kraśniakowej, mogłabym podejrzewać, że mnie nabiera. Ale przecież pokazała mi go Świętojańska. I cały czas nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że jest coś jeszcze... Dopiero po

chwili przypomniałam sobie wizytę u proboszcza. To o nim musieli szeptać staruszkowie na zebraniu przedwigilijnym, na plebanii. No tak, mruzczyli coś o tym, że ktoś się pojawił, i mówili też o granatowej czapce. Oni naprawdę w to wierzą, pomyślałam zaskoczona do granic możliwości i sama nie wiedziałam, co mam z tym fantem zrobić. Bo z jednej strony gdzieś tam głęboko tkwiła we mnie dziecięca wiara w cuda, ale z drugiej - trudno mi było z przekonaniem stwierdzić, że oto stanęłam oko w oko z aniołem. W dodatku otoczonym rybim aromatem. Nawet jeżeli brałabym to pod uwagę, inaczej bym sobie takiego niebiańskiego gościa wyobrażała. Cóż, nie pozostawało mi nic innego, jak dopytać się jeszcze kogoś o wędrownego anioła.

W tym samym momencie, jak na zamówienie, wyrosła przede mną Alicja Łagoda, która oczywiście wydała na mój widok zduszony okrzyk, a potem stanowczo zażądała wyjaśnienia, kto mi to zrobił i dlaczego. Z rezygnacją zaproponowałam jej więc szybką napoleonkę w Piątym Kole, myśląc, że chyba powinnam spisać historię podbitego oka, skserować i rozrzucić w formie ulotek na rynku. Byłoby to o wiele prostsze niż tłumaczenie każdemu, co się stało. W kawiarni, delektując się ciastkiem i gorącą kawą, opowiedziałam o wizycie u Grażynki, a potem, po wysłuchaniu złożeń na obrzydliwą staruchę, udało mi się wtrącić pytanie o tajemniczego sprzedawcę ryb.

- Pani Alicjo, jakoś nie mogę uwierzyć we włóczące się po ziemi anioły - zdobyłam się na szczerość i wypuściłam na światło dzienne niedowiarstwo. - A tutaj chyba większość nie ma z tym problemów i w związku z tym czuję się trochę wyobcowana - wyznałam.

- Co ja mam ci, dziecko, powiedzieć... - Alicja pokręciła głową. - Rzeczywiście mówi się, że już od pokoleń pojawia się tutaj anioł. Starsi ludzie, oczywiście ci, którzy dla mnie byli starzy, bo teraz to już chyba i ja zaliczam się do staruszków, mówili, że Malownicze jest pod jego specjalną opieką. Opowiadano, że zjawiał się, gdy mieszkańcom groziło niebezpieczeństwo i nieraz podobno w cudowny sposób ratował Malownicze i okolice. Mówią też, że jak się zjawia przed wigilią, jest to zapowiedź szczęścia. Sama musisz ocenić, czy chcesz w to wierzyć, czy nie. Ale zastanów się, w czym taka wiara może ci zaszkodzić? Wierzy się w różne dobre wróżby, to dlaczego nie wierzyć w opiekuńczego anioła? - zapytała celnie i zjadła do końca swoją napoleonkę. - Nawet gdy to przyziemny do bólu mężczyzna, który przypadkiem ma na sobie granatową czapkę w kratkę, to jeżeli inni widzą w nim anioła i dlatego stają się lepsi, dla mnie nie ma żadnego znaczenia, co jest prawdą, a co fantazją.

Patrząc na nią, pomyślałam, że ma rację. I dlatego włożę ryby do zamrażalnika i usmażę je w wigilię. Nie mogłabym znieść myśli, że jeżeli tego bym nie zrobiła, ominęłoby mnie, być może, szczęście w nowym roku. Swoją drogą coraz ciekawszych rzeczy dowiadywałam się o Malowniczem. No bo proszę mi pokazać drugie takie miasto, gdzie wędrują anioły w ludzkiej skórze i gdzie ryby mają czarodziejską moc, a nauczycielki chodzą z podbitymi oczami. Po prostu Malownicze jest wyjątkowe, bez dwóch zdań! Drugiego takiego miejsca nie ma nigdzie na świecie, a z tych wszystkich opowieści jasno wynikało, że nawet anioły to wiedzą. O ile oczywiście istnieją, ale to już całkiem inna sprawa.

Kolejne dni mijały w rekordowym tempie. Święta nieubłaganie nadchodziły, nie bacząc na to, czy pewne właścicielki pensjonatów uporały się już ze wszystkim, czy raczej pozostają daleko w tyle w realizacji świątecznych zamierzeń. Oczywiście ja należałam do tego drugiego gatunku, który z niczym nie mógł zdążyć. Uroczysko zmieniło się z cichego, odosobnionego zakątka w dom głośny i pełen ludzi. Goście pensjonatowi mieszały się z gośćmi wigilijnymi, którzy w kółko okupowali kuchnię, smażąc, piekąc, gotując, zamrażając, rozmrażając i zapewne robiąc jeszcze mnóstwo rzeczy, o których wołałam nie mieć pojęcia. Kuchnię z pełną premedytacją zostawiłam pani Ewie i innym współbiedniakom. Mnie wystarczyło to, że musiałam zadbać o wystrój, dodatki i załatwić sprawę prezentów dla najbliższych. Dla gości przygotowaliśmy małe słoiczki z naszym własnym miodem, a ja od siebie kupiłam po drobiazgu dla pani Leontyny, Walerii, Grażynki i Alicji Łagody. Dzięki Bogu ominęło mnie kupno zastawy, bo gdy zamierzałam wybrać się po nią do Wrocławia, pani Leontyna, którą powiadomiłam o swoich zamiarach, podarowała mi przepiękny stary serwis na trzydzieści osób.

- Miałam ci to dać pod choinkę, ale teraz bardziej się przyda. - Wyjęła cudnie malowane talerze z ogromnego kredensu.

- Pani Leontyno, nie mogę tego przyjąć. To stara, przedwojenna porcelana, za droga na prezent! - sumitowałam się, z zachwytem oglądając różowo-kremowe filiżanki.

- Ja też jestem stara, nie mam dzieci i chciałabym wiedzieć, że przekazuję ten serwis w dobre ręce. - Leontyna błyskawicznie poradziła sobie z moimi wątpliwościami. - Niech ci dobrze służy. Tylko nie wiem, jak się z tym zabierzesz. Może by ktoś podjechał po niego samochodem?

- Pewnie, że podjedzie... Nawet nie wiem, jak mam pani dziękować. - Serdecznie ją uściskałam.

- Po prostu dbaj o niego... I przekaz go potem Marysi albo komuś innemu bliskiemu. Grunt, że przedłużymy mu życie i nie damy się zmarnować. - Pieszczotliwie pogładziła brzeg talerzyka.

I tak sprawę zastawy miałam załatwioną, chociaż czasami z lękiem myślałam, co się stanie, jak coś się strąci i stłucze. W pewnym momencie dotarło do mnie, że tak wiekowy serwis to ogromna odpowiedzialność i gdyby nie to, że pani Leontyna dała go z wyraźną myślą o wigilii, chyba bym stchórzyła, zakupiła talerze w Ikei i miała w nosie, jaki procent z nich przetrwa, a jaki polegnie na placu wigilijnego boju.

W międzyczasie poznałam osobiście mamę weterynarza, która ku mojej ogromnej uldze nie przypominała ani troszeczkę mojej byłej teściowej. Nawet udało nam się zaprzyjaźnić do tego stopnia, że zaczęliśmy umawiać się w Piątym Kole na kawę i napoleonki. I gdy już myślałam, że wszystko jest pod kontrolą, w przeddzień wigilii okazało się, że w kuchni wybuchła awantura. Siedziałam na górze i zamknięta w swoim pokoju pakowałam prezenty, gdy nagle ktoś załomotał do drzwi. Myślałam, że to Mańka usiłuje się do mnie wedrzeć i podstępnie wydobyć informacje dotyczące prezentów.

- Znikaj stąd, siło nieczyste, ale już! - nakazałam więc, nawet nie ruszając się z miejsca. - Nie wiesz, że Mikołaj przychodzi tylko do grzecznych dzieci? - dodałam, bo cały czas słyszałam pod drzwiami jakieś szuranie.

- Maju, do mnie tak mówisz? - usłyszałam zza drzwi niepewny głos przyjaciółki pani Leontyny, Ewy, i natychmiast zerwałam się, żeby ją wpuścić.

- Dzień dobry, pani Ewo, oczywiście, że nie do pani, myślałam, że to moja córka. Stało się coś?

- Niestety tak. Mam problem w kuchni i muszę powołać cię na świadka.

- Na świadka? A o czym mam świadczyć? - zapytałam ostrożnie, bo z moich obserwacji wynikało, że staruszka Ewa nie ma łatwego charakterku.

- Ktoś mi zeżarł krokiety - powiedziała szeptem i zrobiła wielkie oczy. - Cały wielki półmisek kroketów.

- I wie pani, kto to zrobił? - Spojrzałam na nią uważnie, zachodząc w głowę, jakim cudem ktoś miałby takie możliwości, żeby pokonać za jednym zamachem gigantyczną krokietową górę.

- Oczywiście, że nie wiem, ale zaraz się przekonamy - zapowiedziała stanowczo. - Jesteś mi niezbędna. Żeby potem nie było, że coś sobie wymyślam.

- No dobrze, pani Ewo, już idę, tylko nie rozumiem, jak pani chce wykryć sprawcę tego krokietowego zajścia. - Z ociąganiem ruszyłam za nią do kuchni.

- O, ja ostatnio czytałam takie nowoczesne książki i zamierzam zastosować podejście psychologiczne - stwierdziła pani Ewa wojowniczo.

- Jakie podejście? - Ze zdziwieniem uniosłam brwi.

- No przecież mówię, że psychologiczne. Jak ktoś zeżarł, to jest teraz najedzony, tak? Jeżeli zapytam wprost, to przecież wiadomo, że z własnej woli się nie przyzna, więc trzeba z niego to podstępem wydobyć.

- Te krokiety? Wolałabym ich z nikogo nie wydobywać - wyznałam, nie mogąc powstrzymać się od śmiechu.

- Niech one już lepiej pozostaną tam, gdzie są.

- Żarty się ciebie trzymają, moja droga, a to jest bardzo poważna sprawa - zrugła mnie pani Ewa, biorąc się pod boki. - Wiesz, że krokiety miały być jednym z głównych dań? I co teraz? Nie zdążę przygotować całej porcji od nowa!

- Dobrze, już dobrze, od tego momentu będę śmiertelnie poważna. Na czym ma polegać moja rola? Od razu uprzedzam, że ja o psychologicznych podejściach do podstępnych krokietowych skrytożerców nie wiem absolutnie nic - zabezpieczyłam się na wypadek, gdyby staruszka oczekiwała ode mnie czynnej współpracy.

- Ty się nie musisz na tym znać! Masz tylko uważnie patrzeć.

- Z tym nie powinno być zbytnich kłopotów. A na co mam zwracać szczególną uwagę?

- Cały czas ci o tym mówię! - Pani Ewa popatrzyła na mnie jak na niepełnosprawną umysłowo. - Masz obserwować, kto nie będzie miał apetytu!

Zgodziłam się, przezornie nie wnikając w szczegóły, które, znając życie, i tak same wyleżą w praniu.

- No to teraz patrz na mistrza wykrywania przekrętów - konspiracyjnie zaszepiała staruszka i wkroczyła do kuchni niczym Sherlock w kwiecistym fartuchu, kierując się do stołu, na którym stała pełna misa świeżo ugotowanych uszek. - Uwaga! - zakrzyknęła tubalnym głosem. - Mam tu trochę nadprogramowych uszek, ma ktoś ochotę? - zapytała z przebiegłą miną i spojrzała na mnie znacząco.

- Ja bardzo chętnie zjem - zgłosiłam się pierwsza, bo smakowite zapachy uzmysłowiły mi, że jestem wściekle głodna. Zresztą rozumiejąc w końcu, na czym ma polegać to całe psychologiczne podejście, nawet gdybym była najedzona po uszy, poprosiłabym o porcję dla siebie. Stanowczo wolałabym być przejezdna niż posądzona o przestępstwo krokietowe.

Stojąc w rogu kuchni i wcinając pyszne uszka z kapustą i grzybami, z rozbawieniem stwierdziłam, że psychologia w wykonaniu staruszczyki Ewy spaliła na panewce. Otóż wszyscy obecni jak jeden mąż wrębali całą zawartość miski, z apetytem wykluczającym jakiegokolwiek wcześniejsze obżarstwo. Na widok uszkowego spustoszenia pani Ewie wyraźnie zrzędała mina. Aż mi jej się szkoda trochę zrobiło.

- Moi drodzy państwo - powiedziałam więc, wycierając ręce w kuchenną ściereczkę. - Nie widzieliście przypadkiem krokietów, bo chciałam je wynieść na górę do dodatkowej lodówki? - zapytałam wprost i z zupełnym pominięciem jakiegokolwiek psychologii.

- Krokiety? - odezwała się Jagoda, która właśnie zajrzała do kuchni. - Przykryłam je i wystawiłam na parapet, bo Biskopt chciał się do nich dobrać - wyjaśniła i lawirując między wigilijnymi kucharkami, dotarła do zamrażarki.

- Na parapet? - powtórzyła staruszka Ewa strasznym głosem. - O matko, toż to całkowita klęska! - jęknęła, bezradnie obracając pustą miskę po uszkach w rękach. - Zupełnie bez potrzeby zeżarliśmy kolejne danie - dodała z rozpaczą.

- Pani Ewo, pierwsze danie, bo przecież krokiety się znalazły - usiłowałam ją pocieszyć, jednocześnie z trudem zachowując powagę. - Zawsze to lepiej, niż miałyby nie być i uszek, i krokietów.

- Też mi pocieszenie! - rozpacziała staruszka Ewa, ignorując pytania rzucane przez dopiero co podejrzanych, a nic nierozumiejących współbiedniaków. - Mam nauczkę, żadnych nowoczesnych dziwactw! Że też mi się zachciało psychologicznych bzdur! Palić w piecu się tym powinno, a nie sprzedawać w księgarniach!

- O rany, nic nie rozumiem, źle zrobiłam z tymi krokietami? - zaniepokoiła się Jagoda. - Biskopt je chciał wrębać, to stwierdziłam, że warto mu to uniemożliwić. Wiesz, odkąd Toskę zabrał weterynarz, ten pies pochłania niesamowite ilości żarcia. Myślisz, że on zajada zawód miłosny? Może jednak powinniśmy go narkotyzować, ale nie rozdzielać zakochanych...

- Czyś ty oszalała? To nie miłość, tylko instynkt przetrwania gatunku - uświadomiłam jej. - A co do krokietów, to bardzo dobrze, że usunęłaś je z zasięgu paszczy tego głodomora. Już pomijam, że nie chciałabym się dostać w łapy pani Ewy, gdyby to mój pies był odpowiedzialny za zniknięcie czegoś z kuchni, ale jeżeli pochłonąłby takie ilości smażonego, jak nic by się pochorował. Pamiętaj, co było, jak się dobrać do twoich truskawek?

- Nie przypominaj mi tego! - Jagoda się wzdrygnęła. - Musiałam po nim sprzątać całą kuchnię. Swoją drogą to dziwne, że tak mu zaszkodziły takie pyszne truskaweczki.

- A właśnie, widzę, że mania ci nie przeszła - stwierdziłam, popatrując na torbę, którą moja przyjaciółka wyciągnęła z zamrażarki. - Czy ty w ogóle jesz coś poza truskawkami?

- Niewiele. Znalazłam taką dietę, której głównym składnikiem są truskawki. Podobno chudnie się po niej niesamowicie - wyjaśniła, z lubością zaglądając do torebki.

- Na twoim miejscu poczekalabym z tą dietą do wiosny. Większa dostępność za niższą cenę.

- Na wiosnę to ja mam już być szczupła. Chociaż nie, realniejszy termin to lato. Myślę, że wtedy już będę niezła laska. A tam znowu co się dzieje? - Ze zgrozą popatrzyła w głąb kuchni, gdzie wybuchło jakieś zamieszanie.

- No mówię ci, że nie ma! - mówiła podniesionym głosem pani Barbara, którą zapamiętałam ze łzawej sceny na plebanii, gdzie wylała potoki łez, gdy nie wylosowano jej dania. - Powinien być, sama wpisywałam go na listę zakupów! - W tym samym momencie z lodówki wyleciała wielka szynka i wylądowała z plasknięciem na podłodze.

- Basiu, uważaj, co robisz - usiłowała ją uspokoić jakaś krągła jejmość, której nie kojarzyłam ani z twarzy, ani z imienia.

- Co tu się dzieje? - usłyszałam tuż przy uchu głos Czarka, który zjawił się niespodziewanie i z rozpędu cmoknął mnie w policzek, jednocześnie ze zdziwieniem spoglądając na wypadające z lodówki coraz to inne rzeczy.

- Nie mam pojęcia. - Z lubością wdychałam zapach jego wody toaletowej.

- Ja też nie bardzo rozumiem, ale coraz bardziej mi się to nie podoba - mruknęła Jagoda, wsuwając do ust zamrożoną truskawkę. - To przypomina początek jakiegoś dramatu.

Jakby na potwierdzenie jej słów pani Barbara wybuchnęła głośnym płaczem.

- No to mamy powtórkę z rozrywki - burknęłam pod nosem, bo przed oczami stanęła mi prawie identyczna scena z plebanii. - Pani Basiu, na litość boską, czemu pani płacze? - zapytałam głośno, z trudem ukrywając zniecierpliwienie.

- Jak mogliście tak mnie oszukać? - zamiast jakiegoś logicznego wytłumaczenia staruszka zaczęła czynić nam zarzuty. - A ja tak się cieszyłam...

- Baśka, czyś ty się szaleju najadła?! - zapytała pani Ewa retorycznie i spojrzała na szlochającą groźnym wzrokiem. - Kto cię niby oszukał?

- Nie wiem! Wszyscy! - rozpaczła pani Basia, zakrywając rękami twarz, a my z Jagodą popatrzyliśmy na siebie bezradnie.

- Pani Basiu, niech pani najpierw powie, o co chodzi. Popłacze pani później - zaproponował ze stoickim spokojem weterynarz, podając jej paczkę chusteczek.

- Suma nie ma - zaszlochała w odpowiedzi. - Nie ma, a powinien być...

- Basiu, zachowujesz się jak małe dziecko - wtrąciła się zażywna jejmość. - Jak nie dostaniesz, czego chcesz, to marudzisz.

Choć trudno było odmówić temu osądowi słuszności, nijak nie wpłynął na polepszenie sytuacji. W kuchni zamieszanie przybierało na sile, bo zirytowane panie zaczęły sprzeczać się między sobą, pani Basia płakała coraz bardziej, a przewodząca całemu towarzystwu pani Ewa chwilowo straciła nad wszystkim kontrolę. Przypuszczałam, że biedaczka nie doszła jeszcze do siebie po porażce z psychologicznym podejściem do krokietowego złodzieja. Boże, zaraz dojdzie do megaawantury! - pomyślałam, patrząc na weterynarza wymownie. W moim przekonaniu jeżeli w ogóle istniała szansa na złagodzenie tego babskiego sporu, mógł tego dokonać jedynie mężczyzna.

- Drogie panie! - Czarus zareagował natychmiast. - Proszę mi wyjaśnić, o co dokładnie chodzi. Poza brakiem suma, oczywiście, bo to już wiem.

Oddanie im głosu było niewątpliwie błędem, bo biedny weterynarz z miejsca został ciasno obstąpiony przez krzyczące jedna przez drugą staruszki, usiłujące jednocześnie powiedzieć, o co której chodzi. Z fragmentów, które udało mi się wyłowić z tego jazgotu, stwierdziłam, że sednem jest brak uszek, które na wyraźne polecenie pani Ewy zostały zjedzone, brak suma, którego nieobecność była dla mnie niejasna, brak zorganizowania (to krzyczała zażywna jejmość) oraz brak opanowania u co niektórych i nie było tajemnicą, że w tym wypadku chodzi o panią Basię. Patrząc na wrzeszczące towarzystwo, pomyślałam, że Czarus nijak sobie z tym galimatiasem nie poradzi, ale - ku własnemu zaskoczeniu - pomyliłam się. Weterynarz bowiem wysłuchał wszelkich krzyków, potem gromkim głosem nakazał ciszę i najzwyczajniej w świecie rozdzielił między obecne panie zadania.

- Najpierw, zamiast załamywać ręce - powiedział, starając się ignorować cały czas płaczącą amatorkę nieobecnego suma - niech panie robią te uszka jeszcze raz, nie wszystkie razem, tylko część będzie je... Co się robi z uszkami?

- Lepi - podpowiedziałam, z podziwem obserwując, jak Czarus doskonale radzi sobie z kłótliwym damskim towarzystwem.

- O właśnie, lepi. Część będzie je lepić, a pozostałe niech robią dalsze potrawy...

- No, no, a nie rozpędziłeś się, synuś, za bardzo? - wtrąciła się pani Ewa zazdrośnie. Widać zagubienie już jej minęło i postanowiła bronić swojej pozycji szefowej.

- Ja tylko sugeruję. - Czarus obronnym gestem podniósł ręce do góry. - A poza tym, pani Barbaro, niechże pani już nie płacze. W końcu jestem prawdziwym mężczyzną i jako taki zdobędę suma dla pani. Wprawdzie to nie krokodyl, ale myślę, że można i suma podłożyć do sztuki Fredry.

- A jak by to wtedy brzmiało? Jeśli nie chcesz mojej zguby, z sumem wracaj chyżo, luby? - powiedziałam na próbę, a Jagoda nie wiedzieć czemu prychnęła śmiechem.

- Możesz mieć rację z tą zgubą - szepnęła mi po chwili, gdy już przestała chichotać. - Jeżeli go nie zdobędzie, zginiemy marnie, zalani potokiem łez pani Basi.

- Słusznie prawisz - przytaknęłam rozbawiona. - A wiesz, jak wtedy by triumfował agent ubezpieczeniowy, który już od jakiegoś czasu telefonicznie przestrzega mnie przed taką możliwością? Jednak dla nas sum jest niewiele mniej ważny niż Fredrowski krokodyl. Dobrze, że Czarus zaofiarował się go zdobyć.

Sytuacja była mniej więcej opanowana, więc wymknęłam się z kuchni do holu i poczekałam tam na weterynarza, który najpierw się ze mną przywitał, potem uznał, że zrobił to za mało dokładnie, i powtórzył całą operację na nowo, a gdy w końcu udało mi się od niego oderwać, oznajmił, że przywiózł choinkę.

- Świetnie! - usłyszałam tuż obok nas głos Marysi.

Na widok córki w popłochu usiłowałam się wyswobodzić z ramion Cezarego.

- Mańka, dlaczego nas podglądasz? - parsknęłam, usiłując doprowadzić do ładu rozczochrane włosy.

- Trudno to nazwać podglądaniem. Gdziekolwiek człowiek się ruszy, tam się natyka na własną matkę całującą się z facetami - odparowała Mania, uśmiechając się uroczo. - Nie zdziw się, jak te widoki odbijają się trwale na mojej kruchej psychice.

- Uważaj lepiej, żeby co innego nie odbiło ci się na zadku. A poza tym...

- Poza tym mnie interesuje szczególnie ta część z facetami. - Czarek zrobił groźną minę. - Liczba mnoga stanowczo mi się nie podoba.

- Liczba mnoga była użyta z rozpędu - rozwiąła jego wątpliwości Mania. - A co do choinki, to może byś ją z miejsca ustawił? I moglibyśmy ją razem ubrać.

Ze wzruszeniem zrozumiałam, że w ten oto sposób moja córka zaprosiła właśnie Czarka do naszej rodziny. Patrząc, jak wspólnie ustawiają drzewko, przekomarzają się i żartują, stwierdziłam nagle, że cały pokój, Marysia i Czarek stają się zamazani i nieostrzy. Ale nie przejęłam się tym zupełnie, bo to były najzwyczajniejsze łyzy wzruszenia. Uświadomiły mi, że właśnie rozpoczyna się najzwyczajniejszy z niezwykłych przedświąteczny czas. Oto wielkimi krokami nadchodziła nasza pierwsza wigilia w takim składzie. I miałam nadzieję, że Uroczysko sprosta zadaniu i wszyscy, którzy będą na niej obecni, poczują to, co zwykle się nazywać magią świąt.

Poranek wigilijny rozpoczął się dla mnie w środku nocy. Okazało się, że jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia, że trzeba było wstać o trzeciej nad ranem, żeby ponadganiać wszystkie sprawy. Na całe szczęście panie pod wodzą staruszczeni Ewy spisały się na medal i wszystko związane z kuchnią było dopięte na ostatni guzik. Jedyne sum, którego weterynarz przytaszczył do Uroczyska dopiero wczoraj wieczorem, czekał na dopełnienie swego sumiego losu. Natomiast spiżarnia po raz pierwszy od czasu, gdy tu zamieszkałam, pękała w szwach. Na półkach pyszniły się serniki, makowce, szarlotki ozdobione tak, że gdybym nie wiedziała, że zrobiły je zwykłe malownicze gospodynie, przypuszczałabym, że wyszły spod ręki zawodowych cukierników. Tak naprawdę zwrot „zwykłe gospodynie” bynajmniej nie pasował do tych kobiet. Wszystkie te panie były ze wszech miar niezwykle uzdolnione. Potrawy w ich wykonaniu to były dzieła sztuki, nawet nie wyobrażałam sobie, że można tak pięknie udekorować śledzie albo sałatkę. Pomy-

ślałam, że po wigilii poproszę, by nauczyły mnie niektórych sztuczek, bo efekty naprawdę były warte wysiłku.

Tak więc razem z Jagodą i Kaśką wstałyśmy o trzeciej w nocy i zgodnie zabrałyśmy się do szykowania stołów. Chciałyśmy zdążyć ze wszystkim, zanim zacznie się ruch w kuchni, bo wtedy o spokoju będzie można tylko pomarzyć. Wydawało nam się, że mamy mnóstwo czasu, lecz jak zwykle w takich wypadkach okazało się, że biegnie on dużo szybciej niż zwykle. Gdy skończyłyśmy dekorować ostatni stół, było już grubo po południu i pod Uroczysko zajechał proboszcz, przywożąc obiecane upominki. Ledwo ułożyłyśmy je pod choinką, przepięknie udekorowaną przez Manię, Czarka, pana Miodka i dzieciaki Kaśki, w drzwiach stanęła Anielka z mamą. Mało brakowało, a sprawa z Mikołajem by się rypla, pomyślałam, ściskając Anielcię, która spontanicznie rzuciła mi się na szyję.

- Kochana ciociu, jak ja się za tobą stęskniłam! - wyznała, całując mnie kilka razy z dubeltówki. - Dobrze, że już przyjechałam, bo coś, ciociu, marnie wyglądasz, a podobno nie ma to jak ożywczy dziecięcy szczebiot - powiedziała, a ja stwierdziłam, że ktokolwiek powiedział to o szczebiocie, nigdy nie miał do czynienia z dziewczynką pokroju Anielci.

- Anielka, daj cioci spokój - napomniała ją łagodnie mama. W zeszłym roku chusteczką przykrywała efekty chemioterapii, a teraz spod czapki wymykały się krótkie włosy, figlarnie zawijające się na końcach.

- Spokój dla starych ludzi jest zabójczy - stwierdziła Anielka, mało co tym wyznaniem nie zabijając pani Ewy, która właśnie przechodziła obok. - Muszę dbać o ciocię. I o dziadziusia... Właśnie, ciociu, gdzie jest dziadzius? On na pewno nie może się już mnie doczekać, biedaczek. - Anielcia zajrzała pod choinkę, jakby spodziewała się, że tam ujrzy mojego tatę.

- O tak, biedaczek - zgodziłam się z nią bez zastrzeżeń. - Wiesz, Anielko, ledwo tu weszłaś, a mam wrażenie, że w ogóle stąd nie wyjeżdżałaś. Już dzwonię po dziadka. Myślę, że on najlepiej się tobą opiekuje.

- Nie mogę się doczekać! A wiesz, ciociu, że u ciebie już był Mikołaj? - Anielka raz po raz zaglądała pod choinkę.

- Wiem, ale powiedział, że prezenty muszą poczekać do wieczora. - W duchu modliłam się, żeby tata był w domu i jak najszybciej tu przyjechał.

- Mikołaj ci tak powiedział? - Anielka wpatrzyła się we mnie dziwnym wzrokiem.

- No tak, wpadł tu dzisiaj wcześniej, bo wiesz, ma dziś kupę roboty i dlatego musi pracować od rana. - Mikołaj z mojej opowieści najwyraźniej przejawiał skłonność do pracoholizmu.

- Ciociu, ja cię nie chcę martwić, ale ten ktoś, kto tu był, wcale nie był Świętym Mikołajem - powiedziała Anielka po krótkiej chwili ciszy.

- Był najprawdziwszym Mikołajem na świecie - upierałam się przy swojej wersji, ze zdziwieniem obserwując mamę Anielki, która dawała mi dziwne znaki.

- Ciociu, tylko nie płacz, ale Świętego Mikołaja nie ma. - Anielcia pocieszająco klepała mnie po ręce. - Lepiej żebyś się o tym dowiedziała od kogoś miłego, no nie? - spytała, zaglądając mi w oczy.

- Anielko, chodź, pomożesz mi sprzątnąć kartony po bombkach - zlitowała się w końcu nade mną Marysia.

- Przy okazji pokażę wam wasz pokój - dodała, zagarniając upiornie gadatliwe dziecko przed siebie.

A tata niestety nadal nie odbierał. Znajac życie, mama zapędziła go do ostatnich porządków albo wysłała po jakieś zapomniane zakupy. Dzięki Bogu, że Marysia zajęła się małą i jej mamą, bo sama chyba bym nie dała rady.

I tak powoli wszystko zbliżało się do oczekiwanego finału. Stoły były gotowe, pod obrusami szeleściło sianko, przedwojenna porcelana pyszniła się na kremowych obrusach, przy stołach zaczęli pojawiać się pierwsi goście. A ja cały czas nie mogłam odpędzić od siebie irytującego wrażenia, że coś przeoczyłam. I niestety miałam rację, bo po chwili podeszła do mnie Mania z zaaferowaną miną.

- Mamo, gdzie opłatek? - zapytała, a ja zbladłam.

- Nie ma. Zupełnie o nim zapomniałam.

- No to pięknie! Ciekawe, skąd wytrzaśniemy w ostatnim momencie takie gigantyczne ilości opłatka... - jęknęła moja córka.

- Co się stało? - Widząc moją minę, Jagoda błyskawicznie znalazła się przy nas.

- Katastrofa! Zapomniałyśmy o opłatku - wyszeptałam, odciągając ją na bok.

- No to co? - Nie wydawała się tym przejęta.

- Jak to co? Czyżbyś zapomniała, że mamy Wigilię? To wieczór, podczas którego opłatek odgrywa dość istotną rolę...

- Majka, uspokój się i pomyśl - przerwała mi moja przyjaciółka. - Przecież ty masz ludzi od tego!

- Co takiego? - wytrzeszczyłam na nią oczy.

- A kto ma dzisiaj być na wigilii? Czy mi się wydaje, czy sam opłatkowy potentat, to jest proboszcz? - Jagoda popatrzyła na mnie znacząco.

- Mamo, ojciec Filipa do ciebie przyszedł - przerwała nam Mania. - Ale nie chce wejść. Prosił, że bym na chwilę cię zawołała.

- O Jezu, za chwilę się wykończę! - oznajmiłam z desperacją - Zaraz, najpierw wydzwonię proboszcza...

- Idź, ja wydzwonię, kogo trzeba - stwierdziła Jagoda i pomaszerowała w kierunku telefonu, a ja zarzuciłam na plecy płaszcz i wyszłam przed oświetlone lampkami choinkowymi Uroczysko.

- Jeremi, czemu nie chciałeś wejść? - zapytałam, podchodząc do samochodu, przy którym tupał w śniegu Krawiec senior.

- Bo muszę ci coś powiedzieć na osobności - wyznał, a mnie zmroziło. Matko Boska, tylko nie to! - pomyślałam spanikowana. Nie chcę nikomu łamać serca, i to w dodatku w Wigilię!

- Najpierw chciałem ci życzyć najwspanialszych świąt, jakie dotąd miałaś - mówił Krawiec senior. - Ciepłych, pełnych miłości i spokoju. I chciałem się z tobą przełamać opłatkiem i powiedzieć, że miałaś rację...

- Z czym? - zapytałam, posłusznie ułamując kawałek opłatka, który trzymał w ręku.

- Z Ela...

- Jest w ciąży? - Zamarłam z opłatkiem podniesionym do ust.

- To też, ale przede wszystkim miałaś rację, gdy mówiłaś, że powinienem zacząć normalnie żyć. I ją też zaprosić do tego życia. Powiedziała, że to był przypadek i że niczego ode mnie nie oczekuje. Nie wiem, jak było naprawdę, ale to już nie ma żadnego znaczenia. To przecież oznacza dla mnie nowy początek. - Jeremi zamrugął mokrymi oczami. - Ela jest dziś po raz pierwszy u mnie. Będziemy spędzać razem wigilię: ja, Filip, moja mama i ona.

- Jeremi, w takim razie może to nietypowe życzenia wigilijne, ale z całego serca życzę wam szczęścia na nowej drodze życia. Wam wszystkim, bez wyjątku - powiedziałam przez ściśnięte od wzruszenia gardło i podałam mu swój kawałek opłatka.

Obiecałam sobie, że już nigdy, ale to nigdy w życiu nie będę się wtrącać w czyjeś sprawy. Przecież ostrzegałam go przed tą Ela, a nie powinnam. Bo dla niego to jest szansa na lepsze życie. Dobrze, że Jeremi sam wyciąga wnioski, a nie ślepo słucha innych, pomyślałam, wracając do Uroczyska, w którym powoli wszyscy zasiadali do stołów. Wzrokiem poszukałam pani Leontyny i w końcu zauważyłam ją przy kominu.

- Pani Leontyno, i jak sprawa z panem Antonim? - zapytałam szeptem, gdy w końcu udało mi się do niej dotrzeć.

- Przyjdzie - odszepnęła zarumieniona. - Zarezerwowałam mu miejsce koło siebie.

- Nawet pani nie wie, jak bardzo się cieszę - zapewniłam, mocno ściskając ją za rękę. - Ale tak naprawdę wiedziałam, że uda się go i odnaleźć, i zaprosić. Myślę, że malowniczy anioł maczał w tym skrzydła.

Nie dowiedziałam się, czy pani Leontyna się ze mną zgadza, bo w tym samym momencie w drzwiach salonu stanął starszy siwy pan, na którego widok Leontyna pokraśniała jeszcze bardziej. Widząc, że mężczyzna nie odrywa od niej oczu, cichutko udałam się na swoje miejsce. Ta chwila należała wyłącznie do nich i żadna właścicielka pensjonatu, nawet tak sympatyczna jak ja, nie była im potrzebna. Zresztą zjawił się właśnie proboszcz z naręczem opłatków i moi rodzice depczący mu niemal po piętach. Z tego wynikało, że są już wszyscy i pora zaczynać.

Gdy dotarłam do swojego stolika, gdzie czekali już moi najbliżsi łącznie z Czarkiem i jego mamą, pomyślałam, że z całą pewnością mam za co dziękować komuś, kto tam na górze czuwa nad nami i naszym życiem. Dostałam tak wiele, myślałam, słuchając, jak proboszcz czyta z Biblii o narodzinach Jezusa, a potem patrząc na tatę, który w imieniu nas wszystkich składał życzenia wigilijne i jak zwykle miał przy tej okazji mokre oczy. Nawet Mania, która cały czas mi powtarzała, że nie rozumie, o co chodzi w tym wigi-

lijnym wzruszeniu, teraz przestała pozować na twardzielkę i musiała użyć chusteczki. Miłosiernie udałam, że tego nie widzę, i ogarnęłam spojrzeniem wszystkich zgromadzonych, na dłużej zatrzymując wzrok na Kaśce i jej dzieciach, Jagodzie i panu Miodku, pani Leontynie i Antonim, aż wreszcie spojrzałam w oczy Czarusiowi, a on odpowiedział mi ciepłym ufnym spojrzeniem, pod którego wpływem moje serce zatrzepotało, tak jak serce powinno trzepotać, gdy ludzie się kochają. A potem, jak to w wigilijny wieczór, śpiewaliśmy kolędy przy akompaniamencie gitary, na której ślicznie grał proboszcz, jedliśmy i rozmawialiśmy, i było dobrze i przytulnie, aż w końcu Anielka nie wytrzymała i zaczęła dopominać się o zajrzenie pod choinkę. Widać wiedza o nieistnieniu Mikołaja w żaden sposób nie kolidowała z przyjmowaniem od niego prezentów. Okazało się, że każdy został obdarowany kilkoma paczuszkami. Wśród moich najbardziej zaintrygowała mnie sporych rozmiarów prostokątna płachta. Od niej zaczęłam odpakowywanie.

- Z tym proszę ostrożnie - usłyszałam obok siebie głos Brygidy Świętojańskiej i już nie miałam wątpliwości, któremu z Mikołajów zawdzięczam zawartość szarego pakunku.

Gdy rozdarłam papier, moim oczom ukazał się obraz mężczyzny w granatowej czapce w kratkę, w połatanej koszuli, spod której wyrastały przepiękne świetliste skrzydła.

- Pani Brygido, ten obraz... Brak mi słów, jest niesamowity! - powiedziałam zachwycona.

- Nie ja go namalowałam, lecz moja mama. Mało kto wie, że miała taki talent. - Pani Brygida zapatrzyła się w obraz zamyślona. - To „Pejzaż z aniołem”. Taki ma tytuł. Mama mówiła, że tego anioła zobaczyła kiedyś u nas w ogrodzie. Był wschód słońca i z promieni utworzyły się skrzydła. Ten obraz podobno przynosi szczęście. Pomyślałam, że to nie może być nietrafiony prezent, bo czego jak czego, ale szczęścia nigdy za wiele.

- Jeszcze raz dziękuję. - Przytuliłam ją mocno.

Znad jej ramienia zobaczyłam, że nie tylko ja dostałam obrazek. Pan Miodek stał obok Jagody i uważnie oglądał coś namalowanego na wielkiej kartce. Jagoda miała minę wyraźnie oczekującą, a pan Florian wyglądał na zagubionego. Wiedziona ciekawością przeprosiłam panią Brygidę i ruszyłam w ich stronę.

- Panie Florianie, cóż pan dostał? - zagadnęłam, zerkając na trzymaną przez niego kartkę, na której akwarelami namalowana była pszczoła rodzina: tata pszczoła siedział w fotelu, a pszczoła mama kołysała w miodowej kołysce malutką pszczółkę. I nagle wszystko stało się dla mnie jasne.

Cóż, jak widać, plotki o rozpuszcie miały w sobie ziarno prawdy. Teraz rozumiem, skąd ten wilczy truskawkowy apetyt. - Chwyciłam Jagodę w objęcia. - Gratuluję ci z całego serca, mała rozpustnico - dodałam, nawet nie starając się powstrzymać uśmiechu, który uparcie rozciągał mi usta.

- Szczerze mmmówiąc, nnnic zzz tego nie rrozumiem - poskarżył się pan Florian. - Ooo ccco chodzi z tymi gratulacjami? Sama namalowała ten obrazek, czy co?

- Jednak wy mężczyźni bez kobiet byście wyginęli. - Pokiwałam głową z politowaniem. - Ojcem będziesz i w związku z tym pora, żebyśmy zaczęli mówić sobie na ty!

- Ooojcem? Jjja? Ttej pszczółki?

- Raczej stawiałabym na bardziej dwunożne stworzenie, ale poza tym wszystko się zgadza - potwierdziła ze śmiechem Jagoda.

Dyskretnie się oddaliłam, wypatrując w tłumie Czarka. Po chwili zobaczyłam go stojącego przy choince i wpatrującego się w oparty o ścianę „Pejzaż z aniołem”. Podeszłam i wspinając się na palce, objęłam go za ramiona.

- No co tam? - mruknął, przytulając gładki policzek do mojej ręki.

- A nic tam - odmruknęłam. - Poza tym, że coś mi mówi, że w Uroczysku w tym roku będzie dużo zmian... No i miłości.

- Tak? Skąd ci coś takiego przyszło do głowy? - zapytał, odwracając się do mnie i patrząc mi głęboko w oczy.

- Podobno jest tak, że weterynarz w dom, to miłość w dom. Nie słyszałeś? - powiedziałam zalotnie i uśmiechnęłam się porozumiewawczo do Leontyny, która tonęła w cichej rozmowie z panem Antonim.

Dla nas obu nie było tajemnicą, że ten rok będzie szczególnie pomyślny. Zresztą jak każdy, w którym w Malowniczem pojawiał się zagadkowy mężczyzna w granatowej czapce w kratkę. Identycznej jak ta namalowana na „Pejzażu z aniołem”. Ale czy był sens tłumaczyć to wszystko Czarkowi? Przecież najważniejsze, że Uroczysko i my, i całe

Malownicze, znajdowaliśmy się pod czułą opieką skrzydlatego gościa. A to czy jest on fikcją, czy rzeczywistością, to zupełnie odrębna sprawa. Bo cóż szkodzi wierzyć w dobre wróżby? W końcu wszyscy, nawet jeżeli się do tego nie przyznajemy, w głębi serca wierzymy w cuda i wciąż na nie czekamy. A kiedy miałyby mieć swój początek, jak nie w wigilijny wieczór, w Uroczysku, i to takim, nad którym czuwa malowniczy anioł?

* * *

Wigilijny wieczór dobiegał końca. Goście powoli opuszczali Uroczysko, wsiadając do autokarów, które miały wszystkich odwieźć na pasterkę. Leontyna wciąż nie mogła uwierzyć, że oto na jej oczach czas zatoczył koło. Szkoda, że dopiero po tylu latach zdecydowałam się wyciągnąć rękę, pomyślała i nagle całym sercem zapragnęła znów być młoda. Dobrze, że w ogóle się zdecydowałam, przywołała się po chwili do porządku. I dobrze, że w moim życiu pojawiła się Majka. To ona wywołała tę chęć do zmian i odwagę do wyprostowania niewygodnych i bolesnych spraw z przeszłości. Będę jej musiała za to podziękować, pomyślała i poczuła na sobie pytający wzrok Antoniego.

- Tyle czasu upłynęło - odezwała się cicho i z uśmiechem popatrzyła w oczy starszemu panu. - Nie sądziłam, że to będzie możliwe, że ty i ja razem przy wigilijnym stole...

- Trochę mi się kostium pomarszczył przez te lata. - Antoni z zakłopotaniem przesunął ręką po naznaczonej zmarszczkami twarzy. - Głupi byłem, co?

- Bardzo głupi - przytaknęła Leontyna. - Najpierw, że dałeś się Ewie podejść, a potem... potem razem byliśmy głupi. Ty - że nie próbowałeś dalej, ja - że nie chciałam ci uwierzyć.

- Powroty nigdy nie były moją specjalnością - mruknął starszy pan. - Nie wiedziałem, co miałbym ci powiedzieć... poza tym, co powiedziałem ci już wcześniej. Zresztą przebaczyłybyś mi wtedy?

- Nie mam pojęcia. Byłam strasznie rozgoryczona. Na ciebie, Ewę i cały świat. Zauważyłeś, że jak nam się w życiu nie wiedzie, to świat staje się dobrym kozłem ofiarnym?

Antoni w zamyśleniu przytaknął i popatrzył w kierunku autokarów, do których wsiadali ostatni pasażerowie.

- Idziemy? - zapytał, ujmując Leontynę pod ramię.

- Idziemy. - Pomachała stojącej w oknie Majce. - A po pastercie, jeżelibyś chciał oczywiście, mógłbyś wstąpić do mnie na herbatkę. Nie musimy się obawiać plotek, bo niby co mogą robić ze sobą starszankowie poza piciem herbaty i grą w karty? - zapytała, rzucając mu spod oka zalotne spojrzenie.

Antoni w odpowiedzi pokiwał głową, ale w głębi serca absolutnie się z Leontyną nie zgadzał. Istniała masa rzeczy, które mogli wspólnie robić starszankowie. Na przykład mogli się wybrać w podróż do Egiptu i zobaczyć piramidy, o czym kiedyś marzyła Leontyna, albo mogli razem uprawiać jogging, który - nawiasem mówiąc - zalecił mu ostatnio lekarz... Naprawdę pan Antoni widział mnóstwo sposobów wspólnego spędzania. Ale wiedział też, że od czegoś trzeba zacząć i herbatka tuż po północy była doskonałym pomysłem na całkiem nowy początek życia, od którego jeszcze niedawno nie spodziewał się już niczego ekscytującego.

Cóż, widać cuda jeszcze się zdarzają, pomyślał, gdy już po pastercie dotarli przed dom Leontyny.

Natomiast Leontyna była pewna, że drzwi, które właśnie otwiera, to nie tylko drzwi do domu. Coś jej mówiło, że w momencie, gdy razem z Antonim przekroczy próg, rozpocznie się nowy etap w jej życiu. Etap, w którym nie będą jej grozić samotne święta i smutne wieczory. I gdy wchodząc do pokoju, z przyzwyczajenia spojrzała na stojące na kredensie zdjęcie, zdawało jej się, że siostra mrugnęła do niej szelmowsko okiem. I ku swojemu zdumieniu Leontyna nie tylko się nie zdziwiła, ale niewiele myśląc, odpowiedziała jej tym samym. Ostatecznie była noc wigilijna, noc, podczas której zwierzęta mówią, anioły schodzą na ziemię, a samotni niespodziewanie znajdują drogę do siebie. Więc czy mrugające fotografie mogą kogoś dziwić? - pomyślała, spoglądając w okno, w którym nagle odbiło się coś dziwnego. Męska postać w czapce. Starszanka zamrugwała, ale odbicie nie zniknęło. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, że to przecież Antoni odbija się w szybie.

No cóż, jak widać, każdy ma swój „Pejzaż z aniołem”, pomyślała i uśmiechnęła się do uśmiechniętego Antoniego.